

π

TONY

PARSONS

# Kroniki rodzinne





Kolejny słodko-gorzki bestseller autora  
**MĘŻCZYZNY I CHŁOPCA**

ISBN 83-88722-27-1



9 788388 722271

TONY PARSONS

Kroniki  
rodzinne

Z angielskiego przełożył ANDRZEJ SZULC



WARSZAWA 2005

tytuł oryginału: THE FAMILY WAY

Copyright © Tony Parsons 2004 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Aleksandra i Andrzej Kuryłowicz 2005

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Szulc 2005

Redakcja:

Barbara Nowak

Konsultacja medyczna:

dr nauk med. Marcin Szulc

Ilustracja na okładce:

Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii:

Andrzej Kuryłowicz

ISBN 83-88722-27-1

*Dystrybucja* Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Kolejowa 15/17,

01-217 Warszawa

tel./fax (22)-631-4832, (22)-632-9155, (22)-535-0557

[www.olesiejuk.pl/www.oramus.pl](http://www.olesiejuk.pl/www.oramus.pl)

Wydawnictwo L & L/Dział Handlowy

Kościuszki 38/3, 80-445 Gdańsk tel. (58)-520-3557, fax (58)-344-1338

*Sprzedaż wysyłkowa*

Internetowe księgarnie wysyłkowe:

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

[www.vivid.pl](http://www.vivid.pl)

WYDAWNICTWO ALEKSANDRA I ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

adres dla korespondencji:

skr. poczt. 55, 02-792 Warszawa 78

Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

*Dla Jasmine*

Część pierwsza

ŚWIAT JEST  
JEJ HERBATNIKIEM

# 1.

— Twoi rodzice marnują ci pierwszą połowę życia — oświadczyła matka Cat, kiedy ta miała jedenaście lat — a dzieci drugą.

Powiedziała to niemal bez uśmiechu, niczym jeden z tych żartów, które wcale nie są śmieszne.

Cat była wyjątkowo bystrym dzieckiem i chciała przeanalizować to stwierdzenie. W jaki dokładnie sposób zmarnowała matce życie? Nie było jednak na to czasu. Matka musiała zaraz wyjść. Czekala na nią taksówka.

Jedna z sióstr Cat płakała — być może nawet obie. Ale matki Cat to nie obchodziło. Ponieważ w czarnej taksówce siedział mężczyzna, który ją kochał, z którym bez wątpienia czuła się świetnie i który przekonał ją, że gdzieś tam — najprawdopodobniej za progiem jego wynajmowanego w St John's Wood mieszkania — czeka ją niezarnowane życie.

Dziecinne lamenty wzmoęły się, kiedy matka Cat wzięła swoje torby i walizki i ruszyła ku drzwiom. Tak, spoglądając wstecz, Cat była pewna, że obie jej siostry zanosily się płaczem, chociaż ona sama miała suche oczy i zastyęła w bezruchu.

Kiedy za matką zatrzasnęły się drzwi i pozostał po niej tylko obłoczek perfum — piątki Chanel, bo matka była kobietą o przewidywalnych gustach, zarówno jeśli chodzi o zapachy, jak

i mężczyzn — Cat zdała sobie nagle sprawę, że jest teraz najstarszą osobą w całym domu.

Miała jedenaście lat i wszystko było pod jej pieczę.

Spojrzała na codzienny chaos, przed którym uciekała jej matka. W całym salonie walały się zabawki, jedzenie i ubrania. Megan, mały Budda z tłustą buzią, trzyletnia, czyli właściwie już wcale nie niemowlę, siedziała pośrodku pokoju i płakała, ponieważ ugryzła się w palec, żując herbatnika. Gdzie się podziała niania? Megan nie wolno było jeść herbatników przed posiłkami.

Jessica, blada smutna siedmiolatka, co do której Cat miała poważne podejrzenia, że jest ukochaną córeczką tatusia, leżała zwinęta w kłębek na sofie, ssąc kciuk i rycząc, dlatego... no właśnie dlaczego? Dlatego że była beksą i zawsze to robiła. Dlatego że mała Megan cisnęła przez pokój jej stewardesę Barbie i połamała należący do niej wózek z drinkami. A może przede wszystkim dlatego, że matce tak łatwo przyszło je opuścić.

Cat wzięła na ręce Megan i wgramoliła się na sofę, na której Jessicassa kciuk, zupełnie jakby to ona była rodzinnym beniaminkiem.

— Cicho, głupolu — powiedziała do swojej średniej siostry i posadziła sobie najmłodszą na kolanach.

Zdążyły akurat na czas.

Trzy siostry przycisnęły twarze do wykuszowego okna ich świeżo rozbitego domu dokładnie w tym samym momencie, kiedy czarna taksówka ruszyła z miejsca. Cat zapamiętała profil mężczyzny — który sprawiał wrażenie raczej pospolitego, niewartego całego tego zachodu — i matkę odwracającą się, by posłać im ostatnie spojrzenie.

Była bardzo piękna.

I odeszła.

Po odejściu matki całe dzieciństwo Cat zostało dyskretnie anulowane. Na resztę tamtego dnia i na resztę jej życia.

Ich ojciec robił, co mógł — „najlepszemu tacie pod słońcem”,



pięły co rok Cat, Jessica i Megan na laurkach z okazji Dnia Ojca i ich młode serca wzbierały uczuciem — a wiele niań traktowało je znacznie lepiej, niż to było konieczne. Przez kilka lat po ich wyjeździe przychodziły bożonarodzeniowe kartki od byłej opiekunki z Helsinek i byłej niani z Manili. W końcu jednak nawet najbardziej kochane nianie wracały do swojego prawdziwego życia, a ich najlepszy pod słońcem tato rzucił się w wir pracy, a kiedy nie pracował, próbował uświadomić sobie, co mu się przytrafiło. Pod maską powściągliwości i nieskazitelnych manier, pod całą jego uprzejmością i osobistym urokiem — „taki podobny do Davida Nivena”, powtarzali dziewczynkom zachwyceni nieznajomi, gdy dorastały — Cat wyczuwała zamęt, panikę i bezgraniczny smutek. Nikt nie jest stworzony do roli samotnego rodzica i chociaż Cat, Jessica i Megan nigdy nie wątpiły, że ojciec je kocha — w ten swój cichy, uśmiechnięty, skryty sposób — zdawał się do niej gorzej przygotowany niż inni.

Jako najstarsza siostra Cat nauczyła się wypełniać luki w paradzie niań i opiekunek. Gotowała i niańczyła, zajmowała się czasami sprzątnięciem i znacznie częściej praniem (wiele opiekunek nie chciało wykonywać jakichkolwiek prac domowych, zupełnie jakby było to niezgodne z przepisami związkowymi). Wiedziała, jak nastawić odpowiedni program pralki, jak dezaktywować alarm przeciwłamaniowy, a po kilku miesiącach jedzenia mrożonek i dań na wynos nauczyła się gotować. Była jednak rzecz, której nauczyła się w pierwszej kolejności, zanim jeszcze stała się w pełnym znaczeniu tego słowa nastolatką. Cat Jewell nauczyła się, jak mocno może na tym świecie doskwierać samotność.

I tak dorastały trzy siostry.

Megan — ładna i zaokrąglona, puszysta, jak nazywały ją siostry, jedyna, która miała już zawsze dbać o linię, osiagająca — kto by pomyślał? — świetne wyniki na studiach, obdarzona całą zaciekłością najmłodszego dziecka.

Jessica — laniooka marzycielka, wrażliwa i skora do śmiechu

i lez, ta, którą nieoczekiwanie najtłumniej z nich trzech oblegali chłopcy, szukająca tej jednej prawdziwej miłości za szopami na rowery i przystankami autobusowymi ich podmiejskiej dzielnicy, marząca skrycie o szczęśliwym domu.

I Cat, która szybko zrównała się wzrostem z ojcem, lecz na zawsze zachowała małe piersi i długonogie ciało tancerki, i której serca nigdy nie opuścił niewysłowiony gniew porzuczonego dziecka, chociaż nauczyła się maskować odniesione rany władczy tonem najstarszej siostry.

Lgnąc do siebie wzajemnie i do ojca, który tak rzadko był w domu, tęskniły za matką, nawet kiedy było im naprawdę źle i szczerze jej nienawidziły. Po pewnym czasie to, że Cat straciła dzieciństwo, mogło się wydać najmniejszym z ich zmartwień.

Cat kochała ojca i siostry, choć nieraz doprowadzali ją do obłędu, lecz gdy nadeszła stosowna pora, uciekła na uniwersytet w Manchesterze z radosnym westchnieniem ulgi. „Kiedy tylko ktoś uchylił lekko drzwi”, lubiła powtarzać swoim nowym przyjaciółkom. I podczas gdy Jessica wyszła za swojego pierwszego poważnego chłopaka, a Megan wprowadziła się do swojego pierwszego prawdziwego chłopaka, Cat całkowicie pochłonęły studia, a później praca, i nie spieszyło jej się wcale do zakładania domu i ponownego wprzęgnięcia w jarzmo domowych obowiązków.

Dobrzeje znała. Życie rodzinne oznaczało pustki w lodówce, brak matki, płaczącą Jessicę i małą Megan domagającą się herbatników.

Życie rodzinne oznaczało ojca w pracy, nianię bzykającą się ze swoim nowym chłopakiem w komórce w ogrodzie i ani jednego cholernego herbatnika w całym domu.

Cat w większym stopniu od swoich obu siostr miała okazję dostrzec twarde realia kobiecego życia. Codzienny niewdzięczny znój, niekończąca się walkę o to, by napełnić brzuchy, wymyć gęby, wytrzeć tyłki, otrzeć łzy i nadażyć z praniem.

Niech Jessica i Megan budują swoje gniazdko. Cat chciała wzbić się w przestworza i fruwać. Miała jednak dość oleju w

głowie, żeby wiedzieć, że nie wynika to z jej życiowej filozofii, lecz z odniesionych ran. Już jako studentka, ośmielona po jednym semestrze na uniwersytecie, stawiała gniewnie czoło matce, powiedziała jej o wszystkich rzeczach, z których została okradziona.

— Co z ciebie była za matka? Co za człowiek?

— Twoi rodzice marnują...

— Och, zmień płytę — przerwała jej celowo podniesionym tonem.

Megan przyglądała się z zachwytem starszej siostrze. Jessica była gotowa wybuchnąć płaczem. Siedziały w kulturalnej patisserie w St John Wood, gdzie obsługa naprawdę mówiła po francusku i nawet wzruszała ramionami na galijską modłę.

— Byłaś naszą matką — mówiła dalej Cat. — Miałyśmy prawo do jakichś matczynych uczuć. Nie mówię o miłości, najdroższa mamusiu. Po prostu o odrobinie ludzkiej przyzwoitości. Czy prosiłyśmy o zbyt wiele?!

Jej głos podniósł się do krzyku.

— Nie przejmuj się, moja droga — odparła matka, zaciągając się spokojnie niskonikotynowym papierosem i taksując wzrokiem młodego kelnera, który stawał przed nią wciąż ciepły pain au chocolat. — Któregoś dnia będziesz miała własne porąbane dzieciaki.

Nigdy, pomyślała Cat. Nigdy w życiu.

Upewniwszy się, że mąż ogląda mecz, Jessica zakradła się do jego gabinetu i zaczęła oglądać zdjęcia Chloe.

Tworzyły tam coś w rodzaju kapliczki. Kilka ulubionych stało w srebrnych ramkach, kolejne opierały się o półki, najświeższe wysypywały się z koperty zakładu fotograficznego, zasłaniając leżące na biurku zeznania podatkowe.

Jessica sięgnęła po kopertę, a potem zawahała się i nadstawiła ucha. Słyszała zespół U2 i Bono śpiewającego *It's a beautiful*

day. Paulo oglądał piłkę nożną. Przez następną godzinę trzeba będzie niewielkiego pożaru, żeby zerwał się z sofy. Wzięła do ręki plik najnowszych zdjęć Chloe i zaczęła je przeglądać ze zmarszczonym czołem.

Była tam Chloe w parku, na dziecinniej huśtawce, z połyskującym groźnie, tkwiącym w szeroko otwartych ustach jednym zębem. Dalej Chloe tuż przed wieczorną kąpielą, wyglądająca niczym łypiąca oczyma kluska, opatulona w dziecinną wersję mechatego szlafroka z kapturem, który bokserzy wkładają w drodze na ring. I Chloe na rękach absurdalnie zadowolonego z siebie, uwielbiającego ją ojca, młodszego brata Paula, Michaela.

Chloe. Mała Chloe.

Cholerny dzidziuś.

Gdzieś w głębi duszy Jessica wiedziała, że powinna się cieszyć. Inni mężczyźni odwiedzali ukradkiem strony Internetu zatytułowane *Zupełnie nowe gorące cipy*, *Niegrzeczne holenderskie dziewczyny muszą ponieść karę* albo *Tajskie nastolatki pożądamy grubych podstarzałych facetów z Zachodu*. Jessica wiedziała, że w sercu Paula musi rywalizować wyłącznie z małą Chloe — dzieckiem Michaela i Naoko, jego japońskiej żony. Wiedziała, że powinna być szczęśliwa. Mimo to każde zdjęcie Chloe było niczym szpilka wbita w jej serce. I za każdym razem kiedy Paulo podziwiał kapliczkę, którą wznosił swojej bratanicy, Jessica miała ochotę zadusić go, wrzasnąć wniebogłosy albo zrobić jedno i drugie. Jak mężczyzna, który był tak miły i bystry, mógł być jednocześnie do tego stopnia nieczuły?

— Michael mówi, że Chloe jest na etapie, kiedy wkłada wszystko do ust. Michael mówi... posłuchaj tego, Jess... że według małej świat jest jednym wielkim herbatnikiem.

— Hmm... — odparła Jessica, wpatrując się chłodno w zdjęcie Chloe, która nie przejmowała się wcale rozsmarowaną na jej twarzy rozgotowaną papką. — Myślałam, że wszystkie euroazjatyckie niemowlęta są ładne... — Okrutna przerwa na spotęgowanie efektu. — I to się potwierdza, prawda?

Paulo, który zawsze starał się unikać kłótni, zabrał po prostu bez słowa fotografie Chloe, unikając wzroku żony. Wiedział, że powinien je chować w najniższej szufladzie, a Jessica wiedziała, że jego też to boli — fakt, że jego młodszy brat pierwszy został ojcem. Nie bolało go to jednak tak dotkliwie jak ją. Nie zżerało go żywcem.

Jessica przeklinała się za to, że mówi takie rzeczy, że nie chce uznać bezsprzecznego uroku Chloe, że targają nią takie uczucia. Nie mogła się jednak powstrzymać. W gruncie rzeczy kochała przecież Chloe bez pamięci. Ale bratanica męża przypominała jej w brutalny sposób jej własne dziecko, to dziecko, które mimo długoletnich starań jeszcze się nie urodziło, i zmieniała ją w kogoś, kim wcale nie chciała zostać.

Jessica odeszła z pracy, żeby urodzić dziecko. W przeciwieństwie do swoich sióstr nigdy nie chciała robić wielkiej kariery. Pracowała po to, żeby związać koniec z końcem, a co ważniejsze, spotkać mężczyznę, z którym chciałaby dzielić życie. W tamtym czasie, zanim założył interes z bratem, Paulo prowadził czarną taksówkę i kiedy zatrzymał się, żeby pomóc Jessice przy jej aucie, myślała, że zacznie ją bezczelnie podrywać. „Jedziesz w moją stronę, kotku?”. Tego się spodziewała. On jednak był tak nieśmiały, że prawie nie patrzył jej w oczy.

— Mogę w czymś pomóc? — zapytał.

— Pękła mi opona.

Paulo pokiwał głową i sięgnął po narzędzia.

— W naszej branży — powiedział i po raz pierwszy zobaczyła na jego twarzy ten powoli rozjaśniający się uśmiech — mówimy, że złapaliśmy gumę.

I zaraz potem odjechali.

Ostatniego dnia w pracy, nim zaczęła nowe życie matki, koledzy z agencji reklamowej na Soho, gdzie pracowała, otoczyli ją z balonikami, szampanem, tortem oraz wielką, podpisaną przez wszystkich laurką z bocianem.

To był najwspanialszy dzień w całej karierze zawodowej Jessiki. Stała rozpromieniona pośród kolegów, z paroma nie

zamieniła przedtem ani słowa, i nie przestała się uśmiechać, nawet gdy jeden z nich zauważył, że być może nie powinna tyle pić.

— No wiesz... W twoim stanie.

— Och, nie jestem jeszcze w ciąży — oświadczyła Jessica i od tego momentu nastrój pożegnalnego przyjęcia nieco się zmienił.

Koledzy Jessiki wymieniali skonsternowane, zakłopotane spojrzenia, a ona, przyszła (kiedy tylko zajdzie w ciążę) dumna mama przyglądała się z uśmiechem bocianowi z obrazka, otoczona wszystkimi tymi balonikami i szampanem, całym tym różem i błękitem.

To było przed trzema laty, kiedy Jessica miała dwadzieścia dziewięć lat. Była już żoną Paula od trzech lat i jedyną rzeczą, która powstrzymywała ich przed spółdzeniem dziecka, gdy pastor powiedział „Możesz pocałować pannę młodą”, było to, że Paulo i jego brat próbowali właśnie rozkręcić własny interes. To nie była odpowiednia pora na dziecko. Ta pora nadeszła przed trzema laty, kiedy firma zaczęła nagle przynosić dochód i Jessice miał już wkrótce stuknąć czwarty krzyżyk. Tyle że nikt nie powiedział o tym dziecku.

Trzy lata starań. Myśleli, że to będzie łatwe. Teraz nic nie było łatwe. Na pewno nie był łatwy seks. Rozmowy o tym, co się nie udało. Zastanawianie się, co robić dalej. Świadomość totalnej klęski, kiedy nadchodził okres, a wraz z nim ból, którego nie był w stanie uśmierzyć cały nurofen na świecie.

Te paraliżujące, nieprawdopodobne okresy. Wtedy właśnie czuła się samotna. Jak mogła opisać mężowi ten ból, od którego bielały jej kłykcie? Od czego miała zacząć? Z czym go porównać? A i tak był to tylko jeden z wielu rodzajów bólu. Były i inne. Wszędzie czaiły się pułapki.

Nawet rzeczy, które powinny stanowić drobną prostą przyjemność, jak na przykład oglądanie zdjęć bratanicy męża, stały się dla niej udręką. Któregoś dnia zalała się łzami w toalecie

na piątym piętrze domu towarowego Johna Lewisa, tam gdzie sprzedaje się rzeczy dla niemowlaków, i zaczęła się zastanawiać, czy nie odchodzi od zmysłów. Ale nie, to nie był obłąd. Ocierając oczy papierem toaletowym, Jessica uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie miała złamanego serca.

Została zraniona w przeszłości — boleśnie zraniona, na długo przedtem, zanim poznała Paula. Ale żaden chłopak ani mężczyzna nie mógł jej zranić tak dotkliwie, jak czyniło to ich nie-narodzone dziecko.

Jessica uważała niegdyś, że zapłodnienie jest drobnym technicznym krokiem w drodze ku radosnemu szczęśliwemu macierzyństwu. Teraz, po trwających tyle czasu staraniach, jajczkowanie pojawiało się niczym wezwanie do uiszczenia zaległego czynszu.

Teraz, kiedy z testu owulacyjnego wynikało, że nadeszła pora, Jessica i Paulo — którzy wyobrażali sobie, że zawsze będą młodymi, pełnymi entuzjazmu kochankami — dymali się z zaciętymi minami niczym drobni przestępcy skazani na pracę na rzecz lokalnej społeczności.

Tego ranka Jessica siknęła na swoją małą białą plastikową wyrocznie, która orzekła, że otworzyło się właśnie czterdziestoosmiogodzinne okienko płodności. Dziś była ta noc. I jutro również — chociaż Paulo powinien oddać swój najlepszy strzał jeszcze przed jutrzejszym brzaskiem. Akt płciowy był dla nich czymś pośrednim między randką z opatrnością i wizytą u stomatologa.

Paulo przygotowywał się właśnie do oglądania północno-londyńskiego derby, trzymając w ręku butelkę chłodnego piwa Peroni. Kiedy weszła do pokoju, podniósł wzrok i na widok jego twarzy poczuła znajome drgnienie serca. Chociaż uprawiali ostatnio seks wyłącznie z odrętwiającego poczucia obowiązku, jakby było to wyjątkowo męczące majsterkowanie, coś bardziej przypominającego składanie mebla aniżeli tworzenie nowego życia, Jessica wciąż kochała delikatną, śniadą twarz swojego męża. Wciąż kochała swojego Paula.

— Nie znam wyniku — powiedział, popijając swoje włoskie piwo. — Więc jeśli wiesz, kto wygrał, nic nie mów, Jess.

Wiedziała, że w meczu nie padła żadna bramka. Typowe nudne derby północnego Londynu. Zachowała to jednak dla siebie.

— Idę do łóżka — oznajmiła.

— A niech to! — zawołał facet w telewizji.

— Dobrze — odparł Paulo.

— Nie wypij za dużo — powiedziała Jessica, wskazując piwo w jego rękę.

Paulo zaczerwienił się.

— Jasne.

— Bo... bo jesteś potem zmęczony.

Powiedziała to z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. Niczym jeden z tych żartów, które nie są wcale śmieszne. W taki sam sposób, pomyślała, w jaki jej matka wygłaszała zawsze jakąś trudną do przełknięcia prawdę. Niewydarzona stara krowa.

— Wiem — odparł Paulo, odstawiając piwo. — Zaraz do ciebie przyjdę.

— Trzeba podziwiać hart ducha tych młodych ludzi — powiedział inny facet w telewizji. — Nie dali jeszcze za wygraną.

Coś mówiło Jessice, że jeśli chce przez to wszystko przebrnąć, musi zahartować swoje serce. Ponieważ co będzie, jeśli dziecko nigdy się nie urodzi? Co wtedy? Nie wiedziała, jak zdoła to wytrzymać i jakiego rodzaju życie będzie prowadziła z Paulem, który chciał dzieci tak, jak chce je mieć każdy mężczyzna, czyli z pewnością nie aż tak, jak chciała tego ona. Nie wiedziała, jaki wpływ na ich małżeństwo będzie miało to ciągle rozczarowanie, które nawiedzało ich dom niczym złośliwy lokator.

— No to do zobaczenia za chwilę — powiedziała.

— Zaraz idę, Jess — odparł Paulo, nie patrząc jej prosto w oczy.



Kiedyś szalał na jej punkcie. Teraz zachowywał się, jakby seks był egzaminem, do którego nie zdążył się przygotować.

— Daję wam słowo — powiedział telewizyjny komentator.  
— On nigdy nie strzeli gola z tego miejsca.

Stożek złotego światła padł na siedzącą przy zagraconym biurku Megan, która oderwała wzrok od ekranu komputera i spojrzała na osadzony w suficie świetlik. Przypominał jej okno w więzieniu, w którym zamykają cię i wyrzucają klucz. Sączące się w dół światło i hałas przypominały, że gdzieś tam istnieje inny świat, wydawał się on jednak bardzo odległy. Mimo to uwielbiała ten pokój — jej pierwszy gabinet w pierwszej prawdziwej pracy. Wchodząc tu co rano, czuła, jak przechodzi ją radosny dreszcz.

Uśmiechając się pod nosem, Megan wstała od biurka i wdrapała się na krzesło. Nabrała już w tym wprawy.

Trzy razy dziennie stawała, chybocząc się niebezpiecznie, na swoim obrotowym krześle z siedzeniem wytartym przez pośladki wszystkich tych, którzy siadali na nim wcześniej, i łapiąc się ramy świetlika, wykręcała szyję. Jeśli stanęła na palcach, widziała prawie całe szkolne boisko, które przylegało do tylnej ściany przychodni. Megan uwielbiała przysłuchiwać się dzieciom podczas zabawy. Były małe, hałaśliwe i gładkoskóre niczym niemowlęta. Szczebiotały jak stado podnieconych ptaków. Uświadomiła sobie, że rzadko kiedy stykała się z małymi dziećmi. Tak bardzo przywykła do tego, że jest najmłodsza.

— Pani doktor?

Megan obróciła się i o mało nie spadła z krzesła.

W progu stała sfatygowana kobieta, mnąc nerwowo w rękę kawałek mokrego kuchennego ręcznika. U jej stóp wydierał się chłopak w miniaturowej futbolowej koszulce. Kobieta parzyła podbiegłymi krwią oczyma, jak Megan schodzi z krzesła.

— Kazała mi wejść, pani doktor. Ta pani w rejestracji —

powiedziała i wbiła nieśmiało wzrok w podłogę. — Miło panią znowu widzieć.

Megan miała mętlik w głowie. Tyle ostatnio widziała twarzy, tyle ciał. Poprosiła o nazwisko i datę urodzenia i przejrzała szybko swoje notatki. Po chwili wszystko sobie przypomniała.

Kobieta była u niej przed kilkoma tygodniami z tym samym małym chłopcem, który miał na sobie wówczas brudną szarą kamizelkę i opychał się kanapką z dżemem.

Kiedy Megan badała jego matkę, potwierdzając, że jest w ciąży, smarkacz gmerał lepkimi paluchami w papierach na biurku. Kobieta — nazywała się pani Summer, choć z tego, co było wiadomo Megan, nie była zamężna i nie miała faceta o nazwisku Summer — przyjęła tę wiadomość niczym ostatnie wezwanie od komornika. Niewiele starsza od Megan, która miała dwadzieścia osiem lat, pani Summer była już przytłoczona macierzyństwem. Początkujący chuligan z kanapką z dżemem był czwartym z jej potomstwa, które miała z wieloma mężczyznami.

— W czym mogę pani pomóc? — zapytała teraz Megan, spostrzegając z ulgą, że smarkacz jest tego dnia bardziej przyciszony.

— Trochę krwawiłam, doktor Jewell.

— Muszę panią obejrzeć.

Okazało się, że kobieta poroniła. Wcześniejsza wiadomość o ciąży zmartwiła ją, lecz tę zniosła o wiele gorzej. Nagle, kompletnie zaskakując Megan, pani Summer zanosła się głośnym szlochem.

— Co ja złego zrobiłam? Dlaczego mi się to przytrafiło?

— To nie pani wina. Jedna czwarta wszystkich ciąż kończy się... Proszę — powiedziała Megan, popychając w jej stronę pudełko z kleeneksami.

Strzęp kuchennego ręcznika rozklejał się pani Summer w palcach, podobnie jak ona sama. Megan obeszała biurko i wzięła ją w ramiona.

— To naprawdę nie pani wina — powtórzyła, tym razem

delikatniej. — Organizm prowadzi swoje własne testy. Odnajduje jakąś anomalię w płodzie. Dlaczego tak się dzieje? Szczerze mówiąc, nie wiemy. Poronienie zdarza się zupełnie niespodziewanie. Jest straszne, wiem. Kiedy się pomyśli, co się straciło. — Dwie kobiety przez chwilę się w siebie wpatrywały. — Szczerze pani współczuję — powiedziała Megan. — Naprawdę.

I rzeczywiście było jej przykro. Rozumiała, że pani Summer mogła być przerażona perspektywą kolejnego porodu, a mimo to wpadła w rozpacz, gdy straciła to dziecko. Piąte dziecko byłoby katastrofą. Jednak jego utrata była tragedią, śmiercią w rodzinie, której nie wolno jej było nawet porządnie opłakać, jeśli nie liczyć tych wstydliwych łez w gabinecie lekarskim, nie większym od schowka na szczotki.

Megan mówiła jej cicho o anomaliach chromosomowych i genetycznych i o tym, że chociaż trudno nam to zaakceptować, nie sposób po prostu z nimi żyć.

— Musi pani razem ze swoim partnerem zdecydować, czy chcecie więcej dzieci — powiedziała. — A jeśli nie chcecie, musi pani zacząć uprawiać bezpieczny seks.

— Ja uprawiam, pani doktor. Ale chodzi o niego. O mojego... partnera. On nie wierzy w bezpieczny seks. Mówi, że to jak branie prysznicu w pelerynie.

— No cóż, musi to pani z nim przedyskutować. A jeśli ma pani na myśli kondomy, z pewnością nie jest to jedyna możliwość.

Megan doskonale wiedziała, że pani Summer ma na myśli kondomy. Od czasu do czasu czuła jednak, że musi przybrać belferski ton, żeby ocalić resztki autorytetu i nie utonąć w tym całym żalonym ludzkim bajzlu, który wpychał się do jej gabinetu.

— Myślała pani o tabletkach?

— Roztyłam się. Zrobiłam się gruba jak bela. Dostałam zakrzepicy. Skrzepów. Musiałam przestać brać.

— *A coitus interruptus!*

— Żeby przerywać?  
— Właśnie.  
— Och, nie sądzę. Nie zna go pani. Próbowałam, pani doktor. Próbowałam całego tego bezpiecznego seksu. Jak wy to nazywacie? Sekcji rytmicznej.

— Metody rytmu, tak.  
— Próbowałam jej, kiedy lekarz powiedział, że rozryłam się przez tabletkę. Ale to się dzieje, kiedy śpię. On się po prostu częstuje.

— Częstuje się?  
— Włazi na mnie i się spuszcza. A potem chrapie jak smok. Nie, z nim kondom nie przejdzie, pani doktor. Nawet wolę nie próbować. Naprawdę.

To był zupełnie inny świat. Osiedla mieszkaniowe, które otaczały ze wszystkich stron przychodnię. Dziecko przynosił tu bocian, a mężczyźni częstowali się, kiedy jakaś biedna kobieta padała na twarz po całodziennej harówce.

— No więc niech mu pani powie, żeby się nie częstował. To oburzające zachowanie. Jeśli pani chce, sama z nim porozmawiam.

— Naprawdę bardzo pani miła — stwierdziła zapłakana pani Summer, łapiąc ją w niezgrabny niedźwiedzi uścisk.

Megan odsunęła ją łagodnie i zaczęła mówić o zaletach wkładki domacicznej.

Kobiety lubiły Megan. Była najmłodszą lekarką w całej przychodni, stażystką, która pracowała tam dopiero od miesiąca, lecz mimo to cieszyła się największym powodzeniem wśród pacjentek.

Przygotowywała się do tej pracy przez siedem ostatnich lat — sześć w akademii medycznej i rok, odbywając staż w dwóch londyńskich szpitalach. Jednak dopiero tu, w tej przychodni, w której wszyscy pozostali lekarze byli mężczyznami, coś od niej naprawdę zależało.

Kiedy kobiety skarżyły się na bóle menstruacyjne, które sprawiały, że miały ochotę rzucić się pod pociąg, Megan nie

radziła im, żeby wzięły środek przeciwbólowy i zacisnęły zęby. Kiedy młode matki mówiły, że są tak przygnębione, że codziennie płaczą do poduszki, nie wyjaśniała, że depresja poporodowa to normalna rzecz. Kiedy badanie przezierności karkowej wykazywało duże prawdopodobieństwo zespołu Downa, Megan przedstawiała im wszystkie opcje, świadoma, że to jedna z najtrudniejszych decyzji, jakie musi kiedykolwiek podjąć kobieta. Po wyjściu pani Summer do gabinetu zajrzał doktor Lawford. W ciasnym pokoiku Megan od razu poczuła jego zapach — papierosów, żółtego sera i pikli. Doktor wyszczerzył zęby w uśmiechu, który w jego zamierzeniu miał być triumfalny.

— Nareszcie sama — stwierdził.

Lawford był opiekunem stażu Megan — starszym lekarzem, który w ciągu tego roku miał być jej przewodnikiem, nauczycielem i mentorem. Niektórzy stażyści podziwiali swoich opiekunów, a jednak po spędzonym pod kuratelą Lawforda miesiącu Megan doszła do wniosku, że to cyniczny, napastliwy sukinyś, który nienawidzi jej do szpiku kości.

— Tempo, doktor Jewell. Pani ostatnia pacjentka była tutaj przez dobre pół godziny.

— Chyba nie aż tak długo?

— Trzydzieści minut, doktor Jewell. — Lawford postukał palcem w zegarek. — Niech pani będzie taka dobra i postara się obsłużyć ich w siedem.

Megan posłała mu posępne spojrzenie. Dojrzewając z dwiema starszymi siostrami, nauczyła się twardo walczyć o swoje.

— Ta pacjentka właśnie poroniła. A my nie pracujemy w McDonalddie.

— W rzeczy samej — roześmiał się Lawford. — Stary poczciwy Ronald McDonald może poświęcać klientom o wiele więcej czasu niż my. Proszę ze mną, coś pani pokażę.

Megan wyszła za nim do zatłoczonej poczekalni. Siedzący tam pacjenci znajdowali się w różnych stadiach cierpienia i zniecierpliwienia. Wielka kobieta z tatuażami na obnażonych białych ramionach krzyczała na recepcjonistkę. Słysząc było

suchy kaszel, dziecinny płacz i wściekle westchnienia. Megan rozpoznała kilka twarzy, odkryła, że potrafi nawet powiedzieć, co im dolega. Ta kobieta ma zapalenie pęcherza moczowego, pomyślała. Ten facet nadciśnienie. Ta mała dziewczynka astmę — podobnie jak wiele innych dzieci wdychających powietrze tego miasta. Mój Boże, pomyślała, ile z tych osób czeka na wizytę u mnie?

— Będzie pani miała chyba pracowity ranek — stwierdził doktor Lawford, odpowiadając na jej nieme pytanie. — Co najmniej połowa tych pacjentów zapisała się do pani. — Skarcona Megan wróciła wraz z nim do gabinetu. — To jest Hackney, nie Harley Street — powiedział. — Siedem minut na jednego pacjenta, jasne? I nie ma znaczenia, czy ma czarną febrę czy wrzód na tyłku. Siedem minut od wejścia do wyjścia. Dopóki dobry Bóg nie da nam czterdziestu ośmiu godzin dziennie albo nie dostaniemy pracy w sektorze prywatnym, to jedyny sposób, żeby dać sobie z tym radę.

— Oczywiście.

Lawford rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie i wyszedł.

Megan, która wypruwała z siebie żyły, żeby trafić do tego małego gabinetu, nie wiedziała, czy zdoła zaliczyć staż ze śledzącym każdy jej ruch Lawfordem. Słyszała, że przychodnie przyjmują do pracy młodych stażystów tylko dlatego, że mają dzięki temu lekarza za darmo. Ale żaden z tych starych wyjadaczy, bez względu na to, jak był cyniczny lub pazerny, nie będzie chciał przemądrzałej stażystki, która jeszcze bardziej utrudni mu życie. Lepiej im będzie bez niej. Czuli, że Lawford tylko czeka, aż jego podopieczna zrobi coś głupiego, żeby móc się jej pozbyć i zminimalizować straty.

I tkwiła w tym swoista ironia, ponieważ podejrzewała, że zrobiła już coś głupiego. Coś tak głupiego, że trudno jej było w to uwierzyć.

Rano, w trakcie jednego z regularnych roboczych śniadań z Lawfordem — miała obowiązek spotykać się z nim dwa razy w tygodniu, żeby mogli omówić jej postępy względnie ich brak

— musiała go nagle przeprosić i pobiec do śmierdzącej cytrynowym cifem kawiarnianej ubikacji, żeby zwymiotować migdałowy rogalik i cappuccino.

Dopiero w drodze do swojego małego mieszkanka, czując, jak rwą ją plecy i stopy, Megan naprawdę uwierzyła, że zrobiła coś głupiego.

Wiedziała, że to niemożliwe, że jest na to o wiele za wcześnie. Ale poczuła to bardzo wyraźnie.

Kopnięcie w brzuchu.

## 2.

— Jesteś zdecydowanie za młoda, żeby urodzić dziecko, moja droga — powiedziała jej matka. — A ja jestem na pewno za młoda, żeby zostać babcią.

Megan oceniała, że matka niedługo skończy sześćdziesiąt dwa lata, chociaż oficjalnie, od mniej więcej sześciu lat miała koło pięćdziesiątki.

W swoim gabinecie często widywała babcie z osiedla Sunny View, liczące sobie tyle samo wiosen co Cat albo nawet Jessica — wszystkie te babcie w połowie trzydziestki, które zaczynały niańczyć wnuki w wieku, który Matka Natura, względnie wielkowiejska klasa średnia uznawały za odpowiedni, by rodić własne dzieci. Ale to prawda — Olivie Jewell nie sposób było sobie wyobrazić w roli babci. Trudno się dziwić, pomyślała Megan. Nigdy nie zrozumiała, co to znaczy być matką.

Za Olivia w dalszym ciągu odwracali się mężczyźni. Nie z powodu skromnej sławy, jaką niegdyś się cieszyła — ta wyparowała przed ponad dwudziestu laty — lecz z racji swojego wyglądu. Masa czarnych loków, blada karnacja Królowy Śnieżki i te wielkie niebieskie oczy. Niczym Elizabeth Taylor, która nie przegrała bitwy z nadwagą, albo Joan Collins, która nigdy nie dotarła do Hollywood. Dojrzała angielska róża, trochę



przywiędła, to prawda, lecz wciąż roztaczająca wokół siebie pewien blask.

— Odbierają ci twoje życie — powiedziała Olivia trochę łagodniejszym tonem, przyglądając się najmłodszej córce. — Nie chcesz chyba, żeby ktoś odebrał ci twoje życie, kochanie?

Kiedy rodzice poznali się w Królewskiej Akademii Dramatycznej, to Olivia stanowiła świetną partię. Jack był wysokim, przystojnym młodym aktorem, prostym jak tyczka po dwuletniej służbie w RAF-ie i dorabiającym na boku w charakterze męskiego modela (reklamował głównie papierosy — młody, odziany w blezer Jack dobrze wyglądał, kopiąc z uśmiechem szluga).

Ale Olivia była delikatną porcelanową pięknnością, podobnie jak jej imienniczka, Olivia de Havilland, która w owych surowych powojennych latach, gdy zaczęły się cieszyć popularnością piersiaste blondynki, stanowiła już trochę relikwii przeszłości.

Olivia zachwycali się jej nauczyciele i koledzy z klasy, a w późniejszym czasie krytycy, którzy uwielbiali ją w roli humorzastej, tupiącej nogami Cordelii w Stratfordzie. Przewidywano, że Jack zawsze znajdzie jakąś rolę, za to Olivia zostanie wielką gwiazdą. Przekorny czas sprawił, że wszystko potoczyło się inaczej.

Po kilku latach, w trakcie których pojawiał się na drugim planie w nostalgicznych brytyjskich filmach o drugiej wojnie — grając palącego fajkę kapitana w grubym swetrze, dowódcę, który idzie na dno razem ze swoimi marynarzami, niepokornego wojennego jeńca, który obrywa kulką od szwabów podczas próby ucieczki, albo kulawego dowódcę szwadronu RAF-u, który lustruje niebieskie przestworza nad Kentem — Jack Jewell trafił na swoją życiową rolę.

Przez prawie dwadzieścia lat grał owdowiałego ojca w nadawanym bez końca przez BBC wędkarskim serialu *Wszystkie rybki w morzu* — grał go tak długo, że jego najmłodsza córka Megan prawie nie pamiętała, żeby ojciec był w domu, kiedy dorastała. Tyle czasu zajmowało mu odgrywanie roli czulego ojca wobec swoich ekranowych dzieci. Kiedy dzieci wyrosły na

nastolatków, sympatyczna, rozumna twarz Jacka Jewella stała się jedną z ogólnonarodowych ikon, podczas gdy Olivia nigdy nie doczekała się wielkich gwiazdorskich ról.

— Tato się ucieszy — powiedziała Megan, umyślnie ją prowokując. — Tato ucieszy się, że zostanie dziadkiem.

Olivia zmierzyła córkę szybkim spojrzeniem.

— Chyba mu nie powiedziałaś?

— Oczywiście, że nie. Ale będzie na pewno szczęśliwy.

Olivia Jewell roześmiała się.

— Bo jest strasznym mięczakiem. I nie obchodzi go, jaki to będzie miało wpływ na twoje życie. Nie wspominając o twoim uroczym młodym ciecie, kochanie.

Megan i jej matka siedziały w kawiarni w Regent's Park, otoczone przez wszystkie te wiktoriańskie białe domy Johna Nasha, najpiękniejsze, zdaniem Megan, domy w całym Londynie, wyglądające, jakby zbudowano je ze śmietankowych lodów. To była jedna z ich stałych randek — popijając herbatę, oglądały pływające po stawie czarne łabędzie i wdychały zapach świeżo skoszonej trawy oraz dobiegającą z pobliskiego zoo woń zwierząt.

Megan była jedyną z córek, z którą Olivia spotykała się w miarę regularnie. Jessica kontaktowała się z nią sporadycznie — zbyt podatna na zranienie, by utrzymywać bliskie stosunki z kimś tak samolubnym jak Olivia — a Cat od lat nie rozmawiała z matką.

Megan zawsze uważała, że w stosunkach z nią trzeba zdobyć się na odrobinę wysiłku. Tego właśnie nie rozumiały jej siostry. Ich matka była całkiem w porządku, jeśli ktoś zdobył się na odrobinę wysiłku.

— Na początku lat sześćdziesiątych na tyłach Brewer Street mieszkał taki jeden uroczy Maltańczyk, pomagający dziewczynom, które wpadły w tarapaty. — Megan wciąż wzdrygała się, słysząc głos matki, ten świadomie kryształowy akcent, który przywodził na myśl mężczyzn z Broadcasting House, czytających wiadomości w swoich smokingach. — Boże... jak on się, do cholery, nazywał?

— Nieważne, poradzę sobie — powiedziała Megan, odsuwając od siebie serwetkę. Olivia położyła dłonie na dłoniach córki i łagodnie je pomasaowała, jakby chciała rozgrzać.

— No cóż... możesz na mnie liczyć, moja droga.

Megan skinęła głową.

— Dziękuję.

— Po porodzie ciało kobiety już nigdy nie jest takie samo. Kiedy byłam młoda, miałam ciało podobne do twojego. Nie takie drobne jak Jessica. Ani chude jak Cat. Bardziej jak ty. Zaokrąglone. — Olivia zerknęła na córkę. — No, może nie aż tak pulchne.

— Stokrotne dzięki.

— Wiesz, że przystawiał się do mnie kiedyś Brando?

— Chyba o tym wspominałaś. Mniej więcej tysiąc razy.

— Drogi Larry Olivier podziwiał moją Cordelię. Suknia, którą miałam na premierze *Tak trzymaj, Ginger*, wzbudziła sensację. Byłam Liz Hurley moich czasów.

— W takim razie ojciec był Hughem Grantem.

— Bardziej Hughie Greenem\*. Żalony facet. Marzyłam o Beverly Hills. On dał mi Muswell Hill.

\* Hughie Green, 1920–1997, brytyjski aktor telewizyjny, w młodości bardzo popularny, prowadził między innymi teleturnieje w ITV

To dziwne, pomyślała Megan. To matka była tą, która odeszła. To matka zamieszkała z drugorzędnym aktorką w wynajętym mieszkaniu. To matka pozostawiła wychowanie dzieci mężowi, wynajętym przez niego nianiom i Cat. A mimo to grała teraz rolę zgorzkniałej. Być może nie potrafiła wybaczyć ojcu, że jego nazwisko zalsniło większym blaskiem, niż jej jaśniało kiedykolwiek.

Jej kariera ułożyła się w specyficznie angielski sposób. Gdyby pokusić się o nazwanie w dwóch słowach charakteru ról, w jakich specjalizowała się Olivia Jewell, najtrafniejszym określeniem byłoby „afektowana paniusia”. W latach pięćdziesiątych pojawiła się w półtuzinie hammerowskich horrorów,

rozpięta w nocnej koszuli w transylwańskim lochu, z pragnącym poddać ją niecnym eksperymentom szalonym doktorem, następnie zaś — kiedy zmieniły się czasy i akcent, i publiczność wolała, żeby aktorki były bardziej z północy i bardziej proletariackie (w kuchennych dramatach) względnie bardziej zagraniczne i egzotyczne (w odzianym w bikini haremie Bonda) — brała każdą rolę, jaką zaproponowały jej robiące bokami teatry prowincjonalne.

Chociaż na początku lat sześćdziesiątych Olivia Jewell miała tylko dwadzieścia dwa lata, mogło się zdawać, że pochodzi z innej epoki. Nigdy jednak nie przyznała się, że miała długie pauzy i grała ogony. W rozmowie i prawdopodobnie nawet we własnym mniemaniu była tym wszystkim, czym przepowiedzieli jej, że będzie Kenneth Tynan i nauczyciele z Królewskiej Akademii Dramatycznej.

Gwiazda Olivii zabłysła najjaśniej w tym samym roku, w którym na zawsze opuściła dom. Przelotna sława nadeszła późno. Dobiegając czterdziestki — i przyznając się do trzydziestu dwóch lat — dostała rolę przemądrzałej, wścibskiej sąsiadki w nadawanym w połowie lat siedemdziesiątych przez ITV sitcomie *Jeszcze herbatki, pastorze?* Mężczyzna z tylnego siedzenia taksówki był odtwórcą głównej roli męskiej, nieśmiałego młodego pastora, który miał elektryzujący wpływ na swoje parafianki, i skwarnym latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku, kiedy Londyn wydawał się roztopiać w upale, a Cat pitrasila obiadki dla swoich siostr i próbowała na próżno znaleźć w radiu nową grupę o nazwie Sex Pistols, Olivia i jej sprośny pastor ukazali się razem na okładce „TV Timesa”.

A potem jej gwiazda zgasła i w ciągu zaledwie kilku lat humor z *Jeszcze herbatki, pastorze?* zaczął sprawiać wrażenie pochodzącego z tej dawnej Anglii, która była teraz żenująca, rasistowska i śmiesznie staroświecka.

Występujące w serialu postaci — przewracająca oczyma Jamajka, wiecznie kwękająca Hinduska, mamroczący pod nosem

Irlandczyk i, owszem, „afektowana paniusia” z sąsiedztwa, która musiała się chyba trochę puszczać w młodości — zostały wszystkie zmiecione przez nową falę gniewnych dowcipów o pani Thatcher i tylnej części ciała.

Mężczyzna z tylnego siedzenia taksówki zostawił w końcu ich matkę w wynajętym mieszkaniu w St John Wood i wrócił do żony i dzieci. Jednak Olivii nie przytłoczył upływający czas i życiowe doświadczenia. Nigdy nie straciła wyniosłego stylu, który przyswoiła sobie w latach pięćdziesiątych. Megan wierzyła w nią.

— Co ja robię, mamo?

— Podejmujesz słuszną decyzję, moja droga.

— Na pewno? Podejmuję słuszną decyzję, prawda? Zresztą co ja mogę innego zrobić?

— Nie możesz dać się związać, Megan. Masz przed sobą całe życie. A co będzie, jeśli spotkasz jakiegoś młodego adoratora? Jakiegoś przystojnego młodego chirurga? — Oczy Olivii zablęskły lubieżnie na myśl o młodym ogierze z Harley Street. A potem skrzywiła się i zgasiła z furią papierosa, wściekła na swoją najmłodszą córkę za to, że gotowa jest wzgardzić taką wspaniałą partią. — Nie będzie chyba brał sobie na głowę dziecka innego faceta?

— To jeszcze nie dziecko — powiedziała Megan, bardziej do siebie niż do matki. — Jessica by tego nie zrozumiała. Dlatego nic jej nie mówię. Cat też. Ono wciąż jeszcze ma ogonek, na litość boską. Jest bardziej podobne do krewetki niż do dziecka. To prawda, niedługo dojrzeje...

Jej matka westchnęła.

— Nie możesz pozwolić, żeby jakiś mały wrzeszczący, srający gnojek pogrzebał twoje szanse. Tak właśnie było ze mną. Bez obrazu, moja droga, ale nie możesz urodzić tego bachora.

Oczy zapiekły Megan od niespodziewanych łez.

— Nie mogę, prawda?

— Nie teraz, kochanie. Nie teraz, kiedy czekają cię te wszystkie

egzamin. Po tym, jak tak świetnie radziłaś sobie w akademii medycznej. I opróżniałaś baseny w tych okropnych szpitalach na East Endzie. — Jej matka zrobiła zbołą minę. — Och, Megan. Dziecko? Nie teraz, kurczaczku.

Megan wiedziała doskonale, co poradzi jej matka. Dlatego właśnie chciała się z nią spotkać. Żeby usłyszeć, że nie ma absolutnie żadnego wyboru. Że nie ma innego wyjścia. Że nie ma nawet o czym myśleć. Być może Megan utrzymywała najbliższe stosunki z matką dlatego, że była do niej najmniej podobna.

Ostatnie spotkanie Olivii ze wszystkimi córkami odbyło się przed ponad piętnastoma laty. Megan była wówczas chłopięcą dwunastolatką o jasnych oczach, Jessica nieśmiałą ładną szesnastolatką, bladą i wyciszoną po wypadku, jakiego doznała na szkolnej wycieczce na narty — tak przynajmniej powiedzieli Megan — a dwudziestoletnia Cat dojrzałą młodą kobietą, ośmieloną po dwóch latach spędzonych na uniwersytecie, niekryjącą goryczy i skora do stawienia czoła matce przy zajadanych przez nie wymyślnych pizzach.

Kiedy matka poinformowała je od niechcienia, że nie będzie na rozdaniu nagród w szkole Megan — która zawsze była najbardziej z nich uzdolniona — ponieważ ma przesłuchanie do roli gospodyni domowej w reklamie jakiegoś sosu („Za stara”, powiedzieli, kiedy wyszła, „za wytworna”), Cat wybuchła.

— „Dlaczego nie możesz być podobna do innych matek? Dlaczego nie możesz być normalna?”.

— „Gdybym była normalna, wy trzy też byłybyście normalne”.

Megan nie spodobał się podtekst tego zdania. W ustach matki normalność zdawała się czymś strasznym. Może gdyby była normalna, nauka w szkole nie przychodziłaby jej z taką łatwością. Może nie odbierałaby nagrody od dyrektorki. Może byłaby powolna i głupia jak inne dzieci.

— „Ale ja chcę, żebyśmy były normalne — zaszlochala Jessica i matka roześmiała się, jakby to była najśmieszniejsza rzecz pod słońcem”.

— Jak się miewa moja mała Jessica? — zapytała teraz Olivia.

— To dla niej trudny okres — odparła Megan. — Od tak dawna próbuje zajść w ciążę. To by ją na pewno wytrąciło z równowagi... no wiesz.

— Twoja aborcja... no tak.

— Mój zabieg.

Olivia nigdy nie pytała o Cat, czasami jednak z własnej inicjatywy prezentowała niepochlebne opinie o swoim najstarszym dziecku.

— Chciałam ostatnio porozmawiać z Jessicą przez telefon. Pablo powiedział, że śpi. Chyba jakieś problemy z brzuchem.

— Paulo. On ma na imię Paulo.

— Oczywiście. Uroczy Paulo z tymi swoimi ślicznymi rękami. Zupełnie jak u dziewczyny. Słyszałam, że wyjmują jej macicę czy coś w tym rodzaju.

— Nie, skądże. Musi tylko przejść kilka badań. Ma strasznie bolesne okresy. Boże, mamo, nic o tym nie wiesz?

Olivia zrobiła niewyraźną minę.

— Tak naprawdę nigdy nie interesowałam się zbytnio cyklem Jessiki. Ale oczywiście masz rację... nie możesz z nią mówić o swoim, no wiesz, stanie.

Megan spojrzała na parkowy staw.

— To powinno się przydarzyć Jessice. To powinno się jej przydarzyć. Byłaby wspaniałą mamą.

— Kim jest ojciec? — zapytała Olivia, zapalając papierosa.

— Nie znasz go — odparła Megan.

I w gruncie rzeczy ja też go nie znam, pomyślała. Jak mogłam być taka głupia?

— Moja maleńka — powiedziała Olivia, dotykając twarzy córki. W przeciwieństwie do swoich siostr Megan nigdy nie wątpiła, że matka ją kocha. Na swój specyficzny sposób. —

Pozbądź się tego cholerstwa, dobrze? Nie jesteś podobna do Jessiki. Do tej małej kobietki, która nie poczuje się spełniona, dopóki nie będzie miała bandy wrzeszczących bachorów, wysysających jej cycki do podłogi. I nie jesteś podobna do Cat... która uparła się, że zostanie starą panną i marnuje się z jakimś nieodpowiednim facetem. — Matka uśmiechnęła się z triumfem. — Jesteś bardziej podobna do mnie — stwierdziła. A Megan zastanawiała się, czy to rzeczywiście prawda.

Paulo nie spodziewał się czasopism. To była niespodzianka. Kto by pomyślał, że państwowa służba zdrowia dostarczy trochę pornografii, żeby pomóc ci napęłnić mały plastikowy słóiczek?

Ich próby spłodzenia dziecka były tak obezwładniająco aseksualne, tak całkowicie pozbawione czegokolwiek, co przypominałoby pasję lub pożądanie — oszczędzanie spermy, jakby to były punkty w Teseo, robienie tego tylko wówczas, gdy nakazywały testy owulacyjne, łyż Jessiki, kiedy okazywało się, iż znowu im nie wyszło — że Paula zdziwił widok tych, jego zdaniem, świńskich czasopism.

Czerwieniąc się niczym nastolatek, złapał jedno z nich zatyłowane „Powyżej pięćdziesiątki” i ruszył w stronę swojej kabiny, zastanawiając się, czy chodzi o rozmiar piersi, wiek czy iloraz inteligencji.

Doktor zapewnił Paula, że test jego spermy nie jest w rzeczywistości żadnym testem.

— Nie chcę, żeby odczuwał pan jakąś presję. Nikt nie oczekuje, że napęlni pan cały ten plastikowy słóiczek.

Ale podobnie jak każdy inny egzamin, test spermy mógł się zakończyć sukcesem albo porażką. W przeciwnym razie nie byłby w ogóle testem.

Dlatego Paulo się przygotował. Jednak zamiast ćwiczyć zawracanie na trzy razy i studiować kodeks drogowy, robił



wszystko, by powiększyć ilość zawartych w spermie potencjalnych dawców życia oraz zapewnić, że będą zmierzać w generalnie prawidłowym kierunku.

Luzne majtki. Zimne kąpiele. Cynk, witamina E i selen, nabywane w sklepach ze zdrową żywnością, gdzie zarówno personel, jak i klienci wyglądali zdecydowanie niezdrowo.

Przeczytał całą literaturę. A było jej zadziwiająco dużo. Ludzka rasa zapominała, jak się reprodukować. Wpisując wyraz „sperma” w wyszukiwarce, człowiek o mało w niej nie tonął.

Witaminy, przewiewne bokserki i kąpiele, od których jaja kurczyły się do wielkości orzeszków, wszystko to najwyraźniej sprzyjało objętości spermy i jej ruchomości — zdolności do kręcenia ogonkiem w pożądanym sposób. Ale jakie było minimum? Ile trzeba było mieć milionów plemników, żeby zaliczyć test?

Kiedy sperma dociera do jaja, myślał Paulo, tak naprawdę potrzebny jest tylko jeden.

Salą egzaminacyjną była toaleta państwowego szpitala. Paulo słyszał, że kiedy robi się testy spermy przy Harley Street, żonie wolno wejść do kabiny razem z mężem i podać mu pomocną dłoń.

Ale w tym rozległym szpitalu, gdzie człowiek czuł się bardziej jak w jakimś rojnym przygranicznym mieście aniżeli w miejscu, w którym leczy się ludzi — gdzie chorzy na raka zaciągali się chciwie papierosami, stojąc w szlafrokach za główną recepcją, a wytatuowani mężczyźni z ranami głowy regularnie atakowali zmieniające im opatrunki młode pielęgniarki za to, że nie zmieniają ich dość szybko — szło się po prostu do toalety i uprawiało smutny seks do plastikowego słoiczka.

Mimo to całe wydarzenie wydało się Paulowi doniosłe. To było coś nowego. Masturbacja dla jakiegoś wyższego celu. Po latach robienia tego za zamkniętymi drzwiami — pamiętał dobrze wstyd i obawę, że rodzice złapią go na gorącym uczynku,

kiedy wychodził z toalety z wciśniętym za koszulę egzemplarzem niedzielnej gazety — autentycznie zachęcano go, żeby trzepał kapucyna, walił gruchę i bił konia. Świat mówił: śmiało, Paulo. Męcz ptaka aż do oglupienia.

Była nawet instrukcja w punktach — jakby jakikolwiek mężczyzna potrzebował w tym względzie wskazówek — w gruncie rzeczy jednak człowiek był sam ze swoim słoiczkiem i pornosami dostarczonymi przez państwo.

Tyle zależało od tego śmiesznego aktu. Miał wrażenie, że nie testowali jego spermy, lecz jego przeszłość, przyszłość, jaka czekała go z Jessicą. Rozpiął spodnie, a potem natychmiast je zapiął, głęboko oddychając.

Jego zadanie było łatwe. Wiedział o tym. Musiał spuścić się do małego plastikowego słoiczka i wolno mu było to zrobić w intymnym wnętrzu szpitalnej toalety. Jessica przeszła tyle badań, że czasami odnosiła wrażenie, że jej intymne części ciała stały się domeną publiczną.

Wszystkie te testy, wszystkie oględziny — jakby to, czy się kochają, nie zależało od nich, lecz od jakiejś wyższej instancji, starodawnej i okrutnej.

Paulo zaczął przerzucać kartki „Powyżej pięćdziesiątki”. Nie oglądał tego rodzaju rzeczy od wielu lat. W szkole miał kolegę o przydomku Kartofel — w grubych patrzalkach, z czerwonymi policzkami, chichoczącego zawsze głupio przy bocznej chorągiewce podczas meczów — który przynosił regularnie do klasy to, co określał mianem „najlepszej strawy dla oczu”.

Paulo, nieśmiały, wiecznie zadumany chłopak, który wołał czasopisma motoryzacyjne, nie ruszał się na ogół ze swojej ławki i czytał najnowszy numer „Car”. Któregoś dnia Kartofel zawołał do niego z tłumu szczerzących zęby koleżków, którzy zawsze oglądali świerszczyki podczas przerwy.

— Oj, Baresi, popatrz na to, wielka cioto. Masz tu coś, czego nigdy, nie dadzą ci samochody.

Paulo zerknął na czasopismo i o mało nie zemdlął z wrażenia — brodaty Azjata bez ubrania robił coś niewyobrażalnego

koźlowi, który najwyraźniej nie potrafił uwierzyć we własne szczęście. Podczas gdy wszystkie inne kozły w okolicy były bez wątpienia bite i maltretowane, ten koziół miał obciążaną łaskę. Ten koziół musiał się czuć, jakby wygrał główną nagrodę na koźlej loterii.

Po czymś takim Paulo miał dość pornografii na całe życie. Nie podobała mu się wtedy i nie podobała mu się teraz. Było w niej po prostu zbyt wiele ginekologii jak na jego niewyszukany gust.

Zamknął swój egzemplarz „Powyżej pięćdziesiątki”. Choć w dziedzinie życia erotycznego sam też czuł się emerytem — uprawianie seksu i płodzenie dzieci to były wyraźnie dwie różne rzeczy — kobiety z „Powyżej pięćdziesiątki” ani trochę go nie pobudzały.

Paulo zamknął oczy. Wziął się w garść. I pomyślał o swojej żonie.

Tym różnił się od wszystkich innych tutejszych onanistów.

Megan odkryła, że jej chłopak sypia z inną dziewczyną, kiedy złapała go z ręką na jej tyłku. I nie miała wrażenia, że było to dla niego obce terytorium.

Will i Katie wjeżdżali na górę ruchomymi schodami w Selfridges dokładnie w tym samym momencie, gdy Megan zjeżdżała w dół — dzięki czemu miała znakomity widok na dłoń Willa swobodnie eksplorującą dolinę między dwoma pośladkami tej małej lafiryndy. Katie była na tyle przyzwoita, że na widok Megan głośno westchnęła. Will pobladł i zastygł z ręką na tyłku Katie jak ktoś, kogo złapano z dłonią w czymś portfelu.

I co ja teraz zrobię, pomyślała Megan. Straciłam właśnie najlepszego przyjaciela.

— Biologicznym przeznaczeniem kobiety jest rodzenie dzieci — stwierdził Will. — Biologicznym przeznaczeniem mężczyzny

jest zasianie ziarna w jak największej liczbie kobiet. Ale to wcale nie znaczy, że cię nie kocham.

Tak właśnie jej powiedział. Mówił również inne rzeczy — że to, co zrobił, nie ma żadnego znaczenia, że ją kocha, że za długo ze sobą byli, by zrywać z powodu jednego błędu. I rzeczywiście byli ze sobą długo. Megan i Will mieszkali razem przez całe studia, w czasie gdy większość ich rówieśników nie przepuszczała żadnej okazji, by zabawić się w doktora i pielęgniarkę. Ale finał był taki, że przerznął Katie, ponieważ zależało od tego przetrwanie ludzkiej rasy.

— Co ja mogę na to poradzić? Jestem zaprogramowany, żeby siać moje ziarno. To biologiczny imperatyw.

— Masz to zapisane na twoim twardym dysku, tak? Żeby wtykać swojego żalosoego fiuta w każdą nieznajomą?

— Trudno uznać Katie za nieznajomą. Znasz ją jeszcze z akademii.

— Tam też się puszczała. Mnóstwo młodych medyków uczyło się na Katie zaawansowanej biologii.

— Zbliżyliśmy się bardzo na oddziale urazowym w Homerton. Takie rzeczy się zdarzają. Ludzie wpadają na siebie.

— Chcesz powiedzieć: „Och, jak mi przykro, pośliznąłem się! I zupełnie przypadkowo mój penis wsunął się w Katie! Jak, u licha, to się mogło stać?”. Czy to właśnie masz na myśli, ty podły sukinsynu?

Właściwie powinna się czegoś takiego spodziewać. Zauważyła nagle obniżenie pociągu seksualnego Willa, kiedy odbywał staż w szpitalu Homerton, a ona zaliczała sześciomiesięczny kurs pediatrii w Royal Free.

Tłumaczyła to sobie tym, że Will prawie codziennie ogląda rany klute, ponieważ szpital Homerton leży w Hackney i oddział urazowy przez cały rok pełni nocny dyżur. Powinna się była domyślić, że Katie merdała ogonkiem podczas przerwy na podwieczorek w lekarskiej kantynie. Jedną z pierwszych rzeczy, które przyswajają sobie każdy student medycyny, jest to, że w dziedzinie seksualnego wyuzdania przeciętny szpital nie

różni się zbytnio od portowego burdelu w dniu, gdy do brzegu przybija flota. Wszyscy ci niebywale młodzi lekarze i pielęgniarki, pracujący przez dwadzieścia cztery godziny na dobę w skrajnie stresujących warunkach, w większości zbyt załatani, by nawiązać z kimś stały związek — to nie mogło nie oddziaływać na hormony.

W ramach szkolenia zawodowego Megan również zaliczyła sześć miesięcy na oddziale urazowym Homerton, ale nie wywarło to większego wpływu na jej libido. Miała wrażenie, że po raz pierwszy w życiu widzi na własne oczy prawdziwy świat. Ale być może miała większą wyobraźnię od Willa i Katie.

Próbował ją objąć, lecz odtrąciła go, zgrzytając niemal zębami. Naprawdę nie rozumiał, że wszystko między nimi skończone. Jak on mógł? Nie był taki jak Megan. Jego rodzice się nie rozeszli.

Nikt nie odszedł z jego domu. Nikt nie spakował manatek i nie zwiął, gdzie pieprz rośnie. Will nie oglądał żalonych, wrednych następstw kurwienia się na lewo i prawo.

Dorastał jako najmłodsze dziecko w zwartej, kochającej się rodzinie w Hampstead Garden Suburb. To była jedna z rzeczy, które w nim pokochała. Nienaruszony, bezpieczny świat, z którego pochodził, niespieszne niedzielne obiady, łagodnie kpiący humor i długie lata niezakłóconego niczym szczęścia. W weekendy i na Boże Narodzenie zabierał ją do swoich rodziców. Czula się tam jak u siebie w domu i chciała należeć do tej innej rodziny, tego innego życia, tego lepszego świata.

Chciało jej się śmiać, gdy patrzyła na dzieciaki z nierozbitych rodzin. Will myślał, że wszystko zostanie mu wybaczone, że zaufania nie można nigdy nadużyć, a miłości rozmięknąć na drobne. Jak wszyscy durnie ze szczęśliwych domów Will wierzył w swoje prawo do happy endu.

Lecz ona zaniknęła walizkę, zabrała ją z łóżka i postawiła u jego stóp.

— Megan? Daj spokój. Proszę.

Ujrzała w nim teraz raczej żalosalną postać, jaką był zawsze.

Will był jednym z tych przystojnych niskich facetów, którzy są skazani na wieczne niespełnienie. W miarę słodki, lecz niesolidny, bystry, lecz leniwy, towarzysko wyrobiony, lecz z brakami w wykształceniu, w gruncie rzeczy nie nadawał się na lekarza. Rozpaczliwie pragnął nim zostać i rozpaczliwie pragnęli tego jego rodzice — szpakowaty, uczęszczający regularnie na siłownię chirurg oka i jasnowłosa, dobrze zakonserwowana doktor pediatrii. Ich przystojny syn z wielkim trudem pokonywał jednak kolejne etapy studiów.

Will należał do tej niefortunnej mniejszości studentów medycyny, która musiała ponownie przystąpić do egzaminów końcowych, i kiedy je w końcu cudem zdał, okazało się, że codzienny kontakt ze śmiercią, chorobą i krwią przyprawia go o bóle brzucha i lekką depresję. Nawet jego depresja była jednak na pół gwizdka. Megan miała ochotę go zadusić. Z drugiej strony było jej go żal. Biedny Will. Nie nadawał się do tego życia. Tak jak nie nadawał się dla niej.

I mylił się w jeszcze jednej sprawie. To prawda, że Megan nie ulegała podszeptom swojej anatomii w podobny sposób, w jaki penis Willa wodził go na pokuszenie i zabierał niczym jakiś szalony cicerone w miejsca, których jego pan nawet za milion lat nie planował odwiedzić.

Bywały jednak chwile, kiedy jej tęsknota, by zaznać tego rodzaju kontaktu, była równie paląca. Bywały dni, kiedy jej pragnienie — miłości, seksu, czegoś, co byłoby lepsze niż jedno i drugie — było o wiele silniejsze od tego, co mógł czuć Will, gdy o trzeciej w nocy bzykał Katie w pogrążonej w mroku lekarskiej kantynie. Ona też miała swój biologiczny imperatyw.

Wielka różnica polegała na tym, że pragnienie Willa uzależnione było od małej różowej cukinii, która czuwała w pogotowiu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, wrażliwa na każde stworzenie w minispódniczce, które miało do niego słabość. A pragnienie Megan, kiedy już się pojawiało, uruchamiane było przez coś o wiele potężniejszego.

To właśnie którejś takiej niespokojnej nocy, mniej więcej

dwa tygodnie po tym, jak odesłała Willa do jego rozczarowanych rodziców w Hampstead Garden Suburb, Megan po raz pierwszy od wieków poszła na przyjęcie i spotkała tam młodego Australijczyka, który objechawszy cały świat, miał wkrótce wrócić do domu, na słoneczne plaże, do Sydney i swojej dziewczyny.

Jak on miał na imię? Nie miało to teraz większego znaczenia. I tak już nigdy go nie zobaczy.

Podczas gdy Will był niski i smagły, z kośćmi policzkowymi, których mogły mu pozazdrościć kobiety, facet na przyjęciu był wysoki i wysportowany, z nosem, który złamał dwa razy, grając w rugby w college'u i spadając ze stołka w barze w Earls Court.

Zdecydowanie nie w typie Megan.

Ale spójrzcie, jak ją potraktował facet, który był w jej typie.

Cat Jewell kochała swoje życie.

Wchodząc do należącego do niej, położonego przy Tamizie mieszkania, z połyskującym tuż za oknem Tower Bridge, miała za każdym razem wrażenie, że bierze urlop od świata.

Prawie dwadzieścia lat po odejściu z domu znalazła w końcu cichą spokojną przystań z bajecznym widokiem na rzekę, własne miejsce na ziemi, którego szukała przez wszystkie te lata.

W podziemnym garażu stał jej mercedes-benz SLK i chociaż jej szwagier Paulo, który znał się na samochodach, łagodnie się z niej naśmiewał — „To nie jest sportowe auto, to suszarka do włosów” — Cat uwielbiała jeździć po mieście samochodem, który podobnie jak jej życie był zaprojektowany dla dwóch osób. W najlepszym razie.

To prawda, że jej mieszkanie było najmniejsze w całym położonym nad rzeką budynku, a samochód pokryty purchlami rdzy. Z obu tych rzeczy była jednak dumna. Należały do niej. Zapracowała na nie. Po ucieczce z więzienia, jakim było jej dzieciństwo, sama ułożyła sobie życie.

Kiedy wróciła po studiach do Londynu, kobieta, u której znalazła pierwszą porządną pracę, powiedziała, że w tym mieście można zdobyć wszystko, czasami jednak trzeba trochę poczekać na dobry apartament i prawdziwą miłość. W wieku trzydziestu sześciu lat Cat miała w końcu porządny apartament. I wierzyła, że ma także mężczyznę.

Przez wszystkie te lata zaliczyła wystarczającą liczbę niechlujnych pijaków, przedwczesnych ejakulatorów oraz potajemnych małżonków — przy jednej pamiętnej okazji, wszystkich trzech w jednej osobie — teraz jednak miała Rory'ego i nie wyobrażała sobie, by mogła być z kim innym.

Poznała go, kiedy uczył Megan wado-ryu karate. Stał w kącie podczas przyjęcia z okazji ukończenia przez Megan kolejnego semestru na akademii medycznej i Cat zrobiło się go żal. Widać było, że Rory nie ma po prostu śmiałości, by nawiązać z kimś rozmowę.

Na Cat zrobił wrażenie bardzo niezwykłego przedstawiciela sztuk walki — cichego, towarzysko niewyrobionego, bez śladu zadziorności. A potem, kiedy przyjęcie szybko przeistoczyło się w coś, co Megan określiła jako typowy medyczny balecik — z nawalonymi pielęgniarkami oraz młodymi lekarzami, którzy po połówce extasy zapominali, jak się nazywają — Rory wyjaśnił Cat, jak to się stało, że zainteresował się sztuką walki.

— Znęcali się nade mną w szkole. Łobuzy z jakiegoś powodu mnie nie lubili. Zawsze się mnie czepiali. Któregoś dnia posunęli się za daleko. Miałem wstrząs mózgu, złamane żebra, naprawdę ostro oberwałem.

— I postanowiłeś się nauczyć... jak to się nazywa... kung-fu?

— Karate. Wado-ryu karate. Spodobało mi się. Byłem w tym dobry. I nikt już mnie nie zaczepiał.

— Odegrałeś się na łobuzach?

Rory skrzywił się, marszcząc w charakterystyczny sposób nos, i zdała sobie sprawę, że podoba jej się ten mężczyzna.

— To naprawdę nie na tym polega.



— Po trzydziestu latach w dalszym ciągu można w nim było dostrzec prześladowane, ciche dziecko, którym kiedyś był. Mimo jego profesji, całego tego długiego okresu, kiedy uczył ludzi zadawać oraz blokować ciosy ręką i nogą, odznaczał się autentyczną subtelnością. Był silnym, lecz łagodnym mężczyzną. Mężczyzną, z którym chciałoby się mieć dzieci, gdyby było się kobietą, która chce mieć dzieci.

Cat Jewell z całą pewnością nią nie była.

Ciało Rory'ego było twarde i wysportowane dzięki długim godzinom wado-ryu karate, lecz wyczuwało się w nim również wewnętrzną rezerwę rozwiedzionego mężczyzny po czterdziestce. Przez dłuższy czas odgrywał rolę szczęśliwego ojca rodziny, lecz w końcu nic z tego nie wyszło i nie spieszyło mu się, żeby zaczynać wszystko od nowa. Wiedział, czym to pachnie, przerobił to i płacił alimenty. Cat to nie przeszkadzało.

Rory był od niej przeszło dziesięć lat starszy i mieszkał po drugiej stronie miasta, w Notting Hill, z synem, który nocował u niego, kiedy pokłócił się z matką i ojczymem.

Po rozwodzie Rory poznał wiele kobiet, w których biologicznych zegarach dzwoniły dzwonki alarmowe — kobiety tuż po trzydziestce, które nie spotkały jeszcze Pana Idealnego, i kobiety tuż przed czterdziestką, które już go spotkały, tyle że okazał się Idealnym Sukinsynem. Miał tego dosyć. Ostatnią rzeczą, jaką mężczyzna chce usłyszeć na trzeciej randce, jest wyznanie, jak bardzo kobieta chce mieć męża i dziecko. To może odstraszyć każdego faceta. Zwłaszcza faceta po rozwodzie. Po tym wszystkim Cat stanowiła miłą odmianę.

Nie chciała go na męża ani ojca. Kochała swoje życie i nie potrzebowała jakiegoś starzejącego się księcia z bajki, żeby je odmienił. Jeśli ich związek nie prowadził donikąd, bardzo im to pasowało. Oboje byli zadowoleni z miejsca, w którym się znajdowali.

I tak było dobrze, ponieważ Rory nie był w stanie dać dziecka żadnej kobiecie. Cat dowiedziała się o tym, kiedy miesiąc po przyjęciu u Megan po raz pierwszy się ze sobą przespałi.

— Mogę nałożyć kondom, jeśli chcesz, Cat. Ale naprawdę nie ma takiej potrzeby.

Popatrzyła na Rory'ego ze swojej strony łóżka, nie bardzo mu ufając i zastanawiając się, co takiego kombinuje.

— To znaczy, nałożę kondom, jeśli chcesz. Oczywiście, że to zrobię. Ale nie musisz się martwić, że zajdziesz w ciążę.

Nie miał chyba zamiaru obiecywać, że w ostatniej chwili wyskoczy? No tak, jasne. A pieniądze przyjdą pocztą.

— Miałem zabieg — powiedział Rory.

— Co?

— Podwiązanie, cięcie, operację. No wiesz. Wasektomię.

Z jakiegoś powodu uwierzyła, że mówi prawdę. Było po prostu coś w sposobie, w jaki zwiesił głowę i uśmiechnął się ze smutkiem, wypowiadając słowa, które musiał wypowiadać już wcześniej niejedną raz.

— Zrobiłem to tuż przed naszym rozводом. Moja żona i ja... nie układało się między nami najlepiej. Oboje się starzeliśmy. Wiedzieliśmy, że nie chcemy więcej dzieci. Więc poddałem się operacji. A potem ona zaszła w ciążę ze swoim trenerem od tenisa. — Kolejny smutny uśmiech. — Więc można powiedzieć, że wybrałem odpowiedni moment.

— Bolało?

— Trochę tak, jakby ktoś rozgniatał ci jądra dziadkiem do orzechów.

— W porządku, nie musimy o tym więcej mówić. Chodź do mnie.

Z początku to było dziwne — czuć, jak mężczyzna wchodzi w nią, i wiedzieć, że nie ma się czym martwić. Cat przez wiele lat starała się unikać zajścia w ciążę, znosiła przeróżne niedogodności spirali, kapturka, kondomu, tabletki oraz stosunku przerwawanego, i fakt, że mogła teraz przestać o tym myśleć, stanowił kolosalne odciążenie dla jej psychiki i cyklu menstrualnego. Rory był uważnym, doświadczonym kochankiem i nie należał do mężczyzn, którzy upierają się, by kobieta doszła pierwsza,

jakby jakakolwiek inna sytuacja była przejawem złych manier.

Mieli nawet własny dowcip o preferowanej przez oboje metodzie antykoncepcji, a właściwie jej braku.

— Jak życzy sobie pani podane jajka, *madame*? — pytał Rory.

— Niezapłodnione! — wołała w odpowiedzi Cat.

Jego niemożność posiadania dzieci wydawała się kolejnym plusem w jej ze wszech miar idealnym życiu. Podobnie jak mieszkanie z widokiem na Tower Bridge, lekko sfatygowany sportowy samochód oraz posada kierowniczkii Mamma-san, jednej z najbardziej modnych restauracji w Londynie, gdzie o stoliki było tak trudno, że kiedy próbowałaś zarezerwować je przez telefon, śmiali ci się po prostu w twarz i odkładali słuchawkę.

Nieskrępowane — to było ulubione słowo Cat.

Mogła przeleżeć całą niedzielę w szlafroku, czytając gazety, mogła wskoczyć do samolotu i polecieć do Pragi na weekend albo zostać u Rory'ego, jeśli tylko miała taką ochotę. Była nieskrępowana — i tego właśnie chciała. Ponieważ kiedy matka odeszła z ich domu, jej życie stało się maksymalnie skrupowane. Nigdy już nie chciała być taka związana, taka udomowiona.

Nie chciała mieć dzieci i mogła żyć długie miesiące, w ogóle się nad tym nie zastanawiając — do chwili gdy ktoś zasugerował, że spędzanie życia tak, jak się komuś podoba, jest sprzeczne z naturą. Była zbyt szczęśliwa, zbyt zaspokojona, by czuć, że jej czegoś brakuje. Cat nie uważała się za bezdzietną, uważała się za wolną od dzieci. Duża różnica.

Nie była podobna do innych kobiet. Nie była podobna do swojej siostry Jessiki. Nie potrzebowała dziecka, by poczuć, że jej życie jest coś warte, a jej świat taki jak trzeba.

Skąd się to brało, to uzależnienie od macierzyństwa, ta potrzeba niezbędności? Cat wiedziała, skąd się brało — powożeni byli mężczyźni, którzy za mało cię kochali. Mężczyźni Pozostawiający w życiu kobiety lukę, którą ta mogła wypełnić

wyłącznie cudownym, wazącym osiem funtów, hałaśliwym automatem do srania.

I dlatego leżąc po ciemku z Rorym, myślała: tak jest idealnie, prawda?

Tak wygląda wspaniałe, nieskrępowane życie. Nieskrępowane — najpiękniejsze słowo w języku angielskim.

Dlaczego ktoś miałby kiedykolwiek chcieć czegoś więcej?

### 3.

Paulo i Michael dorastali w jednej z najmniej ciekawych części Essex. Ich ojciec był inżynierem w fabryce Forda w Dagenham, a ich dziecinne marzenia dotyczyły samochodów.

Ponad połowa mężczyzn w tej okolicy pracowała w fabryce. Samochody były tutaj wszystkim. Oznaczały pracę, pasek z wypłatą, obietnice wolności. Dzięki samochodowi chłopak stawał się mężczyzną. Kupno pierwszego fordą escorta było dla nastolatka tak samo ważne jak plemienny rytuał inicjacji. Ale chociaż obaj bracia kochali samochody, każdy z nich kochał je inaczej.

Paulo miał obsesję na punkcie silników V8, wałków rozrządu i życiowych losów Enza Ferrari. Zainteresowania Michaela skłaniały się bardziej ku temu, co określał mianem „magnesu przyciągającego cipki”.

Paulo kochał samochody dla nich samych. Michael kochał je za to, co można było dzięki nim osiągnąć, za tworzone przez nie słodkie iluzje i za marzenia, które nigdy się nie spełniały.

Michael w równym stopniu co samochody kochał dziewczęta. Jego ulubionym tematem, nawet kiedy był małym pryszczatym prawiczkim, dzielącym sypialnię z trochę starszym bratem, było „to, co doprowadza je do szaleństwa”.

Podczas gdy Paulo zbierał informacje o Modenie i Le Mans,

Michael przeglądał czasopisma z najwyższej półki i uczył się „płytkiego bzykania” („nie wkładasz go do końca... to je doprowadza do szaleństwa, tak tu piszą”) oraz tego, jak odnaleźć punkt G („włóż zwilżony palec do środka i poruszaj nim tak, jakbyś chciał, żeby kobieta się do ciebie zbliżyła... to je podobno doprowadza do szaleństwa, Paulo”).

Obaj mieli na ścianach zdjęcia różnych modeli ferrari, ale Michael wcisnął Samanthę Fox\* pomiędzy maranello i spidera. Wisiała tam do dnia, gdy zobaczyła ją ich bogobojna matka.

\* Samantha Fox (ur. 1966), angielska modelka, piosenkarka i aktorka, słynąca z „rozbieganych” zdjęć

— W moim domu nie będzie wizerunku babilońskiej wszetecznicy — stwierdziła, jedną ręką zrywając plakat, a drugą wprawnie ciągnąc za ucho Michaela. Wiedziała, że to nie Paulo umieścił na ścianie zdjęcie babilońskiej wszetecznicy. — Powieś tu Przenajświętszą Panienkę.

— Żadnych cyków na ścianie, chłopcy — powiedział im cicho ojciec. — Denerwują waszą matkę.

Cyków? — zdziwili się bracia. Co ich starszek może wiedzieć o cykach?

Ich rodzice przyплыли z Neapolu jako dzieci, lądując w Anglii w odstepie jednego roku, chociaż nikt by się tego nie domyślił. Ojciec, Paulo starszy, wysławiał się jak typowy londyński proletariusz, ze wszystkimi krtaniowymi zwarciami i gadką ze stadionów West Ham i Romford Dogs, podczas gdy matka, Maria, nigdy nie pozbyła się obcego akcentu i nawyków starego kraju.

Maria — na którą zarówno mąż, jak i synowie mówili „Ma” — nie prowadziła samochodu, nie widziała na oczy rachunku i nigdy w życiu nie pracowała. „Moją pracą jest mój dom”, powtarzała. Mimo to była porywczą, niekwestionowaną cesarżową ich małego segmentu, nacierającą swoim synom uszu z tą samą częstotliwością, z jaką całowała ich po policzkach z

gwałtowną, przyprawiającą o lzy pasją. Chłopy nie pamiętali, żeby ojciec kiedykolwiek podniósł głos w domu.

W dzieciństwie Paulo czuł się najbardziej Włochem, kiedy odwiedzał domy swoich kolegów. Wówczas właśnie zdał sobie sprawę, że są wyjątkowi — nie dlatego, że chodzili na mszę, jedli pieczone *ziti*, a jego rodzice rozmawiali ze sobą w obcym języku — lecz dlatego, że ich rodzina należała do rodzaju, który był w tym kraju na wymarcu.

Niektórzy z jego kolegów mieszkali ze swoimi matkami, jeden z ojcem, wielu żyło w dziwnych łatanych rodzinach, składających się z nowych ojców, przyrodnich braci oraz macoch. Jego własna rodzina była o wiele prostsza, staroświecka, i był za to wdzięczny losowi. Taką właśnie rodzinę Paulo sam chciał mieć któregoś dnia.

Między braćmi było tylko dziesięć miesięcy różnicy i wiele osób brało ich za bliźniaków. Dorastając, byli ze sobą niezwykle blisko związani i marzyli o założeniu wspólnej firmy — interesu, który łączyłby się w jakiś sposób z samochodami. Z wyścigami, naprawą, sprzedażą — czymkolwiek. Tego właśnie dowiedzieli się od ojca po długich latach, które spędził w fabryce Forda. „Nie wzbogaciecie się, pracując dla kogoś innego”, powtarzał im staruszek, zanim zapadł w drzemkę przed telewizorem, oglądając wiadomości o dziesiątej.

Po ukończeniu szkoły w wieku szesnastu lat bracia spędzili dziesięć lat za kółkiem — Paulo prowadząc czarną londyńską taksówkę po zdaniu egzaminu ze znajomości miasta, a Michael pracując w korporacji — i w końcu zgromadzili dość kapitału, by wziąć pożyczkę z banku.

Obecnie sprzedawali importowane włoskie auta w salonie przy Holloway Road w północnym Londynie; zamawiali niewielkie ilości towaru w Turynie, Mediolanie i Rzymie i sprowadzali do Anglii tańsze modele z kierownicą z lewej strony, przerabiając je we własnym warsztacie, a także skupowali używane auta w Islington, Camden oraz Barnet. Nad ich skromnym salonem i nazwą firmy — Bracia Baresi — powiewały w

anemicznym słońcu północnego Londynu zielono-biało-czerwone włoskie flagi.

Zarabiali całkiem nieźle, dość, by utrzymać swoje rodziny, chociaż podobnie jak wielu innych drobnych biznesmenów przekonali się, że roboty jest raz za mało, a innym razem więcej, niż można podołać.

Tego dnia ruch był akurat niewielki. Michael wyjął najnowsze zdjęcia swojej córki Chloe i rozłożył jej na lśniącej czerwonej masce starego ferrari modeny. Małżeństwo z Naoko wyraźnie wyciszyło Michaela, pomyślał Paulo, a narodziny Chloe chyba go utemperowały.

Do braci podziwiających ostatnie zdjęcia Chloe dołączyła Ginger, ich recepcjonistka. Ginger była dobiegającą czterdziestki mężatką i Paulo nie mógł nie spostrzec, że jej biust unosi się i opada w zwolnionym tempie, kiedy jego właścicielka wdycha na widok małej Chloe w całej jej bezzębnej chwale.

— Och, ona jest cudowna — stwierdziła.

A Michael uśmiechnął się z dumą, kompletnie oczarowany swoją córką. Odchodząc od nich, żeby postawić wodę na herbatę, Ginger miała rozmarzone oczy.

— Uwielbiają, kiedy ma się dzieci — powiedział swojemu bratu Michael, gdy zostali sami.

Paulo uśmiechnął się.

— To chyba znak, że twój weselny sprzęt jest sprawny, potrafisz stanąć na wysokości zadania i tak dalej. No wiesz: że jesteś dobrym rozplodowcem.

— Tak, wszystkie te stare dyrdymały — przytaknął Michael, przyglądając się nadąsanej buzi swojej córki. — To je doprowadza do szaleństwa, nie?

Megan nie zapamiętała zbyt wiele z przyjęcia. Rozpadający się wiktoriański dom, dość wielki, żeby pomieścić pół tuzina medyków. Mdlącósłodkawy zapach marychy. Wszyscy ci ludzie, których znała, zachowujący się, jakby mieli dziesięć lat



mniej niż w rzeczywistości. A do tego naprawdę fatalna muzyka — w każdym razie muzyka, której nie znała.

I nagle pojawił się ten facet — Kirk, miał na pewno na imię Kirk — który różnił się od wszystkich dookoła.

Przed wszystkim nie wyglądał tak niezdrowo jak ci młodzi lekarze. Nie pił tyle i tyle nie palił. Nie miał w sobie tego cynizmu, który rówieśnicy Megan traktowali jako najlepsze antidotum na paradę chorób i nędzy, domagających się uleczenia.

Po prostu tam stał — wysportowany, przystojny chłopak z Australii, bardziej powściągliwy, niż można by się spodziewać po tego rodzaju facecie — uśmiechając się uprzejmie, kiedy najgenialniejsi przedstawiciele jej pokolenia znieczulali się alkoholem i trawką, gadając o sprawach zawodowych.

— Wszyscy są tacy mądrzy — powiedział i Megan głośno się roześmiała.

— Tak sądzisz? Wydawało mi się, że są po prostu dobrzy w zdawaniu kolejnych egzaminów.

— Nie, są naprawdę mądrzy. Trzeba być mądrym, żeby zostać lekarzem, prawda? Nie rozumiem połowy z tego, o czym mówią. Cała ta medyczna terminologia. Ktoś mówił o pacjencie chorym na ZKPP.

Megan uśmiechnęła się.

— To po prostu znaczy, że „złamał kulasa po pijanemu”. Kirk zmarszczył czoło.

— Naprawdę?

Megan kiwnęła głową i zapoznała go z tajnym językiem studentów medycyny. Kirk nachylił ku niej swoją urodziwą twarz, a ona, przekrzykując fatalną muzykę, opowiedziała mu o kremkasie (pieniądzach, które płaci się lekarzowi za skierowanie ciała do kremacji), czerwonym półśladkim (krwi), DWD (dziwnie wyglądających dzieciakach), DZM (dobrze zachowanych mamuśkach), o najtrafniejszej możliwej diagnozie oraz BJW (Bóg jeden wie) — całym tym ironicznym slangu, który chronił ich przed horrorem obranej profesji.

— Ale i tak trzeba być mądrym — upierał się Kirk.

Jak on to otwarcie i szczerze powiedział, pomyślała. I jak bardzo różnił się od wszystkich jej znajomych, którzy nie mogli otworzyć ust, żeby nie popisać się jakimś cynicznym grepsem. Po raz pierwszy mu się uważnie przyjrzała.

— Co robisz? — zapytała.

— Uczę — odparł i była to ostatnia rzecz, której się po nim spodziewała. — Uczę ludzi nurkowania — dodał. — No wiesz, nurkowania z akwalungiem.

Megan zatoczyła krąg kieliszkiem, wskazując to przyjęcie, to mieszkanie, to miasto.

— Chyba nie tutaj?

Kirk uśmiechnął się. Spodobał jej się ten uśmiech — szeroki i olśniewająco biały.

— W bardziej słonecznych miejscach. Nurkowałeś kiedyś?

— Nie, ale mam kartę pływacką za przepłynięcie jednego basenu w piżamie. To chyba nie to samo?

Kirk roześmiał się.

— Zawsze to jakiś początek.

Podobała mu się. Widziała to. Zdarzało się to całkiem często. Wiedziała, że nie jest taka ładna jak Jessica, która odznaczała się specyficzną dzieciinną urodą, ani taka wysoka jak Cat, która była długonoga i smukła jak tancerka. Ale Megan podobała się mężczyznom. Podobały im się te wszystkie krągłości i twarz, która z powodu jakiegoś genetycznego zawirowania wyglądała na trochę młodszą, niż była. Podobał im się ten kontrast. Twarz dziewczyny i ciało kobiety, powtarzał zawsze z podnieceniem Will, sięgając wprost do jej piersi.

Uśmiechnęła się do Kirka, a on zrobił jej ten zaszczyt i zaczerwienił się. Dobrze było nawiązać tego rodzaju kontakt po długim związku z Willem, z którym musiała stale uważać, czy nie wysyła złych sygnałów. Tego wieczoru mogła wysyłać wszelkie sygnały, jakie chciała.

A potem nagle zaczęła się piosenka, którą знаła i uwielbiała

— ta, w której Edwyn Collins śpiewa: „Nigdy nie spotkałem dziewczyny takiej jak ty”.

— To może być nasza piosenka — powiedział Kirk, uśmiechając się nieśmiało.

Taka nieporadna odzywka normalnie od razu by ją zraziła. Ale wybaczyła mu, ponieważ on też jej się podobał. W tym momencie bardzo się podobał. Nie należał do jej świata i wcale jej to nie przeszkadzało. Była gotowa opuścić swój świat.

Chwilę później nastąpił ten moment, o którym prawie zapomniała po wszystkich latach bycia czyjąś dziewczyną — moment, kiedy widziało się nic porozumienia w oczach kogoś, kogo się jeszcze nie znało — i nagle jego twarz stała się przedmiotem pożądania. Ich głowy nachyliły się lekko ku sobie i zaczęli się całować.

Kirk umiał się całować i to też było miłe. Robił to z entuzjazmem i nie próbował przy tym wylizać jej migdałków. Naprawdę dobrze się całował — zachowywał odpowiednie proporcje pomiędzy braniem i dawaniem. To też jej się spodobało. Najbardziej jednak spodobało jej się to, że Kirk mógł chyba przelecieć każdą dziewczynę na przyjęciu, ale wyraźnie chciał to zrobić z nią.

Masz szczęście, pomyślała.

Znaleźli szybko jedną z sypialni. Megan odprężyła się trochę, widząc, że drzwi mają zamek, i zaraz potem wypełniła swoje biologiczne przeznaczenie na stosie płaszczy, podczas gdy na dole Edwyn Collins śpiewał „Nigdy nie spotkałem dziewczyny takiej jak ty” i rzeczywiście wydawało się, że śpiewa to specjalnie dla nich.

Megan uśmiechnęła się pod nosem, widząc siostrę przechodzącą przez bramkę metra. Zmieszana z tłumem, wyglądała wspaniale, niczym kobieta bez jednej troski w ciżbie znużonych pasażerów. Mężczyźni w każdym wieku obracali się, żeby jej się przyjrzeć — wodząc wzrokiem za jej smukłymi nogami, ciałem

mieszczącym się bez trudu w rozmiarze 36 i okrągłą dziecinną buzią, która sprawiała, że nieznanymi brali ją często za najmłodszą z sióstr.

Patrząc na Jessicę, Megan czuła się zaniedbana i gruba. Na tym polegał kłopot z krągłościami. Trzeba ich było pilnować, w przeciwnym razie wymykały się spod kontroli. Megan zdała sobie nagle sprawę, że rano przeczesala tylko dłonią włosy i że musi przestać trzymać w biurku batoniki Marsa.

Uściskały się przy barierce.

— Spójrz na nas — powiedziała Megan, biorąc siostrę pod rękę. — Grace Kelly i tania dziwka.

Jessica zmierzyła ją wzrokiem.

— Wygląda pani na zmęczoną, doktor Jewell. Czy to nie brzmi wspaniale? Doktor Jewell. Doktor Jewell.

— Byłam bardzo zajęta. Coś mi się wydaje, że każda kobieta z East Endu chce, żebym zajrzała jej do cipki.

— Och, znam to uczucie. W dalszym ciągu masz ochotę na lunch? Możemy się wybrać innym razem.

— Mam ochotę, Jess.

— Dają wam przecież czterogodzinną przerwę na lunch — zauważyła Jessica.

W jej szeroko otwartych oczach malowała się troska. Była w niej jakaś niewinność, której brakowało obu pozostałym siostrom — zupełnie jakby życie oszczędziło jej większości rozczarowań. Środkowe dziecko, amortyzowane z obu stron przez starszą i młodszą siostrę.

Megan tylko się uśmiechnęła. To prawda, że jej poranny dyżur w przychodni kończył się o dwunastej, a popołudniowy zaczynał dopiero o czwartej. Ale rano przyjmowała pacjentów na ogół o godzinę dłużej — nie potrafiła po prostu zakończyć konsultacji w wymaganym czasie — a przed popołudniowym dyżurem powinna jeszcze załatwić kilka wizyt domowych.

— Zamówiłam dla nas stolik u J. Sheekeya — oznajmiła Jessica. — Masz ochotę na rybę?

Megan zjadłaby chętnie rybę i wypła kilka kieliszków czegoś białego, lecz naprawdę nie miała czasu na wykwinny lunch na West Endzie. W gruncie rzeczy miała go akurat tyle, żeby pokrzepić się kanapką w najbliższym Prêt à Manger, ale nie chciała odwoływać lunchu z siostrą.

— Ta przerwa nie jest tylko na lunch, Jess — powiedziała łagodnie. — Przed popołudniowym dyżurem muszę jeszcze załatwić kilka wizyt domowych.

— Masz na myśli wizyty u chorych?

— Tak, u chorych. Muszę dziś odwiedzić pewną kobietę. To znaczy, jej małą córeczkę.

— Odwiedzacie chorych w ich domach? To wspaniała rzecz, Megan. Myślałam, że robią to tylko na Harley Street.

Megan wyjaśniła, że chorym, którzy leczą się na Harley Street, nie jest w gruncie rzeczy potrzebny doktor, który przychodziłby do nich do domu. Ci ludzie mają samochody, taksówki, małżonków, którzy mogliby ich zawieźć, czasami nawet własnych szoferów. Jej pacjentki z Hackney były często chore na coś, co nazywa się brakiem środków. Brak samochodów, brak pieniędzy na taksówki. Wiele z nich gnieździło się na najwyższych piętrach wielkich bloków z bandą rozwrzeszczanych dzieciaków i siedząc w poczekalni, wyobrażały sobie najgorsze. W związku z czym wizyty domowe były o wiele bardziej popularne w dolnym segmencie rynku.

Nie powiedziała Jessice, że starsi lekarze z przychodni nienawidzili wizyt domowych i spychali większość na nią. Choć miała cztery lata mniej od Jessiki, zawsze uważała, że musi ukrywać przed nią prawdę o okrutnym świecie.

— Więc może gdzieś bliżej — zaproponowała Jessica, nie chcąc, by w jej głosie zabrzmiało rozczarowanie.

— Gdzieś bliżej mi pasuje.

Zająły w końcu ostatni stolik w Patisserie Valerie i zamówiwszy dania, uśmiechnęły się do siebie. Z powodu nowej pracy Megan przez jakiś czas się nie widywały. Obie uświadomiły sobie, że kwestia, gdzie zjedzą lunch, nie ma właściwie znaczenia.

- Co słyhać u Paula? Jak idą interesy?
- Dobrze. Obroty wzrosły o osiemdziesiąt procent w stosunku do zeszłego roku. A może o osiem procent? — Jessica przygryzła dolną wargę, wpatrując się w zadumie w malowidło na ścianie Pat Val. — Nie pamiętam. Ale sprowadzają dużo nowych wozów z Włoch. Maserati, Ferrari, Lamborghini, tego rodzaju marki. Ludzie stąd zamawiają je, a potem Paulo i Mike jadą i przywożą auta. Jak się miewa Will?
- Will zniknął z horyzontu.
- Och! — westchnęła Jessica. — Lubiałam Willa. Był naprawdę przystojny. Jak na tak niskiego faceta.
- Nie był wcale taki niski!
- Trochę niski. Domyślam się, że trudno jest utrzymać związek, kiedy obie strony harują przez cały dzień.
- Will w życiu nie przepracował całego dnia. Tak naprawdę trudno jest utrzymać związek, kiedy jeden z partnerów łajdaczy się na lewo i prawo.
- Och! Przykro mi.
- Nie musi ci być przykro. Najlepiej dowiedzieć się o takich rzeczach wcześniej. No wiesz... zanim będzie za późno. Zanim zrobi się coś głupiego.
- Ale przecież go kochałaś?
- Cieszyłam się chyba, że ktoś się mną zainteresował — przyznała Megan. — Tym bardziej że taki był z niego przystojny niski facet. — Obie się roześmiały. — Nie przejmuj się. Naprawdę. Nigdy nie byliśmy dla siebie stworzeni. Nie tak jak ty i Paulo.
- Mimo to... martwi mnie, kiedy dwoje ludzi zrywa ze sobą. Dlaczego wszystko nie może zostać po staremu?
- Megan uśmiechnęła się do swojej siostry. Jessica — ostatnia z wielkich romantyczek. Nic się nie zmieniła od czasu, kiedy dorastały. Zawsze miała na ścianie Andrew Ridgeleya\* i jakiegoś nieosiągalnego chłopca, w którym się aktualnie durzyła.

\* Muzyk rockowy z zespołu Wham!

— Dobrze wyglądasz, Jess.

— A ty sprawiasz wrażenie skonanej. Nikt by się nie domyślił, że to ja jestem chora.

— Nie jesteś chora!

— Czekają mnie te cholerne badania. Kiedy wiercą ci, na liłość boską, dziurę w pępku.

— Laparoscopia. Kto to będzie robił?

Jessica wymieniła nazwisko położnika i adres na Wimpole Street.

— Jest dobry — stwierdziła Megan. — Nic ci nie będzie. Sperma Paula jest w porządku?

Biznesmen przy sąsiednim stoliku spojrzął w ich stronę. Megan wpatrywała się w niego tak długo, aż odwrócił wzrok.

— Jest jakiś problem z jej mobilnością.

— Ruchomością. Ale to jeszcze nie koniec świata. Chodzi o to, że część z nich to leniwe małe sukinsyny. Zdziwiłabyś się, co potrafią dziś zrobić z leniwą spermą.

Biznesmen ponownie spiorunował je wzrokiem, po czym potrząsnął głową i dał znak, że prosi o rachunek.

— Nie przejmuję się tak bardzo Paulem. — Jessica wodziła machinalnie palcami po rozsypanym na stoliku cukrze. — Przejmuję się sobą i tym, co znajdują, kiedy mnie rozkroją.

Megan miała własne koncepcje dotyczące tego, co mogą znaleźć, kiedy zajrzą do środka jej siostry. Uśmiechnęła się jednak i nic nie mówiąc, wzięła jej oklejone cukrem dłonie w swoje własne.

— Mam wrażenie, że coś jest ze mną nie tak, Meg.

— Ślicznie wyglądasz. Wszystko jest z tobą w porządku. — Megan potrząsnęła głową. Ktoś, kto wyglądał jak jej siostra, nie powinien nigdy pograżać się w smutku. — Popatrz na siebie, Jess.

— Czuję się wybrakowana. — Jessica wyzwoiliła się łagodnie z uścisku Megan i przyjrzała małym kryształkom cukru, które przylgnęły do koniuszków jej palców. — Jakbym nie funkcjonowała tak, jak powinnam funkcjonować. — Włożyła ostrożnie palce do ust i skrzywiła się, jakby nie były wcale słodkie.

— Ty i Paulo będziecie mieli pięknego dzidziusia. A ty będziesz najlepszą matką na świecie — powiedziała Megan.

Pojawiła się kelnerka ze spaghetti dla Jessiki i sałatką dla Megan i wtedy właśnie nadeszła fala mdłości. Megan odsunęła do tyłu krzesło, przycisnęła się przez zatłoczoną kafejkę, o mało nie zbijając z nóg autentycznie francuskiego kelnera, po czym wpadła do toalety i od razu zwymiotowała.

Przy stoliku Jessica nie tknęła swojego lunchu.

— Co się z tobą dzieje, Megan?

— Nic.

Jessica wpatrywała się w nią z tym samym ponurym uporem, który Megan zapamiętała z ich dzieciństwa.

— Co ci jest?

— Po prostu jestem bardzo zmęczona, to wszystko. Chyba za ciężko haruję. To nic takiego. Jedz swoje spaghetti.

Megan nie mogła powiedzieć siostrze o ciąży. Musiała zachować ją przed nią w tajemnicy, bardziej niż cokolwiek innego kiedykolwiek wcześniej.

Jak mogła powiedzieć o tym Jessice? Wiadomość o dziecku mogła jej złamać serce.

Ponieważ Megan raczej nie zamierzała go urodzić.

— Mówię pani... jestem taka skonana, że prawie nie mam siły zajarać, pani doktor.

Megan szybko zrozumiała, dlaczego inni lekarze nie przepadali za wizytami domowymi.

Naprawdę chorzy i przykuci do łóżek rzadko kiedy domagali się, żeby lekarz pofatygował się do nich do domu. Emeryt cierpiący na artretyzm, samotna matka z niepełnosprawnym dzieckiem, kobieta w średnim wieku, która dowiedziała się właśnie, że w jej ciele pojawiły się komórki rakowe — tym ludziom udawało się jakoś dotrzeć do zatłoczonej poczekalni w przychodni.

Do domu wzywali lekarza ci hałaśliwi, ci, którzy rozprawiali



dużo o swoich prawach i potrafili jednocześnie być egocentryczni i użalać się nad sobą. Jak pani Marley.

Pani Marley była zwalistą kobietą, mieszkającą w małym komunalnym mieszkaniu w samym środku osiedla Sunny View, cieszącego się opinią jednego z najgorszych w Londynie. Kto nie mieszkał w tym betonowym labiryncie, nie zapuszczał się tam, chyba że kupował narkotyki, sprzedawał narkotyki bądź też robił przepelniony społeczną troską program dokumentalny. Z wyjątkiem letnich wakacji, kiedy dochodziło na osiedlu do regularnych rozruchów, nawet policja omijała Sunny View szerokim łukiem. Megan nie mogła jednak pójść w ślady policjantów.

Zdażyła już niejedno zobaczyć. W trakcie stażu przepracowała sześć miesięcy w szpitalu Royal Free, a potem sześć miesięcy na oddziale urazowym w Homerton.

Royal Free to była czysta rozrywka — jej konsultant, pediatra, był miłym i wielkodusznym lekarzem, a dzieciaki z Highgate, Hampstead i Belsize Park w większości były sprawującymi się bez zarzutu malcami, które chciały, żeby Megan czytała im *Harry'ego Pottera*. Za to oddział urazowy Homerton to zupełnie inny świat.

Po pierwszym dyżurze Megan miała wrażenie, że zobaczyła więcej, aniżeli kiedykolwiek chciała zobaczyć — pokłutych nożami nastolatków, pobite żony, pogruchotane ciała, wyciągnięte z wraków samochodów. Rzeźników z hakami w głowach, pijaków, którzy oberwali kuflem w głowę tuż przed zamknięciem pubu, narkotykowych dilerów postrzelonych w twarz przez konkurencję.

Do jej obowiązków należała wstępna ocena uszczerbku na zdrowiu, gdy pacjenci wczolgiwali się, kuśtykali bądź też byli wnoszeni do izby przyjęć. Widok tych wszystkich ran i nieszczęścia oraz konieczność błyskawicznego ustalenia, co trzeba będzie zrobić — to było bardziej przerażające niż cokolwiek, czego doznała wcześniej. Mimo to przejście przez osiedle Sunny View w drodze do pani Marley oraz jej chorego dziecka było

z jakiegoś powodu gorsze. Jak to możliwe? To przez hormony, pomyślała Megan. Moje hormony dostają kręćka.

Na schodach prowadzących do mieszkania pani Marley stała grupka nastolatków. Z niesamowicie białą skórą i kapturami na głowach wyglądali, jakby przeniesiono ich żywcem z jakiegoś tolkienowskiego koszmaru. Kiedy Megan mijała ich, nie odezwali się ani słowem, zarechotali tylko i potoczyli za nią drwiącym, pogardliwym wzrokiem. Cuchnęli fast foodem i trawką — spod kapturów zalaływało słodką zgniłą wonią.

— Wydajesz mi się trochę za młoda, kochana — stwierdziła podejrzliwie pani Marley. — Na pewno jesteś prawdziwą doktorką?

Megan była pod wrażeniem. Ludzie nie kwestionowali na ogół jej kompetencji.

— Jestem stażystką.

— To znaczy?

— Muszę przepracować rok pod nadzorem, zanim otrzymam prawo samodzielnego wykonywania zawodu.

Pani Marley zmrużyła oczy.

— Następnym razem chcę mieć prawdziwego łapiducha. Znam swoje prawa.

— Na czym polega problem? — zapytała Megan.

Problemem była córka kobiety. Niesamowicie słodka trzylatka — jakim cudem tacy odrażający rodzice wydają na świat takie cudowne dzieci? — która leżała apatycznie na sofie, oglądając na DVD kreskówkę *Mister Man*. Panu Happy'emu ścierałi właśnie uśmiech z twarzy inni mieszkańcy Mister Town. Megan знаła to uczucie.

Zbadała dziecko. Miało wysoką temperaturę, ale poza tym wszystko było chyba w porządku. W uszach małej tkwiły niewielkie połyskujące kolczyki. W Sunny View nie mogli się doczekać, żeby ich dzieci dorosły, chociaż, biorąc pod uwagę swobodny styl ubierania się, rekreacyjne narkotyki oraz głośną muzykę, dorośli mieszkańcy osiedla znajdowali się w stanie permanentnej adolescenti.

Jak masz na imię? — zapytała Megan, odgarniając włosy dziecka ze spoconego czoła.

— Daisy, proszę pani.

— Masz lekką gorączkę, Daisy.

— Mam kotka.

— To miło.

— Mam szczeniaka.

— Wspaniale!

— Mam dinozaura.

— Chcę, żebyś przez kilka dni odpoczęła. Zrobisz to dla mnie, Daisy?

— Tak, proszę pani.

— Czy mała normalnie się wypróżnia, pani Marley?

— Sra jak dorożkarska szkapa — odparła jej matka, przesuwając różowym językiem po skraju papierosowej bibułki. Megan wyprostowała się i zmierzyła ją ostrym wzrokiem. Kiedy się odezwała, ze zdumieniem odkryła, że jej głos drży z emocji.

— Nie będzie pani chyba paliła trawki w obecności dziecka?

Pani Marley wzruszyła ramionami.

— To wolny kraj, nie?

— Ludzie często myślą się w tej kwestii. Jeśli zobaczę, że zażywa pani narkotyki w obecności małej, przekona się pani, jak bardzo jest wolny.

— Straszy mnie pani opieką społeczną?

— Mówię, żeby pani tego nie robiła.

Wrodzona agresywność kobiety nagle gdzieś się ulotniła. Odłożyła bibułkę i zaczęła krzątać się wokół Daisy, jakby startowała w konkursie na matkę roku.

— Jesteś głodna, słoneczko? Chcesz, żeby mamusia coś ci rozmroziła?

Megan wyszła z ich mieszkania. Co za kobieta, pomyślała. Gdyby Daisy była moją córką, dawałabym jej dobre, pożywne posiłki i czytałabym *Harry 'ego Pottera*, nigdy nie przedziurawiałabym jej małych uszek, nigdy nie pozwoliłabym nosić taniej biżuterii...

W oczach stanęły jej nagle łzy. Daisy nie była jej córką. Była tylko pacjentką, jedną z czterech, które musiała odwiedzić na osiedlu Sunny View przed popołudniowym dyżurem w przychodni.

Przecisnęła się między młodzieńcami na dole. Tym razem się nie śmiali, choć ich szeregi wzmocniła pewna liczba zakapturzonych mniejszych stworzeń, które wyglądały niczym dośiadające górskich rowerów elfy.

Co za ludzie, pomyślała Megan. Jak oni się rozmnażają. Jak króliki.

Na szczęście była tam, żeby ich ocalić.

Szefowa Cat była kobietą, która osiągnęła w życiu wszystko.

Brigitte Wolfe miała firmę, którą zbudowała z niczego, mężczyzną, którego poznała w jednym z najbardziej ekskluzywnych kurortów w Kenii, a przede wszystkim była niezależna.

Odchodząc z domu, Cat marzyła o czystej, nieskrępowanej niczym wolności. Brigitte bardziej niż którakolwiek ze znanych jej osób była bliska spełnienia tego ideału. Nie miała męża, któremu musiałaby się spowiadać, nie miała dzieci, które nie pozwoliłyby jej wskoczyć do samolotu i polecieć tam, gdzie miała ochotę polecieć. Brigitte nie należała do nikogo. W przeciwieństwie do większości ludzi na tej planecie nie tkwiła w pułapce przeszłości.

Dlatego Cat nieco się zdziwiła, wchodząc w sobotni wieczór do gabinetu Brigitte w Mamma-san i widząc, jak jej szefowa wrzuca do niszcarki zdjęcia, które wyjmowała z pudełka na buty.

Brigitte dała jej podniesioną dłonią znak, żeby się nie odzywała. Cat stanęła w progu i patrzyła, jak szefowa kasuje całe pudło wspomnień.

Brigitte wyjmowała fotografię z pudełka, przyglądała jej się z lodowatym uśmiechem, po czym wrzucała do warczącej niszcarki. Wysypujące się z kosza kolorowe pasemka świadczyły,

że zajmowała się tą czynnością już od pewnego czasu. Cat zauważyła, że wszystkie fotografie przedstawiają Brigitte i jej chłopaka. Jeśli można oczywiście nazwać chłopakiem czterdziestopięcioletniego dewelopera o nazwisku Digby.

W przeszłości przewinęło się wielu mężczyzn, zawsze trochę starszych i trochę bogatszych od Brigitte, która była z każdym przez dwa albo trzy lata, po czym wymieniała go na nowego. „Z facetami jest zupełnie jak z samochodami”, tłumaczyła. „Sprawiasz sobie nowego, zanim poprzedni odpadnie na przeglądzie technicznym”.

Digby był z nią dłużej niż inni. Brigitte zawsze powtarzała, że nie zerwie z nim, dopóki nie znajdzie wibratora, który będzie z nią chodził do galerii. Obecnie Digby był najwyraźniej skreślony, nie wyglądało jednak na to, by ich związek skończył się w sposób, w jaki kończyły się jej poprzednie znajomości.

Brigitte nauczyła Cat wszystkiego, co wiedziała o prowadzeniu restauracji, a także wielu rzeczy, które wiedziała o życiu.

Dlatego kiedy jej szefowa karmiła niszczarkę swoim związkiem, Cat stanęła cierpliwie w progu, mając nadzieję, że się czegoś nauczy.

Zawdzięczała tej kobiecie swoją karierę.

Kiedy poznała Brigitte Wolfe, miała dwadzieścia pięć lat i pisała za psie pieniądze recenzje kulinarne dla modnego, niskonakładowego informatora kulturalnego. Pisz o tym, na czym się znasz, powiedzieli jej, a Cat, która przyrzędniała w swoim czasie siostronom tysiące posiłków, najlepiej znała się na jedzeniu.

W tym czasie znała się również na restauracjach, ponieważ dobrze wychowani chłopcy z publicznych szkół, których poznała na uniwersytecie, mieli zwyczaj karmić ją i pić winem, zanim próbowali zaciągnąć do łóżka. Ten świat różnił się od tego, który miała okazję poznać wcześniej — restauracje, do których zaglądała czasami z ojcem i jego kolegami aktorami, przywiązywały większą wagę do picia niż do jedzenia — ale natychmiast go polubiła. Jedzenie było na ogół lepsze od seksu.

Najbardziej jej się to, że nie musiała przyrządzać go sama.

Brigitte Wolfe zbliżała się wówczas do trzydziestki i była właścicielką, główną księgową oraz szefem kuchni Mamma-san, małego baru przy Brewer Street, gdzie młodzi ludzie stali w kolejce na wąskim chodniku, żeby dostać miskę zupy soba i kluski udon.

W ciągu następnych dziesięciu lat w Londynie pojawiły się liczne azjatyckie restauracje, które wcale nie należały do Azjatów ani nie były przez nich prowadzone — modne, jasne miejsca, gdzie serwowano tajlandzkie curry, wietnamskie kluseczki, chińskie dim sum i japońskie sashimi, tak jakby ten rozległy kontynent był w rzeczywistości jednym krajem z kuchnią w sam raz dla młodych ludzi dbających o dietę i wygląd. Mamma-san była w awangardzie.

Cat stanęła w kolejce na Brewer Street i napisała entuzjastyczną recenzję dla swojego niskonakładowego informatora. Kiedy pojawiła się ponownie, tym razem prywatnie, Brigitte zaproponowała jej pracę kierowniczką.

Ponieważ jej gazetka niezbyt dbała o to, by godziwie opłacać swoich współpracowników, Cat przyjęła propozycję. Niedługo potem informator przestał się ukazywać. Mamma-san przeniosła się z Soho do bogatszego segmentu rynku, lecz Cat miała wrażenie, że tam również klientela składa się z tych samych dzieciaków w obszarpanych portkach, którzy przed pójściem na tańce do klubu Wag stali w kolejce na Brewer Street, tyle że o dziesięć lat starszych, w wyższym punkcie swojej kariery, no i znacznie zamożniejszych. Brigitte lubiła swoją restaurację co najmniej tak samo jak oni.

— Pewien wielki człowiek powiedział kiedyś: „Zorganizuj swoje życie tak, żebyś nie potrafił odróżnić pracy od przyjemności”.

— Szekspir? — zapytała Cat.

— Warren Beatty — odparła Brigitte.

To była miłość od pierwszego wejrzenia. Cat nie spotkała

wcześniej nikogo, kto cytowałby Warrena Beatty, chociaż jej matka utrzymywała, że pomacał ją kiedyś po tyłku za kulisami londyńskiego Palladium. Nikt ze znanych Cat osób nie miał w sobie takiego bigła jak Brigitte. Po domowym kieracie dzieciństwa zobaczyła, jak powinno się przeżyć życie.

Kiedy miasto w dużej części jeszcze spało, obie kobiety objeżdżały giełdy spożywcze — Smithfield, żeby zaopatrzyć się w mięso, Billingsgate, po ryby, i New Spitalfields, po warzywa. Zaczerwieniem mężczyźni w poplamionych białych fartuchach krzyczeli na siebie w rzedniejącym przed świtem mroku. Cat nauczyła się, jak zatrudniać dobrych kucharzy i jak zwalniać złych, kiedy przychodzili do pracy pijani lub naćpani albo dobierali się do kelnerek.

Nauczyła się rozmawiać z handlarzem win, z facetem od VAT-u i inspektorem sanitarnym i nie bać się żadnego z nich. Choć Brigitte była tylko cztery lata starsza od Cat, stała się dla niej kimś w rodzaju matki — bardziej niż ta prawdziwa.

Brigitte była jedną z tych Europejek, które w połowie dwudziestki odkrywają, jaki pasuje im styl życia, i zachowują go na zawsze. Nigdy nie wyszła za mąż. Pracowała intensywniej niż ktokolwiek, kogo znała Cat, i tak samo intensywnie odpoczywała — dwa razy w roku wyjeżdżała, żeby uprawiać trekking u podnóża Himalajów, nurkować na Malediwach albo przejechać w poprzek Australię.

Czasami zabierała ze sobą Digby'ego, czasami zostawiała go w domu — traktując bardziej jak ulubioną walizkę niż mężczyznę. Brigitte lubiła swoje życie i przez długie lata była dla Cat Gwiazdą Polarną, wskazującą jej drogę i uczącą, na czym to polega. To nieskrepowane życie.

Ale teraz wybrała kolejną fotografię przedstawiającą ją i Digby'ego na olśniewająco białej plaży. Malediwy? Seszele? Przyjrzała się jej po raz ostatni i wsunęła do niszcarki.

- Co on zrobił? — zapytała Cat.
- Chce być z kimś, kto może wnieść w związek coś nowego.
- Na przykład co?

- Na przykład parę dwudziestoczteroletnich cycków.
- Cat poczuła, że brakuje jej słów. I ogarniają gniew. Mężczyźni nie traktowali Brigitte w ten sposób. To ona ich rzuciła.
- Jakaś obficie wyposażona żdzira z jego biura. — Brigitte ze spokojem wrzuciła do niszcarki polaroid przedstawiający ją i Digby'ego na grzbiecie śliniących się wielbłądów, z majaczącymi w tle piramidami. Cat spostrzegła z podziwem, że jej szefowa ma suche oczy. Nawet teraz panowała nad sytuacją. Z dołu dobiegały brzęk talerzy i wrzawa sobotniej nocy w Mamma-san.
- Chciałam ci tylko powiedzieć, że mamy przy wejściu dwóch piłkarzy. Nie zarezerwowali stolika.
- Są sami?
- Z dwiema kobietami. Które wyglądają jak striptizerki. Chociaż mogą być oczywiście ich żonami. Co mam im powiedzieć?
- Żeby następnym razem zadzwonili.
- Możemy mieć dobrą prasę. Na dworze czeka paru fotoreporterów.
- Będziemy mieć jeszcze lepszą prasę, jeśli odprawimy ich z kwitkiem.
- W porządku.
- Cat odwróciła się, żeby odejść. Głos Brigitte dobiegł ją, kiedy była przy samych drzwiach.
- Wiesz, ile lat kończę w tym roku?
- Cat potrząsnęła głową.
- Czterdzieści. Mam czterdzieści lat. Jak mogę konkurować z wielkimi jędrnymi dwudziestoletnimi cyckami?
- Dwudziestoczteroletnimi. I nie musisz z nimi konkurować. Jesteś silną, wolną kobietą, która widziała niejedno, żyje pełną piersią i w ogóle wie, po co żyje. Nie musisz się podczepiać pod jakiegoś faceta, żeby udowodnić, że istniejesz. To ona musi konkurować z tobą.
- Brigitte zaczęła się śmiać.
- Och, moja droga Cat...



— To nie ona jest kobietą, o którą warto się bić — dodała Cat, wyraźnie się rozgrzewając. — Ty nią jesteś!

Brigitte spojrzała ze smutkiem na fotografię przedstawiającą ją i Digby'ego na jakimś tłoczonym przyjęciu — to był chyba sylwester? — i wrzuciła ją do niszczarki.

— Kłopot polega na tym, Cat, że kiedy kobieta się starzeje, zmniejsza się pula jej potencjalnych partnerów. W przypadku mężczyzn ta pula się zwiększa. — Brigitte wrzuciła do niszczarki zdjęcie zrobione na jakimś moście w Paryżu. — I w jakiej to stawia sytuacji kobiety takie jak my?

„Kobiety takie jak my?”, pomyślała Cat, słysząc dobiegający z dołu gwar sobotniej nocy.

## 4.

To była jej ulubiona chwila w tygodniu.

Kiedy ulice miasta zaczynały się wyludniać i w całym Londynie gasły światła, Cat wsuwała swoje długie ciało do jego samochodu i zamykała oczy, gdy tylko jej głowa dotknęła zagłówka.

— Boże — mówiła. — Jestem skonana.

— Zaraz będziemy w domu — odpowiadał.

Zawsze odbierał ją z restauracji w sobotnią noc. Zanim Mamma-san zamknęła swe podwoje, ostatni pijany klient został wciśnięty do gabloty, a cały personel kuchenny i kelnerki nakarmione, napojone i zapakowane do flotylli oczekujących taksówek, był już zawsze wczesny niedzielny ranek.

Te sobotnie noce i niedzielne poranki należały do ich zaczerpniętych chwil. Wypijali drinka w jego mieszkaniu, razem brali prysznic, leniwie się kochali, a potem zasypiali w swoich ramionach.

Niedziela oznaczała śniadaniolunch przy Fulham Road, w małej kafejce, której nie znał nikt poza nimi, gdzie w otoczeniu gazet i świeżych bajgli mogli śledzić, co dzieje się na świecie, i udawać, że przenieśli się do Chelsea, w swingujące lata sześćdziesiąte. W tych rozkosznych godzinach, kiedy nie mieli nic do roboty, ich marzenia stykały się ze sobą. Cat odnajdywała wolność, za którą tęskniła od dzieciństwa, a Rory odnajdywał

spokój, którego szukał od czasu, gdy rozpadło się jego małżeństwo.

Ale nie tej nocy. Gdy weszli do jego mieszkania, powitały ich światło i muzyka, których nie powinno tam być. Jasne światło i głośna muzyka.

— Jake musiał otworzyć sobie drzwi — powiedział Rory.

Jake był jego piętnastoletnim synem. Mieszkał na ogół u byłej żony Rory'ego, Ali, i prznosił się do Rory'ego tylko w wakacje. Wyjątkami od tej reguły były noce, kiedy po historycznych awanturach z matką Jake szukał azylu u ojca. Rory zmarszczył brwi. Czy tak było i tym razem? Odwrócił się do Cat, uśmiechając się przepraszająco.

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko — powiedział.

— Nie ma sprawy — odparła.

Tak bardzo chciała побыć tylko z Rorym i odgrodzić się od świata. Ale cóż mogła powiedzieć? Jej mężczyzna miał dziecko i jeśli chciała z nim być, musiała się z tym pogodzić. Poza tym lubiła Jake'a. Kiedy poznała go przed trzema laty, był nieśmiałym o słodkim usposobieniu dwunastolatkiem, który zareagował na rozwód rodziców tak, jakby niebo zawaliło mu się na głowę. Cat natychmiast go pokochała, widząc w tym chłopcu odbicie własnych ran z dzieciństwa. Jake lgnął do Rory'ego, był skory do łez i trzeba było mieć serce z kamienia, żeby go nie polubić. Cat musiała jednak przyznać, że istnieje spora różnica między słodkim dwunastoletnim chłopcem i niezgrabnym nastolatkiem, jakim stał się obecnie.

— Co to za muzyka? — zapytał Rory, uśmiechając się szeroko i wchodząc wraz z Cat do pokoju. — Nirvana?

Jake — chudy, przyszczaty, z kapturem na głowie i szalejącą w nim burzą hormonów — rozwalił się na sofie ze zwisającym z ust skrzętem.

— Nirvana? — powtórzył drwiącym głosem. — Nirvana?

Przy jego boku siedział inny młodzian w wełnianej czapeczce głowie. Dlaczego oni siedzą w domu w wierzchnich okryciach, pomyślała Cat. Co jest w tym takiego odlotowego?

— Nirvana — zachichotał młodzian. — Nirvana!

— To White Stripes — powiedziała Cat. — Jakiś kawałek z *Elephant*, prawda? Chyba *Ball and Biscuit*. Wstydz się, Rory. Cześć, Jake.

— Brzmi jak Nirvana — mruknął zakłopotany Rory.  
Jake przewrócił oczyma.

— To nie jest, kurwa, nawet trochę podobne do jebanej Nirvany!

— Bądź łaskaw powściągnąć trochę język. I otwórz okno, jeśli chcesz palić to świństwo.

— Mamie to nie przeszkadza.

— Mama tutaj nie mieszka. Nie przywitasz się z Cat?  
Jake mruknął coś pod nosem.

— Cześć, Jake, co słyhać? — powiedziała Cat zyczliwym tonem, który zarezerwowała chyba specjalnie dla niego.

Znajomy miał na imię Jude. Jude zamierzał przenocować u Jake'a, ale niespodziewanie doszło do jakiejś dyskusji z matką Jake'a. Szczegóły ginęły we mgle. Z tego, co udało się zrozumieć Cat, chodziło o jakąś trzydniową pizzę, nieuprane skarpetki oraz traktowanie domu jak hotelu. W związku z czym Jake i jego kumpel uciekli do taty.

Cat było żal Jake'a. Wiedziała, jak to jest, kiedy matka i ojciec żyją każde innym życiem, każde w innym domu. Wiedziała, jak bardzo zagubiony może się czuć nastolatek. Starła się pamiętać, że Jake jest wciąż tym samym wrażliwym dzieckiem, jakim był przed kilku laty.

Ale sobotnia noc była zepsuta i trudno było jej się oprzeć przekonaniu, że rodzice marnują ci pierwszą połowę życia, a cudze dzieci drugą.

Jej matka nieźle by się uśmieiała.

Tej nocy Rory i Cat nie pokochali się leniwie w sypialni, a wino wypite w kuchni wydawało się zwietrzałe niczym rytuał, który zdążył się zestarzeć.

Kiedy wychylali do dna kieliszki, w salonie zespół White Stripes ustąpił miejsca ryczącemu z telewizora hip-hopowi. Cat starała się, jak mogła, nie okazywać rozczarowania, ponieważ Rory był zdecydowanie najmilszym i najłagodniejszym mężczyzną, jakiego spotkała, i przypuszczała, że go kocha.

Była zmęczona do szpiku kości. Wsunąwszy się pod kołdrę Rory'ego, przytulili się do siebie na łyżeczkę i wkrótce zapadła w niespokojny sen mimo nieziemskiego hałasu z telewizora.

Wczesnym rankiem obudziło ją straszne pragnienie i ubrana tylko w majtki i wyciągnięty z brudów biały kaftan karate poczłapała przez pograżone teraz w ciszy mieszkanie do kuchni.

Zapaliwszy światło, głośno westchnęła. Jake i Jude siedzieli w bokserkach i pałaszowali grzanki.

— Och, przepraszam — powiedziała, biorąc z lodówki butelkę eviana i rezygnując ze szklanki, ponieważ podchodząc do szafki, musiałaby zbliżyć się do tych kanciastych białych kończyn dwóch wyrostków.

Zamykając za sobą drzwi sypialni, usłyszała głos kumpla Jake'a, Jude'a, i ich cmentarny śmiech.

— Jak na swój wiek całkiem niezła.

Michael zbliżył uśmiechniętą twarz do brudnej buzi swojej córki.

— Bobasek się upaciał — zauważył. — Bobasek jest pucia-pacia. I ma dołeczek w buzi. Śliczna Chloe ma dołeczek?

Pucia-pacia, pucia-pacia? Chloe jest pucia-pacia, pucia-pacia?

Chloe przyglądała się beznamiętnym wzrokiem ojcu.

A potem odbiło jej się i beknięcie przeszło w niewielką pecynę wymiocin, mleczny strumień przeżutych na papkę warzyw, który trysnął z jej ust i pociękł po ozdobionym dołeczkiem podbródku.

Kto by się nie porzygał, słuchając tego bezsensownego gaworzenia, pomyślała Jessica.

— Oooch, śliczna pucia-pacia ma chore brzusio-pusio? Pum, pum? Ma chore brzusio-pusio?

To nie może być dla niej dobre, pomyślała Jessica. Przemawianie do dziecka, jakby miało się właśnie wykonaną czołową lobotomie — to nie może być dobre dla jej rozwoju.

Choć z drugiej strony, zastanawiała się Jessica, co ja o tym wiem?

Tyle co nic.

Naoko zaczęła ścierać papkę z buzi i ubranka córki, a Michael pobiegł po swój kosztujący tysiąc funtów aparat, który nabył, by zachować dla przyszłych pokoleń wymioty Chloe.

Naoko podniosła córkę z wysokiego krzeselka i delikatnie postawiła na podłodze. Chloe chodziła. To znaczy, może nie do końca chodziła. Bardziej przypominało to zataczanie się, pomyślała Jessica, patrząc, jak dziewczynka stąpa z ponurą determinacją pijaka, pragnącego udowodnić, że jest trzeźwy, a rodzice pilnują jej z obu stron niczym uprzejmi zatroskani policjanci.

— Będzie urocza, kiedy wyrosnie jej trochę włosów i zęby — powiedziała.

Michael, Naoko i Paulo spojrzeli na nią, jakby rzuciła jakieś niewybaczalne bluźnierstwo.

— Jeszcze bardziej urocza — dodała szybko.

— Ona ma włosy i zęby — stwierdziła z uśmiechem Naoko, gładząc jasnobrażowe kłaczki na głowie córki. — Prawda, Chloe-chan?

Chloe uśmiechnęła się, odsłaniając cztery małe ząbki, dwa na górze i dwa na dole, w samym środku wilgotnej różowej buzi. A potem klapnęła na osłoniętą pieluszką pupę i zszokowana otworzyła szerzej oczy. Czworo dorosłych skoczyło jej na pomoc.

— Chodź do stryjka Paula.

Ale Chloe nie chciała iść do stryjka Paula. Przywarła do matki i ryknęła głośno, wpatrując się z oburzeniem w Paula, jakby wdarł się właśnie przez okno z piłą łańcuchową w rękę.

Chloe zmieniała się. Przed kilkoma miesiącami, kiedy była

jeszcze bezspornie niemowlakiem, nie dbała o to, kto bierze ją na ręce i przytula. Obecnie jednak, na miesiąc przed swoimi pierwszymi urodzinami, zostawiwszy za sobą bezpowrotnie okres niemowlęstwa, Ignęła do rodziców i traktowała podejrzliwie innych. Nie tak dawno zadawała ją leżenie na plecach i bycie podziwianą. Teraz stawiała się małą osobką, skąpiącą uczuć i obawiającą się świata.

Paulo był zdruzgotany. Wyobrażał sobie, że dorastając, Chloe będzie kochała go tak, jak on kochał ją. A jednak już teraz się na niego wypinała.

Jessica cieszyła się, że Chloe nie tuli się już do każdego. Kiedy trzymała ją zaraz po urodzeniu, działo się z nią coś dziwnego. To było coś więcej niż tęsknota za własnym dzieckiem. To była straszna świadomość, że urodziła się po to, by dać życie, i że może nigdy nie wypełnić tej powinności.

Dla Jessiki każda wizyta u Michaela, Naoko i Chloe obfitowała w tysiące upokorzeń. Nie mogła znieść współczucia szwagrostwa. Byli przyzwoitymi ludźmi, ale wystarczyło, że sama czuła się wybrakowana, nie musiała znosić tych zatroskanych spojrzeń, tego uzalania się nad jej bezpłodnością. Fakt, że współczucie było autentyczne i że dobrze jej życzyli, tylko pogarszał sytuację.

Potrafiła zrozumieć, że cieszyli się córką — gdyby Chloe była jej dzieckiem, na pewno zawsze brałaby jej stronę. Ale gdzie kończyła się zrozumiała, bezgraniczna radość, a gdzie zaczynało nieznośne, przekraczające wszelkie granice samozadowolenie?

Mimo to musiała grać rolę dobrego gościa, nie mogąc się nadziwić, jak bardzo Chloe urosła od czasu, gdy ją ostatnio widziała (siedem dni temu). Słuchając z żywym zainteresowaniem Michaela, który omawiał postępy, jakie Chloe poczyniła w dziedzinie wypróżnień, i Naoko, która rozwodziła się na temat nawyków żywieniowych swojej córki oraz jej najwyraźniej kapryśnych zmian smaku.

Dajcie mi spokój, myślała Jessica. Chyba wystarczy, że nie

mogę mieć własnego. Czy naprawdę muszę nagradzać stojącą owającą wszystkie cudze dzieci?

Wiedziała, że Naoko to dobra kobieta, a Paulo jest związany z Michaelem tak samo blisko jak ona ze swoimi siostrami. I przyznawała obiektywnie, że Chloe jest uroczym dzieckiem — pogodnym, zdrowym i kochanym. Podobnym nieco do łysego, bezzębnego, niepanującego nad czynnościami fizjologicznymi dziadka.

Jessica naprawdę nie chciała przychodzić tutaj więcej na niedzielny obiad. To było po prostu zbyt trudne.

— Przepraszam — powiedziała z przyklejonym do twarzy uśmiechem, który nosiła niczym ochronną maskę przy cudzych dzieciach.

Uciekła z pokoju, w którym Naoko trzymała zaczerwienioną, płaczącą Chloe, Michael gładził ją po niepokojąco (jeśli się o tym pomyślało) wielkiej głowie, a Paulo stał z boku, niczym pomniejszy dworzanin. Nikt nie zauważył nawet, że wyszła.

Musiała czym prędzej dostać się do łazienki, ale w całym domu zainstalowane były te cholerne dziecinne bramki. Obecnie kiedy Chloe zaczęła chodzić, katastrofa groziła jej na każdym podeście i schodku. Z powodu jedenastomiesięcznego dziecka, które z trudem pokonywało dystans między sofą i stolikiem do kawy (liczne piloty były dla Chloe źródłem nieustającej fascynacji i stale wyciągała po nie swoje lepkie paluszki), wiktoriański segment przekształcił się w więzienie o zaostrzonym rygorze.

Chloe z całą pewnością nie zdołałaby pokonać tych bramek. Były wystarczająco skomplikowane dla dorosłego. Trzeba było znaleźć mały guziczek na górze, wcisnąć go, jednocześnie unosząc bramkę, a następnie przestąpić poprzeczkę na dole, uważając, żeby nie upaść na twarz. Jessica pokonała trzy bramki i zamknęła się w łazience, gdzie potwierdziło się to, o czym już wiedziała. Zaczął jej się okres.

Kolejna klęska. Kolejny miesiąc, kiedy miała ochotę zgłosić reklamację firmie, która ją wyprodukowała. Kolejny miesiąc,



kiedy będzie oglądała rozczarowanie w oczach męża i żadne z nich nie odważy się powiedzieć na głos tego, co czuli w głębi serca — że to małżeństwo może już na zawsze pozostać bezdzietne.

Na domiar złego wraz z okresem nadszedł atak bólu, o którego ustanie modliłby się, zgrzytając zębami, każdy dorosły mężczyzna.

Nie będę płakać, pomyślała Jessica. Nie zobaczą mnie ze łzami w oczach.

Ale musiała się stamtąd wyrwać. Musiała znaleźć miejsce, gdzie mogłaby zderzyć z twarzy ten przyklejony uśmiech, wziąć prysznic i pozwolić, by mąż wziął ją w ramiona. Wybiegając z łazienki, potknęła się o metalową poprzeczkę otwartej dziecięcej bramki i łapiąc kurczowo powietrze, padła na twarz.

Kiedy pojawiła się w salonie, Michael klęczał na podłodze i bawił się ze swoją córką w a kuku! Chloe przestała płakać i piszczała z radości — i jak tu nie mówić o nagłych zmianach nastroju — Naoko zaś przekazywała Paulowi najnowsze wieści z kuchni.

— Próbowałam jej dawać brokuły ze słodkimi ziemniakami, ale to zabawne: Chloe nie chce jeść nic zielonego i... o Boże, Jessica, nic ci się nie stało?

Jessica roześmiała się wesoło, z pulsującym na czole guzem wielkości piłeczki tenisowej, zadrapaniem na kostce i zaczerwienionymi dłońmi, które otarła, lądując na dywanie.

— Och, nic mi nie jest, nic mi nie jest — odparła, odwracając się z uśmiechem do męża. — Naprawdę już musimy lecieć?

W samochodzie Paulo siedział w milczeniu, podczas gdy Jessica wylewała z siebie wszystkie żale.

— Zauważyłeś, że ostatnio wszyscy mają dzieci? Geje. Lesbijskie pary, które nie tkną niczego, co ma penis. Sześćdziesięcioletnie Włoszki z jednym szwankującym jajnikiem. Czytałam, że mogą nawet zacząć robić dzieci z wyskrobanych płodów.

Co ty na to? Ktoś, kto się w ogóle nie urodził, może mieć dziecko. Tylko nie ja.

Siedzieli przed domem Michaela i Naoko w niebieskim ferrari Paula. Samochód był jedną z korzyści wynikających z prowadzenia firmy, lecz również koniecznością. Michael zawsze powtarzał bratu, że nie można sprzedawać importowanych włoskich samochodów, jeśli przyjeżdża się do pracy fordem mondeo. Na podjeździe stał czerwony maranello Michaela, a także bmw z dziecięcym fotelikiem z tyłu.

— Nie robią tego, żeby cię zranić. Żeby nas zranić. Nie chcą nam niczego wypominać. Po prostu cieszą się swoim dzieckiem, nie mogą na to nic poradzić. Nie chcą nas zranić.

— Wiem — odparła, zwieszając głowę.

My bylibyśmy tacy sami, pomyślał. Gdybyśmy mieli z Jessicą dziecko, kochalibyśmy je tak bardzo, że nie obchodziłoby nas, czy kogoś zranimy.

Paulo nie mógł się oprzeć przekonaniu, że mając własne dziecko, człowiek mniej przejmuje się resztą świata.

Ponieważ to dziecko staje się jego światem.

— Wiesz, co powiedział mi Michael? Powiedział, że nie chcieli się z Naoko od siedmiu tygodni.

Jessica zmierzyła go wzrokiem.

— Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

— Słucham cię. Mówię tylko.

— Co? Co takiego mówisz?

— Mówię, że nie jest między nimi idealnie. Wiem, że Chloe jest wspaniała. Wiem, jak bardzo chcesz mieć własne dziecko. Nasze dziecko. Ale tak tylko mówię. Coś się z nimi stało. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Tak jakby po urodzeniu Chloe oddalili się od siebie.

— Jest ode mnie młodsza — stwierdziła Jessica, nie słuchając go. — Naoko. Cztery lata młodsza. W tym samym wieku co Megan. Kiedy Naoko będzie w moim wieku, Chloe pójdzie do szkoły.

— Nie jest między nimi idealnie — upierał się Paulo.

Rozmowa z Naoko wstrząsnęła nim. Jego szwagierka obroniła doktorat na uniwersytecie w Reading. Kiedy poznała Michaela, była archeologiem. A teraz potrafiła mówić tylko o tym, że w tym tygodniu Chloe woli brązową papkę od zielonej papki.

Paulo kochał swoją małą bratanicę. Kochał od chwili, kiedy ją zobaczył. I wiedział, że nigdy nie przestanie jej kochać. Ale w głębi serca miał pewne wątpliwości.

Nie przeszkadzało mu to, że musiał uprawiać seks z plastikowym kubkiem. Nie czuł się w mniejszym stopniu mężczyzną, dlatego że niektóre z jego plemników były leniwymi sukinsynami, które nie potrafiły odnaleźć jednego z jaj Jessiki, jeśli nie dało im się mapy drogowej.

Doktor powiedział mu, że muszą po prostu się bzykać. Wiele par płodziło dzieci, mając o wiele mniejsze szanse. I bez względu na to, przez co jeszcze będzie musiała przejść jego żona — jakie czekają ją badania, USG i laparoskopie, jakie nowe szykują jej upokorzenia — Paulo wiedział, że będzie ją wspierał. Zawsze będzie stał przy jej boku. Była dla niego tą jedyną. Wiedział o tym, kiedy po raz pierwszy zobaczył jej twarz.

Zastanawiał się jednak, czy naprawdę będzie dobry w tej całej ojcowskiej szopce — niekończącej się zabawie w a kuku!, dogłębnych analizach kupki (Jezu, jego brat — superjebaka, wielki kobieciarz, donżuan z Dagenham — gaworzył nagle jak małe dziecko) i pilnowaniu go — dzidziusia — w każdej sekundzie, żeby nie zderzył się ze stolikiem, nie wypelził przez okno albo nie poślął pilota.

To było tak, jakby po stworzeniu nowego życia twoje własne przestawało się liczyć. Matka Natura już z tobą skończyła.

I zabawne było coś jeszcze. Współzycie Paula i Jessiki stało się szare i desperackie, ponieważ tak bardzo starali się spłodzić dziecko. Ale współzycie Michaela i Naoko w ogóle się skończyło, ponieważ urodziło im się dziecko.

Michael szalał kiedyś za Naoko. Jedynym powodem, dla którego zrezygnował z porannej gry w piłkę nożną w parku, było to, że mógł spędzić z nią dziewięćdziesiąt minut więcej w łóżku. Ale to było, zanim urodziła się Chloe.

Paulo chciał mieć dziecko z Jessicą. Chciał je mieć przede wszystkim dlatego, że wiedział, iż to ją uszczęśliwi. Czy był to wystarczający powód, żeby wydać dziecko na świat?

## 5.

Praca ją wykańczała.

Megan dawała sobie radę z obciążeniami, lecz nie z narzuconym tempem. Inni lekarze szli na lunch, a jej pacjenci długo jeszcze siedzieli w poczekalni. Jeszcze więcej czekało ich, gdy przybiegała spóźniona z domowych wizyt. Nie zdziwiła się zatem zbyt, kiedy Lawford zajrzał do jej gabinetu i powiedział, że złożono na nią skargę.

Wszystkie te lata nauki w akademii. Wszystkie historyczne noce na unurzanej we krwi urazówce w Homerton. Wszystkie zmęczone ciała, które obmacywała, wszystkie skolatane serca, o które się zamartwiała, wszystkie rękawiczki, które wkładała, by zbadać czyjś stary gnijący odbył.

A teraz ci starcy, z którymi pracowała, przysięgli się, żeby ją wykopać.

Zastanawiała się, który z lekarzy przychodni złożył skargę. Który z nich miał czelność. Sukinsyny, pomyślała. Banda wrednych sukinsynów.

Nic dziwnego, że pacjentki garnęły się do niej, stroniąc od tych starych dziadów z włosami w uszach, plamami na spodniach i pogardliwymi uwagami o „problemach z hydrauliką”, tak jakby następstwa ciąży pozamacicznej nie różniły się zbyt od cieknącej rury, a paraliżujące bóle okresowe były,

kiedy się nad tym zastanowić, podobne do kłopotów z zepsutym bojlerem.

Megan mogła sobie z tym poradzić, mogła sobie poradzić ze wszystkimi rzeczami, o których uczyła się w akademii, lecz nie widziała na własne oczy. Nie była jednak w stanie tego zrobić w ciągu kilku wyznaczonych minut. Potrzebowała więcej czasu.

Miała właśnie zamiar powiedzieć, żeby wziął tę pracę i wsadził sobie do końcowego odcinka jelita grubego, kiedy Lawford odezwał się pierwszy:

— Moim zdaniem wykonuje pani wspaniałą robotę — oświadczył.

— Co?

— Inni lekarze też tak uważają.

— A ta skarga...?

— Złożyła ją pacjentka.

— Pacjentka? Ależ moje pacjentki mnie kochają!

— Pani Marley. Pamięta ją pani? Wielka facetka z osiedla Sunny View. Była pani u niej w domu.

— Pamiętam panią Marley. I Daisy.

— Chodzi właśnie o Daisy. Stwierdziła pani gorączkę, prawda?

— Miała podniesioną temperaturę. Była apatyczna. Myślałam...

— Następnego dnia znalazła się w szpitalu. Okazało się, że to tarczyca. Daisy ma niedoczynność tarczycy. Stąd jej letarg.

Megan poczuła, jak bije jej szybciej serce. Biedna mała. Zawiodła ją.

— Niedoczynność tarczycy?

— Wszyscy popełniamy czasem błędy. Jesteśmy lekarzami, nie Panem Bogiem.

— Jak się czuje Daisy? Jakie zastosowano leczenie?

— Dadzą jej trochę tyroksyny i powinna wrócić do normy.

— Ale będzie musiała zażywać ją przez całe życie.

— Wszystko na to wskazuje.

— Czy te tabletki mają jakieś efekty uboczne?

— Efekty uboczne? — W głosie Lawforda zabrzmiało nagle zniecierpliwienie. — Owszem, dzięki nim poczuje się lepiej.

To była odpowiedź doświadczonego lekarza. „Czy te tabletki mają jakieś efekty uboczne, panie doktorze?”. „Owszem, dzięki nim poczuje się pani lepiej”. Megan zakonotowała sobie tę odzywkę. Wiedziała, że w nadchodzących latach jeszcze nieraz będzie miała ją okazję użyć. Jeśli kiedykolwiek otrzyma prawo wykonywania zawodu.

— Może się pani nie martwić o Daisy. Nic jej nie będzie. Problemem jest pani Marley. Nie chce pani chyba mieć skargi o zaniedbanie w swoich aktach? To by fatalnie wyglądało.

— Co mam zrobić?

— Przeprosi pani panią Marley. Trochę się przed nią uko-  
rzy. Na tyle, na ile to potrzebne. Przyzna, że jest pani tylko  
człowiekiem. Jak pani wie, ten rok jest dla pani jednym cią-  
głym egzaminem. Ja wystawię pani łączną ocenę. Nie chcę,  
żebyś miała w aktach błędną diagnozę, Megan.

Po raz pierwszy Lawford zwrócił się do niej po imieniu. Wi-  
działa, że próbuje jej pomóc w opalach, i poczuła wdzięczność.

— Nie będziesz jej przepraszać tylko po to, żeby się od cie-  
bie odczepiła — dodał surowym tonem. — Przeprosisz ją, bo  
tak należy zrobić.

— Oczywiście.

Lawford skinął głową i ruszył w stronę drzwi.

— Dziękuję, panie doktorze. Odwrócił się do niej.

— W którym jesteś tygodniu? — zapytał. Megan osłoniła in-  
stynktownie dłońią brzuch.

— Aż tak rzuca się to w oczy?

— Ciągłe wymioty stanowią pewną wskazówkę.

— W ósmym tygodniu — odparła, uświadamiając sobie, że  
nie może złapać tchu.

— Masz zamiar urodzić to dziecko?

— Nie sądzę, żeby to było możliwe. Trudno mi zadbać o

samą siebie. — Nie będę płakać, pomyślała. Nie będę płakać w jego obecności. — Chcę mieć dzieci — dodała. — Bardzo. Ale nie teraz.

Lawford ponownie kiwnął głową.

— No cóż — mruknął nagle onieśmielony. — To na tyle. — Uśmiechnął się i w jego oczach pojawiła się łagodność, której Megan nie widziała wcześniej. — Wracaj do pracy.

Chcę mieć dzieci, pomyślała, kiedy wyszedł. I pewnego dnia będę miała dzieci i będę je kochała o wiele mocniej, niż moja matka kiedykolwiek kochała mnie i moje siostry.

Ale nie teraz, kiedy dopiero zaczęłam pracować, i nie z jakimś facetem, z którym przespałam się na imprezie.

Owszem, przeprosi panią Marley.

Czuła jednak, że tak naprawdę powinna przeprosić Daisy.

I tę małą istotę, która nigdy się nie narodzi.

Ci cholerni lekarze, pomyślał Paulo. Nigdy nie mówią, co cię czeka. Gdyby to robili, straciliby wszystkich pacjentów.

Jechał swoim ferrari przez północny Londyn tak ostrożnie, jakby miał na tylnym siedzeniu całą skrzynię pisanek. Jessica spała na fotelu pasażera, blada i wyczerpana po porannych wydarzeniach.

Mówią o laparoskopii, jakby to było coś w rodzaju wstawienia plomb. Ale Jessica była martwa dla świata — cała napompowana lekami, żeby mogli zrobić jej dziurę w brzuchu i wprowadzić do środka kamerę, która stwierdzi, co jest nie tak.

Jechał powoli do domu, jednym okiem obserwując drogę, drugim zerkając na żonę, z kompletną, niezachwianą pewnością, że kocha tę kobietę i nie przestanie jej kochać, jeśli nie będą mogli mieć dzieci. Będzie ją kochał, nawet jeśli ona przestanie kochać samą siebie. Będzie ją kochał za nich oboje.

Po przyjeździe do domu rozebrał Jessicę i położył ją do łóżka, wpatrując się w jej uśpioną, białą jak prześcieradło twarz.



A potem poszedł do swojego gabinetu i zdjął z półek wszystkie zdjęcia Chloe.

Kiedy Megan wyszła z przychodni, podszedł do niej młody mężczyzna.

Był duży i bezczelnie przystojny i w pierwszej chwili pomyślała, że to jeden z tych charytatywnych naciągaczy, którzy coraz częściej napastują ludzi, wciskając im swoje słuszne sprawy i gotowe polecenia zapłaty i depcząc po drodze bezdomnych. Próbowwała go ominąć, lecz on szybko zastąpił jej drogę. Spojrzała na niego z chłodną apodyktyczną furią, zarezerwowaną normalnie dla pacjentów, którzy nie zażywali przepisanych leków.

— Megan?

Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że to on. Mężczyzna z przyjęcia. Ojciec jej dziecka.

— O... cześć, Kurt.

— Kirk.

— Oczywiście.

— Cieszę się, że cię widzę, Megan. — Miał uroczy akcent. Pobrmiewały w nim szerokie przestrzenie, zdrowy tryb życia oraz Boże Narodzenie na plaży. — Fantastycznie wyglądasz.

— Dziękuję.

Posłała mu szybki uśmiech. Był miłym chłopcem, bardzo jej się spodobał i niczego nie żalowała — jeśli pominąć fakt, że pani doktor, która opowiada kilkunastoletnim matkom o anty-koncepcji, nie powinna chyba zdawać się na czysty przypadek Przy planowaniu własnej rodziny. Ale nie było czasu na nic więcej.

— Miło było cię zobaczyć, Kirk. Ale ja naprawdę bardzo się...

Musiałem się z tobą spotkać — powiedział i w końcu zrozumiała, że specjalnie na nią czekał.

Uderzyła ją nienaturalność całej sytuacji. Nosiła w łonie jego dziecko, a on próbował się umówić na drugą randkę.

Nie знаła go. On nie znał jej. Mimo to nawet w chłodnym świetle Hackney, bez asahi super dry, którego wypić wóczas o jedną butelkę za dużo, świetnie pamiętała, jak wylądowali w łóżku, na stosie pozostawionych przez gości płaszczy. Był wysoki i wysportowany, ale miał w sobie jakąś sympatyczną niewinność. Jego dzieci będą piękne, pomyślała Megan, i ta nieproszona myśl o mało nie przyprawiła jej o łzy.

— Myślałam, że wracasz do Sydney.

— Wracam. Będę wracał. Ale przed wyjazdem chciałem się z tobą spotkać.

Musiała być silna. Kirk będzie miał któregoś dnia piękne dzieci, ale na pewno nie z nią.

— A to dlaczego?

— Bo, jakby tu powiedzieć... polubiłem cię. To było wspaniałe, prawda? Niesamowite, prawda?

— Niczego sobie.

— To było niewiarygodne! — Kirk uśmiechnął się i pokręcił głową. — Normalnie nie robię tego rodzaju rzeczy.

— Jestem pewna, że twoja dziewczyna bardzo się z tego cieszy.

Na początku ich rozmowy Kirk chlapnął coś na temat dziewczyny, która została szybko zapomniana, kiedy zaczął odczytywać sygnały Megan, wskazujące, że — być może — jest nim zainteresowana. Teraz był na tyle przyzwoity, żeby się zaczerwienić. Robił to całkiem często jak na takiego przystojniaka.

— Chciałem się po prostu pożegnać. To wszystko. I mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

— Ile ty masz lat, Kirk?

— Dwadzieścia pięć.

— Ja mam dwadzieścia osiem. Jestem lekarką. Możesz mi przypomnieć, co robisz?

— Uczę.

- Czego?
- Nurkowania.
- Zgadza się... jesteś zatem młodym instruktorem nurkowania, który mieszka w Sydney, a ja jestem starszą lekarką, która leczy ludzi w Londynie.
- Nie jesteś taka stara.
- Po prostu... nie bardzo widzę, żeby coś z tego wyszło, rozumiesz?

Kirk zwiesił głowę i Megan walczyła z pokusą, żeby wziąć go w ramiona, posmakować trochę więcej tych jego wspaniałych pocałunków i powiedzieć mu prawdę.

— Chciałem się tylko z tobą zobaczyć. To wszystko. Normalnie nie robię tego rodzaju rzeczy. Nie upijam się i nie łąduję w łóżku z obcą dziewczyną.

— Czy mógłbyś mówić trochę głośniej? Jedna z tych starszych pań na przystanku po drugiej stronie ulicy chyba niezbyt dobrze cię usłyszała.

Kirk zwiesił jeszcze niżej swoją ostrzyżoną krótko głowę, zdając sobie w końcu sprawę, że przyście tutaj nie było najlepszym pomysłem.

— Weź to — powiedział, wręczając jej skrawek papieru z nagryzmołonym numerem telefonu. Wyglądał na zamiejscowy. Do jakiegoś bardzo dalekiego miejsca. — Gdybyś mnie kiedyś potrzebowała... Albo, no wiesz, przyjechała do Australii.

- Dzięki.
- Jak już powiedziałem... po prostu cię lubię.
- Jasne, oczywiście. Ja też cię lubię.
- No to... jak mówią słowa piosenki... do zobaczenia w przyszłym życiu.

— Tak — odparła. — Do zobaczenia w przyszłym życiu, Kirk.

Kiedy tylko zniknął za rogiem, zaczęła drzeć na strzępy numer telefonu, czując, jak w oczach stają jej łzy.

Młody, głupi i naładowany spermą, pomyślała. Wróci do domu, do swojej dziewczyny i pięknych bobasów, które z nią

spłodzi, a ja nic mu nie powiem, nie poproszę nawet, żeby dzielił ze mną to brzemię. I miał rację: to było fajne, dopóki trwało.

Ale powinien się uważać za szczęściarza. Nie chciała mieć rodziny z tym mężczyzną.

Miała już swoją rodzinę.

Gdyby pochodziły z innej rodziny, mogłyby się od siebie oddalić. Inne siostry, dobiegając trzydziestki, mogłyby stwierdzić, że praca i dom zbytnio je pochłaniają, wymagają stałej uwagi, zabierają cały czas. Gdyby pochodziły z innej rodziny, ich kariery i ich mężczyźni mogliby im przeszkodzić.

Chociaż Jessica miała męża i dom w bardziej zielonej części miasta, a Megan i Cat absorbujące zajęcia po jego drugiej stronie, lgnęły do siebie tak samo jak wówczas, gdy były dziećmi i dorastały w domu pozbawionym matki.

Nie mówiły o tym. Ale kiedy Cat zaczęła spotykać się z Rorem, ten odkrył ze zdziwieniem, że bez względu na to, co działo się w ich życiu, siostry codziennie do siebie dzwoniły i starały się choć raz w tygodniu spotkać na śniadaniu. „Jesteście ze sobą niezwykle blisko związane, prawda?”, stwierdził z tym swoim łagodnym, bolesciwym uśmiechem. Ale dla Cat — podobnie jak dla Megan i Jessiki — było to oczywiście zupełnie normalne.

I tak to widziała Cat — nikt nie kocha swojej rodziny tak mocno jak ktoś, kto pochodzi z rozbitego domu.

Zawsze starały się spotkać w restauracji, od której dzieliła je podobna odległość.

Kiedy Megan studiowała medycynę w Imperial College, a Jessica mieszkała razem z Paulem w Little Venice, spotykały się w Soho, w spleśniałym przepychu prywatnego klubu Cat, którego członkowie byli tak samo postrzępieni jak dywany.

Teraz, kiedy Megan pracowała w Hackney, a Jessica mieszkała w Highgate, oś przesunęła się na wschód, do restauracji sąsiadującej z rynkiem mięsnym w Smithfield. Zaproponowała ją Cat. Ubrani na czarno cudzoziemscy kelnerzy serwowali tutaj tradycyjne brytyjskie żarcie w rodzaju kanapek ze smażonym bekonem, owsianki i jajek sadzonych, jakby to były egzotyczne przysmaki, i wszystkie gorące napoje nalewano do kubków, a nie do filiżanek ze spodeczkiem. Wszystko było w autentycznie proletariackim stylu, z wyjątkiem astronomicznych cen.

Cat przyszła pierwsza i patrzyła przez wielkie okna restauracji na odzianych w białe fartuchy mężczyzn, którzy harowali przez całą noc, ładując wielkie kawały świeżego mięsa do czekających furgonetek.

Jessica pojawiła się następna i razem obserwowały trudzących się rzeźników.

— Za dziesięć lat to wszystko odejdzie w przeszłość — powiedziała Cat. — Wszystko wypchną na peryferia, a Smithfield zmieni się w kolejny Covent Garden ze sklepikami z konfekcją, ulicznymi artystami i małymi kafejkami.

— Och, to byłoby cudowne — stwierdziła Jessica, biorąc do ręki kartę.

Cat zmierzyła ją surowym wzrokiem.

— To byłoby okropne, Jess.

Jessica wzruszyła ramionami.

— Rozumiem, że bardziej ci się podobają ci wszyscy faceci dźwigający krowie tusze. To jest bardziej nastrojowe, tak?

Pojawiła się Megan, już teraz zerkająca na zegarek i myśląca z niepokojem o czekającym ją biegu na East End i porannym dżurze.

— Masz wyniki badań? — zapytała Jessicę, biorąc do ręki menu.

Jej siostra kiwnęła głową.

Do stolika podszedł ubrany na czarno kelner, któremu przekazały zamówienia, wskazując palcami pozycje na karcie,

ponieważ nie rozumiał ich angielszczyzny. Kiedy się oddalił, Megan i Cat wbiły wzrok w Jessicę, czekając, aż się odezwie.

— To endometrioza — oznajmiła, wymawiając to słowo tak, jakby dopiero niedawno je poznała. — Badanie laparoskopowe wykazało, że mam endometriozę.

— To wyjaśnia, dlaczego masz takie silne bóle — powiedziała Megan, biorąc siostrę za rękę. — Te straszliwe comiesięczne bóle.

— Endometrioza — powtórzyła Cat. — Co to dokładnie oznacza? To ma coś wspólnego z okresem, tak?

Megan pokiwała głową.

— To choroba menstruacyjna. Fragmenty błony śluzowej, która wyściela wnętrze macicy, przedostają się tam, gdzie nie powinno ich być: do mięśni macicy, jajowodów i jajników. W trakcie okresu dochodzi wówczas do krwawień z miejsc, w których zagnieździła się nieprawidłowa śluzówka.

— To uniemożliwia zajście w ciążę — dodała Jessica. — I boli jak wszyscy diabli.

— Nie potrafią tego wyleczyć? — zapytała Cat.

— Choroba ustępuje po menopauzie — odparła Megan.

— To bardzo pocieszające — mruknęła Jessica.

— Można też brać tabletki antykoncepcyjne — kontynuowała Megan. — Kiedy nie ma okresu, nie ma bólu. I powstrzymuje się dalszy rozwój choroby. Ale najlepszym lekarstwem jest...

Jessica popatrzyła na nią, gorzko się uśmiechając.

— To jest najzabawniejsze, Cat. Uwielbiam to.

— Najlepszym lekarstwem na endometriozę — powiedziała cicho Megan — jest zajście w ciążę.

— Ta choroba nie pozwala ci mieć dzieci — wyjaśniła Jessica. — Ale ustępuje tylko wtedy, kiedy zajdziesz w ciążę. Czy to nie jest coś doskonałego?

— Symptomy mijają, kiedy zajdzie się w ciążę — potwierdziła Megan. — I rzeczywiście, bardzo utrudniają zapłodnienie. Ale go nie uniemożliwiają, Jess. Uwierz mi.

Objęła Jessicę, która przytuliła głowę do jej piersi. Gładząc ją po włosach, Megan wyjrzała przez okno i zobaczyła kawały zakrwawionego mięsa, które przewożono wózkami do floty białych furgonetek. Wszystkie te bezgłowe, żółtobiałe tusze i skrzynie z podrobami. Mężczyźni w poplamionych jak u Jacksona Pollocka białych fartuchach.

W tej samej chwili podano im śniadanie i Megan wstrzymała oddech, czując, jak do gardła podchodzą jej wymioty. Odepchnęła szybko siostrę i zerwała się od stołu. Kiedy wróciła z toalety, Cat wcinała kanapkę z kiełbasą, ale Jessica nie tknęła swoich naleśników.

— Co ci jest, Megan?

— Nic takiego — odparła, a potem spojrzała na swoją owsiankę i znowu zrobiło jej się niedobrze.

— Co się dzieje, Megan? — zapytała Cat tonem starszej siostry, której trzeba wyznaczyć prawdę.

Megan spojrzała na siostry i uświadomiła sobie, że była szalona, sądząc, że zdoła to przed nimi ukryć. Były jej najlepszymi przyjaciółkami.

— Jestem w ciąży — powiedziała.

Cat odłożyła swoją kanapkę.

— Od jak dawna?

— Od ośmiu tygodni.

— Jak to przyjął Will?

— To nie jest dziecko Willa.

— No dobrze — mruknęła Cat. — W porządku.

Jessica nie wiedziała, co powiedzieć.

— No cóż... moje gratulacje — wykrztusiła w końcu. Poglądziła siostrę po ramieniu, uśmiechając się przez łzy. — Naprawdę, Megan. Moje gratulacje.

Cat zerknęła na Megan, która pokręciła głową.

— Nie — rzuciła.

— Będziesz wspaniałą matką — powiedziała Jessica.

— Nie chcesz chyba... — Cat zawiesiła głos.

— Nie — odparła Megan. — Nie urodzę tego dziecka.

Jessica wbiła w nią wzrok.

— Nie urodzę tego dziecka, Jess. Jak mogłabym? Prawie nie znam ojca. Nie urodziłabym, nawet gdybym go znała. Nie kocham go, Jess. A poza tym to jest fatalny moment. To dla mnie zły moment, żeby decydować się na urodzenie dziecka.

— Zły moment?

— Dopiero zaczęłam pracę. Sześć lat studiowałam na akademii... sześć lat!... a potem przez rok byłam na stażu w szpitalu. Dopiero w przyszłym roku uzyskam prawo wykonywania zawodu.

— Dopiero zaczęłaś pracę? — powtórzyła za nią Jessica. — Poczekaj chwilę... decydujesz się na aborcję, ponieważ dopiero zaczęłaś pracę?

— Owszem — odparła Megan, wściekła, że musi się tłumaczyć.

— Wiesz, co to znaczy poddać się aborcji? — zapytała Jessica.

— Daj spokój, Jess — wtrąciła Cat, próbując ją powstrzymać.

— Prawie na pewno wiem to lepiej od ciebie — odparła Megan.

— Nie byłabym tego taka pewna — stwierdziła Jessica. — O pewnych rzeczach nie przeczytasz w książkach. Wysysają z ciebie dziecko. Do tego to się sprowadza. Biorą pierdolony odkurzacz, wysysają z ciebie dziecko, a potem wyrzucają je do kosza albo palą, wyrzucają jak jakiś śmieć. W ten sposób usuną ci dziecko, Megan, żebyś mogła robić dalej swoją wspaniałą karierę.

— A czy ty wiesz, jak wygląda ciąża bez ojca? — odpaliła Megan. — Albo jak wygląda życie samotnej matki? Widuję je codziennie w przychodni: kobiety, z których wyszano życie. Siedzisz sobie w Highgate, czekając, aż Paulo wróci do domu, i nie masz bladego pojęcia, przez co przechodzą kobiety w realnym świecie. Przykro mi, Jessico... ja nie zamierzam przez to przechodzić.



— Jesteś taka samolubna. Taka cholernie samolubna. Myślisz, że nie żyję w realnym świecie? Co każe ci sądzić, że Harkney jest bardziej prawdziwe od miejsca, gdzie żyję?

— Nie chodzi o ciebie, Jess — wtrąciła Cat. — Nie chodzi o ciebie ani o Paula i wasze dziecko. To decyzja Megan.

— Robi mi się po prostu niedobrze — stwierdziła Jessica — kiedy pomyślę o tych kobietach, które traktują aborcję, jakby to była forma antykoncepcji.

— O tych kobietach? — warknęła Megan.

— Tak jakby nie różniło się to wcale od kondomu albo tabletki. Dlaczego do tego dopuściłaś? Dlaczego musiałaś zmajstrować sobie dziecko? Dlaczego musiałaś to zrobić?

— To nie jest dziecko — odparła Megan. — Jeszcze nie. A ja już teraz nie radzę sobie z pracą... rodząc je, postąpiłabym wobec niego nie fair.

— Myślisz, że zabijając je, postąpisz wobec niego fair? Dziecko wcale cię nie obchodzi, Megan. Obchodzi cię twoja kariera.

Jessica wstała. Cat próbowała powstrzymać siostrę, lecz ona odtrąciła ją.

— To biedne maleństwo, Megan. To biedne maleństwo — powiedziała, po czym rzuciła na stół kilka monet i wyszła.

Megan i Cat pozwoliły jej odejść. Kilku rzeźników zagwizdało na widok Jessiki.

— Czy to naturalne? — zapytała Megan. — Że nie chcę tego dziecka?

Cat patrzyła przez okno na targ mięsny. Wszystko to miało wkrótce zniknąć. Poczowała, jak ogarnia ją nagle zmęczenie.

— To najbardziej naturalna rzecz pod słońcem — odparła.

## 6.

Wysoko nad Morzem Południowochińskim Kirk poczuł, jak samolotem szarpnęło, a potem rzuciło go w dół, i żołądek podszedł mu do gardła.

Zapaliły się lampki nakazujące zapięcie pasów i po kabynie zaczęły krążyć stewardesy, budząc śpiących i prosząc, żeby zapięli pasy. W głośnikach zabrzmiał głos australijskiego kapitana, spokojny, dodający otuchy i kojący niczym kołysanka.

Kirk zamknął oczy i dotknął klamry swojego pasa. Samolot zatrzęsł się, tym razem gwałtowniej, i ponownie opadł w dół, jakby tonął. Rozległo się kilka cichych krzyków i umysły zaczęła drażnić paranoja współczesnego podróżnika — co będzie jeśli? Kirk wziął głęboki oddech i zacisnął mocno powieki.

To tylko niewielka turbulencja, powiedział sobie. Jestem doświadczonym globtroterem.

Mimo to ponownie dotknął klamry i zrobił to, co robił zawsze, gdy istniała choćby najmniejsza możliwość, że może zginąć w ciągu następnych kilku minut w samolocie. Spróbował przypomnieć sobie wszystkie kobiety, z którymi kiedykolwiek się przespał.

Zaczął wcześniej, w wieku czternastu lat, z zatrudnioną przez rodzinę opiekunką do dziecka. Ona była pierwsza. Potem nastął martwy sezon trwający aż do chwili, gdy w wieku

siedemnastu lat zaczął chodzić z pierwszą prawdziwą dziewczyną. Numer drugi.

Kiedy się po trzech latach rozstali, był instruktorem nurkowania i w jego pakamerze codziennie pojawiały się kobiety w kostiumach kąpielowych. Numery od trzeciego do dziesiątego.

A potem spędził lato na Filipinach i odkrył barowe dziewczyny — numery od jedenastego do dziewiętnastego. A może do dwudziestego? Po powrocie we wrześniu do Sydney związał się z pewną starszą mężatką, której rodzina miała kwiaciarnię. Spotykał się z nią w każdy niedzielny poranek między ósmą i dziewiątą, kiedy jej mąż i synowie spali na górze, i znikał, kiedy wstawali i szykowali się do kościoła. Numer dwudziesty albo dwudziesty pierwszy.

Później była pewna surferka, którą naprawdę lubił, a także siostra kolegi... ale czy o kimś nie zapomniał? Wiedział, że przez krótki okres był jeszcze z kimś związany, lecz nie mógł sobie przypomnieć z kim. Twarze, ciała i łóżka zlewały się ze sobą, niektóre imiona były nie do odtworzenia.

W wieku dwudziestu pięciu lat nie był już pewien liczby. Przypuszczał, że sięgała trzydziestki. Nie aż tak wiele, kiedy się zważy, że między kilkuletnimi okresami monogamii trwały czasami miesiące dzięki rozwiązłości.

Przypomniał sobie szalone chwile, gdy między końcem jednego związku i początkiem następnego udawało mu się przelecieć trzy kobiety w ciągu jednego dnia. Nie rozumiał, dlaczego to robił. Nie wynikało to z jakiejś fizycznej potrzeby. Chyba bardziej z wędrownego trybu życia.

Przez ostatnie dwa lata był jednak wierny swojej dziewczynie, która została w Australii. To naprawdę niezwykle, ponieważ zwiedzając świat, odwiedził bary w Bangkoku, tokijskie kluby i dzikie balangi w kilku europejskich miastach, między innymi w Sztokholmie i Warszawie, gdzie na każdym kroku można natknąć się na piękność. Był wierny swojej dziewczynie mimo wszystkich czyhających na niego pokus.

Aż do tego wieczoru, kiedy spotkał Megan.

Co w niej takiego było? Dlaczego wydała mu się wyjątkowa?

Dlatego że on był bardziej napalony od niej. To po pierwsze. Miała w sobie wszystko, czego można chcieć — była namiętna, dowcipna i mądra (choć to ostatnie niekoniecznie go rajcowało). Najważniejsze było jednak to, że nie zależało jej na nim tak bardzo jak jemu na niej. Na to go złapała.

I kiedy jego samolot dygotał i trząsł się gdzieś nad Indonezją, Kirk zadawał sobie te wszystkie pytania, które budzą się w ogarniętym miłością męskim sercu.

Jak mogę ją zdobyć? Ilu ją poznało?

I kiedy ją znowu zobaczę?

Digby wszedł do Mamma-san z uwieszoną na ramieniu Tamsin. Cat zerknęła na Brigitte popijającą drinki z kilkoma stałymi gośćmi przy barze i zobaczyła, że jej szefowa wyraźnie się skrzywiła, jakby dostała po twarzy.

Jak on mógł, pomyślała Cat, spoglądając na Digby'ego. Najgorsze było jednak to, że częściowo go rozumiała. Nie to, że przyszedł tutaj ze swoją nową znajomą, aby utrzyć nosa Brigitte — takie nonszalanckie okrucieństwo nie mieściło jej się w głowie. Rozumiała, dlaczego Digby związał się w końcu z Tamsin. Widywała ją w Mamma-san już wcześniej — w czasach gdy Tamsin była jedną z dziwek, liczącą na szybki numer z piłkarzem spotkanym przy barze — i pojmowała, na czym polega jej siła przyciągania.

Gdyby dało się streścić w dwóch słowach mowę ciała Tamsin, brzmiałyby one „pierdol mnie”. Podczas gdy zachowanie Brigitte — dumnej, wyniosłej, silnej Brigitte — mówiło „pierdol się”.

Cat przyglądała się przez chwilę Digby'emu i Tamsin, którzy stali przy akwarium z homarami i wybierali swoje główne danie. Kiedy zerknęła znowu w stronę baru, Brigitte uciekła do kuchni.

Cat doszła do wniosku, że nie pozwoli nikomu upokarzać przyjaciółki. Nie w tym miejscu.

Digby, który zdaniem Cat był przystojny, lecz odznaczał się wdziękiem tak śliskim, że można by na nim rozegrać mecz hokeja, miał nadętą minę starszego faceta, który paraduje z młodą kobietą. I szykuje się na brawa lub szyderstwa.

Tamsin również robiła, co mogła, by nie odbiegać od reprezentowanego przez siebie seksualnego stereotypu, wieszając mu się na ramieniu, jakby to nie ona, lecz on był tą gorącą sztuką, jakby czarna karta American Express była lepsza od złotej młodości. Naprawdę była taka głupia.

Skrócona spódniczka. Dziwnie nieruchome piersi. Nieprawdopodobnie jasne blond włosy. Digby rzucił Brigitte dla tej małej erotycznej kukły? Tak jakby wołał nadmuchiwaną lalkę od prawdziwej kobiety.

Cat ruszyła przez restaurację z przyjaznym uśmiechem, wiedząc, że obietnica pozostania w przyjaźni jest nie do zrealizowania z mężczyzną pokroju Digby'ego. Ktoś taki nie zadowalał się zerwaniem z kobietą. Musiał jeszcze zadbać, żeby była nieszczęśliwa.

— Miło cię widzieć, Digby.

— Wiem, którą chcę sztukę, Cat — odparł.

Tamsin pochyliła się, przyciskając swój płaski nos do akwariów, i jej spódniczka uniosła się, odsłaniając złociste uda. Mężczyźni przy sąsiednich stolikach wstrzymali oddech, a palczki w ich palcach zadrżały z pożądania. Stado homarów pomachało powoli Tamsin swoimi szczypcami.

— Myślałam, że są różowe — powiedziała.

— Dopiero po ugotowaniu — poinformowała ją Cat.

— Lubię je, kiedy są świeże — oświadczył Digby, przyciskając tłustą twarz do szyby i przypatrując się homarom. — Wybieram tego, Cat — dodał, pokazując największego skorupiaka.

— Dopilnuję, żeby był taki, jak lubisz, Digby.

Po wskazaniu szefowi kuchni homara, którego wybrali, Cat

znalazła im dobry stolik. Przyjęła zamówienia na coś do picia — białe wino dla Tamsin oraz asahi super dry dla Digby'ego. Patrzyła, jak chichocząc, opowiadają sobie szeptem sekrety, i jak Digby wsuwa język do ucha Tamsin, wylizując je do czysta. A potem poszła do kuchni, żeby zobaczyć, co się dzieje z Brigitte.

— Dobrze się czujesz?

Brigitte chciała się roześmiać, ale zabrzmiało to tak, jakby się zakrztusiła. Cat była wstrząśnięta, widząc, jak bardzo się tym przejęła. Ich nieskrępowane życie miało być przecież wolne od bólu.

— Założę się, że wyssała z niego cały rozum — powiedziała Brigitte.

— Nie wiedziałam, że go w ogóle miał. Przepraszam — odparła Cat i odeszła, żeby porozmawiać z szefem kuchni.

I postarała się stać w pobliżu, kiedy homar, teraz już zaróżowiony i leżący spokojnie na podściółce z tartego chrzanu, podany został Digby'emu i Tamsin na drewnianym japońskim półmisku.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo — goście i ich danie wydawali się niemal zahipnotyzowani swoim widokiem. A potem Cat zobaczyła, jak uśmiech zgasł im na ustach, kiedy homar z widocznym wysiłkiem uniósł się ze swojego drewnianego półmiska i zaczął z niego spelzać, tnąc szczypcami cienkie białe wiórki chrzanu.

Tamsin krzyknęła. Digby złapał nóż do masła, jakby chciał bronić siebie i swojej erotycznej lalki, a homar zsunął się z drewnianego półmiska i ruszył powoli w stronę piszczącej z przerażenia Tamsin i jej nadmuchiwanym piersi.

— Życzycie sobie państwo do tego trochę wasabi? — zapytała Cat.

Fatalnie jest, gdy ktoś staje się zbyt nieskrępowany, pomyślała później. Ta cała historia z nieskrępowaniem może posunąć

się zbyt daleko. Widziała teraz, że trzeba zachować właściwe proporcje.

Człowiek powinien być nieskrępowany, lecz nie wyrzucony poza nawias, wolny, lecz nie zagubiony, kochany, lecz nie zadowolony na śmierć. Ale jak to wszystko wypośrodkować?

— Idziemy pohulać — powiedziała Brigitte do Cat. — Didżej Cake albo Glitter Twins w Zoo Nation. Idziesz z nami?

Była prawie pierwsza w nocy. Restaurację już zamknięto, zmęczeni kucharze i kelnerzy pochłaniali z ponurymi minami spóźniony posiłek. Na zewnątrz ustawiła się kolejka taksówek czekających, żeby zabrać ich do domu. Za Brigitte stali w pełnej gotowości dwaj tlenieni, ponakłuwani młodzi kelnerzy, wpatrując się z wyczekiwaniem w Cat.

— No chodź — ponagliła ją Brigitte. — Będzie dobra faza.

Może kilka lat wcześniej bym poszła, pomyślała Cat. Zanim spotkałam kogoś, do kogo mogę się przytulić.

— Zabawisz się z chłopcami i didżejem Cake — powiedziała. Przez wielką szybę Mamma-san zobaczyła podjeżdżającego pod restaurację Rory'ego. — Ja jadę do domu.

— Zabierz ze sobą Rory'ego.

— On bardziej gustuje w Stingu.

Cat nie współczuła Brigitte. Jej szefowa umiała się dobrze bawić. Ale ona sama nie potrafiła sobie wyobrazić nic gorszego od siedzenia w czarnym lochu i słuchania gównianej muzyki z młodszymi od niej o piętnaście lat naćpanymi gnojkami.

Czy tak właśnie się dzieje, pomyślała, gdy człowiek się nie ustatkuje, kiedy świat każe mu to zrobić? Czy kończy się na tym, że w wieku czterdziestu lat bierze dragi w klubie?

Nieskrępowany aż do bólu.

Jake wprowadził się do mieszkania Rory'ego.

Było to wyłącznie tymczasowe rozwiązanie, dopóki nie poprawią się stosunki z jego matką i ojczymem, którzy, jak się zdaje — konkrety tej kolejnej domowej awantury jak zwykle

ginęły we mgle — złapali go na składaniu ofiar z dziewic w oranżerii czy czymś w tym rodzaju.

Rory był pod wieloma względami najbardziej spolegliwym facetem, jakiego знаła Cat. Przychodziła i wychodziła z jego mieszkania, kiedy jej się podobało, pracowała do późna bez tłumaczenia się i przeprosin, nie czuła się zobowiązana mówić mu, gdzie jest, kiedy nie byli razem.

Bycie kochaną bez duszenia się — czyż nie tego dokładnie chciała? Rory nie był taki zaborczy jak niektórzy mężczyźni, nie lepił się do niej tak jak inni i nie miał takiej obsesji na punkcie jej seksualnej przeszłości jak wszyscy.

Chciał, żeby ten związek funkcjonował, trwał i żeby byli w nim oboje szczęśliwi. Widziała to w jego nieśmiałych rozbarwionych oczach. Nie mogła jednak choćby w najmniejszym stopniu krytykować jego syna. Tej jednej rzeczy nie wolno było jej robić.

Od czasu ostatniej kłótni Jake'a z matką Cat nie mogła nawet zasugerować Rory'emu, żeby przenocował w jej mieszkaniu. Ponieważ Jake — nadwrażliwy, subtelny Jake — mógłby pomyśleć, że Cat go unika (niczym plagi, bo doszła obecnie do wniosku, że dwunastolatek o pogodnej twarzy zniknął na dobre). Rory zamartwiał się tym, co nazywał poczuciem godności Jake'a. Cat zastanawiała się, czy jej matka poświęciła choć chwilę uwagi jej poczuciu godności, kiedy wypięła się na swoje trzy córki i odjechała taksówką do nowego życia.

— Cześć, Jake, jesteśmy w domu! — zawołał Rory, kiedy weszli do mieszkania i zastali jego syna na sofie, obmacującego piersi chudej niemrawej dziewczyny. W powietrzu unosił się zapach nieświeżej pizzy, młodocianego seksu i czegoś, co Cat zidentyfikowała jako moroccan red. Nigdy nie lubiła konopi, lecz duża część personelu kuchennego puszczała dymka podczas przerwy na herbatę.

Ale moi pracownicy są dorośli, pomyślała. Nie w wieku dojrzewania.

— Nie możesz, kurwa, zapukać? — warknął Jake i Cat o mało



nie parsknęła śmiechem — tak komiczny był koncept, by pukać przed wejściem do własnego domu. Próbowwała znaleźć coś, na czym mogłaby zawiesić wzrok, kiedy dziewczyna zapinała stanik i ściągała w dół podkoszulek, a Jake poprawiał wzgórek na swoich lewisach. Cat zobaczyła, że dziewczyna nosi jeden z tych nowoczesnych ironicznych T-shirtów, na których powtarza się bez końca ten sam slogan.

*To wina rodziców*

*To wina rodziców*

*To wina rodziców...*

— Witaj, Misty — powiedział Rory. — Czy twoja matka wie, że tutaj jesteś?

— Ma to w nosie, stara krowa.

Oboje młodzi zachichotali.

— W takim razie bądź tak dobra i zawiadom ją, jeśli masz zamiar zostać. Możesz to zrobić?

Misty utkwiała naćpany wzrok w jakimś punkcie nad ramieniem Rory'ego.

— Macie może ochotę coś zjeść?

— Nie jestem aż taki głodny — odparł Jake, uznając tę propozycję za zniewagę, podobnie jak wszystko, co mówił jego ojciec.

— No cóż... w takim razie dobranoc.

Ale ich zafascynował już płytki materializm nadawanego w telewizji programu. Wielkie samochody, białe wille, ubrane w bikini kociaki przy basenie. My przynajmniej marzyliśmy o wolności, pomyślała Cat. Odkąd to marzenia dzieci stały się takie same jak marzenia facetów w średnim wieku?

— Narkotyki? — mruknęła. — Nie jestem pruderyjna, Rory... Bóg wie, że masz w kuchni wszystko, czego dusza zapraagnie... ale czy nie są na to trochę za młodzi?

— Chciałbym, żeby to była prawda — odparł ze smutkiem Rory. — Ale zaczęli brać, kiedy mieli piętnaście lat. Ali i ja uzgodniliśmy, że lepiej, żeby zażywał miękkie pod naszym dachem niż twarde gdzie indziej.

„Ali i ja”, pomyślała Cat i zawrzała w niej krew. Rory wziął rozwód przed wielu laty, lecz wciąż się zachowywał, jakby coś łączyło go z byłą żoną. Z powodu ich przerośniętego, rozpuszczonego bachora.

— Nie cierpię tego, jak on się do ciebie odzywa — powiedziała, kiedy się rozbierali. Robili to nieuważnie. Wiedziała, że tej nocy nie będą się ze sobą kochać. — I nie cierpię tego, jak ty się do niego odzywasz.

— Jak się do niego odzywam?

— Jakbyś przeproszał, że żyjesz — odpowiedziała, starając się zachować neutralny ton, nie chcąc się kłócić.

— Naprawdę? Nie miałem takiego zamiaru. Po prostu go kocham. To mój syn. Może gdybyś miała dzieci...

— Może. Ale nie będę ich miała z tobą, prawda?

Odwrócił urażony głowę i natychmiast pożałowała swoich słów. Nie chciała go zranić. I nie chciała mieć dzieci, z nim i w ogóle z nikim. Prawda? Z drugiej strony nie chciała włączyć się po klubach, kiedy skończy czterdziestkę. Och, kurwa, czasami sama nie wiedziała, czego chce.

— To prawda, Cat. Nie będziesz miała ze mną dzieci.

— Och, Rory, wiesz, że nie chcę ich mieć.

— Martwię się o niego, to wszystko. Zawsze się o niego martwiłem. Zanim się urodził, martwiłem się, że jego matka może poronić. Potem, kiedy był mały, martwiłem się, że może się udusić w swoim łóżeczku. Bałem się go zostawić samego, odczuwałem fizyczny ból, zostawiając go tam śpiącego. A kiedy dorastał, obawiałem się pijanych kierowców, zbrojców i śmiertelnych chorób. Takie rzeczy przytrafiają się dzieciom.

— Wiem, że się przytrafiają — odparła.

Ale co to ma wspólnego z nami, miała ochotę krzyknąć.

— Teraz martwię się rozwodem i tym, jaki to zdarzenie miało na niego wpływ... jak bardzo go zraniło, w jakim stopniu odbiło się na jego szczęściu i stosunkach z ludźmi. Martwię się, co może mu zrobić świat i co sam mu zrobiłem. Kiedy rodzi się

dziecko... nie, właściwie już dziewięć miesięcy wcześniej... ro-  
dzi się w tobie bojaźń boża, która nigdy nie ustępuje. Trwa,  
dopóki jesteś rodzicem.

Cat słyszała dochodzący z salonu bezduszny śmiech dzieci.  
Nie chciała się kłócić z tym zacnym człowiekiem.

— Nie słuchaj tego, co mówię — powiedziała. — Miałam zły  
wieczór.

Opowiedziała mu o Digbym, który przyszedł do restauracji  
z Tamsin. Kiedy wspomniała o homarze i jej zemście, na  
ustach Rory'ego pojawił się smutny uśmiech.

— Digby czuł się zagrożony przez Brigitte — powiedziała. —  
Dlatego zostawił ją dla tej małej dziwki. Nie może ścierpieć  
kobiety sukcesu.

— Niekoniecznie zagrożony — odparł ostrożnie Rory, nie  
będąc do końca pewien, czy chce się w to angażować. — Cza-  
sami mężczyźni nie chcą repliki samych siebie. Kogoś, kto, no  
wiesz, odniósł sukces, ma obsesję na punkcie pracy i tak dalej.

Cat zaczęła ściągać z siebie ubranie.

— Ale Brigitte budzi respekt. Pamiętaj o jej wykształceniu,  
dochodach, osiągnięciach zawodowych.

— To nie jest podanie o pracę, Cat. Czasami mężczyzna  
chce kobiety, która potrafi podać na stół coś nowego.

Cat rzuciła w niego swoim podkoszulkiem.

— Masz na myśli dwudziestoczteroletnie wielkie cycki?

Zdjęła spodnie i weszła do przylegającej do sypialni łazien-  
ki.

— Tylko tak mówię. — Rory zaczął składać jej podkoszulek.  
— Błędem jest wyobrażanie sobie, że mężczyźni chcą wyłącznie  
kopii samych siebie. Gdzie jest przepis mówiący, że wolno im  
chcieć wyłącznie kobiety w ich wieku?

Cat wyszła z łazienki w samych majtkach, trzymając w ręku  
szczoteczkę do zębów. Rory omiółł wzrokiem jej długie nogi i  
zobaczyła, że wstrzymuje oddech.

— A ty czego chcesz? — zapytała.

— Wiesz, czego chcę, Cat. Chcę ciebie.  
Pomyślała, że może się jednak pokochają tej nocy.

Megan zmieniała się.

Jej włosy robiły się mniej przetłuszczone, skóra gładsza, a zawsze obfite piersi pełniejsze i bardziej zaokrąglone, niemal zbyt bujne. Chroniczne, wszechogarniające mdłości osłabły teraz, stały się bardziej wybiórcze. Nie mogła przejść obok Starbucks albo McDonalda, żeby nie zachciało jej się rzygać. No no, pomyślała. Dojrzewa we mnie mały antyglobalista.

Tkwiąca w niej lekarka wiedziała, że dziecka prawie jeszcze nie ma — jest tak małe, że niemal nie istnieje mimo zwiększonego obwodu w talii. Zaledwie trzy centymetry, od stóp do głów. Nie dziecko. Nie niemowlę. Problem, z którym upora się jutro rano. Z całą pewnością nie będzie to morderstwo.

A mimo to, mimo to...

Wiedziała, że na zdjęciu widać będzie miniaturowe paluszki u stóp i dłoni. Formowały się już oczy, podobnie jak nos, uszy i usta. Istniały już organy wewnętrzne. Trudno było oszukiwać się, że pozbywa się czegoś, co nie jest ludzkim życiem.

Stała przy oknie swojego małego mieszkanka, spoglądając na ulice Hackney, na których, choć minęła północ, wciąż roilo się od goniących za przyjemnościami ludzi.

W oczach stanęły jej nagle łzy. O Boże, niech już będzie po wszystkim, pomyślała. Co innego mogę zrobić?

Włożyła piżamę i otworzyła butelkę białego wina. I wtedy do jej drzwi zadzwoniła Jessica.

Megan wpuściła ją, zdumiona, że jej siostra nie została pozabawiona ściskanej w obu dłoniach torebki Prądy, i właściwie niezbyt zaskoczona jej wizytą. Tak jakby jej się prawie spodziewała.

Jessica usiadła na sofie, z której korzystali wcześniej niezliczeni inni lokatorzy, i starała się nie patrzeć na nią z dezaprobatą. Megan znalazła drugi kieliszek i naląła im wina.

— Czy nie powinnaś... — Jessica ugryzła się w język i wyciągnęła rękę po kieliszek. — Dziękuję.

Megan pociągnęła ze znużeniem łyk.

— Kwestia picia w ciąży jest w moim przypadku chyba akademicka. Więc nie pouczaj mnie, Jess. Nie jestem dzisiaj w nastroju.

Błada i piękna twarz Jessiki była hymnem ku czci symetrii. Wykapana mamusia, pomyślała Megan. Dlatego właśnie Jessie była taka atrakcyjna. To ona była podobna do ich matki.

— Nie przyszłam tutaj, żeby cię pouczać — odparła Jessica. — Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że mylisz się co do mnie. Myślisz, że ci zazdroścę. Paulo i ja tak bardzo staramy się mieć dziecko... a ty zachodzisz w ciążę, bo zerknęłaś tylko na jakiegoś faceta.

— Zapewniam cię, że doszło do czegoś więcej — wtrąciła łagodnie Megan.

— Wiesz, o co mi chodzi. Myślisz, że odgrywam się na tobie za swoje rozczarowania.

— Wcale bym cię za to nie winiła. Wiem, że to musi się wydawać niesprawiedliwe. I jest niesprawiedliwe... ale na tym polega przypadkowość tego wszystkiego. Ludzie, którzy chcą mieć dzieci, nie mogą ich mieć, a ci, którzy ich nie chcą, zachodzą w ciążę po jednodniowej znajomości. Matka Natura jest bezwzględna starą dziwką.

— Wypijmy za to.

Siostry stuknęły się kieliszkami.

— Jest inny powód, dla którego tak się martwię — podjęła Jessica. — Wydaje ci się, że jestem taka niewinna, prawda?

Facetka, która ma zamożnego męża i chodzi do manikiurzystki, podczas gdy ty leczysz chorych. Niemarząca o niczym poza własnym dzieckiem. — Jessica uniosła wypielegnowaną dłoń, uchylając obiekcje siostry. — Wiem, że moje życie różni się od twojego. I od życia Cat. Ale nie jestem taka niewinna, na jaką wyglądam. — Jessica upiła łyk wina i wzięła głęboki oddech. — Miałam zabieg.

- Co?
- Podałam się aborcji. Dawno temu. Kiedy miałam szesnaście lat. Boże, jaka ja byłam głupia.
- Nigdy...
- Oczywiście, że nie wiedziałaś. Miałaś dwanaście lat. Byłaś małą dziewczynką. Cat wiedziała. Pomogła mi. Przyjechała z Manchesteru, żeby mi pomóc. Powiedziałyśmy, że wyjeżdżam na narty ze szkołą.
- Pamiętam tę wycieczkę. Odniosłaś kontuzję. Coś z kolaniem.
- Nie było żadnej wycieczki. Byłam gdzie indziej. Pozbywałam się dziecka.
- Jezu, Jess.

Jessica potrząsnęła głową i Megan spostrzegła, że ta rana wcale się w niej nie zagoiła. Dla jej siostry nie wydarzyło się to dawno temu. W jakimś innym życiu. To się w dalszym ciągu działo.

— Tato... można mu powiedzieć wszystko. Był dobrym ojcem, starał się, jak mógł, ale wiesz, jaki był.

— Może gdyby miał synów — powiedziała Megan. — Może wtedy byłoby inaczej. Może czułby się bliżej związany z synami.

Wciąż była w szoku. Jessica w ciąży? Jessica poddająca się aborcji i pomagająca jej w tym Cat, podczas gdy ona, Megan, odrabia grzecznie lekcje, bawi się lalkami i jeździ na rowerze? Nie miałam o tym pojęcia, pomyślała, nie miałam o tym pojęcia.

Żałowała, że nie mogła pomóc siostrze wówczas, i żałowała, że nie może jej pomóc teraz. Ale wówczas była dzieckiem, rodzinnym beniaminkiem, a teraz miała poddać się temu samemu zabiegowi co Jessica. I ona też będzie miała przy sobie Cat, która się nią zaopiekuje.

— Nie wiem, czy by mi się upiekło, gdybym miała oboje rodziców — powiedziała Jessica. — A może wszyscy są tacy ufní. Może nikt nie chce wierzyć, że coś takiego może się przydarzyć jego małej córeczce.

— Kto to był?

— Jakiś facet, który miał już inną dziewczynę. Wydawało mi się, że go kocham. Należał do drużyny piłkarskiej i uważał się za wybrańca bogów. Chuj z nim, Megan... mam nadzieję, że wiedzie żałosne życie u boku tłustej żony. Nie jest ważny. Ważne jest to, że zaszłam w ciążę. Udowodniłam, że mogę. A teraz, kiedy tego chcę, nie mogę.

— Nie ma żadnego związku pomiędzy tym, przez co przeszedłeś w wieku szesnastu lat, i tym, przez co przechodzisz teraz.

— I tu się mylisz. Reklamują aborcję, jakby to była... no nie wiem... bezbolesna kliniczna procedura. Ale to nieprawda. Czujesz się, jakby wrywali z ciebie to, co masz najlepszego. Eksperymentujemy z naszymi ciałami, Megan. Kroimy je. Wyrzucamy dzieci. Tak, robimy to. A potem jesteśmy bardzo zdziwione, kiedy nie możemy ich mieć na zawołanie.

Megan usiadła na sofie, objęła obiema rękami Jessicę i przytuliła ją do siebie tak mocno, aż zatrzeszczało.

— Co innego mogłaś zrobić, Jess? Nie mogłaś mieć dziecka z tym chłopakiem. Nie mogłaś zostać matką, skoro chodziłaś jeszcze do szkoły. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

— Wiem, wiem. Ale robimy to zbyt często. Kroimy nasze ciała, bo nie jesteśmy gotowe, bo to jest zły moment, bo to jest zły facet. A potem bardzo się dziwimy, że nie możemy mieć dziecka, kiedy go naprawdę chcemy.

Megan otarła oczy rękawem piżamy. Po chwili otarła też oczy siostrze.

— To dla ciebie ciężki okres. I dla Paula.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, że to nie wynika z zazdrości i urazy. Martwię się o ciebie. Martwię się tym, co masz zamiar zrobić. I kocham cię.

— Ja też cię kocham, Jess. Nie martw się. Będziesz miała swojego dzidziusia, a kiedy to się stanie, będziesz niesamowitą mamą.

— Wiesz, czego tak naprawdę chcę? Chcę być z powrotem sobą.

Megan słyszała te słowa codziennie od chorych ludzi w przychodni. „Coś się ze mną stało. Chcę być z powrotem sobą. Gdzie się podziało moje prawdziwe ja? Chcę odzyskać swoje życie”.

— Tak — odpowiedziała. — Ja też tego chcę.

Jessica została na noc.

Było zbyt późno, żeby wracać do domu, a poza tym chciała być razem z Megan, kiedy ta pojedzie do kliniki. Gdy Megan miała dwanaście lat, była o wiele za młoda, żeby uczestniczyć w tym, przez co musiała przejść Jessica. Ale teraz obie siostry były dorosłe. Teraz mogły trzymać się razem. Mogły sobie pomóc.

W ogóle o tym nie dyskutując, położyły się w jednym łóżku, tak jak to robiły w dzieciństwie.

Megan przytuliła się do krągłego ciała siostry, obejmując ją, póki nie zasnęła, zupełnie tak, jakby młodsza siostra musiała chronić starszą przed wszystkim, co czaiło się w ciemności.

Cat czekała w klinice.

Kiedy Megan weszła tam z Jessicą, wróciły wszystkie wspomnienia. Szesnastoletnia Jessica, której świat walił się na głowę. „W odmiennym stanie”, tak to wówczas określano. Chłopak i jego koledzy, szczerzący zęby, gdy siostry mijaly ich zardzewiałym garbusem Cat w drodze na fikcyjną wycieczkę na narty. Poczekalnia zupełnie taka sama jak ta, aseptyczna i kliniczna niczym gabinet dentysty. I Jessica po aborcji, przez tydzień ukrywająca się niczym ranne zwierzę w akademiku Cat, całe lata młodsza od starszej siostry i jej znajomych, rozbita i drżąca, jakby wyskrobano z niej nie tamto małe, lecz jej własne życie. Zbyt młoda na coś takiego. O wiele za młoda.

Dlatego to wszystko do mnie wraca, pomyślała Cat. Teraz jest inaczej. Megan to dorosła kobieta. Jest lekarką — a w każdym



razie niedługo nią zostanie. Spokojnie weszła do kliniki, nie miała w oczach łez. Nie była niczyją ofiarą. Była kobietą, nie dziewczyną. Kobieta, która wiedziała, co trzeba zrobić.

— Czym mogę służyć? — zapytała recepcjonistka, lecz trzy siostry zignorowały ją.

Megan i Jessica usiadły po obu stronach Cat, tak blisko, że czuła ciepło emanujące z ich ciał.

— W przychodni miałam pewną pacjentkę — powiedziała Megan. — Panią Summer. Mieszka na jednym z tych osiedli... Sunny View... najgorszym ze wszystkich. Całe stadko dzieciaków i kolejne w drodze. Gdyby je urodziła, byłoby jej naprawdę ciężko. Ale pani Summer poroniła. I dziwna sprawa... to było jeszcze gorsze.

Tak, tym razem będzie zupełnie inaczej, pomyślała Cat, pojmując nagle, o co chodzi Megan.

Ponieważ tym razem jej siostra nie zamierzała przerwać ciąży.

## 7.

Każdy z nas jest cudem, pomyślał Paulo.

Jakie jest prawdopodobieństwo powstania życia? Jakiegokolwiek życia? Życia każdego z nas? Kiedy pomyśli się o miliardach plemników, które padają na kamienisty grunt, o niezliczonych jajach, które skazane są na samotną niezapłodnioną podróż, i o graniczących z niemożliwością szansach, że jakiś plemnik i jakieś jajo kiedykolwiek się spotkają, to że w ogóle ktoś się rodzi, zakrawa na cud.

Każdy z nas, co do jednego, jest chodzącym cudem.

Paulo przesunął wyłączniki i w salonie zgasło światło. Stożące za szybą cztery samochody zaślniły w licznym blasku. Dwa maserati spyder, jeden lamborghini murcielago i najpiękniejsze z nich wszystkich ferrari maranello.

Na chwilę przystanął, czując, jak boli go serce na widok całego tego nisko zawieszzonego, odlanego w metalu, stworzonego we Włoszech piękna. A potem wcisnął cyferki alarmu.

Kiedyś obowiązek zamknięcia salonu spoczywał na Michaelu. Zmieniło się to po narodzinach Chloe. Teraz Michael wychodził wcześniej, a Paulo z radością brał na siebie dodatkowe obciążenie. Kiedy ma się dziecko, myślał, inaczej traktuje się pracę. Nie jest już taka ważna. Niech Michael wraca do domu

i nacieszy się swoją piękną Chloe. Po raz pierwszy w życiu Paulo zazdrościł bratu.

Kiedy zabrzmiał ostrzegawczy sygnał alarmu, ruszył z kłuczami w rękę ku drzwiom. Nagle zatrzymał się. Usłyszał jakiś hałas, którego nie powinien usłyszeć. Hałas dochodzący z kantorka Michaela.

Szybko wcisnął ponownie cyferki kodu i alarm umilkł. Usłyszał cichy pomruk głosów. Omiótł wzrokiem salon. Ile to wszystko mogło być warte? W tej okolicy ekspedienci nocnych sklepów ginęli często od ciosów noża za garść miedziaków z kasy, a emerytkom wrywano torebki z kilkoma monetami na żarcie dla kota. Czynsze były tutaj tanie podobnie jak życie.

Za biurkiem stała skrzynka z narzędziami. Paulo otworzył ją, najciszej jak mógł, i wyjął płaski klucz. A potem, zdając sobie sprawę, że płytko oddycha i ręce drżą mu ze strachu, ruszył ku pogrążonemu w mroku kantorowi, trzymając klucz niczym pałkę.

Krzycząc bardziej ze strachu niż z wściekłości, otworzył drzwi do kantoru i zapalił światło.

Na biurku klęczała na czworakach Ginger, w spódniczce zardartej pod same piersi i figami ściągniętymi poniżej kolan, a od tyłu posuwał ją jego brat Michael, który powinien siedzieć w domu z żoną i dzieckiem.

Kiedy zostali sami — Ginger pobiła rekord olimpijski we wkładaniu majtek i biustonosza — Paulo dał Michaelowi po twarzy. Spoliczkował z całej siły brata, który zawsze potrafił go pokonać. Paulowi było tego wieczoru wszystko jedno. Był rozjuszony i nie panował nad sobą, jakby doszło do profanacji czegoś bezcennego.

— Ty idioto! Nie potrafię w to uwierzyć. Masz wspaniałe życie i chcesz je spieprzyć.

Twarz Michaela wykrzywiła się w gorzkim uśmiechu. Na jego nieogolonym policzku pulsował czerwony ślad po uderzeniu.

— Co ty wiesz o moim życiu?

Paulo próbował uderzyć go ponownie, lecz Michael z łatwością sparował cios.

— Czego nie rozumiem, Mike? Że w domu nie jest tak jak dawniej? Daj sobie siana. Jesteś teraz ojcem.

— Nie rozumiesz, jak one się zmieniają. Kobiety. Kiedy rodzą dziecko. Nie rozumiesz, jak się zmieniają.

Paulo poczuł, że brakuje mu argumentów. Michael chciał zrobić z tego coś skomplikowanego. A to wcale nie było skomplikowane.

— Oczywiście, że się zmieniają. Nie jesteś już ich oczkiem w głowie. Tak powinno być.

— Łatwo ci mówić. — Nagle to Michael zaczął odgrywać rolę wściekłego. Pochylił się nad bratem, zaciskając pięści. — Nie przeszkadza mi to, że się w ogóle nie wysypiam. Noc w noc, całymi miesiącami. Ten stan permanentnego zmęczenia. Mogę z tym żyć.

— To bardzo miło z twojej strony.

— Nie przeszkadza mi nawet to, że Naoko przestała się interesować seksem — kontynuował Michael. — Albo jest zbyt zmęczona, żeby o nim myśleć. Albo nie ma już na mnie ochoty. Cokolwiek to jest. Potrafię się z tym pogodzić.

— Masz przepiękne małe dziecko, Michael. Choć raz w życiu przestań myśleć, gdzie by tu się spuścić.

Kiedy obaj byli o wiele młodszy, Paulo zawsze podziwiał łatwość, z jaką Michael nawiązywał kontakty z kobietami. To, jak się do niego garnęły, jak się w nim zadurzały, jak zmieniał je niczym rękawiczki. Teraz wydawało się to obciążeniem. Miał nadzieję, że Naoko — tak bardzo fizycznie różniąca się od blondynek, które Michael posuwał w Essex — położy temu kres. Teraz obawiał się, że to nigdy się nie skończy.

— Kiedy kobieta rodzi dziecko, wszystko się zmienia — wyjaśnił Michael. Mówił teraz ciszej. Chciał, żeby brat go zrozumiał. — Nigdy już nie będziesz dla niej tyle znaczył. Nigdy nie zajmiesz tyle miejsca w jej sercu.

— Masz idealną rodzinę — przerwał mu Paulo. — Naprawdę chcesz ją rozbić? Tego właśnie pragniesz? Chcesz, żeby Chloe dorastała, nie mając przy sobie taty? Jak tyle biednych małych bachorów w tej okolicy?

Michael pokręcił głową.

— Wydaje ci się to takie proste, prawda, Paulo? Myślisz, że ma się robotę, ma się dziewczynę, ma się dom... i ma się dziecko. A potem żyje się długo i szczęśliwie.

— A czegoż więcej możesz chcieć? Powinieneś być wdzięczny. Powinieneś się uważać za szczęściarza.

— Nie pouczaj mnie. Kocham swoją córkę, ty świętoszkowaty kutasie. I kocham swoją żonę. Kocham ją tak, jak tylko może kochać mężczyzna.

— W zabawny sposób to okazujesz.

— Ale dziecko nie czyni twojego świata pełnym. Nie czyni tego, jeśli jesteś mężczyzną. Dziecko jest rywalem. I nie możesz z nim współzawodniczyć, po prostu nie możesz współzawodniczyć. — Michael wziął klucz z ręki Paula i położył go ostrożnie na stole. — Ona znalazła kogoś o wiele bardziej godnego miłości ode mnie. Naszą córkę. I w jakiej to mnie stawia sytuacji?

— Idź do domu, Michael. I ciesz się tym, co masz.

— Kiedy kobieta ma dziecko, zmienia się. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. — Michael uśmiechnął się do brata. — To prawie tak, jakby zakochała się w kimś innym.

— Moje ty biedactwo. To straszne przeżycie, wiem — powiedziała matka Megan, wpuszczając najmłodszą córkę do mieszkania.

Makijaż i szpilki, pomyślała Megan, kiedy Olivia przeszła, stukając obcasami, przez przedpokój. Nosi makijaż i szpilki, nawet kiedy jest sama w domu.

— Wszystkim nam zdarzają się drobne wpadki. Ja też musiałam przez to przejść, zanim zaczęliśmy kręcić drugą część

*Herbatki.* A o wiele wcześniej... jeszcze przed twoim ojcem... był pewien fotograf, który pomagał mi kompletować moją teczkę.

Olivia, która rzadko dotykała swoich dzieci, pomasowała córkę po plecach, bacznie jej się przyglądając. Jest piękna, pomyślała Megan. Rozumiała, dlaczego mężczyźni w jej wieku wodzili oczyma za matką.

— Muszę powiedzieć, moja droga, że nie wyglądasz tak źle.

— Nie przerwałam ciąży.

— Co?

— Nie poszłam na zabieg, mam. Urodzę to dziecko.

— Ale... ale dlaczego miałabyś to robić?

Megan wzruszyła ramionami. Nie mogła opowiedzieć matce o pani Summer. Nie mogła jej wytłumaczyć, że urodzenie tego dziecka będzie trudne, ale nieurodzenie go byłoby nieskończone trudniejsze. Jak można wytłumaczyć to uczucie rozdarcia? Usiadła na sofie. Ataki mdłości mijały, lecz ostatnio stale czuła się zmęczona.

— Chcę je urodzić — powiedziała po prostu. — Chcę tego dziecka.

— Ale... jesteś za młoda, żeby je urodzić!

— Mam dwadzieścia osiem lat, mam. Trochę więcej niż ty, kiedy urodziłaś Cat.

— Byłam mężatką, moja droga. Z pierścieniem na cholerym palcu. A i tak to była pieprzona katastrofa.

— To nie będzie katastrofa.

— Gdzie jest ojciec? Czy on w ogóle wie?

— Nie, nic nie wie.

— Czy ty masz pojęcie, Megan, na co się decydujesz? Bezsenne noce, zmęczenie, bezustannie wrzaski, sranie i ataki hysterii?

— A mówimy tylko o matce, prawda? — Megan wypuściła powietrze z płuc. — Wiem, że to będzie trudne. Wiem, że to najtrudniejsza rola, jakiej się kiedykolwiek podjęłam.

— Nie masz pojęcia. To jest wystarczająco trudne, kiedy

masz męża, nianię i konto w banku. Spróbuj to zrobić w pojedynkę z tymi groszami, które płacą ci w państwowej służbie zdrowia.

— Jessica mówi, że mi pomoże.

— Jessica ma swoje własne życie.

— Mówiła serio. Wiem, że to zrobi. Powiedziała, że ma już dosyć chodzenia na zakupy i do kosmetyczki i czekania, aż Paulo wróci do domu. Jessie z radością zaopiekuje się dzieckiem, kiedy będę w pracy.

— A co będzie, jeśli zajdzie w końcu w ciążę?

Megan nie pomyślała o tym. Czy po wszystkim, co widziała w szpitalach i przychodniach, jest możliwe, że matka wie więcej od niej? Poczula, jak przeszywa ją lęk. Co będzie, jeśli nikt jej nie pomoże? W co ona się pakuje? Zobaczyła przed sobą nadchodzące lata: osiemnastoletni wyrok. A potem zerknęła na boleśnie skrzywioną, wymalowaną twarz matki i przyszło jej do głowy, że człowiek nigdy nie uwalnia się od swoich dzieci.

— Co będzie z twoją karierą? Tymi wszystkimi latami, które spędziłaś na akademii, wszystkimi zdanymi egzaminami?

— Zamierzam dalej pracować. — Megan nie była już taka pewna siebie. — Oczywiście, że będę pracować. Nie stać mnie na rzucenie pracy. Tak jak mówisz, nie mam na palcu pierścionka.

— Jaka ty jesteś głupia, Megan.

W głosie matki zabrzmiała bezbrzeżna dezaprobatą.

— Dlaczego jesteś na mnie taka wściekła?

— Bo marnujesz sobie życie!

— Naprawdę o to ci chodzi? A może nie chcesz pogodzić się z tym, że zostaniesz babcią? Bo to będzie ostateczne potwierdzenie, że nie jesteś już pierwszej młodości.

— Och, nie bądź śmieszna.

— Proszę. Nie chcę, żebyś się na mnie wściekała, mamo. Chcę, żebyś była szczęśliwa.

— Szczęśliwa? Moja córka zachowuje się jak jakaś głupia panna sklepowa, a ja mam być szczęśliwa?

— Chcę, żebyś pokochała to dziecko. Chcę, żebyś była szczęśliwa.

— Więc idź. Jeśli chcesz, żebym była szczęśliwa, po prostu idź — odparła Olivia.

I Megan wyszła od niej, po raz pierwszy uświadamiając sobie trudne realia nowego życia. Gdzie w jej małym mieszkanku będzie spało to nienazwane, niewyobrażalne dziecko? Czy muzyka puszczana przez sąsiadów z dołu nie będzie go budziła? Co się będzie działo, kiedy Megan pójdzie do pracy? Czy Jessica naprawdę będzie mogła opiekować się nim w ciągu dnia, dzień w dzień, „na pełny etat”? Jak będą wyglądały noce z dzieckiem śpiącym — albo płaczącym — przy jej boku?

A potem zrobiła pierwsze USG i choć wątpliwości i mroczne myśli bynajmniej się nie ulotniły, ktoś, albo coś, szeptał jej do ucha: to dobra decyzja, dobra decyzja, podjęłaś dobrą decyzję.

Cat się zmieniała, kiedy Megan postanowiła urodzić dziecko.

Rory nie mógł tego zrozumieć, ale nagle jego operacja stała się dla niej wielkim problemem.

Zabieg. Podwiązanie nasieniowodów. Sterylizacja. Przedtem w ogóle ją to nie obchodziło. Nie chciała dzieci! On też ich nie chciał. Więc wasektomia była raczej czymś w rodzaju premii. A potem Megan odwołała wizytę w klinice i sytuacja diametralnie się zmieniła.

Może wiązało się to nie tylko z Megan, ale z jego byłą żoną. Pewnego dnia Ali zjawiała się ze swoją pięcioletnią Sadie, żeby odebrać Jake'a.

Nie sposób zaprzeczyć, że Ali robiła wrażenie. Rory musiał to przyznać, mimo że ich miłość dawno już umarła i została pogrzebana.

Była niedużą blondynką, ale potrafiła zwrócić na siebie uwagę — opalona, zadbana, obdarzona dziewczęcą urodą, która nie wyglądała wcale absurdalnie, gdy weszła w wiek średni. Budziła respekt samą swoją obecnością. Jake był prawie potulny, gdy



stała tam apodyktyczna i rzutka, patrząc, jak zbiera swoje rzeczy i ładuje je do wielkiej terenówki BMW X5 — idealnego auta do wożenia Sadie na lekcje baletu.

— Dlaczego Jake-Jake tu mieszkał, mamusiu? — zapytała Sadie.

— Spędził po prostu trochę czasu ze swoim tatą, kochanie — odparła Ali. — A teraz pora już wracać do domu.

— Zawsze jest tutaj mile widziany — stwierdził Rory, klepiąc syna po plecach.

Jake zbierał dalej rozrzucone na stoliku płyty, garbiąc się pod brzemieniem młodzieńczego zażenowania i unikając wzroku ojca.

— Ale może następnym razem zostawi w domu maszynkę do robienia skrętów — powiedziała cicho Cat.

Rory i Ali wbili w nią wzrok.

— Mamusiu? — zakwiliła Sadie.

Cat uświadomiła sobie, że popełniła błąd, w ogóle się odzywając. Nie mogła się jednak powstrzymać. Wiedziała, że Rory i Ali stąpają po polu minowym, lecz to nie był powód, żeby udawać, że Jake nie jest wcielonym koszmarem.

— Co pani sugeruje? — zapytała Ali.

— Że jest zbyt młody, żeby brać narkotyki — stwierdziła Cat.

— Cat — syknął Rory.

— Jak pani śmie? — oburzyła się Ali. — Jak pani śmie wtrącać się w moje rodzinne sprawy?

— Nie mogłam się powstrzymać. Przepraszam. Chodzi mi tylko o to, że na zbyt wiele mu pozwalacie.

— Jestem gotów, mamó — zameldował Jake.

Sadie wzięła go za rękę, uśmiechając się do swojego dużego przyrodniego brata.

— Jake-Jake — powiedziała.

— Mój syn znajduje się pod olbrzymią presją — oznajmiła Ali, drżąc cała z emocji. — Ale nie spodziewam się, żeby mógł to zrozumieć ktoś taki jak pani.

— Ktoś taki jak ja?

Ali lekko się uśmiechnęła.

— Ktoś, kto nigdy nie miał swojej rodziny.

— Mam swoją rodzinę — odparła Cat, starając się nie podnosić głosu. — Nie mam dzieci, to prawda. Ale niech mi pani nigdy nie mówi, że nie mam rodziny.

A potem wyszli i Rory usiłował załagodzić sprawę. Za późno. Cat była wściekła — na Rory'ego za to, że pozwala byłej żonie chodzić sobie po głowie. Na Jake'a, że wtrynią się w ich życie. Na Ali, że jest taką zimną, pewną siebie dziwką. I na coś jeszcze, czego nie umiała nazwać. Miało to coś wspólnego z ograniczeniami jej życia. Nie chciała być niczym ograniczona. Chciała, by stały przed nią otworem wszystkie opcje.

— Cat?

— Wychodzę.

— Zostań! Daj spokój. Nareszcie mamy cały dom dla siebie.

— Ona ma naprawdę wszystkie opcje.

— Kto?

— Kto? Twoja była żona. Ali ma drugą szansę na sukces, prawda? Kolejne małżeństwo, kolejny dzieciak, kolejne życie. Ty i ona — to była dla niej tylko próba generalna małżeństwa. Rozgrzewka. Teraz ma kolejne podejście.

— Dlaczego jesteś na mnie taka zła?

Odwróciła się do niego błada z wściekłości, ze łzami w oczach. To go przeraziło. Widział, że ją traci, a bardzo tego nie chciał.

— Dlaczego miałeś tę głupią operację? Dlaczego? Żeby dać się tak pokroić... Dla tej zimnej dziwki, która natychmiast cię rzuciła i zrobiła sobie dziecko z pierwszym facetem, jaki się napatoczył. Dlaczego?

Rory podniósł w górę ręce.

— Ponieważ... ponieważ nie chcieliśmy mieć więcej dzieci. Ponieważ wtedy wydawało się to rozsądną rzeczą.

— I teraz ona ma kolejne podejście. Ale ty nie. Ty ugrzązłeś w przeszłości i we wszystkich jej pieprzonych brudach. I ja też.

Ja też ugrzęzłam w twojej przeszłości. Nie ograniczyłeś tylko swoich opcji, Rory. Ograniczyłeś i moje.

— O co ci w ogóle chodzi? Megan zaszła w ciążę i nagle ty też chcesz mieć dziecko? Mówisz, jakbyś chciała mieć dziecko.

— To nie tak. Co ja bym zrobiła z dzieckiem, na litość boską? Ale dlaczego ty nie pozostawiłeś sobie wszystkich opcji? Ali zrobiła to.

— Nie mogę dać ci dziecka, Cat. Wiedziałaś o tym, kiedy się poznaliśmy.

— Wiem. Dlaczego miałbyś to robić? Już to zrobiłeś. Zrobiłeś i dostałeś T-shirt w nagrodę. A ja przecież w ogóle nie chcę dziecka. Prawda?

— Więc na czym polega problem?

Cat potrząsnęła głową. Nie umiała mu tego wytłumaczyć. Nie zachciało jej się przecież nagle dziecka. Naprawdę. Ale chciała należeć do jakiejś rodziny. Mówiąc, że nie miała nigdy rodziny, Ali dotknęła ją do żywego.

Cat zrozumiała, że dzieci dają człowiekowi udział w przeszłości, że dają mu rodzinę. Nową rodzinę, gdy stara zaczyna się rozpadać, gdy jej członkowie rozchodzą się i zakładają nowe ze swoimi małżonkami i dziećmi. Bez dzieci ma się tylko teraźniejszość i wspomnienia z przeszłości.

Rory patrzył na Cat i widział, jak gaśnie jej gniew. Wiedział, że nie chce innej kobiety, tylko ją. Ale kiedy wyszła, nie próbował jej zatrzymać.

Kobiety się myślą, pomyślał. Uważają, że są ofiarami jakiegoś tykającego biologicznego zegara, że tylko mężczyźni mogą mieć dzieci tak długo, jak im się podoba. A to po prostu nieprawda.

Ponieważ to wszystko cię męczy. Odbywasz tę podróż — od nocy, kiedy twoje dziecko nie śpi, bo wyrzynają mu się ząbki, do nocy, kiedy twoje dziecko nie śpi, zażywając narkotyki — i to cię wyczerpuje. Po prostu się zużywasz.

Nawet bez operacji, rozwodu i całego tego jadu między nim i byłą żoną Rory'emu niełatwo byłoby przechodzić przez

wszystko na nowo. Czas jest chirurgiem, który wykonuje na człowieku swoją własną operację. I nawet gdyby istniała taka możliwość, byłoby chyba absurdem przechodzić przez to w jego wieku. Kiedy dzieciak kończyłby szesnaście lat, on miałby siódmy krzyżyk na karku. Wystarczająco trudno jest poradzić sobie z nastolatkiem, kiedy ma się czterdzieści lat. Jak może się to udać dziadkowi?

Trzeba bardzo wiele, żeby zdecydować się na to wszystko ponownie.

Trzeba naprawdę kogoś kochać.

Megan wzięła Jessicę za rękę, kiedy radiolog posmarował zimnym żelem jej brzuch i przycisnął do skóry głowicę.

Ucisk wydawał się zbyt silny, zdecydowanie zbyt silny, ale nie było czasu się tym przejmować, ponieważ na ekranie ukazało się nagle dziecko Megan, ten niezaplanowany mały człowieczek, wyglądający niczym kosmita podczas zamieci.

Miał zbyt dużą głowę, palce niczym nitki pajęczyny i pozbawione powiek oczy, niewidzące i wszystkowidzące. Megan i Jessica głośno się roześmiały, roześmiały się z zachwytem i niedowierzaniem. Megan spojrziała na siostrę i była jej wdzięczna za całą miłość, całą wielkoduszność, za to, że tu przyszła, trzymała ją za rękę i dzieliła z nią ten moment. Jessica była tak samo przejęta i poruszona jak Megan. Prawie tak, jakby dziecko należało do nich obu, pomyślała Megan.

Patrząc na niewyraźny profil na ekranie, Megan poczuła więź, jaka nie łączyła jej jeszcze z żadną istotą ludzką. Dziecko było częścią jej ciała, a mimo to wydawało się zupełnie osobne, jednocześnie znajome jak jej własna twarz i tajemnicze jak anioł. Na ekranie widać było tylko rozmazany czarno-biały obraz. Nic więcej. Radiolog wykonywał prawdopodobnie dziennie tuzin takich zdjęć. A mimo to budziły w Megan uczucia, o których nie wiedziała, że istnieją.

Może sąsiedzi z dołu będą puszczały zbyt głośną muzykę.

Może zdarzą się dni, kiedy Jessica nie będzie mogła zaopiekować się dzieckiem. Może to będzie trudniejsze, niż potrafiła sobie wyobrazić. Ale wszystkie te obawy odpływały, kiedy patrzyła na rozmazany obraz na monitorze. Jak można się martwić o sąsiadów lub bezsenne noce, kiedy jest się świadkiem magii?

Przed wyjściem Megan dostała arkusz lśniącego czarnego papieru, na którym widać było zapierający dech, wielkogłowy profil jej dziecka. Tego małego kosmity podczas zadymki. Pierwsze zdjęcie dziecka.

Podano jej datę porodu, datę, która wydawała się śmiesznie odległa, prawie nic nieznacząca, jakby wyrwano przypadkową kartkę z kalendarza. Wiedziała jednak, że ten dzień nadejdzie.

I wiedziała, że zacznie się wtedy dla niej nowe życie.

Jessica i Paulo rozmawiali ze swoim lekarzem o sztucznym zapłodnieniu.

Paulo był wstrząśnięty tym, co usłyszał – tym, ile to kosztuje (tysiące funtów), i jeszcze bardziej tym, jak nikłe są szanse (mniej więcej jedno na trzy zapłodnienia kończyło się sukcesem, a była to i tak najbardziej optymistyczna prognoza). Przede wszystkim wstrząsnęło nim jednak to, że nie było czasu do stracenia.

– Ale ona ma trzydzieści dwa lata! – powiedział.

– Właśnie – przytaknął lekarz. – Kobieta rodzi się z określoną liczbą jaj, które w niej powstaną. A po ukończeniu trzydziestego piątego roku życia następuje wyraźne obniżenie płodności. Lepiej zacząć, zanim będziecie zbyt starzy. Kto wie, ile będziecie potrzebowali cykli?

– Chcę to zrobić – powiedziała Jessica w drodze do domu. – Nie dbam o to, co będziemy musieli zrobić, żeby zdobyć pieniądze. Nie dbam o to, ile razy będziemy próbowali. I chcę to zrobić teraz.

– Co mówi twoja siostra?

— Megan?  
— Czy uważa, że zapłodnienie in vitro to dobry pomysł?  
— Nie rozmawiałam z nią o tym. I tak ma dosyć własnych kłopotów. Nie chcę, żeby się martwiła, że nie będę miała czasu dla jej dziecka. No wiesz. Kiedy zajdę w ciążę.

A zatem podjęli tę decyzję. Lekarz polecił im położoną na wsi w Essex prywatną klinikę, która miała jeden z najlepszych wskaźników udanych zapłodnień na świecie. I Paulo się zgodził, ponieważ zrobiłby dla Jessiki wszystko. Prawie wszystko.

— Nie pozwolę, żeby to dziecko rozbiło nasz związek, Jess  
— powiedział, kiedy przyszła do sypialni tej nocy.

— Co?

— Nigdy się nie skarżyłem. I nigdy nie będę. Na te wszystkie badania i konsultacje. Na całe to spuszczenie się do słoika i inne rzeczy. Na SMS-y każące mi wracać do domu i posuwać cię, bo właśnie jajczkujesz. Na wszystko się godzę. Chcesz sztucznego zapłodnienia? Świetnie. Ale nie pozwolę, żeby to rozbiło nasz związek.

— Dlaczego miałoby rozbić nasz związek?

Paulo usiadł na łóżku i wziął jej twarz w dłonie. Uwielbiał tę twarz.

— Ponieważ to stało się ważniejsze od wszystkiego. Ważniejsze od ciebie i mnie. Ta historia z dzieckiem... To przesłoniło nam cały świat.

— Wiesz, ile to dla mnie znaczy.

— Oczywiście, że wiem! Ale jeśli do tego nie dojdzie, jeśli to nigdy się nie zdarzy, nadal będę cię kochał. Wiem, że chcesz mieć dziecko. Ja też. Ale to nie jest najważniejsza rzecz w moim życiu. Ponieważ najważniejsza w moim życiu jesteś ty, Jess.

Jessica pokręciła głową.

— Nie może być tak jak wcześniej. Kiedy mogliśmy się kochać, gdy mieliśmy ochotę. Nie rozumiesz tego, Paulo. Jaki ze mnie pożytek, jeśli nie mogę mieć dziecka?

— Jaki z ciebie pożytek? Nawet jeśli nie będziesz go nigdy miała, jesteś piękna. Jesteś mądra, miła i seksowna.

— Nie jestem seksowna.

— Owszem, jesteś, ty seksowna mała dziwko. — Oboje się teraz uśmiechali. — Wiem, że chcesz mieć dziecko, Jess. Więc spróbujmy tego zapłodnienia in vitro. A jeśli się nie uda, spróbujmy jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeśli będziemy musieli wszystko sprzedać, żeby próbować dalej, zrobimy to.

Jessica położyła mu dłoń na przedramieniu i ścisnęła je, masując wypukły mięsień i czując pod spodem kość. To był mężczyzna, z którym chciała spędzić resztę swojego życia.

— Dziękuję — powiedziała.

— Ale jeśli to się nie uda, jeśli nigdy nam się nie uda, nie przestańmy się kochać. Ponieważ tego bym nie zniósł.

— Ja też.

— Obiecuję, że wydamy wszystko, co mamy, na to sztuczne zapłodnienie, ale chcę, żebyś ty również coś mi obiecała.

— Co takiego?

— Że raz na jakiś czas, nie za często, przestaniemy myśleć o całej tej historii z dzieckiem i pokochamy się nie dlatego, że chcemy je spłodzić, ale dlatego, że wciąż mamy na siebie ochotę.

Jessica uśmiechnęła się szerzej.

— Obiecuję.

Przez chwilę się całowali, a potem zdjęli ubrania i Jessica włożyła szpilki Jimmy'ego Choo — jej mąż był bardzo konwencjonalnym mężczyzną i wiedziała, jak bardzo lubi wysokie obcasy w sypialni — następnie zaś wstali i ustawili drzwi szafy tak, żeby widzieć się w osadzonym w nich lustrze.

I właśnie tej nocy Jessica i Paulo spłodzili swoje dziecko.

## 8.

Jack Jewell był rozpoznawany.

*Wszystkie rybki w morzu* zeszyły z małego ekranu przed dziesięcioma laty, lecz on wystąpił w wystarczającej liczbie ról — jako emerytowany gliniarz, zmuszony do pracy z lekkomyślnym żółtodziobem, jako dżentelmen włamywacz, specjalizujący się w kradzieży diamentów i oszukujący łatwowierną wdowę, a także jako prywatny detektyw o nieskazitelnym manierach i zacięciu Sherlocka Holmesa — żeby wchodząc do restauracji w Chinatown, wywołać niewielką sensację.

Tego dnia nie zauważał jednak odwracających się w jego stronę głów, życzliwych uśmiechów i zaskoczonych pytań. Czy to nie jest przypadkiem...?

Tego dnia widział tylko swoje córki.

Budziły w nim taką dumę. Były takie piękne, zawsze takie piękne, a on był jedynym człowiekiem na świecie, który widział w kobietach, którymi się stały, rysy dzieci, którymi niegdyś były.

Megan, ładna i bujna, jakby stworzono ją z samych krągłości (wiedział, że martwi się swoją wagą, ale dla niego była zawsze prześliczna). Jessica, typowa piękność z lśniącymi czarnymi włosami, zgrabną figurą i dziecinną buzią (rozumiał, dlaczego ludzie uważali ją za najmłodszą, i uśmiechnął się,



przypominając sobie, jak ją to kiedyś denerwowało). I Cat, jego kochana Cat, wysoka i szczupła, o długich nogach i tych swoich szeroko rozstawionych brązowych oczach, które przeszywały na wskroś.

Jak brzmiały słowa tej starej piosenki? Że kiedy jesteś ojcem chłopaków, to się martwisz, a kiedy jesteś ojcem dziewcząt, to się modlisz. Jack nigdy nie martwił się o nie same, lecz o to, co im zrobią mężczyźni — jego kłamliwe, podstępne, oszukańcze plemię. Teraz jednak czuł, że wszystko się dobrze ułoży.

Lubił żartować, jakim były dopustem bożym, ale był to mechanizm obronny mężczyzny, który nie zajmował się w dostatecznym stopniu dziećmi pozostającymi pod jego opieką. Kochał je bardziej, niż kochał cokolwiek w swoim życiu. Wiedział jednak, że ciężka praca i codzienny kierat spoczywały głównie na barkach Cat i licznych opiekunek pochodzących z biedniejszych części globu.

— Jesteś dla nich matką i ojcem — mówiły mu kobiety, kiedy dziewczynki dorastały.

Ale on nigdy nie był dla nich matką. Mężczyzna nie staje się matką tylko dlatego, że prawdziwej matki nie ma w pobliżu. Nie był nawet dość dobrym ojcem.

Dzisiaj byłoby inaczej. Mężczyźni zmienili się. Są bardziej skłonni do przyjmowania różnych ról. Ale wówczas, w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy odeszła Olivia, Jack stanowił przykład staroświeckiego ojca. Wychodzącego z domu i zarabiającego na życie, podczas gdy jego dzieci wychowuje ktoś inny. Parada zapomnianych dawno niań, opiekunek i gospodyń, a przede wszystkim jego najstarsza córka.

Jack Jewell był zbyt zajęty zarabianiem na życie, żeby być stale do dyspozycji Megan, Jessiki i Cat. Chodziło jednak o coś więcej aniżeli wymogi jego pracy. W przeciwieństwie do swojej byłej żony Jack zawodowo nigdy nie poszedł w odstawkę. Zawsze istniało zapotrzebowanie na jego dobre maniery, przyzwoitość i staroświecki urok. Jeden z krytyków, siląc się na złośliwość, nazwał go „niskokalorycznym Davidem Nivenem”, ale Jack potraktował to jako komplement. Czasami brał role nie

dlatego, że brakowało im pieniędzy, ale dlatego, że potrzebował szacunku do samego siebie i poczucia własnej wartości, które daje sukces w pracy.

Odejście Olivii było strasznym ciosem dla jego dumy. Uznał, że nie był w wystarczającym stopniu mężczyzną. Jedy-  
nym sposobem odzyskania wiary w siebie były coraz to nowe role oraz sypianie z kobietami, które spotykał w pracy.

Pomaganie Cat w domowych obowiązkach, zabieranie Jessiki na lekcje baletu, uczenie Megan samodzielnego ubierania się — te rzeczy nie pomogłyby Jackowi Jewellowi się pozbierać. Potrzebował swoich ról. Sukces zawodowy był o wiele łatwiejszy niż udane małżeństwo.

A teraz dwie jego córki miały urodzić własne dzieci. Dowiadując się o tym, odczuwał wyłącznie radość. Miał wrażenie, że wnuki staną się stabilizatorami ich małej rodziny, że zapewnią jej przetrwanie.

Jaką stabilność dał swoim córkom? W teorii był ich jedynym opiekunem. W praktyce stale przebywał na planie bądź też zaspokajał swoje potrzeby z jakąś zakochaną charakteryzatorką albo absolwentką Królewskiej Akademii Dramatycznej. W skrytości ducha Jack Jewell bardzo nad tym ubolewał, ale nie był stworzony na pełnoetatowego rodzica. Wpadłby od tego w obłęd. Może jednak — nie, z całą pewnością — mógł zachować zdrowsze proporcje między domem i pracą. Były role, które mógł odrzucić, kobiety, od których mógł odejść. I wrócić wcześniej do domu, do swoich trzech córek. Teraz było już na to za późno. Choć, dzięki Bogu, wszystko się jakoś ułożyło. Wiedział, że Megan i Jessica będą dobrymi matkami. Megan był mądra i twarda. Jessica kochająca i miła. Miały w sobie to wszystko, czego nie miała ich własna matka.

Czasami zbyt pochłaniała go praca i rozpraszały koleżanki aktorki, lecz Olivia była o wiele gorsza. Po swoim odejściu zachowywała się tak, jakby nie chciała, by cokolwiek przypominało jej o dawnym życiu. Kontakty były sporadyczne, potem w ogóle żadne. Olivia zachowywała się tak, jakby to

dzieci powinny starać się o jej względy. Sama nie czyniła żadnych wysiłków. Miała na głowie ważniejsze sprawy — walkę z nadwagą, nieudany drugi face-lifting oraz kolejnych mężczyzn jej marzeń, którzy nieodmiennie okazywali się leniwymi pasażerami i nieudacznikami.

Jack znał wielu ojców, którzy zachowywali się tak w stosunku do swojej pierwszej rodziny. Olivia udowodniła, że matka może być równie okrutna i bezlitosna. Nawet zwierzę nie byłoby tak bezwzględne dla swego potomstwa.

Nigdy nie potrafił wyjaśnić swoim dzieciom tej niczym nieudającej się usprawiedliwić niegodziwości, podobnie jak nie umiał im wyznać, jak bardzo, we własnym przekonaniu, zawiodł je jako ojciec. Z trudem potrafił to wyjaśnić samemu sobie.

Cholerni aktorzy, pomyślał. Bez scenariusza nie ma z nich żadnego pożytku.

Megan zawsze powtarzała swoim pacjentom, że ciąża jest trochę jak lot samolotem. Start i lądowanie. To były najtrudniejsze momenty. Jeśli miało się przytrafić coś złego, przytrafiało się właśnie wtedy.

Kiedy siedziały wszystkie trzy z ojcem w ich ulubionej restauracji w Chinatown, Jessica była w którym? — w czwartym tygodniu. Większość kobiet nie wie nawet wtedy, że jest w ciąży. Większość kobiet spogląda na kalendarz i myśli: to dziwne, trochę się spóźniam. A może nie zauważa nawet, że ich cykl jest zakłócony.

Chyba oczywiście, że na to czekają. Chyba że starają się zająć w ciążę i robią to od dłuższego czasu.

— Będiesz dziadkiem — powtórzyła ponownie Jessica, śmiejąc się z radości. — Dwa razy, tato. Dasz sobie z tym radę?

— Nie mogą dać mi w kość bardziej od was — odparł z uśmiechem Jack, obejmując ją. — A ja będę w stanie im się zrewanżować. Moje gratulacje, kochanie. Wiem, jak bardzo tego pragnęłaś. Ty i Paulo.

Następnie chciał zrobić to samo z Megan, ale wyszło mu to o wiele gorzej, ponieważ jego najmłodsza córka nie miała partnera, jadła akurat pałeczkami sajgonkę i o mało nie wydlubała mu oka.

— Dobrze się spisałaś, kochanie — powiedział i Megan miała wrażenie, że zdała na piątkę kolejny egzamin.

Uśmiechnęła się. Kochany stary tato. Tydzień czwarty i tydzień dwunasty niczym się dla niego nie różniły. Ale dla niej to nie było to samo. W trakcie startu i lądowania kilka krótkich tygodni może decydować o życiu i śmierci.

Ponieważ podobnie jak wszyscy lekarze Megan liczyła czas ciąży w tygodniach. Tylko reszta świata liczy go w miesiącach.

Och, Jessie, myślała. Czwarty tydzień to o wiele za wcześnie, żeby mówić ludziom. Ale nic na świecie nie powstrzymałoby Jessiki przed podzieleniem się dobrą nowiną. Czekala tak długo. I trudno było dmuchać na zimne w obliczu tak spontanicznej radości.

Megan uściskała siostrę i pogratulowała jej, lecz w głębi duszy wiedziała, że samolot stoi na pasie startowym. I wszystko może się zdarzyć.

— To było w niedzielę rano — opowiadała ojcu Jessica. — Paulo wyszedł pobiegać. A kiedy wrócił, siedziałam na schodach. Popatrzył mi w twarz i od razu się domyślił.

Było coś jeszcze. Megan zdawała sobie sprawę, że na jakimś poziomie siostrzanej rywalizacji po prostu zazdrości Jessice.

Cieszyła się wraz z nią. Nie mogłaby być szczęśliwsza. Ale Jessie miała męża, dom i uporządkowane życie. Pierścionek na palcu. Ojciec poprowadził ją do ołtarza — oddał, jak to mówią, oblubieńcowi. Miała swojego Paula, który wyszedł pobiegać w niedzielę rano, a potem wrócił, usłyszał dobrą nowinę i przytulił ją do piersi.

Ja nie mam Paula, pierścionka i mieszkania z różową albo niebieską dziecinną sypialnią, myślała Megan. Mam tylko nabrzmiały brzuch i wynajętą klitkę w Hackney.

Megan była w dwunastym tygodniu, a Jessica w czwartym lub piątym. Megan była świeżo po badaniach prenatalnych, które nie wykazały żadnych anomalii chromosomowych ani ryzyka zespołu Downa. Dziecko wyglądało na normalne i szczęśliwe, jego serce biło silnie i regularnie. Data, którą podała Megan, z każdym dniem wydawała się bardziej realna. „Mówi wasz kapitan. Osiągnęliśmy wysokość przelotową. Możecie państwo odpiąć pasy i wstać z fotela. Na pewno urodzicie to dziecko”.

Jessicę dzieliły dwa miesiące od badania prenatalnego. Megan wiedziała, że jej siostra nie zdaje sobie sprawy, jak ważny to będzie test i jak straszne jest to paraliżujące czekanie, gdy wstrzymuje się oddech, by usłyszeć, jakie jest prawdopodobieństwo wystąpienia zespołu Downa. Kiedy jest wyższe niż trzysta do jednego, trzeba przeprowadzić dalsze testy — nazywają je badaniem inwazyjnym — żeby ustalić, czy dziecko rzeczywiście może się okazać niepełnosprawne.

Najgorsze jest jednak to, że badanie inwazyjne — zastrzyk w kark płodu — może zabić zdrowe dziecko. Dlatego kiedy medyczni bukmacherzy dają ci szanse mniejsze niż trzysta do jednego, trzeba podjąć decyzję. Czy godzić się na badanie inwazyjne i ryzykować, że dziecko umrze? Czy ryzykować, że będzie niepełnosprawne? Jak w ogóle można dokonywać takich wyborów w stosunku do czegoś tak niewinnego i bezbronno jak własne nienarodzone dziecko i mieć całkowitą pewność, że postąpiło się właściwie?

Megan pokonała już tę konkretną przeszkodę. Jeśli czekały ją następne, powinny się pojawić bliżej wyznaczonej daty porodu. Podczas lądowania.

W dwunastym tygodniu płód Megan miał już niezaprzeczalnie ludzkie cechy. Na zdjęciu — Megan wciąż myślała o tej dojrzewającej w niej rzeczy „ono”, mimo że płęć dziecka była już genetycznie zaprogramowana — Małe Ono krzyżowało nogi i przebierało palcami. Miało olbrzymią głowę zajmującą prawie

połowę ciała i kiwającą się do przodu, jakby była za ciężka, żeby ją unieść. I w co naprawdę trudno było uwierzyć, ssało kciuk. Małe Ono miało osiem centymetrów długości i ważyło osiemnaście gramów.

W czwartym tygodniu płód Jessiki był jeszcze zbyt mały, żeby można go było zobaczyć bez szkła powiększającego — miał mniej więcej jedną piątą milimetra długości. Czy to było prawdziwe dziecko? To już zależało od Jessiki.

— Paulo likwiduje swój gabinet — oznajmiła. — Wyrzuca stamtąd wszystko i przerabia na pokoik dla dziecka. Już zaczął. Wywalił wszystkie półki. To będzie najpiękniejszy pokój dziecienny na świecie.

Chociaż jej własny stan wciąż wydawał się Megan trochę nierealny, wiedziała jako lekarka, że prawie nic nie powstrzyma teraz jej dziecka przed urodzeniem. Tymczasem dziecko Jessiki wciąż walczyło o życie.

Mimo to zdała sobie sprawę z zabawnej rzeczy.

To dziecko Jessiki było tym, które miało zabezpieczoną przyszłość.

Cat sączyła szampana. Tylko ona i ojciec popijali mumma, wydobytego z głębin lodówki Shenyang Tiger. I obserwując dwie ciężarne siostry — Jessicę tryskającą radością i Megan o wiele bardziej wyciszoną, lecz bezsprzecznie zadowoloną, że zdecydowała się zachować to dziecko — Cat zdała sobie sprawę, że jej życie osobiste rozlaźni się między palcami.

Megan miała swoją pracę i dziecko w drodze. Pogodzenie jednego i drugiego mogło okazać się trudne, ale za rok powinna być dyplomowaną lekarką i matką. Bez względu na to, jakie trudy czekały ją w Hackney, tego rodzaju pełne życie miało w sobie coś, co budziło zazdrość.

A Jessica... Cat nigdy jeszcze nie widziała kogoś tak szczęśliwego. Jej siostra znalazła ostatni kawałek układanki. Mężczyzna, małżeństwo, dom — a teraz dziecko. Cat cieszyła się

wraz z nią. Wiedziała bowiem, że bez tego ostatniego elementu cała reszta pozbawiona jest dla Jessiki znaczenia.

A co ze mną? — pomyślała. Coja mam? Co odróżni następny rok od tego, który właśnie mijał?

To było niemal zabawne. W swoim życiu zawodowym była zawsze bezwzględna. Pracując ciężko, wiedząc, kiedy trzeba uczynić następny krok, odnajdując swoją mentorkę w Brigitte, a później robiąc wszystko, żeby ją zadowolić.

Czuła jednak, że w życiu osobistym stała się beznadziejnie pasywna, że dryfowała tam, dokąd zagnał ją wiatr. Lubiła się uważać za inteligentną kobietę. Jednak ile inteligencji wymaga wegetowanie na automatycznym pilocie?

— W drodze jest kolejne pokolenie Jewellów — powiedział ojciec, trzymając za ręce Jessicę i Megan, ale spoglądając na Cat i unosząc kpiąco brew. — Ty następna, Cat.

— Ja nie — zaprotestowała. — Jestem od nich trochę ostrożniejsza.

Rory... co miała mu do zarzucenia? Miły, troskliwy i widać było, że za nią szaleje. Ale przeszłość Rory'ego nie chciała położyć się i umrzeć. Nie mogła. Nigdy. Ponieważ w grę wchodziło dziecko. Ponieważ jego była żona zawsze będzie obecna. Ponieważ poddał się tej głupiej operacji.

Obserwując swoje siostry i ojca, Cat pytała się w duchu, czego potrzebuje do szczęścia. Pracy, którą uwielbiała, porządnego mieszkania, swojej własnej przestrzeni. Dzieci nigdy nie było na tej liście. I nie było ich na tej liście teraz. Ale może chciała *móc* je mieć. Nawet gdyby nigdy nie urodziła tych małych bachorów, miło byłoby pomyśleć, że mogłaby je mieć, gdyby naprawdę zechciała. Gdyby kiedykolwiek zmieniła zdanie. Na tym polegał problem z Rorym. Nie lubiła mieć ograniczonych opcji.

Mimo to, kiedy słuchała opowieści siostr o zmęczeniu, mdłościach i nabrzmiąłych piersiach — i domyślała się obaw Megan, która musiała zmieścić się razem z dzieckiem w małym mieszkanku w Hackney — Cat ogarniało bardzo łatwe

do zidentyfikowania uczucie, które było tak silne, że kręciło jej się od niego w głowie. Uczucie ulgi.

A potem Megan musiała nagle wyjść. Przed popołudniowymi godzinami przyjęć czekało ją kilka wizyt domowych w Sunny View. Cat musiała wracać do Mamma-san. Pożegnały się więc na Gerrard Place, obok długiego szeregu wozów strażackich przy remizie w Soho.

Jack i Jessica nie chcieli jeszcze wracać do domu. Weszli do domu towarowego John Lewis, wjechali na piąte piętro i wędrowali między wózkami dla dzieci, łóžeczkami, spacerówkami, śpiworami, pajacykami oraz wieloma innymi rzeczami, których nawet nie rozpoznawali — ochraniaczami na krany, podgrzewaczami do butelek, sterylnymi pojemnikami na zużyte pieluszki, wszystkimi tymi produktami, które pojawiły się na rynku od czasu, gdy córki Jacka Jewella wyrosły z krótkich majteczek.

Choć nie mówili o tym na głos, oboje wiedzieli, czego życzą dziecku Jessiki oraz dziecku, które Megan nosiła w łonie, przemierzając osiedle Sunny View, i było to życzenie, które dojrzewa w ścianach każdego rozbitego domu.

Życzyli im rodziny zbudowanej na znacznie mocniejszych podstawach niż ta, którą znali.

Rory odwiedził Megan. Przyjęła go w przychodni po godzinach — drobna uprzejmość wyświadczona dawnemu nauczycielowi sztuk walki. Żadne z nich nie powiedziało nic Cat.

— Miałem operację. Pod koniec mojego małżeństwa. No wiesz. Wasektomię.

Teraz zrozumiała, dlaczego nie chciał o tym mówić przez telefon. To był dla niego ważny problem, którego nie rozwiązuje się w trakcie rozmowy telefonicznej.

— Moja siostra chyba o tym wspomniała.



— A teraz... no cóż, nie jestem pewien, czy dobrze zrobiłem. To znaczy, wiedziałem, że nie chcę mieć więcej dzieci z moją żoną. Moją była żoną. A ona z pewnością nie chciała mieć więcej dzieci ze mną. Ale być może to było zbyt drastyczne posunięcie.

— To częsty problem — stwierdziła Megan.

Rory zdziwił się.

— Naprawdę?

— Potrafimy kontrolować naszą reprodukcję. Ale nie bardzo kontrolujemy nasze życie osobiste.

— Chcesz powiedzieć, że spotkałeś się już z czymś takim?

— Z czym? Z mężczyznami, którzy żałują, że poddali się wasektomii? Więcej razy, niż potrafię zliczyć. Widziałam również kobiety, które się wysterylizowały i żałują tego do końca życia.

— Myślałem chyba... no nie wiem... że jestem jedyny. To brzmi głupio.

— Wcale nie. Nikt nie opowiada o tego rodzaju rzeczach. Ponieważ o czym to świadczy?

— Że jestem kompletnym durniem, który popaprał sobie życie.

— Ostro powiedziane. Moim zdaniem świadczy o tym, że podjąłeś jedną albo dwie błędne decyzje. Chociaż jestem pewna, że w tamtym czasie wydawało się to świetnym pomysłem. Jak mogę ci pomóc, Rory?

— Chcę wiedzieć, czy jest możliwe odwrócenie tego, co mi zrobiono.

Megan zetknęła się z tym problemem już wcześniej. Mimo że miała ograniczone doświadczenie, nie była to pierwsza rozmowa na ten temat. Może w ten właśnie sposób zostaje się prawdziwym lekarzem, pomyślała — poznając stale te same scenariusze ludzkiego bólu, nieszczęścia i choroby, aż w końcu twoja odpowiedź staje się automatyczna. Jedyna różnica polegała na tym, że tym razem miała przed sobą mężczyznę, który kochał jej siostrę.

— Po pierwsze, powiedzieli ci chyba, że ten zabieg jest w zamierzeniu nieodwracalny.

— Zrobili to.

— Po drugie, nie powinieneś mu się nigdy poddać, jeśli dopuszczales najmniejszą możliwość, że będziesz tego kiedykolwiek żałował.

— Wiem. Teraz żałuję.

— Ale czasami oczywiście w życiu wszystko się zmienia. Któregoś dnia budzisz się i świat wygląda inaczej. Nie chcesz dzieci z kobietą, z którą się ożeniłeś. Po latach spotykasz jednak kogoś nowego i wydaje ci się, że chcesz z tym kimś mieć dzieci. Na przykład, no nie wiem, z moją siostrą.

— Więc mogą zoperować mnie ponownie? Mogą cofnąć to, co zrobili?

— To się robi bez przerwy. Odwrócenie nie jest problemem. Niestety jest mało prawdopodobne, że będziesz znowu płodny. Jest mało prawdopodobne, że twoja sperma będzie miała ten sam stopień ruchomości co wcześniej. Może będzie miała, może nie. Ale jest jedna rzecz, której nauczyłam się dopiero po ukończeniu akademii.

— Co to takiego?

— Nigdy nie wiesz, kiedy dopisze ci szczęście. Muszę ci jednak szczerze powiedzieć, że masz niewielkie szanse. Tak to wygląda. Przykro mi, że nie mam dla ciebie lepszych wiadomości.

— W porządku.

— A swoją drogą... ale to w końcu nie moja sprawa.

— Mów śmiało.

— Nie sądzę, żeby moja siostra chciała mieć dzieci.

— To dobrze. To wspaniale. Bo wiesz co? Ja też ich nie chcę.

## 9.

Koniec przychodzi nieoczekiwanie, pomyślała Cat.

Wydaje ci się, że panujesz nad sytuacją. I że to ty decydujesz, kiedy jest już po wszystkim. A potem wszystko nagle się rozlaź i uświadamiasz sobie, że nad niczym nie panujesz.

Byli teraz tylko we dwoje. Tak jak lubiła. Jake był z powrotem u swojej matki, ojczyma i przyrodniej siostry — trochę to skomplikowane, nieprawdaż? — i Cat mogła nocować u Rory'ego, nie zderzając się w drzwiach z nikim, kto miał pryszczę na twarzy.

Ale któregoś dnia późnym wieczorem, kiedy Rory rozlał do kieliszków coś czerwonego i treściwego, zauważyła, że opróżnił gościnnie pokój. Tam właśnie trzymał rzeczy, których potrzebował w pracy — białe kaftany i spodnie do karate, kolorowe pasy w celofanowych opakowaniach, czarne i czerwone skórzane podkładki do ciosów dłonią i stopą. Teraz to wszystko zniknęło i pojawiła się paczka z IKEA. Z pojedynczym łóżkiem.

— Pomyślałem, że przygotuję pokój dla Jake'a — powiedział, stając wraz z nią w progu. — To nie w porządku wobec chłopca, kazać mu zawsze spać na sofie.

— Ale... ale co będzie z rzeczami, których potrzebujesz do pracy?

Ale co będzie z nami? — miała zamiar zapytać.

Rory podał jej kieliszek i wzruszył ramionami.

— Mogę je trzymać w dōjō. Najważniejsze, żeby Jake czuł się tutaj mile widziany. — Popatrzył na nią i stwardniały mu rysy. — O co chodzi?

— O nic.

— Daj spokój, Cat. Jesteś wkurzona, bo przygotowuję pokój dla Jake'a. Widzę to. Mam syna... nie potrafisz tego zrozumieć?

— A ja nie mam syna. Nie potrafisz tego zrozumieć?

— Nie zamierzam się z tobą kłócić. Nie mogę przepraszać za to, że mam dziecko.

— Nie chcę, żebyś mnie przepraszał. — Nagle poczuła, jak ogarnia ją olbrzymi smutek. Nie chciała tego. — Po prostu... nie wiem. Chciałabym tylko, żeby terażniejszość znaczyła dla ciebie tyle samo co przeszłość.

— Posłuchaj. Wszystko będzie dobrze. Kiedyś ty i Jake się przecież kochaliście. To po prostu trudny wiek.

— Dla niego czy dla mnie? — Cat potrząsnęła głową. — To raczej nie ma sensu. Chcesz, żeby twój syn czuł się tutaj jak w domu. Nie ma w tym nic złego. Jaka bezduszna jędzą miałyby coś przeciwko temu? Myślę sobie tylko... że chyba nie powinniśmy się tak często widywać.

Rory zmienił się na twarzy.

— Bo chcę zrobić trochę miejsca dla mojego syna?

— Bo ja potrzebuję trochę więcej miejsca dla siebie. To moja wina, nie twoja. Chcesz, żeby twój syn czuł się jak u siebie w domu. To przecież naturalne.

Odejście od niego też wydawało się naturalne. Skoro zamierzała znaleźć w swoim życiu coś innego, musiała mieć — jak nazywali to we wszystkich czasopismach?

Czas na rozejrzanie się. Nazywali to czasem na rozejrzanie się.

W ramach szkolenia zawodowego Megan raz w tygodniu jechała autobusem do miejscowego szpitala i razem z tuzinem innych stażystów omawiali medyczne problemy.

Nazywała w myślach te spotkania „medycznymi porankami przy kawie”, ale dostrzegała również płynące z nich pożytki. A zatem to nie dotyczy tylko mnie, pocieszała się za każdym razem, gdy dobiegały końca. Wszyscy przeżywamy ten koszmar.

Inni stażyci reprezentowali wszystkie rasy i klasy społeczne — prawie połowa pochodziła z Azji — lecz mimo to Megan nie miała wątpliwości, że wszyscy byli ludźmi podobnymi do niej. Dobiegającymi trzydziestki prymusami o uśmiechniętych twarzach, akademickimi wirtuozami, którzy zaczynali sprawiać wrażenie lekko podłamanych. Doszła do wniosku, że ustanawiając ten rytuał, ich zwierzchnicy postąpili całkiem mądrze. Ponieważ nie mogli rozmawiać o tym, co widzieli, ze znajomymi i rodziną. Nikt spoza branży nie potrafił ich zrozumieć.

— Mam pacjentkę, którą regularnie bije mąż — oznajmiła młoda blondynka; w wypowiedzianych przez nią samogłoskach pobrzmiwało echo klubów jeździeckich i odziedziczonej zażenności. — Przychodzi raz w tygodniu, pokaleczona i posiniaczona, czasami ze złamanym żebrem. Nie wiem, czy mam o tym zawiadomić władze.

Młody otyły Chińczyk spojrział na nią przez okulary w czarnych oprawkach.

— Co cię powstrzymuje?

— Zaaranżowane małżeństwo — westchnęła blondynka. — Boję się, że jeśli do drzwi zapuka policja, ten bydlak albo jego krewni zabiją ją.

— Różnice kulturowe — zadrwił młody gładki Hindus. — Czy to nie jest coś cudownego?

— „Proszę nikomu nie mówić” — warknął Chińczyk. Jego akcent był dziwną mieszaniną dialektu kantońskiego i cockneya. Każde słowo brzmiało w jego ustach jak komenda. — Nigdy nie wniesie skargi, bo to tylko pogorszy jej sytuację. Takie już one są.

— Nie cierpię, kiedy mówią, żebym zdechła — stwierdziła ubrana w minispódniczkę młoda Pakistanka, wyglądająca na

licealistkę przed maturą. — Zauważyliście to? Robią tak, kiedy nie daje im się tabletek, których żądają.

— Temazepam — wycedził Hindus. — Zawsze mówią, że-  
bym zdechł, kiedy nie chcę im wypisać recepty na temazepam.

Megan wzięła głęboki oddech.

— Jestem w ciąży — oznajmiła ze śmiechem.

Pozostali spojrzeli na nią. I przez dłuższą chwilę nie odwracali wzroku. Megan zorientowała się, że szczyrzy zęby w kłopotliwej ciszy.

Po kilku miesiącach praktyki ci młodzi lekarze byli przekonani, że widzieli już wszystko. Mężczyznę z pogryzionym przez chomika odbytem. Żony, które spały z młotkiem pod poduszką, nie z obawy przed włamywaczem, lecz własnym mężem. Małoletnie rodzeństwo, zostawione same przez rodziców, którzy wybrali się na tańce.

Na Ibizę.

Groteskową paradę zdziczałych dzieci, narkotyzujących się złodziei, zaniedbanych emerytów, facetów z ptaszkami, które zaklinowały się w odkurzaczu, innych facetów z wszelkiego rodzaju owocami i warzywami tkwiącymi w odbycie, kobiety pobite i skatowane przez mężczyzn, którzy byli pijakami, religijnymi fanatykami albo zazdrośnikami gotowymi posunąć się do morderstwa, wszystkich tych, którzy maltretowali i byli i maltretowani.

W podłych dzielnicach, gdzie mimo obfitości kijów baseballowych ani jedna osoba nie grała w baseball, najświetniejsze umysły ich pokolenia pomagały niedomagającym, chorym i konającym. Widzieli już wszystko i mieli na wszystko receptę.

Ale żeby jedna z ich genialnych, wysoko mierzących siostr zaszła w ciążę? Nigdy nie słyszeli o czymś podobnym.

— Myślę, że wszystko się jakoś ułoży — powiedziała Megan, uśmiechając się z pewnością siebie, której wcale nie odczuwała. — Dziecko urodzi się pod sam koniec stażu, więc będę je

prawdopodobnie karmiła piersią podczas egzaminów. Ojciec nie wie o niczym, ale naprawdę uważam, że dam sobie radę. Prawda?

Wszyscy oni zaszli tak daleko, wszyscy tak ciężko pracowali i tyle zobaczyli, a teraz zaliczali roczny staż przed ostatecznym dopuszczeniem do zawodu. I do tego wszystkiego miało jeszcze dojść dziecko? Dziecko w tym momencie? Wydawało się to perwersją — tak jakby wyczerpany maratończyk wpadł, zataczając się, na stadion i postanowił pokonać ostatnie okrążenie na rękach.

Młodzi lekarze wpatrywali się w milczeniu w Megan, nie gratulując jej ani nie składając wyrazów współczucia. Walcząc na pierwszej linii frontu państwowej służby zdrowia, widzieli już niejedno... ale coś takiego? Można było odnieść wrażenie, że nie do końca jej uwierzyli. Megan przyjrzała się ich kolorowym twarzom. Na wszystkich malował się ten sam wyraz. Czyba robiła sobie z nich jaja?

Domyślała się, co czują.

Czasami sama nie mogła w to uwierzyć.

— Kiedy urodzą dziecko, wszystko się zmienia — powiedział Michael. — Nie tylko ich ciało... chociaż ono też... ale cały światopogląd. — Wypił do końca piwo i dał znak barmanowi, żeby podał następne. Barman zignorował go. — Dziecko staje się centralnym punktem ich życia. A mężczyzny prawie nie widać na ekranie radaru.

Siedzieli w pubie na tyłach Holloway Road. Choć położony był niedaleko ich firmy, nigdy wcześniej go nie odwiedzali. Żaden z nich nie był pijakiem — w języku włoskim nie ma słowa „alkoholik”, powtarzał Baresi senior, kiedy ich angielskim kolegom rosły przed dwudziestką piwne bebechy — i obaj powinni być w tym momencie gdzie indziej. Ale Michael coraz niechętniej myślał o powrocie do domu. Mimo że przesiadywanie w pubie specjalnie go nie uszczęśliwiało.

— Myślisz, że tak właśnie było z naszą mamą? — zapytał Paulo. — Że tato przestał ją interesować?

Michael spiorunował go wzrokiem.

— Nie waż się mówić w ten sposób o mamie.

— Tak tylko myślę. Zawsze wydawała mi się prawdziwą mamą. — Paulo uśmiechnął się na samo wspomnienie. — Gotowała, rozstawiała nas wszystkich po kątach.

Michael także się uśmiechnął.

— Tak, była w tym dobra. Dobra w byciu mamą.

— Może się zmieniała. Może kiedy się pojawiliśmy, staliśmy się dla niej najważniejszą rzeczą na świecie. I może tacie to nie przeszkadzało. Zawsze wydawali się ze sobą szczęśliwi, prawda? Szczęśliwsi niż dzisiejsze pary.

— Wtedy było inaczej. Mężczyźni tacy jak nasz stary podrywali pierwszą dziewczynę, jaka się nawinęła, żenili się z nią i na tym koniec. Praca, dom i żadnych hocków-klocków pomiędzy. Teraz mamy te wszystkie pokusy. Wszystkie te kobiety, które lubią seks tak samo, jak lubią go mężczyźni. Do chwili kiedy zostaną ich żonami.

Patrząc na Michaela, który wpatrywał się ponuro w mroczne wnętrze pubu, Paulo uświadomił sobie, jak blisko czuje się z nim związany, jak bardzo się o niego troszczy. Jak bardzo go kocha.

— Jeśli cię dobrze rozumiem — powiedział — to wcale nie twoja wina, że posuwałaś Ginger od tyłu. To wina twojej żony.

— Mógłbyś mówić trochę ciszej? — Michael rozejrzał się nerwowo dookoła. — Chodzi mi o to, że... robią się z nich straszne mamuśki. Tak naprawdę nie jest ważne, czy mieszka się razem czy osobno. I czy jest się żonatym, czy samotnym. Ważne jest to, czy jest się bezdzietnym, czy dzieciatym. — Michael wytrzymał ciężkie spojrzenie brata. — Kocham moją córkę. Nie mógłbym jej bardziej kochać.

Paulo położył mu dłoń na ramieniu.

— Wiem o tym. Więc przestań łajdaczyć się na lewo i prawo.

Chyba nie chcesz rozwodu? Nie chcesz, żeby Chloe dorastała,



nie mając cię w pobliżu? Chcesz, żeby miała taką samą rodzinę, z jakiej ty pochodzisz. Tak samo solidną.

— Nigdy już nie będzie taka solidna.

— To obłąd, żeby rozbijać rodzinę dla jednego szybkiego numerku. To nie ma sensu. Kochasz swoją rodzinę, Mike. Nie chcesz jej stracić.

— Ginger jest naprawdę wyjątkowa.

— One wszystkie są wyjątkowe, kiedy ci stają, Michael. Ale to przecież mija. Ta chcica. Ta pasja. Ten... no nie wiem... głód. To wszystko przechodzi. Wiesz o tym lepiej ode mnie... tyle miałeś dziewczyn. Lecz na tym, co łączy cię z Naoko, budujesz całe swoje życie.

Michael zwiesił głowę.

— Kocham Naoko. I kocham Chloe. Ale odkąd się urodziła, zastanawiam się, jak można mieć w życiu tak dużo miłości i tak mało radości.

— Więc tym według ciebie jest radość? Bezsensownym seksem z prawie obcą osobą?

— To dopiero początek.

— Ty głupi sukinsynu. To Naoko ma prawo cierpieć na depresję poporodową. Nie ty.

Z nami będzie inaczej, pomyślał Paulo. Z Jessicą i naszym dzieckiem.

Nie martwiły go bezsenne noce, ząbkowanie, zmienianie pieluszek i wszystko, co trzeba będzie jeszcze robić. Nie przejmował się nawet tym, że dziecko stanie się najważniejszą sprawą w życiu jego żony i będą uprawiać seks wyłącznie po wcześniejszym ustaleniu terminu. Godził się, żeby tak bardzo kochała ich dziecko. Zastugiwało na to, żeby być kochane bardziej od niego.

To, co się działo z Michaeliem, Naoko i Chloe, nigdy im się nie zdarzy. Im się uda. Musimy tylko, pomyślał Paulo, przetrwać jakoś następne dziewięć miesięcy. To wszystko.

A potem zostawił brata w tym nędznym pubie i wróciwszy do domu, do ciężarnej żony, przyłożył delikatnie ucho do jej

wciąż płaskiego brzucha i pełni niezmałconej niczym radości nasłuchiwali bicia drobnego serca, czekając na jakiś cichy sygnał ze środka ich wszechświata. I była to najwspanialsza rzecz na ziemi.

Tydzień czternasty, pomyślała Megan, wspinając się z trudem po prowadzących do przychodni schodkach. Słyszała, jak jakiś ogolony na łyso facet w brudnej kamizelce krzyczy na recepcjonistkę, że zna swoje prawa.

Tydzień czternasty, pomyślała, gładząc się krzepiącym gestem po brzuchu, choć właściwie nie wiedziała, czy chce pokrzepić dziecko, czy samą siebie. Wypukłość była coraz większa, jej ubrania coraz ciasniejsze. Dziecko uczyło się ssać swój malutki paluszek. To działa się naprawdę.

W przychodni leżała broszurka, zatytułowana *Twoje pierwsze trzy miesiące*, pełna sensownych rad dla prowadzących uporządkowane życie przyszłych matek.

Włącz w to swojego partnera. Znajdź czas na codzienną drzemkę. Nie walcz ze zmęczeniem. Zaopatr się w odpowiedni biustonosz do karmienia. Poproś partnera o kojący masaż. Regularnie pływaj. Rozmawiaj ze swoim partnerem. Nie cierp w milczeniu.

Zaglądała do tej broszurki, kiedy chciała się trochę pośmiać.  
— Megan?

To był Will, podenerwowany i cały w pąsach, i przez kilka chwil była absurdalnie zadowolona, że go widzi. Włącz w to swojego partnera, pomyślała. Poproś partnera o kojący masaż. Ale Will nie był już jej partnerem i nie był ojcem jej dziecka. Wysłał jej całą serię SMS-ów, które skasowała bez czytania. Co tu było do powiedzenia? A mimo to czuła słodko-kwaśny żal, że ta droga jest już dla niej zamknięta.

Gdyby kochał tylko ją, wciąż byliby razem. Połączyliby się prawdopodobnie małżeńskim węzłem i doczekali po jakimś

czasie słodkiej gromadki, która spędzałaby niedziele ze swoimi kochanymi dziadkami w Hampstead Garden Suburb. Teraz nie chciała nawet czytać jego SMS-ów. Jak szybko chcemy zapomnieć tych, których kiedyś kochaliśmy, pomyślała.

— Dobrze wyglądasz, Megan.

Byli ze sobą tak blisko. Dlatego ucieszył ją jego widok. Nie wiedziała, czy będzie jeszcze kiedyś tak blisko z jakimkolwiek mężczyzną. W studenckich czasach tracili ze sobą tyle bezcennego czasu. Kiedy rozmawiali przez długie nocne godziny, opowiadając sobie sekrety duszy i dzieje swojego życia. Kiedy nie spali, bo nie mogli znieść myśli, że będą osobno. Kiedy palili, pili i oglądali wschodzące słońce.

Nie chodziło o to, że nie znajdzie lepszego faceta od Willa, lecz o to, że nigdy już nie będzie miała tyle czasu do zmarnowania. Zdała sobie sprawę, jak bardzo jest samotna.

— Chcę do ciebie wrócić, Megan.

To było niemożliwe. Z powodu tego, co zrobił. Z powodu tego, co ona zrobiła. Najlepiej mieć już to za sobą.

— Jestem w ciąży, Will.

Opadła mu szczęka.

— Nie z tobą — dodała szybko.

Zawsze uważała za mało realistyczną scenę z *Czterech wesel i pogrzebu*, tę, w której Andie McDowell opowiada Hughowi Grantowi swoją seksualną historię, a on robi tylko wielkie oczy i powtarza bez przerwy: „Kurczę blade, ja cię kręcę, to ci dopiero!”.

Zawsze uważała, że jego reakcja była nieco zbyt postępową.

— Ty dziwko — wykrztusił Will, z twarzą czerwoną z gniewu, w ogóle niepodobny do Hugh'a Granta i z trudem powstrzymujący się od płaczu. — Ty cholerna dziwko!

Mężczyźni nie oczekują w dzisiejszych czasach dziewictwa, pomyślała, z całą pewnością zależy im jednak na iluzji czystości. Prawda? Oni nie są w stanie znieść prawdy!

— Kto to jest, ty wredna dziwko?! Zabiję go!  
Wirtualna czystość, pomyślała. Wszyscy tego pragną.  
Ale to niemożliwe, kiedy jest się przy nadziei.

Jessica przekroczyła z dumą i nieśmiałością próg sklepu dla ciężarnych matek.

Kobiety w różnych stadiach ciąży sunęły powoli między regałami, zdejmując z wieszaków przeznaczone dla nich stroje — bojówki z wszytą w pasie rozciągliwą gumką, kwieciste suknie oraz czarne wizytowe spodnie z taką gumką. Wszelkiego rodzaju ciążowe ubiory dla wszelkiego rodzaju przyszłych matek.

Co jakiś czas gładziły czule swoje wystające brzuchy — obronny gest, na którego wykonywaniu Jessica złapała się już kilka razy, masoński uścisk dłoni ciężarnych kobiet.

To miejsce różniło się od innych sklepów z odzieżą. Nie było tu siedzących na kanapkach znudzonych mężów albo chłopaków. Nikt się specjalnie nie spieszył. Kobiety wyglądały tak, jakby miały nieskończoną ilość czasu. Często wymieniały parę zdań z ekspedientkami i ich rozmowy wydawały się połączeniem rzeczy trywialnych i doniosłych. „Czy oprócz zielonych może pani mi podać te bojówki khaki? Mam wyznaczony termin w przyszłym miesiącu”. Jessica nie mogła przestać się dyskretnie uśmiechać. Ponieważ czuła, że ma prawo tu być.

Zdjęła z wieszaka różową sukienkę w kwiatki. Zauważyła, że niektóre z ubrań nie różniły się od tego, co mogłyby włożyć do baru czy klubu młode, niebędące w ciąży kobiety. Być może spodobałyby się Megan, lecz nie jej. Za to różowa kwiecista sukienka świetnie pasowała do jej wyobrażeń o tym, jak powinien wyglądać ciążowy ubiór.

— Ładna, prawda? — powiedziała ekspedientka.

Jessica uśmiechnęła się.

— Podoba mi się.

— Nie ma powodu, żeby nie wyglądać w ciąży stylowo i seksownie. Nasza firma chce, żeby nosiła pani swój brzuch z dumą.

Jessica zerknęła w dół.

— Niech pani się nie martwi — powiedziała z uśmiechem ekspedientka. — Jeszcze urośnie, może pani być tego pewna. Zgaduję, że jest pani mniej więcej w trzecim miesiącu?

— Właściwie jeszcze nie.

— Chce pani przymierzyć tę sukienkę?

Dlaczego nie? Jessica należała teraz do klubu. I chociaż normalne ubrania wciąż na nią pasowały, nie było żadnego powodu, żeby nie zacząć kompletować garderoby na nadchodzące miesiące. Zawsze robiła wszystko z pewnym wyprzedzeniem.

Odeszła z pracy, żeby urodzić dziecko, jeszcze zanim zaszła w ciążę. Opowiedziała wszystkim, że jest ciężarna, zanim minął trzeci miesiąc. A teraz wybrała się na zakupy do specjalnego sklepu, mimo że wciąż miała w pasie dwadzieścia osiem cali. Wszystko dlatego, że nie mogła się doczekać, nie mogła się wprost doczekać, żeby wziąć na ręce swoje dziecko, stworzyć porządną rodzinę i uznać, że wszystko jest znowu w najlepszym porządku.

Była w przymierzalni, wciąż w starym ubraniu, kiedy poczuła, że robi jej się mokro w butach. Nie mogła tego zrozumieć. Tego, że ma mokro w butach. Dlatego nie uświadomiła sobie, że zaczęła krwawić. Bo jedyną rzeczą, jaką poczuła, była ta wilgoć w butach.

Przestraszona zaczęła ściągać z siebie ubranie i wtedy właśnie zobaczyła krew na rękach i na niezakupionej sukience, i poczuła, jak jej serce zalewa fala paniki.

Mokre buty, cała ta krew i sukienka w kwiaty, którą trzymała w rękach i na której nie wiadomo skąd również pojawiły się czerwone plamy.

Moje kochane maleństwo.

## 10.

W pierwszej chwili wydawało mu się, że to Jessica.

Coś w owalu jej twarzy i rozstawieniu oczu sprawiło, że przez sekundę Paulo pomyślał: to ona.

Łatwo było popełnić taki błąd z drugiego końca korytarza, ze starganymi po szaleńczej jeździe nerwami, zwłaszcza że tak strasznie chciał ją zobaczyć. Ale to była jedna z siostr Jessiki. Megan. Popijająca kawę, na którą nie miała ochoty. Czekająca na niego. Kiedy do niej podbiegł, podniosła wzrok.

— Czy nic jej nie jest? Dobrze się czuje?

— Jessice nic nie grozi, rozumiesz, Paulo? Ale krwotok był bardzo silny. Musieli zrobić coś, co nazywa się czyszczeniem szyjki i jamy macicy.

Paulo starał się ją zrozumieć. Jak mogło do tego dojść?

— To standardowa procedura. Bardzo prosta. Cała operacja jest krótka. Nie ma się czym przejmować.

— Ale Jessice nic nie będzie?

— Tak, Paulo. Zapewniam cię, że Jessica będzie zdrowa.

— I dziecko też będzie zdrowe?

Megan wbiła w niego wzrok i wzięła głęboki oddech.

— Paulo... Jessica straciła dziecko.  
— Co?  
— Jessica poroniła.  
— Poroniła? — Paulo pokręcił głową, próbując to sobie przyswoić. — Nie mamy już dziecka?  
— Tak mi przykro.  
— Ale... przecież robią jej operację?  
— Czyszczenie szyjki i jamy macicy robi się po to, żeby niczego w niej nie zostawić. Ponieważ to mogłoby spowodować zakażenie.

Paulo zapadał się na jej oczach w sobie.

— Straciliśmy dziecko...  
— Ty i Jessica będziecie jeszcze mieli któregoś dnia piękne dziecko.

Paulo znowu pokręcił głową. Jak to się mogło stać?

— Ale co złego zrobiliśmy?  
— Nie zrobiliście nic złego. Wiem, że to straszne. Ale to zdarza się codziennie. Jedna ciąża na cztery...  
— Gdzie ona jest? Gdzie jest moja żona?

Megan wskazała drzwi za swoimi plecami. Paulo skinął jej głową, otarł łzy wierzchem dłoni i wszedł do środka.

A Megan wyjęła komórkę i ignorując karcące spojrzenia dwóch przechodzących pielęgniarek, zadzwoniła ponownie do Cat i ponownie usłyszała wyłącznie metaliczny głos automatycznej sekretarki.

Moja kochana żona, pomyślał.

Pokój oświetlony był wyłącznie brzęczącą jarzeniówką, zamontowaną za łóżkiem Jessiki, lecz nawet w tym sterylnym półmroku widział wszystko na jej twarzy. Ubytek krwi. Rozpacz. Skrajne wyczerpanie. A przede wszystkim straszliwe brzemię utraconego życia.

Siedziała wsparta na poduszkach, ale mogło się zdawać, że śpi. Paulo przysunął krzesło do łóżka i wziął ją za rękę. A potem

przytulił twarz do szpitalnej pościeli i łkając w wykrochmalone prześcieradło, poczuł, jak dławi go żal.

— Przepraszam — szepnęła Jessica.

— Musisz użyć kondomu — powiedziała Cat. Chłopak uśmiechnął się i pociągnął za skraj swojej wełnianej czapeczki w stylu Justina Timberlake'a.

— Ale ja chcę poczuć, że w tobie jestem.

Wyciągnął do niej ręce, a ona przytrzymała go lekko za nadgarstki.

— Możesz poczuć mnie przez kondom albo dziś w nocy będziesz czuł tylko własną rękę. — Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie, lecz stanowczo. — Wybór należy do ciebie.

— Zobaczę, może coś znajdę — mruknął, po czym wyszedł, żeby obudzić swojego współlokatora.

Zdjął koszulę zaraz po tym, jak weszli do mieszkania. Może myślał, że jego opalony, napompowany tors odwróci jej uwagę od łuszczących się ścian. Teraz, kiedy została sama, poczuła się tu nagle obco. Dookoła widziała pudła po pizzy, stosy brudnych ubrań i niedopałek skręta w popielnicze. Przyszła do jego domu, żeby obudzić swoje ciało. Ale czy naprawdę chciała je obudzić w tym miejscu?

Spotkali się w klubie, do którego zachodził personel kuchenny Mamma-san. Spodobała jej się jego czapeczka. Zatańczyli ze sobą. Zapytała, jak ma na imię, i zaraz je zapomniała — Jim? John? Wstydzila się ponownie zapytać, a zresztą było jej wszystko jedno.

Całowali się — to śmieszne, myślała, żeby ślinić się jak nastolatki — ale nikt na nich nie patrzył. Rozmowa była ograniczona do minimum, muzyka zagłuszała słowa, lecz jej wcale to nie przeszkadzało. Miała dosyć gadania.

Chłopak wrócił z opakowaniem trzech prezerwatyw, drapiąc się po wytatuowanym bicepsie, i uświadomiła sobie nagle, że chce wracać do domu. Jej ciało z całą pewnością potrzebowało



przebudzenia, ale postanowiła, że da mu jeszcze trochę pospać. I było coś jeszcze, choć wiedziała, że to szaleństwo.

Jeśli miała je obudzić, pragnęła chyba, żeby to się stało z Rorym.

— Przepraszam — powiedziała — ale muszę już iść.

— Dlaczego?

Wzruszyła bezradnie ramionami, przypominając sobie maksymę, której nauczyła się kiedyś pod szarym manchester-skim niebem.

Pożądanie sprawia, że wszystko zakwita; posiadanie, że wszystko więdnie i blaknie.

— Co się stało?

— Właśnie dostałam okres.

Bała się, że może zareagować niesympatycznie, ale on zdjął tylko swoją wełnianą czapeczkę i potrząsnął ogoloną na lysy głową. Wezwał jej nawet taksówkę.

— Kiedy patrzę na was, nowoczesne dziewczyny, mam ochotę się śmiać — powiedział, kiedy wychodziła. — Same nie wiecie, czego chcecie, prawda?

Nie mogła mu odmówić racji.

Nietrudno jest kogoś poznać, pomyślała nazajutrz rano, jedząc sama śniadanie w Starbucks przy końcu ulicy. Ale jak poznać kogoś, kto nosi wełnianą czapeczkę tylko wtedy, kiedy robi się zimno na dworze?

Jak poznać kogoś dobrego?

A potem włączyła komórkę, wysłuchała wiadomości Megan i odwróciła się plecami do chłopców i dziewczyn, którzy wracali z całonocnej imprezy, żeby nigdy nie zgadli, jak bardzo się od nich różni.

Paulo zaciągnął zasłony, zamknął na trzy spusty frontowe drzwi i odgrodził ich od świata. A potem wszedł do salonu i sprawdził, jak się czuje Jessica. Leżała na sofie z podniesionymi stopami, kartkując leniwie jedno z kupionych przez niego kolorowych czasopism.

— Zrobię nam coś do jedzenia — powiedział, a kiedy podniosła wzrok i na jej wybladłej twarzy pojawił się uśmiech, poczuł, że w oczach znowu stają mu łzy. Musiał się opanować.

— Na co masz ochotę, Jess?

— Może być cokolwiek — odparła, potrząsając głową i nie przestając się uśmiechać.

Paulo poszedł do kuchni i zaczął szukać w lodówce czegoś, co by ją wzmocniło. Makaron z mięsnym sosem i może zieloną sałatkę, jeśli znajdzie jakieś warzywa. Trochę czerwonego wina. Chciał przyrządzić swojej żonie porządny posiłek.

Ludzie myśleli, że kocha Jessicę z powodu jej urody. I oczywiście od tego się zaczęło. Ale Jessica miała w sobie rodzaj cichej odwagi, nie była wcale taka krucha, na jaką wyglądała. Można to było poznać po tym, jak podnosiła głowę, kiedy wszystko mówiło jej, żeby ją zwiesiła i opuściła oczy.

Patrząc na kogoś, zadzierała w górę podbródek i myślał o tym prostym gościu, przygotowując im kolację i podchodząc co jakiś czas do drzwi, żeby upewnić się, że nic jej nie jest. Za każdym razem, gdy się pojawiał, Jessica unosiła wzrok znad czasopisma, uśmiechała się i zadzierała podbródek, tak jak to robiła zawsze, a on odwzajemniał jej uśmiech.

Nie musieli nic mówić.

Kiedy posiłek był gotów, wszedł do salonu z tacą, na której stały dwa talerze z parującym spaghetti, dwie sałatki z przywędłej sałaty i rozmiękłych pomidorów oraz butelka najlepszego wina, jakie mieli w domu.

— Specjalność domu — oznajmił. — Słynne baresi bolognese.

Bał się, że odpowie, że nie jest wcale głodna, lecz ona odrzuciła kolorowe czasopismo i zatarła dłonie.

— Chcesz zjeść przy stole, czy na kolanach? — zapytała, podkulając nogi i siadając na sofie.

Paulo spojrział na jej białe stopy i poczuł falę pożądania.

— A ty jak chcesz? — zapytał, stawiając talerze na stoliku

do kawy, po czym zaczął odkorkowywać butelkę barolo. Trzeba pozwolić, żeby trochę odetchnęło, pomyślał.

— Tutaj mi dobrze — powiedziała Jessica.

— Więc zjedźmy tutaj — odparł.

Usiedli zatem przed telewizorem i zjedli kolację, popijając wino i rozmawiając o tym, co czekało nazajutrz Paula w pracy.

Drzwi były zamknięte, zasłony zaciągnięte, siedzieli najedzeni w ciepłym, bezpiecznym wnętrzu i mogło się wydawać, że na całym świecie zostali tylko troje. Jessica, Paulo i ich niewyobrażalne dziecko.

— Co to za piosenka, którą śpiewasz? — zapytała Jessica.

Siedziała u szczytu schodów. Chloe zaczynała się właśnie po nich powoli wspinać, sapiąc i dysząc, jakby zdobywała swój prywatny Everest. Naoko szła tuż za nią, gotowa złapać córkę, gdyby się zsunęła. Chloe pokonywała na czworakach kolejne stopnie, pomrukując z wciśniętym w kącik ust smoczkiem, podciągając różowe kolana i wyrzucając małe rączki wysoko nad głowę niczym pływaczka, a Naoko śpiewała do niej po japońsku.

*Maigo no*

*Maigo no*

*Koneko-chan.*

*Anata no ouchi wa dokodesuka?*

— To naprawdę głupia dziecinna rymowanka — stwierdziła z uśmiechem Naoko. — Opowiada o policjancie, który jest psem i odnajduje zabłąkanego kociaka.

— Ona to uwielbia — zauważyła Jessica.

Nie sposób było temu zaprzeczyć. Chloe była w paskudnym humorze przez cały tydzień. Przez jej obolałe dziaśła przebijał się wielki ząb i mogło ją ukoić tylko kilka ulubionych piosenek.

Lubiła z całej siły żuć — zdecydowanie nie można tego było

nazwać ssaniem — swój smoczek. Lubiła wspinać się po schodach. I lubiła tę japońską kołysankę.

Chloe nigdy nie nudziły rzeczy, które lubiła. Chciała je bez końca powtarzać i wszczynać awanturę, jeśli jej rozkazy nie były respektowane. W tym tygodniu Naoko i Chloe codziennie przychodziły do Jessiki. Obie, Jessica i Naoko, czuły się na swój sposób samotne. Spędzająca cały dzień z Chloe Naoko stęskniona była towarzystwa kogoś dorosłego, a przebywanie razem z Naoko i Chloe goiło jakąś niezabliźnioną ranę w Jessice. Ten układ odpowiadał im obu. Naoko mogła się wreszcie do kogoś odezwać, nie naśladowując dziecinnego gaworzenia. Jessica cieszyła się, że może z kimś posiedzieć w domu, w którym normalnie aż do powrotu męża panowała grobowa cisza.

Jessica zabawiała Chloe, kiedy Naoko przecierała jej jedzenie — mleko zostało odstawione i Chloe przeszła na pokarm stały, który trzeba było jednak utrzczyć, żeby dały sobie z nim radę jej cztery ząbki. Jessica potrafiła ją przewinąć, wykąpać i ukołysać do poobiedniej drzemki. Nie potrafiła tylko zaśpiewać Chloe tej specjalnej piosenki. Miała jednak wrażenie, że zna już na pamięć słowa.

*Maigo no  
Maigo no  
Koneko-chan.  
Anata no ouchi wa dokodesuka?*

— Kotek nie może powiedzieć policjantowi, gdzie mieszka i jak ma na imię — powiedziała Naoko, kiedy Chloe zasapała się dwa stopnie przed szczytem schodów i ryknęła sfrustrowana.  
— Może tylko płakać.

*Maigo no  
Maigo no  
Koneko-chan.  
Anata no ouchi wa dokodesuka?*

*Ouchi o kitemo wakaranai  
Namae o kitemo wakaranai.*

*Miau miau miau miau  
Miau miau miau miau!  
Naite bakari iru koneko-chan.  
Inu-no omawari-san  
Konatte Shimatte.  
Hau hau hau hau  
Hau hau hau hau!*

Chloe zmobilizowała siły i pokonała ostatnie schodki, a Jessica złapała ją i ucałowała z pasją w policzek. Ponownie uderzyła ją świeżość tego dziecka. Zapierający dech zapach mleka i mięty. Wzięła małą na kolana, a Naoko dosiadła się do nich. Ostatnio dobrze się czuły w swojej obecności. Zostały w końcu prawdziwymi przyjaciółkami.

— Powiedz mi, co to znaczy — poprosiła Jessica.

— Spróbuję — odparła Naoko i uśmiechając się, przetłumaczyła słowa piosenki.

*Zabłąkane, zabłąkane... kochane małe kociątko.  
Gdzie jest twój dom?  
Nie wie, gdzie jest jego dom.  
Nie wie, jak ma na imię.  
Miau miau miau miau  
Miau miau miau miau.  
Wciąż tylko płacze.  
Ale pies policjant też zabłądził.  
Hau hau hau hau  
Hau hau hau hau!*

— W tłumaczeniu coś się chyba zagubiło — stwierdziła Naoko.

— Wcale nie — zaprotestowała Jessica. — Nie spodziewałam

się, że pies też zabłądził. Więc teraz oboje się zgubili: mężczyzna i kobieta.

— Raczej pies i kot.

— To urocza piosenka, Naoko.

Siedziały przez chwilę, nie czując potrzeby rozmowy, czekając, aż Chloe złapie oddech i wskaże, że jest gotowa do powrotu do bazy i ponownego ataku na szczyt.

— Widziałam moje dziecko — powiedziała nagle Jessica. — W małej kremowej torebce. Takie malusieńkie. Ale to było prawdziwe dziecko. Mówią nam, że to nie jest jeszcze prawdziwe dziecko, lecz to nieprawda. To było prawdziwe dziecko...

Widziałam ją. Pośród całej tej krwi. Nie miała imienia. I nie wiem nawet, czy to była ona. Może to był mały chłopczyk. Nie wiem. Ale miałam w sobie prawdziwe dziecko, a teraz go nie ma i tego właśnie nie rozumieją, kiedy mówią, że będzie się miało następne, że trzeba się otrząsnąć i nie brać sobie tego tak do serca... Nigdy już nie będę miała tego dziecka. Tego dziecka nie ma. Nie rozumieją tego. Lekarze, pielęgniarki. Myślą, że płaczesz, bo żal ci samej siebie. Nie rozumieją, że oplakujesz to dziecko, które już nigdy się nie narodzi. To dziecko.

Jessica spojrzała na Chloe, która wyla się w uścisku matki, mruzczała coś pod nosem i chciała się uwolnić. Była gotowa do ponownego wspinania się po schodach.

— Michael ma romans — powiedziała Naoko.

Nie musiała mówić nic więcej. Jessica wbiła w nią wzrok.

— Jak on mógł ci to zrobić?

— On nie robi tego mnie. Robi to naszej rodzinie.

— Skąd wiesz?

— Ta kobieta napisała do mnie. Pokazałabym ci ten list, ale go wyrzuciłam. Jest w ciąży. — Naoko gorzko się roześmiała. — Gdybyś ją zobaczyła, pomyślałabyś, że jest już za stara na takie rzeczy. To kobieta z ich firmy. Pracuje jako recepcjonistka w salonie.

Jessica знаła z widzenia Ginger i zawsze uważała, że kiedyś przed laty musiała być piękną kobietą.

— Michael przysięga, że to zamknięta sprawa. Mówi, że ona odeszła z firmy. Przysięga na swoją matkę, że nigdy już się z nią nie spotka. Ale jak mam wierzyć choćby w jedno jego słowo?

Naoko wzięła na ręce córeczkę i przytuliła twarz do jej szyi. Jessica domyśliła się, że ona również wdycha jej zapach — zapach tej niewiarygodnej świeżości. Woń, która zapiera dech. Jak coś może być tak czyste i niezsute?

— Nie jest łatwo odejść, kiedy ma się dziecko — powiedziała Naoko. — To również jej życie. Jej rodzina, którą rozbiję.

Jessica patrzyła, jak Naoko znosi Chloe po schodach i stawia ją ostrożnie na dywanie. Po chwili wróciła na górę i usiadła obok niej. Chloe uśmiechnęła się do nich, uszczęśliwiona, że tym razem będzie się wspinała bez nadzoru.

— Nic jej nie będzie — stwierdziła Naoko. — Na pewno nie spadnie. Jest już w tym dobra.

— Ta — powiedziała Chloe, wskazując palcem wielkości zapalki swoją matkę i Jessicę. — Ta.

To było jej pierwsze słowo, jej jedyne słowo. Michael upierał się, że to skrót od „tata”, ale nie miał racji. „Ta” znaczyło „spójrzcie na siebie”. Znaczyło „o co chodzi?”. Znaczyło „ten śmieszny świat dorosłych”. Znaczyło wszystko, i tak miało być do czasu, kiedy Chloe nauczy się drugiego słowa.

— I co teraz będzie? — zapytała Jessica.

— Nie wiem — odparła Naoko. — Michael mówi, że z nią skończył, i chcę mu wierzyć, ale obawiam się, że kłamie. Mogłabym mu kazać odejść, ale wtedy Chloe będzie dorastała bez ojca. Mogę również pozwolić mu zostać i wtedy będę wiedziała, że żyję z mężem, który woli chodzić do łóżka z kimś innym. Tracę albo ja, albo moje dziecko. Więc nie wiem, co się teraz stanie.

Chloe zaczęła znowu wspinać się po stopniach, a siedzące na górze Jessica i Naoko zanuciły piosenkę, którą tak lubiła, Jessica wtórując niepewnie Naoko i obserwując wraz z nią zdeterminowaną małą buzię.

*Maigo no*  
*Maigo no*  
*Koneko-chan*  
*Anata no ouchi wa dokodesuka?*

Niestrudzona Chloe wspinała się ku nim z błyszczącymi anielskimi oczyma i lśniącymi nowymi ząbkami, a obie kobiety śmiały się, nie bacząc na gromadzące się wokół nich wieczorne cienie.



Część druga

DWUOSOBOWA  
RODZINA

## 11.

Bar Here Pussy Pussy mieści się przy P. Borgos Street w samym sercu manilskiej dzielnicy czerwonych latarni.

Stoi w tym samym miejscu od wojny w Wietnamie. Początkowo jego klientela składała się z szukających odpoczynku i rozrywki amerykańskich żołnierzy. Obecnie stanowią ją pochodzący z Zachodu biznesmeni, którzy pragną się odurzyć i odbyć stosunek. Po przeszło trzydziestu latach w Here Pussy Pussy zmieniła się tylko muzyka.

Na scenie kołyszą się z uśmiechem młode kobiety w bikini, a młodzi mężczyźni w koszulkach z krótkimi rękawami wciąż sączą piwo San Miguel i obserwują leniwy taniec, nie wiedząc do końca, czy są łowcami, czy zwierzyną.

Kirk stał się regularnym gościem Here Pussy Pussy, kiedy stracił pracę w szkole nurkowania w Cebu. Brytyjski właściciel bardzo go przeproszał — kilka miesięcy wcześniej namawiał Kirka, żeby przyjechał na Filipiny z Sydney. Ale turyści wystraszyli się bomb terrorystów i przez większość dni Kirk był sam na swoim statku.

Może powinien mieć większy żal do szefa. Prawdę mówiąc, cieszył się jednak, że udało mu się wyrwać z Australii. Jego dziewczyna bez przerwy rozprawiała o tym, dokąd zmierzają, a Kirk wiedział w głębi serca, że nie jest to z pewnością miejsce,

do którego chciałby trafić. Nigdy nie wątpił, że się z nią ożeni, ale był w błędzie. Nie mógł po prostu udawać, że jest taki sam jak przed wyjazdem. Dwa lata podróży zmieniły go. Zmieniła go znajomość z Megan.

Stracił dziewczynę w Australii i pracę na Filipinach. A teraz podpierał bar w Here Pussy Pussy, obserwując całe połączenie złocistego kobiecego ciała i próbując odwlec moment, gdy piwo zaszumi mu w głowie i zapłaci grzywnę za jedną z barowych dziewczyn — bar pobierał ją za utratę na jeden wieczór swojej pracowniczki.

— Skąd jest? Który hotel mieszka? — Jego ramienia dotknęła szczupła kobieta w zielonym bikini z lycry. — Ty bardzo *gwapo* — stwierdziła, biorąc jego twarz między kciuk i palec wskazujący.

— Dziękuję — odparł Kirk, choć zdawał sobie sprawę, że powiedziałyby, że jest *gwapo*, przystojny, mężczyźnie choremu na słonowaciznę.

Podobnie jak większość jej koleżanek w Here Pussy Pussy dziewczyna była w dziwny sposób jednocześnie bezwstydną i nieśmiałą. Kiedy się sobie przedstawili, zaczęła gładzić go po boku i kręcić biodrami, kołysząc kruchym ciałem na niewiarygodnie wysokich obcasach.

— Ja nigdy dosyć — oznajmiła. — Och! Ach! Ja nigdy dosyć.

Kirk grzecznie się uśmiechnął i spojrzał na scenę. Normalnie dziewczęta w Here Pussy Pussy poruszały się, jakby były lunaticzkami. Wynikało to po części z nudy, po części ze zmęczenia. Chociaż wszystkie były młode — żadna nie przekroczyła dwudziestu pięciu lat — jeśli nikt nie zapłacił za nie grzywny, musiały tańczyć aż do czwartej rano. Mimo to co jakiś czas didżej Here Pussy Pussy puszczał płytę, która budziła je do życia, i kiedy to się działo, wybuchały śmiechem, rozpuszczały długie czarne włosy i poruszały się z autentyczną radością i pasją, nie tańcząc już dla mężczyzn w barze, lecz wyłącznie dla samych siebie.

Nie wiadomo było, dlaczego lubiły te, a nie inne piosenki. Chociaż wszystkie tancerki z Here Pussy Pussy były oddanymi adeptkami muzyki popularnej, piosenki, które je poruszały, mogły równie dobrze mieć dziesięć lat, jak pochodzić z ubiegłotygodniowej listy przebojów. Dziewczeta z Here Pussy Pussy nie przejmowały się modą.

Budziły się do życia przy *Jump Around* zespołu House of Pain, *Without You* Eminema, *Sex Bomb* Toma Jonesa i Mousse T., *See You When You Get There* Coolio i *Macarenie* Los del Mar. Ale najbardziej ożywiały się, kiedy didżej puszczał *A Girl Like You* Edwyna Collinsa.

Dziewczyna taka jak ty, pomyślał Kirk. Taka jak Megan.

To była głupota. Wiedział, że to głupota. Byli ze sobą tylko przez jedną noc, ale zalażła mu za skórę. Nie zapomniał o niej. Może dlatego, że to była tylko jedna noc i nie miał okazji się od niej odzwyczaić. A może dlatego, że jemu na niej zależało, a jej na nim niekoniecznie.

Myślał o Megan, oglądając pięćdziesiąt innych półnagich dziewczyn, z których każda mogła za parę marnych groszy przez tę jedną noc należeć do niego. Mógł mieć dwie, a nawet trzy, gdyby było go na to stać i gdyby odzywał się w wystarczającym stopniu zieleniną. Ale raczej się na to nie zapowiadało.

Po kilku kolejnych piwach barowa dziewczyna wciąż przy nim stała, trzymając drobną zaborczą dłoń na jego ramieniu. Nawet w panującym w Here Pussy Pussy półmroku widział na jej brzuchu bliznę po cesarskim cięciu.

Większość tych dziewczyn ma dzieci, pomyślał. Po cóż innego by tutaj pracowały? Boje to bawi? Bo przychodzący tu faceci są tacy niesamowicie fascynujący?

Widząc, że ją obserwuje, dziewczyna zamknęła oczy i otworzyła usta, kręcąc swoimi szczupłymi biodrami.

— Och, ja nigdy dosyć!

Wiedział, że nie spotka się z Megan tej nocy, nie spotka się z nią prawdopodobnie nigdy. Zapłacił więc grzywnę jednej z urzędujących w barze mamma-san i zaczął na dziewczynę,

która poszła do szatni. Kiedy w końcu stamtąd wróciła, poczuł, jak ogarnia go fala czułości. Zdjęła swoje profesjonalne bikini i wysokie obcasy i miała teraz na sobie wzruszająco zwyczajny cywilny T-shirt i dżinsy. Wystarczyła zmiana kostiumu, by przeobraziła się z kurwy w dziewczynę z sąsiedztwa.

Po wyjściu z Here Pussy Pussy, pozbawione opieki barowych bramkarzy i uśmiechniętego właściciela, który trzymał w biurku dubeltówkę, dziewczyny zdane były na łaskę swoich klientów. Idąc do obcych hoteli z podstarzałymi Niemcami, Skandynawami i Brytyjczykami, a nawet młodymi Australijczykami, musiały wynegocjować cenę oraz szczegóły stosunku i ocalić życie.

Kirk nie negocjował. Dał jej po prostu wszystko, co miał w portfelu, i kazał kupić coś dla dziecka. Dziewczyna była mu wdzięczna.

— Ja nigdy dosyć, Dirk — szeptała w parnym mroku manilskiej nocy. — Och, Dirk, ja nigdy dosyć.

I wiedział, że to prawda. Nigdy nie będzie dosyć.

Megan wspinała się znużona po betonowych schodach osiedla Sunny View.

W jej brzuchu spało dziecko. Mała — Megan wiedziała, że to na pewno ona — zawsze spała, gdy matka była w ruchu. Kołyszący rytm powszedniego dnia lulał nienarodzoną dziewczynkę do snu. Dopiero kiedy Megan usiłowała zasnąć, mała piąstka lub stopa waliła z alarmującą siłą w ściankę macicy.

Moja krew, myślała Megan, gładząc swój ogromny brzuch obronnym, zaborczym gestem, który wszedł jej w nawyk.

Poppy. Moja córeczka, Poppy. Zaczyna jej tam brakować miejsca.

W dwudziestym dziewiątym tygodniu nie poznawała już własnego ciała. Na powiększonych piersiach widać było grube niebieskie żyły. Na brzuchu i udach miała rozstępy, które nie-miłosiernie swędziały. W nocy budziła się co godzina, żeby się

podrapać lub wysikać, albo kiedy Poppy zadawała jej solidny prawy sierpowy.

Prawie u szczytu schodów, mając u swoich stóp całe brudne Hackney, poczuła skurcz.

Doznanie było bardziej niemiłe aniżeli bolesne i chociaż zabiło jej szybciej serce, wiedziała, że to jeszcze nie to. To był skurcz Braxtona-Hicksa. Fałszywy poród — coś w rodzaju próby kostiumowej przed premierą.

Usiadła na zimnym kamiennym stopniu i zaczęła, aż mi nie uczucie dyskomfortu. Blady, chudy dzieciak w baseballowej czapeczce przetoczył obok swój olbrzymi rower.

— Jeszcze nie, Poppy — szeptała, kręcąc stopami i łagodnie gładząc się po brzuchu. — Jeszcze nie teraz.

Z trudem dźwignęła się na nogi i podeszła do drzwi pani Marley. Od puszczonego na pełny regulator thrash metalu brzęczały szyby w oknach. Megan westchnęła i zapukała. Bez odpowiedzi. Zapukała głośniejsze i dłużej. Pani Marley otworzyła drzwi. Muzyka uderzyła Megan w twarz niczym gorące powietrze z otwartych nagle drzwiczek pieca. Poczuła, jak się wzdryga. Pani Marley zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem. Z dolnej wargi zwisał jej papieros.

— Daisy jest w środku — mruknęła. A potem zobaczyła brzuch Megan i na jej ustach pojawił się szydery uśmiech. — Zmajstrował ci bachora, moja droga?

Megan zignorowała ją i weszła do mieszkania. Było jeszcze bardziej zapuszczone niż zwykle. Wszędzie wały się brudne ubrania i śmierdzące resztki kupowanego na wynos jedzenia. Na podłodze leżały połamane zabawki, w kącie stało, nie wiadomo dlaczego, kilkanaście telewizorów i odtwarzaczy DVD. Daisy leżała na sofie z podciągniętą pod brodę koldrą i niedojedzoną grzanką z jajkiem w małej ręczce.

Megan uklękła przy niej z uśmiechem.

— Mogłaby pani ściszyć tę muzykę? — powiedziała, nie odwracając głowy.

— To mój brat — wyjaśniła pani Marley. — Warren. Mówi,

że jeśli jest za cicho, nie można tego docenić. Dlatego wywalili go z komunalnego mieszkania.

Do pokoju wszedł, zapalając papierosa, wychudły gnuśny młodzieniec w pumpach Adidasa. Łypnął okiem na Megan i podrapał się w krocze.

— Może pan to łaskawie ściszyć? Tę muzykę?

— Ani myślę, kurwa. Mam prawo słuchać, co chcę — odparł młodzieniec, po czym wszedł do sypialni, pozostawiając po sobie smużkę papierosowego dymu i zapiekłą nienawiść. Zrezygnowana Megan odwróciła się do Daisy.

Dziewczynka skarżyła się na ból brzucha. Megan zbadła ją, zmierzyła temperaturę, a potem patrzyła, jak szybko pochłania resztkę grzanki. Nie miała żadnych problemów z apetytem.

— Daisy? — zapytała.

— Tak, proszę pani?

— Czy ktoś nie traktuje cię źle w szkole?

Krótką przerwa.

— Elvis zabiera mi pieniądze na cukierki.

— To straszne. Próbowalaś porozmawiać o tym z twoją nauczycielką? Albo z mamą Elvisa?

Cisza.

— Moim zdaniem to zapalenie wyrostka — zdiagnozowała chorobę córki pani Marley. — Chyba trzeba go jej wyciąć.

— Daisy jest zdrowa jak ryba — stwierdziła Megan, podnosząc się z kłęczek. — Znęcają się nad nią w szkole.

— Raz już się pani pomyliła, nie? — wybuchła pani Marley. — Uważa się pani za taką spryciarę. Przychodzi tu. Ale pomyliła się pani, nie? Nikt się nie znęca nad moją Daisy.

— Pani Marley... — zaczęła Megan.

I nagle zobaczyła strzykawkę. Wystającą spod postrzępionej sofy. Porzuconą beztrzesko niczym pudełko po pizzy. Przeszła szybko przez pokój i wzięła do ręki telefon.

— Dokąd pani dzwoni, Pani Omylna?

— Do opieki społecznej.

Pani Marley nie zamierzała się z nią spierać, ale poszła do

sypialni po brata. Do Megan docierały niczym przez mgłę odgłosy pandemonium, które rozpętało się za jej plecami. Podniesione głosy, thrash metal, szloch dziecka.

Nagrany głos prosił ją, żeby wcisnęła gwiazdkę, i w tym samym momencie Warren Marley złapał ją od tyłu. Jego ramię zamknęło się wokół jej szyi i pociągnęło w dół, odrywając od telefonu.

Powinam sobie radzić w takich sytuacjach, pomyślała. Cztery lata wado-ryu karate. Powinam wiedzieć, co robić. Walnąć go w kolano piętą. Złapać wysoko za udo. Poszukać nerwu w jego nadgarstku. Ale miała pustkę w głowie. Nie pamiętała nic z lekcji, które Rory dawał jej w każdą środę wieczorem przez wszystkie te lata.

A potem sypiący gradem wyzwisk Warren Marley walnął jej głową w ścianę, odciągnął ją do tyłu i zrobił to ponownie. Jakby trzymał w ręku taran.

— Mam prawo, ty cipo — ryczał. — Mam, kurwa, święte prawo robić, co mi się podoba.

Cztery lata ćwiczeń w dōjō i nie pamiętała dosłownie nic. Cztery lata uczenia się sztuki walki i była bezradna jak dziecko. Cztery lata zadawania ciosów, kopania i blokowania, białych pizamek i bojowych okrzyków i nie potrafiła stawić czoła na pastnikowi. Tak jakby tylko udawała, że jest twarda, a teraz znalazła się w prawdziwym świecie.

Mogła się tylko osłaniać i myśleć o tym, co stanie się z jej córką.

Minęła już dawno północ, lecz w cieszącym się nie najlepszą sławą greckim kurorcie Ratarsi wciąż roilo się od ludzi.

Prawie wszyscy byli opaleni, pijani i z Wielkiej Brytanii. Ponakłuwani, nawaleni i wytatuowani. Nowocześni chłopcy i dziewczęta, spragnieni słońca i zabawy. Która w dużym stopniu polegała na przekształcaniu pięćsetletniej rybackiej wioski w jedno wielkie womitorium.



Cat, choć co najmniej dziesięć lat starsza od większości, była w lepszej formie od wszystkich. Byle jakie jedzenie, byle jaki seks, wiadra alkoholu — to wyraźnie im nie służyło.

Ale tym, co naprawdę różniło ją od przewalającego się ulicami Ratarsi thumu, nie był wiek, lecz to, że była trzeźwa.

I sama jak palec.

Miało być zupełnie inaczej. Cat nie wybierała się na wakacje w pojedynkę. Miała z nią jechać Brigitte. Ale Digby zaczął nagle błagać jej szefową, żeby przyjęła go z powrotem, plany Brigitte zmieniły się i Cat pojechała do Ratarsi sama.

— Co się stało z Digbym i jego lalką? — zapytała.

— Nic z tego nie wyszło — odparła z uśmiechem Brigitte. — Moim zdaniem problemem okazał się czas lądowania.

— Czas lądowania?

— No wiesz. Czas, który mija, zanim mężczyzna jest znowu w pełnej gotowości.

— W pełnej gotowości? A... w pełnej gotowości.

— Te młode dziewczyny nie są do nas podobne, Cat. Facet pokroju Digby'ego może je łatwo poderwać, ale potem oczekują, że będzie je bzykał dwa albo trzy razy w ciągu jednej nocy. Digby ma czterdzieści pięć lat i niezbyt mocne serce. Nawet kiedy łyka co dzień pół aspiryny. Dziwisz się?

Cat nie chciała się w to zbyt angażować. Nie mogła jednak zapomnieć wakacyjnych zdjęć Brigitte i Digby'ego, tego, co z nich zostało, kiedy wypadły z niszczarki.

— Nie dziwię się, że im nie wyszło — powiedziała. — Dziwię się, że przyjmujesz go z powrotem. Po tym, co ci zrobił.

Ale Brigitte była dobrej myśli, jakby to była praktyczna decyzja, a nie coś upokarzającego.

— No cóż. Digby nie narzuca mi się. Rozśmiesza mnie. Lubimy się. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy można mieć nadzieję na coś więcej. Na tym chyba polega dojrzewanie, nieprawdaż?

Cat miała nadzieję, że nigdy nie będzie taka dojrzała. Poleciała zatem do Ratarsi sama i przemierzała teraz jego lepkie uliczki, patrząc z przerażeniem na swoich korzystających

z uroków wakacji rodaków i zastanawiając się, dlaczego nie wybrała się na pieszą wędrówkę po Lake District razem z dobrze wychowanymi niemieckimi i japońskimi turystami. I nagle go zobaczyła. Opartego o ścianę, w podartej hawajskiej koszuli, z alkoholowymi lemoniadkami w każdej ręce.

Syna Rory'ego. Jake'a.

Jakieś dziewczyny w minispódniczkach stały przed nim, nagrawając się z jego stanu.

Cat pomogła mu wstać i odciągnęła od rechoczących dziewczyn. Zaczekała w końcu alejki, aż Jake wyrzyga się do wypełnionego po brzegi kosza na śmieci.

A potem zabrała go do ostatniego porządnego hotelu w Ratarsi i pomogła wejść na chwiejnych nogach do restauracji. Była prawie pusta. Ratarsi nie było już miejscem, do którego przyjeżdżało się, żeby dobrze zjeść i napić się wina.

— Czy możemy napić się kawy? — zapytała kelnera.

Grek wyraźnie się wzdrygnął. Na pewno wziął mnie za starą lafiryndę polującą na młodych chłopców, pomyślała.

— Kawa tylko do posiłków — odparł.

— W takim razie zjemy posiłek — stwierdziła Cat tonem, w którym zadzwieczyła stal i którego używała czasem wobec krnąbrnych kucharzy w Mamma-san. — Dasz radę coś przełknąć, Jake?

Chłopak pokiwał niepewnie głową. Dopiero teraz, gdy kelner prowadził ich niechętnie do stolika, zaczynał ją poznawać.

— Zjadłem chyba zepsuty kebab — wyjaśnił.

Cat roześmiała się.

— Owszem, w wieku piętnastu lat wszystkim nam trafia się dużo zepsutych kebabów.

— Szesnastu — sprostował. — Skończyłem w zeszłym tygodniu. To urodzinowy prezent od taty. Dziesięć dni w Ratarsi razem z moim kumplem Jude'em. — Rozejrzał się po restauracji, w której można było zobaczyć kilku opalonych turystów w średnim wieku. — Nie wiem, co się stało z poczciwym Jude'em.

— No no, wakacje w Ratarsi jako urodzinowy prezent. To już nie wystarczy fajny rower i Action Man?

Jack wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— Co słyhać u twojej rodziny?

— Mama nie czuje się zbyt dobrze. Straciła dziecko. No wiesz. Jak to się nazywa? Poronienie.

Cat zastanawiała się, w jakim wieku musi być teraz Ali. Czterdzieści pięć? Czterdzieści sześć lat? Urodziła już syna i córkę. Ale niektóre kobiety nigdy nie mają dosyć. Nie potrafią sobie uświadomić, że pora już przestać rodzić dzieci i zacząć je wychowywać.

Kelner wrócił do stolika.

— Można przyjąć zamówienie?

Jake obejrzał z nieśmiałym respektem kartę dań, jakby nigdy nie trzymał w ręku czegoś podobnego.

— Poproszę trochę... eee... *vinaigrette*.

Kelner wbił wzrok w sufit. Głośno westchnął. A potem przez dłuższy czas milczał.

— Ja też — powiedziała Cat.

— *Vinaigrette* — wyrzucił z siebie kelner — to dressing do sałatki.

— Wiemy o tym — odparła. — Jesteśmy na diecie Atkinsa.

Kelner odszedł. Cat i Jake uśmiechnęli się do siebie. Minęło sporo czasu, odkąd to ostatnio robili. Kelner wrócił z kawą i dwiema srebrnymi miseczkami sosu.

— Podać łyżeczki? — zapytał.

— Poproszę — powiedziała Cat.

Razem spróbowali dressingu do sałatki i skrzywili się.

— Okropne — stwierdził Jake.

— Tak, ale następnym razem będziesz wiedział — odparła.

Jake wbił wzrok w swoją kawę.

— Dziękuję, że... no wiesz. Że się mną zajęłaś.

— Nie ma sprawy, Jake.

— Byłaś dla mnie taka miła.

— Owszem — przytaknęła. — Masz szczęście, że nie jestem twoją macochą.

Jake zarechotał, nie wiedząc, jak zareagować. Zobaczyła, że to wciąż jeszcze dziecko.

— Co u twojego taty?

— U taty wszystko w porządku — odparł.

— To dobrze. Przekaż mu... no wiesz. Że go pozdrawiam.

— Przekażę.

Cat próbowała wyobrazić sobie, co porabia Rory, ale przekraczało to granice jej wyobraźni. Czy nawiązał jakąś miłą, długoterminową znajomość? Czy przeskakuje z kwiatka na kwiatek? Każda możliwość przyprawiała ją o ból serca. To musi być dziwne — bycie mężczyzną, który nie może mieć dzieci. Czy każda nowa droga wydaje się ślepą uliczką? Nagle ofuknęła się w duchu.

Nie podzielała poglądu, że związek może być poważny tylko wtedy, kiedy w grę wchodzi dzieci. Bo jeśli byłoby to prawdą, jak nazwać to, co łączyło ją z Rorym? Żartem? A ten związek wcale nie był żartem.

Spojrzała na siedzącego po drugiej stronie stołu Jake'a i po raz pierwszy zobaczyła w jego nieufornym jeszcze młodzieńczym rysach cień pobrużdżonej twarzy ojca. Tęskniła za Rorym. Nie zdawała sobie wcześniej sprawy, że tak za nim tęskni. To było coś więcej niż zerwanie z ostatnim facetem.

Czuła się, jakby straciła członka rodziny.

Paulo i Jessica weszli w ślad za agentką nieruchomości do wielkiego ogrodu.

Noc na przedmieściach była cicha i spokojna. Światła w basenie sprawiały, że błękitna woda iskrzyła się i lśniła, nakrapiana połyskującym złotem.

— Jak na prywatny basen jest całkiem duży — powiedziała agentka.

— Jest piękny — stwierdziła Jessica. — Te światła pod wodą... bardzo mi się podobają.

— Nie wszyscy chcą basenu — poinformowała ją agentka w jednym z tych przyływów szczerości, którymi powściągała zawodowy entuzjazm. — Wymaga odpowiedniej konserwacji... chociaż muszę nadmienić, że w okolicy jest kilku znakomitych specjalistów w tej dziedzinie. W grę wchodzi oczywiście również kwestia bezpieczeństwa. Nie macie państwo jeszcze dzieci, prawda?

— Jeszcze nie — odparł Paulo, odwracając się w samą porę, żeby zobaczyć grymas na twarzy żony. Dlaczego ludzie nie chcieli zostawić ich w spokoju?

— Czy możemy obejrzeć pozostałą część domu? — zapytała Jessica.

Kiedy lekarz powiedział, że doszła do siebie po poronieniu, spróbowali sztucznego zapłodnienia. Ale Jessica nigdy już nie miała dojsć do siebie, a sztuczne zapłodnienie nic nie dało.

Posłusznie szprycowała się co noc lekami na bezpłodność. Jej brzuch pokrywała powoli siatka sińców, produkcja jaj szła pełną parą. Bez przerwy robili jej USG — coraz częściej i częściej, w miarę jak zbliżał się wielki dzień żniw.

Paulowi jego wkład wydawał się żałośnie trywialny — spuścił się po prostu do plastikowej probówki w dniu, kiedy pobrali jaja z Jessiki. Całą robotę wykonała jego żona.

Pobrali z niej dwanaście dobrych jaj i wszystkie udało się zapłodnić. Dwa umieszczono z powrotem w Jessice, ale kiedy wykonała dwa tygodnie później test ciążowy, wynik był negatywny. USG wykazało, że dwa zapłodnione jaja po prostu się rozpuściły niczym lzy na deszczu. I na tym koniec.

To nie przypominało poronienia. Owszem, dręczyło ją rozczarowanie i przyprawiająca o depresję świadomość, że wszystkie te zastrzyki, wyprawy do doktora i długie godziny z nogami zadartymi do góry poszły na marne.

Ale nie przypominało to utraty dziecka. Nie było krwi i mleka, z którym trzeba coś zrobić. Sztuczne zapłodnienie było bardziej podobne do testu wytrzymałościowego, a następnie pięknego snu, z którego Jessica musiała się jednak obudzić.

Przez nieznaną liczbę dni, godzin, a może tylko minut lub sekund — kto to w ogóle mógł wiedzieć? — miała w sobie dwa zapłodnione jaja. Potencjalne dzieci? Nie jakieś tam dzieci. Jej dzieci.

A potem zniknęły, jakby ich nigdy nie było, i po usłyszeniu wyrazów współczucia od położnika Jessica i Paulo znaleźli się nagle z powrotem na Harley Street tylko we dwoje — bezdzietne małżeństwo, obserwujące kobietę i mężczyznę, którzy sadzali swoje nowo narodzone dziecko w samochodowym foteliku.

— Nigdy więcej — powiedziała wówczas Jessica.

— Jeszcze zmienisz zdanie.

— Zobaczysz. Sztuczne zapłodnienie? Nie udaje się, a nawet jeśli się uda, nie wiadomo, jaki ma wpływ na dziecko.

— Daj spokój, Jess. Nie poznaję cię. Powtarzasz jakieś bzdury z pism.

— Nie wiedzą, jaki to ma wpływ na dziecko. Skąd mieliby wiedzieć? Robią to dopiero od niedawna. Przeczytałam wszystkie artykuły, w których piszą, że sztuczne zapłodnienie to genetyczna bomba zegarowa.

— Jest mnóstwo zapłodnionych normalnie dzieci, które chorują. Nikt ci nie zagwarantuje, że dziecko nie będzie miało problemów. Czy tego właśnie się boisz? A może kolejnej porażki?

— Daj mi spokój. Jesteś dla mnie okropny.

— Spisałaś się na medal. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Ale nie możemy poddawać się po pierwszej próbie. Są inne, lepsze kliniki.

— A jakie są szanse w tych lepszych klinikach, Paulo? Dwa-dzieścia pięć procent? Trzydzieści procent? Tak to wygląda w najlepszych klinikach. I to mają być wielkie szanse?

— Ale oni uwzględniają wszystkich. Starsze kobiety. Kobiety, które ciężko chorowały. Nie kogoś takiego jak ty, Jess. Jeśli ponownie spróbujemy, będziesz miała o wiele większe szanse.

— Spróbujemy? — Jessica o mało nie roześmiała mu się w nos. — Dlaczego mówisz o tym w liczbie mnogiej?

— Gdybym mógł, robiłbym wszystko razem z tobą. Brał te same zastrzyki. Łykał te same leki. Żałuję, że nie mogę tego zrobić.

Jessica wbiła wzrok w chodnik.

— Wiem, że żałujesz.

— Jeszcze tylko raz?

— Ani razu — odparła, kręcąc głową.

— Och, daj spokój, Jess — powiedział, ale widział, że mówi serio. Widział to na tej twarzy, którą tak bardzo kochał. To wszystko ją złamało i kiedy to sobie uświadamiał, kroilo mu się serce.

— Bez względu na to, jakie ci dają szanse, najbardziej prawdopodobne jest, że nic z tego nie wyjdzie. Porażka... tym to się kończy i tego powinieneś oczekiwać. A ja nie jestem już w stanie znieść kolejnej porażki, Paulo. Przykro mi, ale już teraz czuję się, jakby wyrwano ze mnie to, co najlepsze.

Obecnie spędzali zatem każdą wolną chwilę, oglądając domy za miastem, w miejscu zamieszkanym przez ludzi, którzy chcieli uciec z Londynu, lecz nie stać ich było, by uciec zbyt daleko. Miasto na wsi, mówiła o tych terenach agentka. Najwyraźniej było to coś nowego i na topie.

Jessica tłumaczyła to tym, że ich zielony kawałek Londynu schodzi na psy. Miasto trudno było utrzymać na wodzy i nawet tam dotarły gangi i narkotyki. Ale Paulo wiedział, że nie ma to nic wspólnego z panoszącą się za drzwiami przestępczością.

Powodem był pokój na tyłach domu, pokój z nowym dywanem, żółtymi ścianami i łóżeczkiem kupionym na piątym piętrze domu towarowego Johna Lewisa. Musieli stamtąd uciec,

ponieważ przed poronieniem Jessiki wyszykowali pokój dla dziecka, a teraz nie mogli tam nic zmienić. Nie mieli powodu, żeby z niego korzystać, i nie mieli serca, żeby go odremontować. Mogli stamtąd tylko uciec.

Paulo odwrócił się od niebiańskich świateł basenu i wszedł do domu. Była to jedna z tych dużych pięknych willi, zbudowanych tuż przed wojną dla zamożnych mieszczuchów, którzy szukali jakiegoś czystszeo i bardziej zielonego miejsca. Ale co oni mieli robić w tych wszystkich przestronnych wnętrzach? Tylko we dwoje?

Idąc za głosami Jessiki i agentki nieruchomości, zawędrował do jednego z pokoiów na piętrze i wchodząc tam, zastęł w bezruchu. To była dziecinna sypialnia.

Wszędzie na podłodze leżały zabawki. Żaba wielkości dziecka. Jakiś grający pluszowy miś. I mnóstwo podartych książeczek, z których po otwarciu wyskakują uśmiechnięte zwierzątka z tektury. W rogu niczym ołtarz stało białe łóżeczko.

— Pięone wysokie sufity — powiedziała agentka, rozgniatając obcasem mechaniczną świnkę.

Paulo stanął przy żonie.

— Jess?

Zdał sobie sprawę, że nie obchodzi go, gdzie będą mieszkali. Chciał tylko być ze swoją żoną. Zamknąć za sobą drzwi i nikogo nie wpuszczać.

Jessica patrzyła na łóżeczko.

— Serce rośnie, kiedy słyzy się tupot małych nówek — stwierdziła agentka. — W okolicy jest kilka wspaniałych szkół.

Jessica pokiwała w zamyśleniu głową, jakby nie słuchała agentki, lecz tego, co mówił jej wewnętrzny głos.

— Wszystko to wywałę — powiedziała. — Wybebeszę cały pokój.

Ton jej głosu był spokojny i rzeczowy. Ale Paulo widział jej oczy i znał jej serce. Wiedział, że dławi ją rozpacz, której nigdy nie zdoła sobie wyobrazić.



I pomyślał, że jego brat ma chyba rację. Może kobiety zmieniają się po urodzeniu dziecka. Może zmieniają się w sposób trudny do uwierzenia.

Paulo nie miał o tym pojęcia. Wiedział tylko, że jego brat powinien ich czasem odwiedzić.

I zobaczyć, co się dzieje z kobietą, która nie może mieć dziecka.

## 12.

Doktor Lawford nigdy wcześniej u niej nie był. Megan krępowwała się, że ma takie obskurne, ciasne mieszkanie, że na kaloryferze suszą się majtki, a na podłodze leżą pozostawione beztrosko medyczne książki.

Ale kiedy jego silne kościste palce dotykały jej twarzy, krępowwała się przede wszystkim tego, że Lawford musi jej udzielić pomocy lekarskiej.

Skrepowanie, pomyślała. Jaki jest pożytek z lekarza, który wszystkiego się krepuje?

Miała podrapaną z boku twarz, ale, z wyjątkiem pulsującego guza na czole, bolały ją głównie ramiona, na które przyjęła większość ciosów. Tyle przynajmniej wiedziała. Więc może lekcje u Rory'ego nie poszły całkiem na marne.

Lawford zaczął jej mierzyć ciśnienie krwi, kiedy ktoś zadzwonił z ulicy. Megan zobaczyła na ciemnym małym monitoru Jessicę i Cat i wpuściła je do środka.

— Moje siostry — powiedziała Lawfordowi.

Kiedy Jessica ujrzała ją, natychmiast zalała się łzami.

— Nic się nie stało, Jess.

— Co za dranie — mruknęła Cat. — Czy już nikt nie może czuć się bezpieczny?

— Raczej nie — odparła Megan. — Przynajmniej na osiedlu Sunny View.

— Co z dzieckiem? — zapytała Jessica.

— Wszystko w porządku — zapewniła ją Megan. — Ze mną też.

— Dziecko dobrze się czuje? Poppy dobrze się czuje?

— Dobrze. Zrobili mi USG. W szpitalu. Wszystko jest w normie.

— Nie możesz tam pracować, Megan — stwierdziła Cat. — To zbyt niebezpieczne.

— Dokładnie to samo jej powtarzam — powiedział Lawford. Trzy siostry bacznie mu się przyjrzały. — Te bestie nie zasługują na naszą Megan — dodał. — Powinna odejść i znaleźć sobie jakąś miłą prywatną praktykę na Harley Street. — Megan nie wiedziała, czyjej szef żartuje, czy mówi serio. — Pozwól, że zmierzę ci ciśnienie — zwrócił się do niej.

Megan przedstawiła go siostram, po czym usiadła na swoim wąskim łóżku i podwinęła rękaw. Cat objęła Jessicę i razem patrzyły, jak Lawford sprawdza odczyt.

— Będziemy musieli tego pilnować — powiedział.

— Ile mam?

— Sto osiemdziesiąt na dziewięćdziesiąt pięć.

— Tyle samo co w szpitalu. Powinno mi już spaść.

— Owszem.

— No cóż — mruknęła Megan. — Ktoś próbował mnie pobić. Trudno, żebym była odprężona.

— W takim wypadku powinniśmy oczekiwać, że wzrost ciśnienia będzie chwilowy — odparł Lawford. — Ale jeśli nie spada... no cóż... Zobaczmy, co będzie dalej, dobrze?

Megan pokiwała głową.

— Zobaczmy, co będzie dalej.

Jessica otarła oczy.

— Co się dzieje? Co się dzieje z twoim ciśnieniem krwi?

— Będziemy je obserwować — odparł Lawford. — Przepraszam panie, ale muszę porozmawiać z policją. Kiedy ten młody

człowiek skończył z tobą, zawieźli go na najbliższy ostry dyżur, żeby mógł zrealizować receptę. Siostra guzdrała się trochę z methadonem, więc ją zaatakował. Miło było panie poznać. Do zobaczenia w przychodni, Megan.

Siostry zostały same. Cat nastawiła wodę na herbatę.

— Co się dzieje, Megan? — zapytała Jessica. — Co to za historia z twoim ciśnieniem krwi?

— Wiesz, co to jest stan przedzucawkowy, Jess?

Jessica pokręciła głową. Naturalnie, że nie wie, pomyślała Megan. Jessica przeczytała setki artykułów o endometriozie. Była ekspertem od poronień i sztucznego zapłodnienia. Mogła opowiadać długo o ruchomości spermy i lekach na bezpłodność. Wiedziała wszystko, co trzeba wiedzieć o zajściu w ciążę. Nie miała jednak pojęcia o tym, co może pójść nie tak, kiedy zbliża się poród. Dlaczego zresztą miałyby to wiedzieć?

— Stan przedzucawkowy to prenatalne nadciśnienie — wyjaśniła Megan. — Wysokie ciśnienie krwi podczas ciąży. Pod wieloma względami jest nie do odróżnienia od tego, na które cierpi przeciętny zestresowany, otyły pracownik wyższego szczebla... tyle że nie ma nic wspólnego z nadwagą i stresami współczesnego życia. Ten rodzaj nadciśnienia występuje tylko u ciężarnych kobiet.

— Mleko ma już tydzień — oznajmiła Cat, wchodząc do pokoju z kartonem. — Chcesz, żebym zbiegła na dół i zrobiła zakupy?

— Nie chcę już więcej herbaty — odparła Megan. — Naprawdę to cię interesuje, Jess?

— Oczywiście, że mnie to interesuje! Jesteś moją siostrą! Poppy jest moją siostrzenicą!

— No dobrze. To wiąże się z dostarczaniem krwi do łożyska... czyli generalnie z tym, jak matka podtrzymuje procesy życiowe dziecka.

— Ale... przecież ten kretyn cię zaatakował — powiedziała Jessica. — Po czymś takim powinnaś chyba mieć wysokie ciśnienie?

— Jasne. Nie powinno się jednak tak długo utrzymywać. Nikt naprawdę nie wie, skąd się bierze stan przedrzucawkowy. Czy istnieje coś, co go wywołuje. I czy coś takiego może go wywołać. Więc teraz mamy nadzieję, że ciśnienie się obniży.

— A jeśli się nie obniży? — zapytała Cat.

Megan pomyślała o wcześniakach, które oglądała podczas praktyki w Homerton. O drobnych, pomarszczonych istotach, którym wkładano wełniane czapeczki, ponieważ były zbyt małe, aby utrzymać odpowiednią ciepłotę ciała. I o ich rodzicach obserwujących swoje maleństwa przez plastikowe ścianki inkubatorów. Pomyślała o tych, które przeżyły... żeby stać się zupełnie normalnymi, zdrowymi dziećmi. I o tych, które nie przeżyły.

Wzięła głęboki oddech. Poczowała się nagle bardzo zmęczona. Zmęczona wyjaśnianiem tego wszystkiego.

— Jeśli ciśnienie się nie obniży, w takim razie to stan przedrzucawkowy. I dziecko będzie musiało urodzić się wcześniej. Będę miała cesarskie cięcie, ponieważ dziecko będzie zbyt małe, żeby urodzić się inaczej.

— Ale nic jej nie będzie? — zapytała zaniepokojona Jessica.

To dwudziesty dziewiąty tydzień, pomyślała Megan. Jej córka nie była jeszcze gotowa, żeby przyjść na świat. W żadnym wypadku. Jej płuca nie były dość silne, żeby oddychać... i nie będą jeszcze przez kilka tygodni. Jeśli urodzi się w ciągu następnych dwóch miesięcy, zostanie uznana za wcześniaka. Jeśli urodzi się w ciągu następnych siedmiu dni, będzie walczyć o życie. Megan i Poppy musiały się powstrzymać dopóty, dopóki mogły.

— Mam nadzieję. Będzie lekko niedogotowana. Musimy się na to przygotować.

— Masz na myśli, trochę za mała?

Dwudziesty dziewiąty tydzień. Na USG widać było, że dziecko jest lekkie nawet jak na dwudziesty dziewiąty tydzień. Położnik Megan powiedział jej w szpitalu, że waży niecały kilogram. Małe ludzkie życie, które ważyło mniej niż torebka cukru. Córka Megan.

— Owszem. Poppy może być trochę za mała.

Megan chciała dodać swoim siostronom otuchy. Nie wspomniała w ogóle o rzucawce. Nie powiedziała, że kiedy w do-  
brych starych czasach kobiety i ich dzieci umierały podczas  
porodu, zabijała je na ogół ta choroba.

Nazywano to wówczas toksemią porodową — dosłownie za-  
truciem krwi, zatruciem ciążowym. Konwulsje w trakcie poro-  
du, oderwane łożysko i matka oraz dziecko wykrwawiające się  
na śmierć w ciągu kwadransa. Obecnie rzadko do tego docho-  
dziło, ponieważ lekarze robili wszystko, co w ich mocy, by stan  
przedzrucawkowy nie przeszedł w rzucawkę. Ale to mogło się  
zdarzyć. Mimo całej nowoczesnej technologii śmierć wciąż  
zbierała swoje krwawe żniwo.

Megan nie powiedziała o tym siostronom ani słowa. To był je-  
den z niezaprzeczalnych plusów jej zawodu. Nie trzeba było im  
mówić wszystkiego.

— Zadzwoiłam do taty — powiedziała Cat. — Bardzo się  
zmartwił.

— Och, Cat — zaprotestowała Megan, nagle znowu czując  
się młodszą siostrzyczką. — Naprawdę nie chcę, żeby przyjeź-  
dzał z tego powodu. Nic mi nie jest. I dziecku też.

— Zadzwonię do niego jeszcze raz. Powiem, że dobrze się  
czujecie. Ty i dziecko.

Ich ojciec był w Los Angeles, gdzie uczestniczył w kilku  
przesłuchaniach. Jack Jewell nie był na planie filmowym od  
tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku, kiedy to  
zagrał w komedii pod tytułem *Nie bez moich spodni* („straszli-  
wy odprysk żenująco mało śmiesznego telewizyjnego serialu”,  
napisał „Daily Sketch”). Występował tam w drugoplanowej i  
mocno naciąganej roli podłego brytyjskiego terrorysty — Bry-  
tyjczycy są jedynym narodem, który nie ma za złe ludziom z  
Hollywood powielania narodowych stereotypów.

Megan zaczęła tłumaczyć Cat, że nie chce, aby ojciec poznał  
szczegóły jej przygody, ale w tej samej chwili ktoś zadzwonił do  
drzwi.

— To chyba mama — powiedziała Jessica.

Cat jęknęła z niedowierzaniem.

— No cóż... — mruknęła Jessica. — Ty zadzwoniłaś do taty. A ja... do niej.

Podeszła do drzwi i wpuściła ich matkę, która wniosła ze sobą zapach chanel i marlboro. W rękę trzymała butelkę czerwonego wina, jakby wybrała się na proszoną kolację.

— Wiecie, że na klatce śpi jakiś straszny typ z dreadami? To chyba jakiś menel. Czy ochrona nie może go wyrzucić? — zapytała, podchodząc do łóżka.

Cat i Jessica szybko wstały, żeby zrobić jej miejsce. Olivia dała Jessice wino i cmoknęła Megan w niepodrapany policzek.

— Co oni ci zrobili, dziecinko?

— Pójdę i kupię to mleko — oświadczyła Cat.

Schodziła już po rozchwierutanych schodach, kiedy matka zawołała ją po imieniu. Cat nie zatrzymała się. Olivia pognąła w ślad za nią, poruszając się zaskakująco szybko jak na osobę w jej wieku i na wysokich obcasach. Dogoniła ją na samym dole, powtarzając głośno jej imię, lecz nie próbując jej dotknąć. Cat odwróciła się i zmierzyła matkę wzrokiem.

Olivia wyglądała o wiele starszej, niż ją zapamiętała. Wojenne farby nakładała ostatnio kielnią. Ile lat upłynęło od ich ostatniego spotkania? Pięć. Tyle czasu minęło od ślubu Jessiki. A na ślubie łatwo jest kogoś unikać.

— Masz tupet, dziewczyno — stwierdziła Olivia.

— O co ci chodzi?

— Naprawdę uważasz, że nie mam prawa zobaczyć własnego dziecka?

— Rób, co chcesz. To wybór Megan. Ale ja nie muszę tam siedzieć i patrzeć, jak grasz rolę zatroskanej rodzicielki.

— Nie można przestać się o kogoś troszczyć.

— Więc idź i pokaż Megan, jak bardzo się o nią troszczysz.

— Któregoś dnia mi podziękujesz. Ty i twoje siostry.

Cat nie mogła powstrzymać uśmiechu.

— Za co?

— Masz pojęcie, jak inne kobiety dręczą swoje córki? — Olivia zaczęła nagle parodiować proletariacki akcent. — „Dlaczego nie zaszłaś jeszcze w ciążę? Kiedy zostaniesz mamusią? Kiedy będę mogła zobaczyć małego dziadziusia?”. Oszczędziłam wam tego wszystkiego. Dałam wam przestrzeń, w której mogliście się rozwijać.

— Ty nam ją dałaś?

— Nigdy nie byłam tego typu matką. Domagającą się od swoich córek rodzenia bachorów.

— Może nie powinnaś tak mówić, kiedy Megan walczy tam o życie swojego dziecka.

Olivia zmieniła nagle taktykę. Umalowane usta rozchyliły się w olśniewającym uśmiechu.

— Spójrz na to z innej strony. Pozwoliłam tobie... a także twoim siostronom... być sobą. Nie możesz tego nie dostrzec. Nie jestem jakąś szarą nudną mamuszką, której poczucie własnej wartości uzależnione jest od liczebności miotu, który wydała na świat.

Cat poczuła zapach perfum i papierosów matki. Miała wrażenie, że się zaraz udusi.

— Przepraszam. Muszę kupić mleko — powiedziała, po czym odwróciła się i przestąpiła przez śpiącego w progu mężczyznę z dredami.

— Czego się spodziewał twój ojciec? — zawołała za nią Olivia. — Ci mężczyźni... Dostają piękną, pełną życia dziewczynę i chcą, żeby zaraz po urodzeniu dzieci zmieniła się w jakąś zahukaną kurę domową. Przekonasz się sama, Cat.

Cat kupiła pół litra półtłustego mleka w nocnym sklepie z drucianą siatką na wszystkich witrynach, a potem zaczęła na rogu do chwili, gdy taksówka zabrała Olivię i wiedziała, że w mieszkaniu nie ma nikogo poza jej rodziną.

— Czy ona nie jest cudowna? — zapytał Michael, opierając się o maskę maserati i obserwując siedzącą za szklaną ścianą



Ginger. — Ta biała skóra. Te piegi. Wiesz, co kiedyś robiłem? Próbowałem je wszystkie policzyć. Czy to nie jest szaleństwo?

— Nie powinieneś prosić, żeby wróciła do nas do pracy — stwierdził Paulo. — To był błąd.

— A którą z zatrudnionych po jej odejściu chciałbyś tu widzieć z powrotem? Tę, która zapomniała wysłać VAT? Czy może tę w okularach, która nie potrafiła odbierać telefonów z Włoch, bo „tak śmiesznie tam mówią”?

Paulo potrząsnął głową. To prawda, że asystentki, którymi usiłowali zastąpić Ginger, były tragiczne. Ale przeczuwał, że przyjęcie jej z powrotem zakończy się jeszcze większą tragedią.

— Co będzie, jeśli Naoko dowie się, że wróciła? Co będzie, jeśli dowie się Jessica?

— Nie dowiedzą się. Moja żona jest tak zaabsorbowana Chloe, że nigdy nie przyjdzie do firmy. A twoja siedzi w tej waszej wiejskiej posiadłości.

— To nie jest wiejska posiadłość, ale po prostu duży dom na przedmieściu.

— A nawet jeśli się dowiedzą, nie ma w tym nic złego. Powiedziałem ci, żebyś się nie martwił, Paulo. Już z nią nie sympiam. Wróciła do męża, ciepłych kapci i sobotnich wieczorów przed telewizorem. Więc w czym problem?

Michael nagle uśmiechnął się i pochylił głowę i Paulo poczuł bliskość jego silnego muskularnego ciała, cały ten *old school* surowy urok, który pozwalał im kiedyś wierzyć, że podbiją świat. Paulo rozumiał, dlaczego kobiety tak lubiły jego brata, dlaczego pozwalały, żeby wszystko uchodziło mu na sucho.

— Z Ginger idzie jak po maśle, prawda? — zapytał Michael.  
— Dostajemy wiadomości, poczta wysyłana jest bez problemu.

— Miejmy nadzieję, że jest tutaj, żeby pracować, a nie dla przyjemności.

Michael zmarszczył brwi, poirytowany. Paulo wiedział, że

mimo prezentowanej na co dzień zadziorności brat ciężko przeżył odkrycie przez Naoko jego romansu z Ginger. O mały włos nie stracił rodziny i to go przeraziło.

Przyglądając się zmęczonej twarzy Michaela, dostrzegł ślady, jakie zostawiły na niej wszystkie te kłamstwa, kręctwa, wieczny lęk, że zostanie zdemaskowany, a potem, kiedy już do tego doszło, niekończące się łzy, długie nocne rozmowy i trzaskanie drzwi, gdy Naoko kazała mu spać na kanapie. Szczerze wierzył, że romans brata z Ginger należy już do przeszłości. Kto miałby serce i odwagę przechodzić przez to jeszcze raz?

I wierzył, że jeśli tylko Michael odnajdzie właściwą drogę, może stać się dobrym mężem i wspaniałym ojcem i odzyska to, czym zawsze cieszył się jako dziecko. Miłość swoich bliskich.

— Nie możesz mieć jednego i drugiego — powiedział łagodnie. — Musisz to zrozumieć. Rodziny i innych kobiet.

— Mówiłem już, żebyś się nie przejmował — mruknął Michael. — Już jej nie posuwam.

— Jeśli zaczniesz to robić, wtedy wszyscy znajdziemy się po szyję w gównie — stwierdził Paulo. — Masz deklaracje celne do tej alfy romeo? Są mi potrzebne.

— Chyba zostawiłem na zapleczu. Zobaczę.

Paulo patrzył, jak była dziewczyna jego brata — jeśli można ją tak nazwać — odbiera telefony przy biurku.

Ginger wydawała się wciąż atrakcyjną kobietą, ale nie było w niej chyba nic nadzwyczajnego, nic, co pozwalałoby zrozumieć, dlaczego Michael gotów był zagrać dla niej w rosyjską ruletkę ze swoją rodziną. Nic, co wyjaśniałoby, dlaczego potrafiła wywrócić do góry nogami świat mężczyzny.

Paulo zastanawiał się, jak w ogóle można to zrobić. Założyć rodzinę — żonę, dziecko, dom — a potem narazić to wszystko na szwank dla dreszczyku nowości. To prawda, różnił się od brata, nigdy nie był takim wirtuozem rżnięcia, jakim Michael był niegdyś, jakim mimo ostatnich ślubów czystości pozostał w

głębi ducha do dziś i jakim miał prawdopodobnie zostać do chwili, gdy z biegiem lat zwiędnie jego kutafon.

Mimo to, czy dla jakiegokolwiek nowej kobiety warto tak cierpieć? Czy dla jakiegokolwiek nowej kobiety można wypiąć się na swoją rodzinę? Żadna z nich nie była aż tak dobra w łóżku.

Paulo nie potrafił tego wyjaśnić, ale miał wrażenie, że jego brat naraził na szwank nie tylko swoich bliskich. Jego lekko-myślne zachowanie postawiło pod znakiem zapytania wszystko, na co pracowali. A on kochał to, co stworzyli. Kochał tę firmę. Zapach samochodów, kiedy przychodził rano do pracy, tę cudowną woń oleju i skóry. Wyprawy do Turynu i Mediolanu, a potem długą jazdę powrotną przez Alpy, Francję i Anglię. Klientów, którzy kochali te piękne auta tak jak on i jak jego brat.

Nie mieli nad sobą szefa, zarabiali niezłe pieniądze, spełniło się ich chłopięce marzenie — o tym, że będą pracowali na własny rachunek i przy samochodach. Paulo zdawał sobie sprawę, że są szczęściarzami. Ale jego brata obchodziło tylko, kiedy będzie miał następną erekcję.

Michael wrócił z deklaracją celną.

— Nie strać Naoko i Chloe — przypomniał mu brat. — Ginger nie jest tego warta. Żadna kobieta nie jest tego warta.

— Mówiłem ci. Odkąd wróciła, nie tknąłem jej palcem.

— A ja mówię tobie. Kochaj swoją rodzinę tak, jak na to zasługuje. Przestań być ogierem, jakim byłeś w Essex.

— Nie rozumiesz tego, prawda?

— Czego? Wyjaśnij mi.

— Nie będziesz chciał słuchać.

— Wal śmiało.

— No dobrze. Matki są w pierwszym rządzie matkami, a dopiero w drugim rządzie kobietami — powiedział Michael.

Ginger zobaczyła, że się jej przygląda, i roześmiała się, a potem uśmiechając się lekko, wróciła do pracy.

— Czego trzeba, żeby cię oczarować? — zapytał Michael. — Czego trzeba, żeby oczarować każdego mężczyznę?

— Nie wiem — odparł Paulo. Nigdy nie zastanawiał się nad takimi rzeczami.

— Trzeba nóg, piersi i ciała.

— Czy ty mówisz o wybieraniu kobiety? — zachnął się Paulo. — Czy o wybieraniu kurczaka na obiad? Ponieważ to brzmi, jakbyś pracował na stoisku z drobiem.

— Daj spokój. Dlaczego oczarowała cię Jessica? Bo jest babką z klasą! Jessica to babka z klasą!

Paulo poczuł, jak ogarnia go duma. To prawda. Jessica była superbabką.

— Zepsuł się jej samochód — powiedział Michael. — Nadjechałeś swoją taryfą. Spojrzałeś na nią i spodobała ci się. Przyznaj się. — Michael szturchnął brata lekko w ramię i obaj się roześmiali. — Tak to funkcjonuje. Tak to zawsze funkcjonowało. Gdyby ważyła tonę, nawet byś nie zwolnił.

Paulo nie mógł się powstrzymać. Cieszył się, że jego brat uważał Jessicę za babkę z klasą. Michael miał w końcu o wiele większe doświadczenie z kobietami.

— Zgadząmy się, czego trzeba, żeby cię oczarować — kontynuował Michael. — A czego trzeba, żeby cię zatrzymać? Trzeba dziecka. I miłości do tego dziecka... tej wielkiej miłości, największej miłości w twoim życiu. Nie wyobrażasz sobie, jaka to jest wielka miłość, Paulo, nie potrafisz zgadnąć, ile masz w sobie miłości, kiedy rodzi ci się dziecko. Dlatego zostajesz. — Michael potrząsnął głową. — Tak łatwo jest odejść, kiedy nie ma dziecka. Po prostu zabierasz się i idziesz. Nie ma żadnej kotwicy, żadnych łańcuchów. Ale potem pojawia się dziecko i okazuje się to niemożliwe.

— Ludzie robią to. Robi to wielu mężczyzn. — Paulo pomyślał o matce Jessiki, przypomniał sobie, jak paliła papierosa w swoim drogim mieszkaniu w St John's Wood, gdzie nie było żadnych dzieci, które poplamyłyby dywan, wypełniły ciszę albo przypomniały ci o mijających latach. Jessica zabrała go tam tylko raz, wkrótce po ich miodowym miesiącu. Wystarczyło mu to. — Kobiety też.

— Wiem, że to robią — mruknął cicho Michael. — Ale nie wiem jak. Ja nigdy nie zostawię Naoko i dziecka. To one będą musiały mnie zostawić.

Może byłoby inaczej, gdyby Ginger urodziła mu dziecko. Wtedy Naoko i Chloe musiałyby konkurować w sercu Michaela z Ginger i jej dzieckiem. Ale Ginger nie urodziła mu w końcu dziecka.

To był fałszywy alarm, oświadczył Michael.

Nie, pomyślał Paulo. To nie był fałszywy alarm. To były po-  
bożne życzenia.

— Nie jest taka ładna jak Naoko — powiedział.

— To prawda — przyznał Michael.

— I taka mądra. I jest o wiele starsza.

— Nie sposób zaprzeczyć.

— W takim razie... dlaczego do tego w ogóle doszło? Jak do tego doszło? Nie rozumiem — stwierdził Paulo.

Jego brat nie musiał się nad tym wcale zastanawiać.

— Jest bardziej wyuzdana. Czy nie to właśnie lubią męż-  
czyźni? Kiedy się nad tym zastanowić, czy nie to właśnie do-  
starcza największej przyjemności?

— Największej przyjemności?

— Chcemy, żeby kobiety były wyuzdane... ale nie chcemy,  
żeby była wyuzdana matka naszych dzieci. Posłuchaj... to nie ja  
ustalam reguły. Wystarczy, że raz spojrzę na Ginger, i już mam  
ochotę strzelić gola.

Paulo zrobił zdziwioną minę.

— Zakisić ogóra — wyjaśnił Michael.

— Ale to chyba nie w porządku. Nie w porządku w stosunku  
do twojej żony. Zasluguje na coś lepszego. Zrozum, jak bardzo  
ją krzywdzisz, zrozum, ile jej przysporzyłeś bólu.

— Tak — odparł Michael, unikając wzroku brata. — Ona za-  
sługuje na coś o wiele lepszego. Dlatego jadę po pracy do do-  
mu. Dlatego nie jadę na kilka godzin do Hiltona. Stąpam po  
linie, ponieważ mam żonę i dziecko. Ale dom nie jest już ostat-  
nio taki sam. Naoko nie chce ze mną spać. Po tym, jak... no

wiesz. Mamy oddzielne sypialnie. Śpię w gościnnym pokoju. A ona z dzieckiem w naszej starej sypialni.

— To smutne.

— Po jakimś czasie do mnie wróci — dodał Michael. — Kiedy odcierpię swoje. Posłuchaj, ja kocham Naoko... na swój sposób. Kiedy ją poznałem, było inaczej. Było inaczej, kiedy była młodą studentką. Nigdy wcześniej nie spałem z Azjatką, a ona tak bardzo różniła się od innych, że nie mogliśmy się sobą nacieszyć. Teraz łączy nas inna miłość. I nie wiem, czy jest gorsza od tej, która łączy miliony innych małżeństw. Kocham ją, tak jak kocha swoje żony wielu mężczyzn, tak jak wielu mężczyzn kocha matki swoich dzieci. Kocham ją jak siostrę. — Michael spojrzał na swojego brata. — I to chyba trochę smutne. Bo kto ma ochotę bzykać swoją siostrę?

— Jessica nie jest dla mnie kimś w rodzaju siostry.

— Poczekaj jeszcze kilka lat. To jest to, do czego boimy się przyznać nawet sami przed sobą. Jeśli mamy ochotę się z nimi pieprzyć, wtedy nie chcemy mieć z nimi dzieci. A jeśli chcemy mieć z nimi dzieci, wtedy nie chcemy się z nimi pieprzyć.

W takim razie może to i lepiej, że jesteśmy z Jessicą bezdzietni, pomyślał Paulo.

Nigdy nie chciał być podobny do swojego brata i wszystkich tych facetów, którzy nie znaleźli szczęścia w małżeństwie i odsiadywali swoje dożywotnie wyroki niczym cyniczni recydywiści.

Paulo wierzył w wielkie uczucie. Wierzył, że miłość może trwać przez całe życie. Wierzył, że może to tak wyglądać z Jessicą. Wierzył w Jessicę i siebie jako parę mimo całej tej bolesnej tęsknoty za czymś, czego nigdy nie mieli, mimo smutku i potajemnych łez za zamkniętymi drzwiami, mimo cierpienia, które zżerało ich żywcem, gdy jego matka po raz kolejny pytała z uśmiechem, kiedy założą rodzinę — jakby to, co ich teraz łączyło, było co najwyżej marną parodią rodziny.

Ale jeśli nigdy nie będziemy mieli dziecka, powiedział sobie, to może nigdy nas nic nie rozdzieli. Może nic nie zabije naszej miłości, a nawet nie zmusi do zajmowania oddzielnych sypialni.

Choć z drugiej strony nie bardzo w to wierzył. Wiedział, że bez dziecka Jessica nie będzie szczęśliwa. Nagle zdał sobie sprawę, że musi znaleźć Jessice dziecko. Ich dziecko.

Nawet gdyby musiał przeszukać cały świat.

## 13.

Londyn. Cholerny Londyn. Chryste, zapomniał już, jak tu może być zimno. I tę porę roku Angole nazywają latem?

Kiedy Kirk szedł Oxford Street w poszukiwaniu pracy i dziewczyny — praca mogła być byle jaka, ale dziewczyna tylko ta jedna — ulicą powiał wiatr i przeszył go do szpiku kości.

A jednak najgorszy nie był chłód, samochodowe korki, stuknięci rowerzyści, kebabowe wymioty i miejskie lisy, które wyły za oknem jego kawalerki, wygrzebując odpadki ze śmietnika. Najbardziej przygnębiało go to płaskie, białe londyńskie niebo, to trupie światło niczym w zamykającej swoje podwoje kostnicy. To światło sprawiało, że miał ochotę uciec do Manili albo nawet do Sydney.

Z drugiej strony, podobnie jak wielu mężczyzn, dla których stały związek jest skrzyżowaniem kłódki z blokadą rowerową, marzył o tym, żeby przestać uciekać. Dlatego tutaj wrócił. Żeby znaleźć tę dziewczynę i przestać uciekać. To musiało się chyba kiedyś skończyć? Te bezustanne balangi, podróże i przeskakiwanie z kwiatka na kwiatek. Bo nie mogło przecież trwać wiecznie.

Kirk zawsze panicznie bał się życia rodzinnego. Nie dlatego, że był jednym z tych smutnych sukinsynów, których rodzice



się rozeszli, ale dlatego, że był jednym z tych smutnych sukinyńców, których rodzice zostali ze sobą.

Kochał swoją matkę i ojca, ale wyłącznie oddzielnie. Razem, jako małżeństwo, byli tragiczni. Kochał ich — ale indywidualnie. Pod tym samym dachem nie mógł znieść ich widoku, głosów i zapachu tego, co ojciec nazywał „szkockim znieczulaczem”.

W jego dzieciństwie zdarzały się chwile, kiedy myślał, że już nigdy się nie wyzwoli. Od pijaństwa ojca. Od złości matki. Jedno bezustannie karmiło się drugim, i rok po roku, w miarę mijania kolejnych dekad, pijaństwo i złość stawały się coraz bardziej zaciekle.

Dlaczego ojciec pił? Bo matka była złośnicą. Dlaczego matka była złośnicą? Bo ojciec pił.

To właśnie utkwilo mu w pamięci, przed tym zawsze uciekał, dlatego zostawił dziewczynę w Australii, dlatego zwał do filipińskich barów i plaż. Jedynie podczas krótkiego pobytu w Londynie miał wrażenie, że mignęła przed nim możliwość innego życia. Życia, które nie było w ogóle podobne do małżeńskiego piekła jego rodziców.

Ojciec, z zawodu taksówkarz, był łagodnym alkoholikiem, facetem, który mógł się wydać nawet dość sympatyczny, kiedy nie zalewał się w trupa, troskliwym ojcem, który pił tylko po to, by utopić w alkoholu jakieś dotkliwe, bliżej nieokreślone życiowe rozczarowania. A matka była wybuchową gospodynią domową, całą w uśmiechach i pełną uroku w supermarkecie i przy bramie szkoły, ale wściekającą się przy stole, wrzeszczącą w kuchni, ciskającą wszystkim, co miała pod ręką. Mimo to Kirk nie mógł jej nie kochać — kiedy jej mąż był w pracy bądź też urywał mu się film po zażyciu szkockiego znieczulacza, potrafiła być czuła i łagodna. Matką potrafiła być bardzo kochającą osobą. Zwłaszcza jeśli było się psem.

Jego rodzice powinni się rozejść, kiedy Kirk dorósł i w wieku szesnastu lat wyniósł się z domu, żeby uczyć miejscowych i turystów, jak nurkować z akwalungiem. Ale oni zostali ze sobą

i patrząc na nich, można było uwierzyć w święty sakrament rozwodu.

Kirk trzymał w ręku firmowe zapalki z nazwą lokalu, gdzie, jak mu powiedziano, mógł znaleźć pracę. Mamma-san.

Śmieszna nazwa jak na restaurację. Może uważali, że to coś w autentycznie azjatyckim stylu: połączenie angielskiego kolokwializmu z japońskim grzecznościowym san. Może oznaczało to ich zdaniem czcigodną matkę. I może tak rzeczywiście było w tej okolicy.

W azjatyckich barach oznaczało to jednak coś zupełnie innego. Mamma-san była starą kobietą, która pomagała mężczyznom znaleźć dziewczynę na noc. Albo na kilka godzin. Albo na szybki kwadransik w zaciemnionym pokoiku dla VIP-ów. Mamma-san, które były w większości czymś pośrednim między kochaną babunią a zahartowaną w bojach dziwką, nauczyły Kirka, że barowym dziewczynom nie płaci się za seks. Płaci się za to, że odchodzą, kiedy jest już po wszystkim.

Obecnie Kirk dochodził jednak do wniosku, że zaznał już dosyć seksu rekreacyjnego, seksu komercyjnego oraz seksu z uczącymi się nurkowania turystkami, z którymi nie trzeba rozmawiać do chwili, gdy wynurzą się z wody. Naprawdę wierzył, że może się ustatkować z tą niesamowitą dziewczyną z przyjęcia — z doktor Megan Jewell.

To prawda, czasami trudno było mu przypomnieć sobie jej twarz. Oboje mieli nieźle w czubie. Ale zapamiętał ją w wystarczającym stopniu. Coś, co w niej tkwiło — jak to wytłumaczyć? — zalało mu głęboko za skórę i nawet po drugiej stronie globu, nawet kiedy był w łóżku z innymi kobietami, nawet kiedy płacił za seks, Megan nie chciała po prostu odejść. Nie sposób było wyjaśnić tego uczucia, lecz nie dało się go pomylić z czymś innym. Jego zdaniem była to miłość.

Podobało mu się, że jest lekarką. Był tym zachwycony. Imponowało mu to i było seksowne. Wiedział, że to głupota, ale nie mógł na to nic poradzić. Ta zmysłowa młoda dziewczyna decydowała o sprawach życia i śmierci i dawało jej to autorytet,

którego nie miały inne znane mu kobiety. I w przeciwieństwie do pozostałych uczestników przyjęcia nie traktowała go jak jakiegoś plażowego dupka z piaskiem zamiast mózgu.

Naprawdę wierzył, że może być tą jedyną. W głębi serca podejrzewał jednak, że wierzy w to tylko dlatego, że nie miał okazji popieprzyć się z nią do woli, i wiedział, że jest prawie kompletną niemożliwością znalezienie jej w dziesięciomilionowym mieście.

Kirk zadawał sobie to samo pytanie, które zadają sobie wszyscy faceci tracący rachubę swoich kochanek.

Czy kiedy dostanie to, czego chce, zapragnie tego ponownie?

Kobiety, z którymi widywał się Rory, były od niego młodsze.

Znacznie młodsze. Wcale tego nie zaplanował, ale tylko takie były dostępne na rynku. Tylko one były dość młode, by zostać jego... hmm... dziewczynami.

Nie potrafił sobie wyobrazić, co kobiety w jego wieku — czterdziestu dziewięciu lat i dziewięciu miesięcy — porabiają wieczorami, gdy on wyruszał na randkę. Może chodzą krok w krok za swoimi kilkunastoletnimi pociechami, powtarzając im, że nie powinny się tak ubierać. Rozmyślają o podłych mężczyznach, którzy spaprali im życie. Może cieszą się, że mają w końcu za sobą horror i upokorzenia okresu godowego. Może są nareszcie szczęśliwe — szczęśliwsze, niż on będzie kiedykolwiek. Cokolwiek robiły, to była inna planeta, równoległy wszechświat, do którego nigdy nie będzie miał wstępu.

Z młodszymi kobietami łatwiej było się spotykać. Nie przejmowały się tym, co z nimi będzie. Dopiero te starsze — to znaczy mniej więcej dziesięć lat młodsze od Rory'ego — słyszały tykanie biologicznego zegara. Nie tylko te, które nigdy nie miały dzieci. Samotne matki były tak samo fatalne. A także szczęśliwie rozwiedzione panie z dziećmi na karku.

Ich ciała grały w dogrywce, ich jaja wciąż liczyły na celny rzut karny. Nawet jeśli miały dzieci, chciały urodzić jeszcze

jedno, chciały mieć jeszcze jedną szansę na stworzenie idealnej rodziny.

Rory nie mógł ich winić. Rozumiał je. Jego samotne serce chciało dokładnie tego samego.

Chciał mieć wreszcie porządną rodzinę.

Widział potraskane fragmenty swojego poprzedniego związku i mimo to pragnął czegoś niemożliwego — pragnął posklejać je z powrotem. Rozumiał dobrze tęsknotę za rodzinnym ogniskiem. Ale tyle kobiet chciało zbyt wiele i zbyt szybko. Po jednej kolacji, jednym filmie i jednej wycieczce do łóżka taksowały go wzrokiem, zastanawiając się, czy nadaje się na stałego partnera, i miał wtedy ochotę urwać się z haczyka. Wiele tych współczesnych kobiet miało zabawnie staroświeckie poglądy — seks był dla nich równoznaczny z małżeństwem i dziećmi. A w wyniku drobnego zabiegu, któremu poddano jego jądra, Rory nie mógł oczywiście splodzić z nimi potomstwa.

Jedna ze starszych kobiet — dobijająca do trzydziestu dziewięciu lat, tego fatalnego brzegu — autentycznie się popłakała, kiedy opowiedział jej o swojej wasektomii.

— To znaczy, że nigdy nie będę mogła mieć z tobą dziecka!

Stwierdziła to po jednej japońskiej rybce, jednym niemieckim filmie i jednym raczej mało ciekawym stosunku.

Widował się więc z młodszymi kobietami. Nie z powodów, które są na ogół podnoszone — nie dlatego, że mają bardziej jędrne i sprężyste ciała — lecz dlatego, że nie dręczyło ich poczucie uciekającego czasu.

Nie może mieć z nimi dzieci? W porządku. Ponieważ one też nie chciały mieć z nim dzieci. Nie chciały dzieci z nikim. Nie teraz. Nie w tym momencie.

— Dziecko to coś z wielką gębą z jednej strony i brakiem poczucia odpowiedzialności z drugiej — oświadczyła pewna absolwentka Cambridge, która zajmowała się aktualnie organizowaniem taksówek dla BBC. Miała dwadzieścia dziewięć lat. Rory wiedział, że w ciągu następnych dziesięciu lat przestanie

się drwiąco uśmiechać i zmieni ton. Wszystkie zmieniały ton. Ale on będzie już wtedy daleko.

Jego rówieśnicy — dorastający w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych weterani sądów rodzinnych, w których udzielano im niekiedy więcej niż jednego rozwodu — zapewniali Rory'ego, że widywanie się z młodszymi kobietami jest absolutnie normalne.

Jeden z nich — pięćdziesięcioletni prawnik, który spotykał się z trzydziestodwuletnią agentką literacką — oświadczył, że aby znaleźć idealną partnerkę (zakładając oczywiście, że jest się dysponującym odpowiednimi środkami mężczyzną w średnim wieku), trzeba podzielić na pół własny wiek i dodać do niego siedem lat.

Zgodnie z tą zasadą schludny trzydziestolatek powinien widywać się z dwudziestodwulatką. Dobrze zachowany czterdziestolatek powinien związać się z dwudziestosiedmiulatką. A pięćdziesięcioletni piernik chodzić na randki z niewiastą liczącą ni mniej, ni więcej tylko trzydzieści dwa lata.

To, że mężczyzna w jego wieku widuje się z młodszą kobietą, jest absolutnie naturalne, powiedziano Rory'emu — bez względu na to, jak bardzo wydaje się to banalne i jak bardzo nie chciałby uchodzić za sprośnego starego satyra. To była jedna z okrutnych reguł.

— Starzejąc się, mężczyzna ma do wyboru coraz więcej kobiet — twierdził prawnik. — Z kobietami jest odwrotnie. Taka jest prawda, niezależnie od tego, z jakim bawidamkiem pojawi się w przyszłym tygodniu Joan Collins czy Demi Moore.

Ostatnia kobieta, z którą widywał się Rory, miała trzydzieści dwa lata — pięćdziesiąt na pół plus siedem: idealny wiek. Z początku szło im świetnie. Jego zabieg był dla niej czymś w rodzaju zręcznej sztuczki, którą pokazuje się na przyjęciu, zupełnie jakby wasektomia wymagała giętkich palców. Nie pragnęła rozpaczliwie wypełnić swojego biologicznego przeznaczenia. Nie w tym momencie. Nie z nim. Uważała, że ma jeszcze mnóstwo czasu. I cieszyła się, że mogą odłożyć na bok kondomy.

Po kilku miesiącach łagodnie się z nią rozstał. Nie miał do niej żadnych zastrzeżeń. Była bystra, wesola i świetna w łóżku. Prawdę mówiąc, seks z nią nie różnił się jednak wiele od zamówionej do domu pizzy. Z tym właśnie coraz bardziej kojarzył mu się współczesny seks — z Super Supreme z dodatkową porcją pepperoni. Trwająca moment przyjemność, która zacie-  
ra się w pamięci, i zaraz potem człowiek znów jest głodny. Czy chodziło tutaj o coś więcej poza chwilowym zaspokojeniem zwierzęcego apetytu? Chyba nie.

Nie zawsze tak było.

W zamierzchłych czasach jego małżeństwa, jeszcze przed operacją, seks zawsze niósł ze sobą obietnicę czegoś więcej. Po zabiegu i rozwodzie seks i prokreacja zostały na zawsze oddzielone — podobnie zresztą jak oddziela je społeczeństwo, pomyślał. Seks nigdy już nie miał dla niego oznaczać rodziny, podobnie jak nie oznacza jej seks, który widuje się w kolorowych reklamach.

Seksualne obrazy, którymi jesteśmy codziennie bombardowani — co one mają wspólnego z możliwością powstania nowej istoty ludzkiej, nowego życia, ze stworzeniem własnej rodziny?

Zupełnie nic.

Dla Rory'ego i dla świata seks był teraz wyłącznie szybkim, tanim bzykaniem, lekkostrawnym posiłkiem, prędko spożywanym i tak samo prędko zapominanym. Ekspresowym numerkiem przy lodówce, przy której siorbie się lody Häagen-Dazs.

Natychmiastową gratyfikacją, jednorazową przyjemnością.

Kiedyś znaczyło to dla niego znacznie więcej. Kiedyś, dawno temu, było wszystkim, czym było dzisiaj — głodem, gorączką, zatraceniem się w ciele innej ludzkiej istoty — a mimo to czymś nieskończenie większym.

Od rozpadu jego małżeństwa Cat była jedyną kobietą, z którą seks wydawał się czymś lepszym od dostarczonej do domu pizzy.

Och, żałował, że nie spotkał jej wcześniej, że to nie ona jest matką jego syna. Żałował tego aż do bólu. I tęsknił za nią.

W gruncie rzeczy do tego się to sprowadzało. Tak bardzo za nią tęsknił. Brakowało mu jej zaciekłości, jej głupekowatego uśmieszku, jej siły i jej łagodności. Jej długich nóg, cichego oddechu, gdy spała, i tego, jak wyglądała w niedzielę rano, kiedy czytali gazety i nie musieli mówić ani słowa. Wszystkiego tego mu brakowało.

Odkąd się rozstali, widywał się z kobietami, które były młodsze, ładniejsze i bardziej ogniste w łóżku, lecz żadna z nich nie należała do tej samej ligi co ona. Na tym polega tajemnica, której nigdy nie zdołamy pojąć, pomyślał. Nie potrafił tego wyjaśnić. Nie sposób wyjaśnić, dlaczego serce postanowiło pokochać tego, kogo pokochało.

Naprawdę był w niej zakochany — teraz to rozumiał — ale chociaż tak bardzo za nią tęsknił, wiedział, że może bez niej żyć. I to jest najgorsze, kiedy człowiek się starzeje. To jest w ogóle najgorsze. Świadomość, że kiedy dojdzie do kryzysu, kiedy powiemy sobie do widzenia i obiecamy, że zostaniemy przyjaciółmi, będziemy mogli żyć bez tej osoby. Świadomość, że w ostatecznym rachunku jesteśmy wszyscy sami i szukamy przyjemności tam, gdzie uda się ją znaleźć.

Kiedy człowiek uświadamia sobie, że nie umrze z miłości, pomyślał, wtedy wie, że jest naprawdę w średnim wieku.

Rory widywał się zatem z młodszymi kobietami. I co paradoksalne, nigdy nie cieszył się u nich takim powodzeniem, gdy był jurnym młodzieńcem.

Podobało im się jego zahartowane po długich latach ćwiczeń ciało. Podobała im się jego łagodność. A przede wszystkim, co smutne, podobało im się to, że Rory może bez nich żyć.

Wiedział teraz, że kiedy człowiek zużyje cały swój ładunek miłości, może żyć sam.

To była kolejna z okrutnych reguł.

Paulo skręcił swoim ferrari na podjazd i natychmiast wdepnął hamulec.

Powoli wycofał się po chrzęszczącym żwirze, odnotowując obecność ogrodnika, faceta od basenów, montera z firmy telekomunikacyjnej, dwóch nieznanych samochodów, dwóch niezidentyfikowanych białych furgonetek — hydraulicy? — wielkiego, czarnego BMW X5 przedsiębiorcy budowlanego oraz wypełnionego po brzegi kontenera na gruz, którego rano jeszcze nie było. Równie dobrze mógłby próbować zaparkować na Piccadilly Circus.

Po drugiej stronie podjazdu był garaż na dwa samochody, ale próba dotarcia tam przypominałaby ewakuację Dunkierki. W związku z czym Paulo ponownie zaparkował na drodze. Kiedy otwierał drzwiczki, jakiś samochód przemknął obok, gniewnie trąbiąc. Po całym życiu spędzonym w miejskich korkach, przerażała go szybkość, z jaką pędzono po tych wiejskich szosach.

Drzwi do ich nowego domu były otwarte.

Kiedy wszedł do środka, zaatakowały go dźwięki i zapachy. Stukanie, spawanie, odgłosy upuszczanych ciężkich przedmiotów. Podniesione głosy i śmiechy. Zapach świeżej farby, mokrego tynku, gumy do żucia i papierosowego dymu. Czując się niczym obcy w swoim własnym domu, Paulo oparł dłoń o balustradę i natychmiast ją cofnął, kiedy do palców przylepiła mu się warstwa kremowo-białej emulsji.

— Powiadają, że przeprowadzka jest tak samo stresująca jak żałoba po bliskiej osobie albo rozwód — oznajmił ich przedsiębiorca budowlany, zapalając skręta. — Ja osobiście wolę żałobę i rozwód. Szukasz swojej damy, Paul?

Jessica była w ogrodzie na tyłach domu, pod parasolem w stylu mórz południowych. Studiowała jakiś projekt z nieznanym Paulowi mężczyzną.

Mężczyzna podał cenę kuchni. Paulo myślał z początku, że się przesłyszał — cena wydawała się zdecydowanie zbyt wysoka, zbliżona bardziej do ceny samochodu. Ale mężczyzna oświadczył, że jak na kuchnię tej jakości cena wcale nie jest wygórowana. I Paulo zastanawiał się, kiedy zmienił się świat



i co powiedziałaaby jego matka na kuchnię, która kosztuje tyle co samochód.

Mężczyzna musiał mówić bardzo głośno, ponieważ banda nagich do pasa młodych ogrodników, dzierzących coś, co było podobne do małych odkurzaczy, obchodziła dookoła wielki ogród, wymiatając zabłąkane liście i gałązki. Facet od basenów przeczesywał wodę wielką rybacką siecią, usuwając śmieci, które wpadły do niej w wyniku działań ogrodników. Wszędzie widać było chaotyczną dążność do perfekcji.

Paulo spojrział na studiującą plany żonę. Rysy jej twarzy zastygły w wyrazie koncentracji. Uwielbiał ją obserwować, kiedy o tym nie wiedziała. Nigdy nie przestał dziwić się własnemu szczęściu, naprawdę trudno było mu uwierzyć, że dzielił z tą kobietą dom, łożę i życie. Zawsze twierdził, że mógłby jej się przyglądać całą nieskończoność, na co Jessica odpowiadała z uśmiechem, że znudziłby się pewnie po piętnastu minutach.

Nie, pomyślał Paulo, obserwując, jak naradza się z facetem od kuchni. Piętnaście minut to zdecydowanie za mało.

A potem Jessica podniosła nagle wzrok i uśmiechnęła się do niego. Mimo że minęło tyle lat, zawsze cieszyła się na jego widok.

— Jess? Mogę zamienić z tobą dwa słowa? — zapytał.

Ale Jessica chciała przedstawić Paula facetowi od kuchni i przez dłuższy czas wszyscy troje rozważali zalety różnych rodzajów drewna, granitu, glazury i urządzeń kuchennych, aż w końcu facet musiał popędzić na następne spotkanie.

Na skraju ogrodu stała mała szopa, po części letni domek, po części składzik. Nie zważając na jej protesty — Jessica chciała porozmawiać z szefem hydraulików na temat kranów — Paulo skierował ją w tamtą stronę.

— To będzie piękna kuchnia — powiedziała Jessica z oczyma lśniącymi z podniecenia.

— Wiem, Jess.

Na jej twarzy odbiła się nagle troska.

- Czy mamy problemy z pieniędzmi?
- Jeśli będziesz tego chciała, zawsze znajdziemy pieniądze. Jessica zarzuciła mu ręce na szyję. Budowlaniec zagwizdał.
- Jesteś taki słodki — szepnęła.
- Paulo pocałował ją lekko w usta.
- Pragnę tylko twojego szczęścia — odparł.

I naprawdę tak myślał. Jeśli ten nowy dom miał ją uszczęśliwić, w takim razie znajdzie gdzieś pieniądze. Jeśli miała to sprawić ta nowa kuchnia, która kosztowała więcej niż dom, gdzie mieszkali jego rodzice, dom, gdzie wychowali swoich dwóch synów, gotów był podpisać każdy czek. Chciał dać swojej żonie wszystko, czego pragnęła. W głębi serca zastanawiał się jednak, czy nie na tym właśnie polega problem.

Przywykliśmy do tego, że dostajemy rzeczy, których chcemy. Wszyscy. I jak reagujemy, kiedy pojawia się coś, czego nie możemy dostać? Coś, czego chcemy bardziej niż czegokolwiek?

— Uważaj na schody — powiedziała. — Są świeżo malowane.

— Będę uważał.

Zdał sobie sprawę, że muszą mówić głośno z powodu ogrodników i ich maszynek do usuwania liści. Ale nie mógł z tym poczekać do chwili, gdy zostaną sami. Musiał to załatwić już teraz. Nie było czasu do stracenia. Dlatego pokazał jej w letnim domku broszurę, którą ze sobą przywiózł.

Na okładce było kolorowe zdjęcie azjatyckiego niemowlaka trzymanego w czyichś ramionach. Kobięcych ramionach. W tle typowy azjatycki pejzaż w czerni i bieli: zakrzywiony dach buddyjskiej świątyni i spowite mgłą zielone góry.

„Adopcja w Chinach”, głosił napis na okładce. Żółte litery na czerwonym tle. Chińskie kolory, pomyślał Paulo. Na twarzy Jessiki odbiła się najpierw konsternacja, potem niepokój. Tak jakby coś zepsuło jej wspaniały dzień.

— Co to jest? — zapytała, potrząsając głową. — Co to jest?

Jego żona oglądała tyle kolorowych broszur. Przedstawiających kuchnie, łazienki, sypialnie i każdy element ich umeblowania.

Łóżka, umywalki, dywany, zasłony, stoły i krzesła. Paulo wiedział jednak, że to wszystko nie zmieni tej willi w prawdziwy dom. Mogła to sprawić tylko jedna rzecz.

— Nie chcesz próbować znowu sztucznego zapłodnienia — wyjaśnił.

— Sztuczne zapłodnienie to medyczna bomba z opóźnionym zapłonem — mruknęła Jessica, kartkując broszurę o adopcji w Chinach.

Tekst ilustrowały liczne czarno-białe zdjęcia wystraszonych chińskich dzieci, śpiących chińskich dzieci, a także uśmiechniętych chińskich dzieci. Pięknych dzieci. Jessica wpatrywała się w nie, jakby dzieci były gatunkiem, którego nigdy przedtem nie widziała.

— Mówiłem ci już, że moim zdaniem to bzdury — odparł Paulo.

— Och, więc nagle stałeś się wielkim ekspertem? Myślisz, że po prostu boję się kolejnej próby, i jesteś w błędzie. Ta metoda jest niebezpieczna, Paulo. Badania wykazały, że sztuczne zapłodnienie zwiększa ryzyko wystąpienia guzów. Sztucznie zapłodnione dzieci mają na ogół niższą wagę przy urodzeniu. Nie wspominam już o negatywnym wpływie, jaki to ma na biedne matki. Słyszałeś o związku sztucznego zapłodnienia z rakiem piersi?

W jej głosie brzmiał gniew, lecz Paulo słyszał w nim coś jeszcze, coś, co przypominało strach. Nie chciał, żeby była wystraszona. Chciał, żeby przebrnęli przez to razem.

— Ja też czytałem te artykuły — powiedział, najłagodniej jak potrafił. — I przykro mi, Jess, ale uważam, że to nie są powody, dla których nie chcesz ponownie spróbować. Myślisz, że normalnie urodzone dzieci nie mają żadnych problemów? Jezzu, dzisiaj wszyscy chcą żelaznych gwarancji. Gwarancji na całe życie. Ale na świecie to niemożliwe.

Jessica zwiesiła głowę i wypełniający ją smutek ogarnął ich oboje.

- Muszę ci się wydawać taka żalosna...
- Daj spokój, Jess, wiesz, że to nieprawda. Jesteś dla mnie najważniejsza.
- Myślisz sobie: no tak, biedna krowa została panią domu. Jaki z niej pożytek bez dziecka? Zafundujmy jej dziecko, to się przymknie. Może być jakiegokolwiek dziecko.
- To nie fair. Mówię tylko, że są miliony zdrowych zapłodnionych in vitro dzieci.
- Jessica wysunęła wojowniczo podbródek, co robiła zawsze, gdy znalazła się w konfliktowej sytuacji, i Paulo poczuł, jak wyrwa się ku niej jego serce.
- To moje ciało.
- Owszem, twoje... i dlatego chcę, żebyś przynajmniej zastanowiła się nad adopcją.
- Jessica gorzko się roześmiała.
- Wydaje ci się, że tego właśnie chcę? Dziecka, które wybrałam przez Internet? Jakiegoś egzotycznego dzidziusia z www.sierociniec, którego nikt nie chce w jego własnym kraju?
- Paulo położył dłonie na trzymanej przez nią broszurze, jakby to mogło ich ocalić.
- Po prostu przeczytaj to, Jess. O nic więcej nie proszę. Wiesz, co mówią w Chinach? O adoptowanym dziecku? Urodzone w złym brzuchu znajdzie właściwe drzwi.
- Wszyscy będą wiedzieli, że to nie moje dziecko.
- W jej głosie brzmiała błagalna nuta. Chciała go powstrzymać, chciała, żeby przestał o tym w końcu mówić. Tak bardzo starała się odsunąć od siebie myśl o pokochaniu cudzego dziecka i o straszliwej implikacji, jaka z tego wynikała — że nigdy nie będą mieć własnego.
- Kogo obchodzi, co będą wiedzieli ludzie, Jessie? Kogo obchodzi, co sobie pomyślą? Kogo to obchodzi?
- W jej oczach zalśniła furia.
- Mnie, do cholery, obchodzi!
- Jess... gdzieś tam czeka na nas dziecko. Dziecko, które pragnie mieć kochających rodziców tak samo gorąco, jak my

pragniemy mieć dzidziusia. Co jest złego w adopcji? Mówię tylko, żebyś o tym pomyślała. Nic więcej. To jedna z wielu opcji.

— Nie dla mnie — odparła stanowczym, twardym głosem, który nie dopuszczał żadnej dyskusji i niweczył wszelką nadzieję. — To nie jest opcja dla mnie. Ja chcę mieć swoje dziecko. Nie dziecko, które urodził ktoś inny. Nie dziecko, które nie jest do mnie podobne. Moje dziecko. Nie jakiś substytut. Nie zadowolę się byle czym. Adopcja nie wchodzi w grę.

Oddała mu broszurę o adopcji w Chinach z pogniecioną i podartą w jej dłoniach okładką.

— Wolalabym już raczej pieprzonego kota — dodała.

## 14.

— Stolik czwarty — powiedział szef kuchni, stawiając na kontuarze talerz z tygrysimi krewetkami. — Stolik Cat.

Kirk zrobił głupią minę.

— Tam gdzie siedzi ten stary facet i trzy panie. Ruszaj się, surferze!

Kirk wyszedł z wypełnionej oparami kuchni. Była sobotnia noc i restauracja pękała w szwach. Goście przy czwartym stoliku mieli w sobie coś dziwnie znajomego. Wydawało mu się, że poznaje starszego pana — wyprostowanego szpakowatego faceta w typie Davida Nivena, autentycznego Angola starej daty — no i oczywiście znał siedzącą obok niego wysoką przystojną kobietę, Cat, kierowniczkę knajpy, której został przedstawiony, kiedy szef kuchni przyjął go do pracy. Przy stoliku siedziały jeszcze dwie panie, ale nie widział ich twarzy.

— Państwa krewetki — powiedział, starając się znaleźć miejsce na ich gęsto zastawionym stoliku. — Ostrożnie, są bardzo...

I nagle spojrzął prosto w oczy Megan.

— ...gorące — wychrypiał, trzymając krewetki wysoko w powietrzu.

— Ma pan na myśli „ciepłe” czy „pikantne”? — zapytała Jessica.

Tyle razy wyobrażał sobie w myślach ich ponowne spotkanie, że kiedy do niego w końcu doszło, zupełnie go zamurowało. Z jakiegoś powodu spodziewał się, że Megan będzie żywiła podobne uczucia co on, że ucieszy się na jego widok.

Jednak nic w jej oczach nie wskazywało, że go w ogóle poznaje.

— No więc w jakim znaczeniu gorące? — dopytywała się Jessica.

Kirk popatrzył na nią nieprzytomnie.

— Co?

Megan odebrała od niego krewetki.

— Dobrze, będziemy ostrożni — powiedziała spokojnie, choć wcale nie była spokojna. Co on tutaj robi?

— To ty — stwierdził ze słabym uśmiechem Kirk. Wszędzie jej szukał. A ona przysłała do niego. Ale nie tak to miało wyglądać.

— Jak się masz? — zapytała i uśmiechnęła się, jakby był starym znajomym, którego nie potrafiła umiejscowić.

A potem zrobiła coś niesłychanego: odwróciła się do niego plecami i zaczęła jeść krewetki. Kirk upadł na duchu, ale wciąż tam stał, sparaliżowany widokiem Megan Jewell. Dziewczyny, z którą przespał się tylko raz w życiu i o której miał myśleć w godzinie swojej śmierci.

Cat głośno chrząknęła.

— Poprosimy o jeszcze jedną butelkę bollingera — powiedziała. — Kiedy będziesz gotów.

— Już się robi — odparł Kirk.

— Kto to był? — usłyszał, odchodząc, głos starszego pana.

— Och, nikt ważny — odpowiedziała Megan.

Rodzina Jewellów świętowała.

Sześcioletni Jack dostał właśnie pierwszą rolę w Hollywood. W wieku, w którym jego rówieśnicy bili się o ogony w operach mydlanych, wybierał się na trzy tygodnie do Los

Angeles, żeby zagrać ojca w przeniesionym w czasy wojny w Wietnamie remake'u *Małych kobietek*.

— Będę grał oddanego tatusia całej gromadki trudnych, wymagających córek — wyjaśnił z uśmiechem.

— To będzie dla ciebie prawdziwe wyzwanie — zafrasowała się Jessica.

— I mówi się o szufladkowaniu aktora — dodała Cat.

Wszyscy się roześmiali, ale Megan miała poważne obawy, czy ojciec zdoła tchnąć trochę życia w tę rolę. Był kochany, lecz wiedziała, że zawsze wprawiało go w zakłopotanie to, co nazywał „dziewczęcymi sprawami”. Chociaż tak bardzo je kochał, jego córki stanowiły dla niego zawsze zagadkę.

To Cat wyjaśniła wszystko najpierw Jessice, a potem Megan, kiedy każda z nich dostała pierwszy okres. Domyślała się, że ojciec nie miał pojęcia, iż Jessica miała aborcję w wieku szesnastu lat, a Megan zaczęła w tym samym wieku brać tabletki. Nawet teraz w jego oczach pojawiała się cicha panika, kiedy mówiło się o endometriozie Jessiki albo o stanie przedrzucawkowym Megan. Megan było go zawsze żal. Ojciec nie może stać się matką tylko dlatego, że ta wzięła nogi za pas.

— Za *Małe kobietki* — powiedziała Jessica, kiedy podnieśli kieliszki z szampanem, w wypadku Megan zamienionym na sok brzoskwinowy. — Na pewno będą świetne.

— Będą wspaniałe — stwierdziła Cat.

— Daj im popalić, tato — dodała Megan.

Świętowali tylko w czwórkę. Żadnych chłopaków, żadnych mężów, co tak naprawdę — jako że z nich wszystkich tylko Jessica była z kimś związana — oznaczało, że nie było Paula. Ale Paulo wcale nie miał pretensji, że go nie zaprosili. Kiedy siostry spotykały się z ojcem, miał wrażenie, że dobija się do drzwi klubu, którego nie był członkiem.

— Jak tam nowy dom, Jessie? — zapytał ojciec.

— Ma pięć łazienek — odpowiedziała i wszyscy wydali z siebie pomruk podziwu. Zawsze kusilo ją, by zwrócić uwagę na



tę absurdalną liczbę łazienek. — Dobrze jest wyrwać się z miasta. Jest czyściej, bezpieczniej, bardziej zielono.

— I założę się, że ludzie są przyjaźniej nastawieni — dodał ojciec. — Mają więcej czasu dla siebie.

Jessica szybko przytaknęła, mimo że nie była to wcale prawda.

Zdażyła się już przekonać, że na przedmieściach roi się od zarozumiałych matek — wszystkich kobiet z honorowymi tytułami pani domu, tych, które wypełniły biologiczną powinność i nie widziały świata poza swoimi małymi pociechami. Tak naprawdę tęskniła za siostrami, Naoko i miastem.

Kiedy ktoś uśmiechał się do dzieci w podmiejskim parku lub na ulicy, zadzierające nosa matki zachowywały się tak, jakby miał je zamiar ukraść. W skrytości ducha Jessica wołała-by nigdy nie rozstawać się z ich starym domem i starym życiem, z Naoko i małą Chloe. Naoko dobrze rozumiała, że jej szwagierka nigdy nie skrzywdziłaby żadnego dziecka. Naoko wiedziała, że kocha dzieci. Wiedziała, że tylko się uśmiecha.

— Muszę się wysikać — oznajmiła Megan. — Natychmiast.

Wstała z krzesła i prawie w tym samym momencie usłyszała huk rozbijającej się o podłogę butelki szampana. Odwróciła się i zobaczyła Kirka. Który patrzył na jej brzuch.

Kiedy wyszli z restauracji, czekał na nich na ulicy.

— Chcesz, żebym zajęła się tym facetem? — zapytała Cat. — Jezu Chryste, on dla mnie pracuje. Kopnę go w dupę tak mocno, że wyląduje z powrotem w buszu.

— Ja się nim zajmę — odparła Megan. — To nie była prawda, że nie jest nikim ważnym.

Spojrzały na nią, a potem na młodego Australijczyka.

— To chyba nie jest...? — zapytała Jessica. — To on, prawda? To on.

Cat wzięła ją pod rękę, nagle wszystko pojmując.

— Chodźmy, Jess.

Ich ojciec stał w błogiej nieświadomości przy krawężniku, próbując zatrzymać wolną taksówkę. Taryfa zatrzymała się i Megan ucałowała ojca i siostry na pożegnanie. Zostawiły ją niechętnie, Cat obiecując, że jutro zadzwoni, a Jessica wciąż przyglądając się Kirkowi i przypominając, że idą na następną serię badań. Kiedy taksówka odjechała, Megan poczuła, że Kirk stoi tuż za nią.

— Skąd ja znam tego staruszka? — zapytał.

— Mój ojciec jest aktorem — odparła chłodno, poirytowana jego lekceważącym tonem. Co on sobie wyobraża? Że są na randce? — A skąd ja znam ciebie?

Uśmiechnął się, jakby próbowała go uwieść.

— To było zabawne. Masz ochotę na drinka albo coś w tym rodzaju? Za rogiem jest bar.

— Żadnych barów — powiedziała, gładząc się obronnym gestem po brzuchu. — Żadnego alkoholu, dymu z papierosów i tłumu.

Kirk pokiwał głową.

— Głupiec ze mnie. Przepraszam. Więc co?

Megan wzruszyła ramionami.

— Możesz odprowadzić mnie do samochodu.

Wydawał się zdruzgotany.

— Jasne.

Ruszyli w stronę jej auta. Kirk szedł za nią w pewnej odległości, jakby bał się jej dotknąć.

— Czy to...?

Roześmiała się, autentycznie ubawiona. A potem westchnęła.

— Masz na myśli, czy to twoje?

Kirk zrobił zakłopotaną minę.

— Przepraszam.

— Masz prawo zapytać. — Megan uśmiechnęła się. — Nie ma w tym nic złego. Owszem, to twoje dziecko... Kirk, prawda?

Robiła sobie z niego jaja? Nie zapomniała chyba jego imienia? Nie wiedział, kiedy żartuje, a kiedy jest śmiertelnie poważna.

— Kirk. Zgadza się. Ale dlaczego nic mi nie powiedziałaś?  
— Nie miałam adresu — odparła, unikając jego wzroku. — Ani numeru telefonu.

— Dałem ci mój numer telefonu!  
Posłała mu wyzywające spojrzenie.

— Tak, ale go wyrzuciłam.

Przez chwilę się nad tym zastanawiał.

— Boże wszechmogący... jesteś w ciąży. W którym miesiącu? Szóstym?

Zbyttno się nie pomylił. Była pod wrażeniem. Musiał spędzić trochę czasu w towarzystwie kobiet. Zameźnych albo tych, które były kiedyś zameźne. Może miał siostry. A może przytrafiło mu się już wcześniej coś podobnego.

— To trzydziesty pierwszy tydzień. Czyli... trochę więcej niż sześć miesięcy.

Wpatrywał się zatroskanym wzrokiem w jej brzuch. Nie, po namyśle doszła jednak do wniosku, że nie przytrafiło mu się to wcześniej. Zbyt wielkim napawało go to respektem. I potrafiła to zrozumieć. Ktoś, kto nie odczuwał respektu w obliczu tego codziennego cudu, nie był zdolny odczuwać go w obliczu cze-  
gokolwiek.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

Megan spojrzała na niego z ukosa.

— Dlaczego miałoby to cię obchodzić?

Kirk trochę się zjeżył.

— Bo to mój syn — odparł cicho.

Uśmiechnęła się. Przystojny był z niego sukinsyn. I miał dobre serce. Mogła zrozumieć, dlaczego kiedyś, dawno temu, miała ochotę uprawiać z nim seks.

— To dziewczynka — wyjaśniła.

— Dziewczynka? Dziewczynka...

Nie wiadomo dlaczego nie przyszło mu do głowy, że jego pierwsze dziecko będzie dziewczynką. Ale teraz uśmiechnął się i pokiwał głową, uświadamiając sobie, że bardzo mu się to podoba. Dziewczynka!

— W takim razie to moja córka.

Megan zatrzymała się i spojrzała mu w twarz. Nie wiedziała, co ma czuć do tego mężczyzny. W tym momencie najodpowiedniejsze wydawało się skrajne zniecierpliwienie.

— I co z tego? — zapytała.

Kirk zamrużył oczyma.

— Co z tego? — powtórzył.

— To znaczy, naprawdę co z tego? Masz zamiar się ze mną ożenić? Uczynić ze mnie uczciwą kobietę?

Spojrzał na nią, jakby poważnie to rozważał. Przez sekundę bała się, że uklęknie na jedno kolano.

— Tego właśnie chcesz?

— Nie! Jezu! — Cofnęła się od niego o dwa kroki. — Nie jesteś chyba idealnym materiałem na męża, prawda?

— Nic o mnie nie wiesz.

— To prawda. Nic o tobie nie wiem. Poza tym, że jesteś facetem, który uprawia na przyjęciach seks z nieznanymi dziewczynami.

Kirk uniósł kpiąco brew.

— Może nadeszła pora, żeby mnie poznać. Teraz kiedy nosisz w sobie nasze dziecko.

— Bez obrazy, Kirk, ale nie ma takiej potrzeby. Jesteś... jak by tu powiedzieć? Tym Australijczykiem, który jeździ na deskorolce.

— Nigdy w życiu nie miałem deskorolki.

— Wysportowanym. Świetnie radzącym sobie z paniami. Trochę zużyтым, ale pieprzącym się na lewo i prawo. Czując, że od życia należy mu się coś więcej poza uczeniem nurkowania spasionych turystów.

Kirk zrobił zadowoloną minę.

— Więc jednak mnie pamiętasz.

— Co tu pamiętać? To była jedna noc. Właściwie nawet nie noc. Z tego, co pamiętam, szybki numerek na stercie płaszców w gościnnej sypialni.

— Nie mów tak. Bez przerwy o tobie myślałem. W Sydney.

Na Filipinach. Cały czas o tobie myślałem. Nie wiem dlaczego. Zalażaś mi po prostu za skórę. Jest w tobie coś innego.

— Pochlebiasz mi — stwierdziła szorstko Megan. — Lecz naprawdę mnie nie znasz. A ja nie znam ciebie. Doceniam, że chcesz się uczciwie zachować. Szczerze to doceniam. To nawet miłe, że nie wiejesz, gdzie pieprz rośnie, ani nie domagasz się zrobienia testu DNA i tak dalej. Ale ja poradzę sobie z tym sama. Z moimi siostrami. Nie potrzebuję jakiegoś faceta, który chce wypełnić lukę w swoim życiu. To mój samochód.

Weisnęła przycisk na kluczyku i światła błysnęły dwa razy.

— Chcę po prostu w tym uczestniczyć — powiedział Kirk.

Jak mogła mu to wytłumaczyć? Chciał zabawić się w szczęśliwą rodzinę. A ona nie wiedziała nawet, czy będzie miała jakąkolwiek rodzinę. Wkrótce mogła zostać zupełnie sama.

— Posłuchaj, Kirk. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy to dziecko się urodzi.

Trzymała rękę na klamce samochodu. Ale jeszcze nie odjeżdżała. Widziała, jak wszystkie te emocje, które codziennie przeżywała — strach, niepewność, straszliwe niedowierzanie — odmalowały się na jego ładnej twarzy.

— Nie urodzi się? Co to znaczy?

— Nie wiem, czy dziecko przeżyje. Mogę je urodzić każdego dnia. Mogę je urodzić dziś w nocy. A jeśli urodzi się tak wcześnie, będzie musiało walczyć o życie. Dosłownie walczyć o życie. — W oczach stanęły jej łzy. Nie mogła ich powstrzymać i otarła gniewnym gestem wierzchem dłoni. — Wiesz, co to jest stan przedrzucawkowy?

I tu ją zaskoczył.

— Miała go moja siostra. To ma coś wspólnego z ciśnieniem krwi, prawda? Mój siostrzeniec musiał się wcześniej urodzić. Zrobili cesarskie cięcie. Był w inkubatorze. W wełnianej czapeczce. Cały opatulony, żeby było mu ciepło. — Kirk potrząsnął głową na wspomnienie tego obrazu. — Biedne maleństwo.

— W którym była tygodniu? Twoja siostra?

— Nie wiem.

— Widzisz... to jest to, co się liczy. Liczba tygodni. Od tego wszystko zależy. Jeśli urodzi się w dwudziestym ósmym, dziecko ma pięćdziesiąt procent szans. Wiedziałaś o tym? Oczywiście, że nie. Ja jestem już w trzydziestym pierwszym i w tym momencie szanse są większe. Dziewięćdziesiąt procent przeżywa. Ale dziesięciu procentom się to nie udaje. Dziesięć procent dzieci umiera.

Kirk pokiwał głową. Przez chwilę myślała, że w jego oczach zalśniły łzy, ale to były prawdopodobnie tylko uliczne światła.

— Do pełnej ciąży brakuje mi dwa miesiące. To dużo czasu. Na pewno nie wytrzymam tak długo.

— Może ci się uda.

To było coś, czego nie potrzebowała. Bezmyślnych, nieopartych na niczym zapewnień. Była profesjonalistką i irytowały ją opinie laika.

— Jesteś lekarzem? Nie. Jesteś kelnerem. To ja jestem learką. Więc posłuchaj mnie. Ta ciąża na pewno nie będzie trwała dziewięciu miesięcy. Jeśli dziecko się urodzi, nie przeżyje poza inkubatorem. To pewne. Im dłużej wytrzymam, tym lepiej dla nas obojga. I nie mówię tutaj o tobie i mnie, Kirk.

— Rozumiem.

W tym momencie chciała, żeby zrozumiał. Chciała, żeby wiedział. To była najważniejsza rzecz na świecie i chciała, żeby to do niego dotarło.

— Nawet jeśli wytrzymam jeszcze kilka tygodni, wcześniej urodzone dzieci mają najróżniejsze problemy. Z oddychaniem. Z odżywianiem się. — Przeczesała palcami włosy i cicho zakłęła. — Posłuchaj... kłopot z wcześniakami polega na tym, że ich płuca nie są rozwinięte. Nie potrafią, kurwa, oddychać. Zdajesz sobie chyba sprawę, że to jest pewien problem. Kiedy się nie oddycha. Naprawdę, Kirk, mam za dużo spraw na głowie, żebyś kręcił się w pobliżu i udawał troskliwego tatusia.

Kirk rozłożył bezradnie ręce.

— Chcę ci tylko pomóc. Jak tylko potrafię. Nic więcej, Megan. Czy to coś złego?

Czuła się teraz taka zmęczona po nadrabianiu miną podczas kolacji i po spacerze do samochodu. Bolały ją rozluźniające się przed porodem mięśnie w krzyżu. Kim był ten dziwny chłopak? Dlaczego nie chciał jej zostawić w spokoju? Zostawić ich obu w spokoju?

— Posłuchaj, Kirk, może po prostu sobie pójdziesz i...

Poirytowane dziecko kopnęło ją nagle swoją małą stopką.

No dobrze, dobrze, pomyślała, nie unoś się.

I dała Kirkowi swój numer. Powiedziała mu, kiedy i gdzie podda się następnej serii badań. Nie, nie chciała, żeby przychodził... będą jej towarzyszyć siostry. Ale poinformuje go, jakie były wyniki. Pozwoliła nawet, żeby złożył na jej policzku niewinny pocałunek.

Nikt nie jest bardziej cnotliwy, pomyślała, od tych, z którymi się kiedyś pieprzyliśmy.

— Dziecko urodzi się zdrowe, Megan — powiedział, klepiąc ją po ramieniu. — Nic mu nie będzie.

W oczach stanęły jej gorące łzy wdzięczności i tym razem nie starała się ich otrzeć. Tak rozpaczliwie chciała usłyszeć, że mała będzie żyć. Ale w głębi serca myślała: niedobrze. Bardzo niedobrze. Nie można zająć w ciążę, a potem postanowić, że wchodzi się w jakiś związek. Tak się po prostu nie robi.

To wszystko jest postawione na głowie.

Wychodząc ze szpitala z Cat i Jessica, Megan zobaczyła w holu położnika. Doktor Stewart, jak zawsze gdy pojawiał się w miejscach publicznych, otoczony był podekscytowanym tłumem. Można było odnieść wrażenie, że jest gwiazdą popu, a nie odbierającym pocztę lekarzem.

Dziewczyna w recepcji wpatrywała się w niego z niekłamanym uwielbieniem. Obok kręciło się kilka położnych, czerwieniąc się i chichocząc, w nadziei, że je zauważy. Doktor Stewart uśmiechnął się do Megan, pokazując równe białe zęby i kurze łapki przy błękitnych oczach. Jego jasne, pszenicznego koloru

włosy były w uroczy sposób zmierzwione, jakby poświęcał rodzącym kobietom zbyt wiele czasu, by je przyczesać.

Jessica i Cat przyjrzały się Stewartowi, a potem Megan. Zgadywała, co myślą jej siostry. Ten facet jest twoim położnikiem? Ten młodszy brat Roberta Redforda jest doktorem od cipek?

— Chciałbym, żeby pani coś zobaczyła — powiedział doktor Stewart do Megan. — Jeśli ma pani pięć minut.

Zaproponował to niemal mimochodem, ale kiedy szły za nim na oddział intensywnej opieki, Megan zdała sobie sprawę, że wszystko to sobie dokładnie zaplanował. Że musi to pokazywać wszystkim.

Wszystkim kobietom, które są w jej sytuacji.

Oddział intensywnej opieki wydawał się opustoszały. Nie było tam pielęgniarek i, jak się zdawało, ani jednego dziecka. Wyłącznie rząd pustych inkubatorów. Umyli jednak karnie ręce w wielkim przemysłowym zlewie i kiedy trzy siostry ruszyły w ślad za doktorem Stewartem, uświadomiły sobie powoli, że sala nie jest pusta. W samym końcu pomieszczenia leżało samotne dziecko, tak małeńkie, że prawie niepodobne do noworodka.

— To Henry — powiedział położnik.

Megan pomyślała, że to dziwne imię dla dzidziusia, który ważył mniej niż dwie torebki cukru. Imię, które nadaje się potężnemu, grubemu penisowi — imię królów, imię dla mężczyzny.

Nie dla wzruszająco małej drobiny życia, posapującej w inkubatorze.

Na oddziale intensywnej opieki było ciepło, ale Henry'ego ubrano na mroźną zimową pogodę. Opatulony kocem, w małych rękawiczkach, skarpetkach i czymś w rodzaju czapki z pomponem, opadającej na biedną małą pomarszczoną buzię i śmiesznie wielkiej na jego głowie wielkości małego jabłuszka.

— O mój Boże — szepnęła Jessica, podnosząc dłonie do ust.



— Wygląda na najsamotniejsze maleństwo na świecie. Gdzie są wszyscy? — dodała, rozglądając się dookoła.

— Dobrze się nim opiekują — zapewnił ją doktor Stewart.  
— Niech się pani nie martwi.

Cat brakowało słów. Nie miałam pojęcia, pomyślała. To zdarza się codziennie, a ja nie miałam o tym pojęcia. Jessica przywarła do niej, nie odrywając oczu od inkubatora, i Cat nie musiała na nią spoglądać, żeby wiedzieć, że jej siostra płacze.

Megan obserwowała Henry'ego i czuła, jak ogarnia ją panika. Tutaj umieszczą moje dziecko. Tutaj rozstrzygnie się, czy będzie żyć, czy umrze. Tak to będzie wyglądać. Starła się jednak zachować zimną krew i chłodny profesjonalny spokój. Tak jakby wszystkie cisnące się na jej usta pytania były czysto akademickiej natury.

— Kiedy się urodził? — zapytała.

— Dwa dni temu, w trzydziestym piątym tygodniu — odparł doktor Stewart. — Spisuje się bardzo dobrze. Jest oczywiście trochę mały, ale matka zażywała przez dłuższy czas sterydy i jego płuca są silne. — Uśmiechnął się do roniącej łzy Jessiki. — Nie trzeba się przejmować. Niech pani spojrzy: samodzielnie oddycha. Matka również miała stan przedrzucawkowy — dodał.

Megan spojrzała na doktora Stewarta inaczej. To był świetny pomysł, żeby przysłała tu, na intensywną opiekę i zobaczyła Henry'ego. Stewart był naprawdę dobrym położnikiem. I mądrym człowiekiem.

Delikatnie przygotowywał ją do roli matki dziecka, które urodziło się za wcześniej.

## 15.

I nagle nic nie liczyło się poza dzieckiem.

Megan, która miała zamiar pracować do chwili, gdy odejdą jej wody, i która wyobrażała sobie, że będzie przyjmowała pacjentów i przepisywała antybiotyki do momentu, kiedy dziecko wystawi z niej głowę, uświadomiła sobie nagle, że nie ma czasu na nic poza przygotowaniem się do porodu i opóźnianiem go tak długo, jak to możliwe.

Doktor Lawford nie mógł być bardziej wyrozumiały. Pozwolił jej wziąć od razu cały przysługujący urlop i zapowiedział, że będą się martwić później, jeśli okaże się, że potrzebuje więcej czasu. Uśmiechając się nieśmiało, dodał, że może jej zawsze napisać zwolnienie, i Megan uświadomiła sobie, że to pierwszy żart, jaki usłyszała z jego ust.

Nie rozmawiali o urlopie macierzyńskim, o tym, czy dziecko nie przeszkodzi Megan zdać egzaminów i w ogóle o jej nowym życiu. Czy naprawdę uda jej się w tym samym roku zostać matką i lekarzem? Nikt tego nie wiedział. Ale z dzieckiem w drodze Megan nie bardzo wiedziała, jak zwiąże koniec z końcem, jeśli nie podejmie pracy.

Miała już dosyć bycia wychwalaną przez wszystkich studentką i w życiu nie poprosiłaby ojca ani siostr o pieniądze. Od najmłodszych lat była małym geniuszem, polubiła tę rolę i nie

zamierzała przyznawać, że życie dało jej teraz nieźle popalić.

Tak zatem upływały jej wakacje: na codziennych wizytach w szpitalu, oddawaniu do badania krwi i moczu, na stałym monitorowaniu bicia serca dziecka i jej gotującej się przedrzucawkowej krwi.

Próbowała bezskutecznie wyobrazić sobie, jak będzie wyglądało jej życie zawodowe po urodzeniu dziecka. Jak szybko po porodzie będzie mogła wrócić do przychodni? Czy naprawdę będzie wypełniać karty wykonanych procedur medycznych, podczas gdy dziecko będzie spokojnie spało w łóżeczku? Czy będzie karmiła je piersią w trakcie pisania testu? Czy nie okaże się to ponad jej siły i nie odpadnie na ostatniej przeszkodzie?

Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić swojego dziecka.

Położne i doktor Stewart zadawali jej ciągle te same pytania. Co z jej wzrokiem? Czy nie jest rozmazany? Czy nie widzi błyskających światełek? Czy nie cierpi na silne bóle głowy? W gruncie rzeczy było to dopytywaniem się o jedną rzecz. Czy ta choroba — stan przedrzucawkowy — nie zmienia się w coś o wiele gorszego?

Początkowo nie darzyła doktora Stewarta wielkim szacunkiem. Zbyt wiele było w nim z showmana, zbyt wielką przyjemność sprawiały mu tęskne spojrzenia pielęgniarek i położnych. Teraz jednak uświadomiła sobie, że ma szczęście, że jest jej położnikiem. Pod powierzchnością Roberta Redforda krył się wybitny lekarz o głębokiej wiedzy. W miarę zbliżania się porodu Megan zaczęła dostrzegać, że humor i urok nie są jego męską strategią, lecz czymś, co składa się na podejście do pacjentki.

Sprawdzając jej każde USG oraz wyniki badań krwi i moczu, oceniając poziom ciśnienia i kontrolując bicie malutkiego serca Poppy, Stewart starał się dać jak najwięcej czasu matce i córce, walczył o każdy dodatkowy dzień, pozwalał rozwinąć się płucom dziecka, przez cały czas pamiętając, że krew Megan może się w każdej chwili zagotować i wtedy będą obie walczyć

o życie. Nie mógł na to pozwolić. Megan martwiła się o swoje dziecko. Stewart musiał martwić się o nie obie.

Jej ciśnienie krwi wciąż było wysokie, 150 na 95, na poziomie spalonego faceta w średnim wieku, ale nie podnosiło się. Na wszystkich zdjęciach USG dziecko wydawało się szczęśliwe, chociaż ważyło nieco mniej niż cztery funty. Poppy miała zwyczaj krzyżować małe nóżki, jakby czekała cierpliwie na swój wielki dzień, na pociąg o 8.15 do miasta, i ten prosty gest wyzwalał w sercu Megan miłość, z której istnienia nigdy nie zdawała sobie sprawy.

Z Poppy było wszystko w porządku. Megan wiedziała doskonale, że to ona, jej matka, stanowi problem. Leżąc w szpitalnym łóżku, z Jessicą przy boku, słuchała wzmocnionego przez sonicaid bicia serca Poppy. Tego małego rosnącego w niej życia.

— Mocne i miarowe — stwierdziła z uśmiechem położna. — Zostawię was na chwilę same. — Ścisnęła ramię Megan. — Nie martw się. Masz pięknego dzidziusia.

Po wyjściu położnej Megan spojrzała na siostrę.

— Czasami czuję się, jakbym zawiodła ją jeszcze przed urodzeniem — powiedziała.

— Opowiadasz głupstwa — zaprotestowała Jessica. — Obie świetnie się spisujecie.

Ktoś zapukał grzecznie do drzwi.

— To znowu on — mruknęła Megan. — Nikt inny nie zwraca sobie głowy pukaniem.

— Proszę — zawołała Jessica.

— Czy coś już się dzieje? — zapytał Kirk, zaglądając nieśmiało do środka.

— To nie będzie nic w filmowym stylu — odparła Megan. — Nie złapię się za brzuch i nie zawołam: „Już czas!”.

Kirk uśmiechnął się z zakłopotaniem. Jessica posłała mu ciepły uśmiech. Facet był przecież w porządku. Czyż nie taki właśnie powinien być mężczyzna? Troskliwy, opiekuńczy, czuwający u boku kobiety? Dlaczego jej siostra tak ostro go traktuje?

— Doktor Stewart sprawdzi moje wyniki i uzna, że mam za wysokie ciśnienie krwi — kontynuowała Megan. — Poprosi anestezjologa, żeby znalazł wolne pół godziny pomiędzy partijką golfa i następną biedną matką na linii produkcyjnej. Więc nie oczekuj żadnego szpitalnego dramatu, dobrze? Nie oczekuj George'a Clooneya i procesji w białych fartuchach.

Kirk stał w progu, niepewnie się uśmiechając.

— Okej — powiedział.

— Megan dobrze się czuje — poinformowała go Jessica. — I dziecko też.

— To może przyniosę nam trochę kawy — zaproponował.

— Świetny pomysł — rozpromieniła się Jessica.

— Albo gdybyś dała mi klucze — zwrócił się do Megan — mógłbym pójść do twojego mieszkania i zacząć malować tę szafę...

Megan pomyślała o swojej małej wynajętej klitce i o tym, jak dziecko zdążyło ją już zmienić. Razem z siostrami opróżniła na jego przyjęcie prawie całą sypialnię. Wstawiły tam przepiękne łóżeczko Mamas and Papas (podarunek od Jessiki i Paula), muzyczny zestaw Jenny Giraffe (kupiony przez Kirka), stado wypchanych zwierzaków (prezent od sentymentalnej starszej recepcjonistki z przychodni, wszystkie te ogłupiająco bezużyteczne misie, psy i żabki, dzięki którym wnętrze stało się jednak przytulniejsze, bardziej podobne do dzieciennego pokoju), a także nową komodę (od ojca) wypełnioną ubrankami (od Cat).

To właśnie na widok tych ubranek Megan krajało się serce. Wiedziała, że choć idealne dla normalnego noworodka, będą o wiele za duże dla urodzonej wcześniej Poppy.

— Megan? — zapytał Kirk. — Kawa i klucze?

— Tylko kawa — odpowiedziała. — Szczerze mówiąc, nie chcę, żebyś siedział w moim mieszkaniu, kiedy mnie tam nie ma.

— Oczywiście. Nie ma sprawy. W takim razie przyniosę kawę.

Wpuściła go tam raz — gdy pojawił się w progu z zestawem Jenny Giraffe — i nie spodobało jej się to, jak jego oczy myszkowały po całym wnętrzu. Tak jakby rozczarowało go, że jego córka będzie dorastała w takim obskurnym miejscu. Jakby nie nadawała się do roli matki. A czego się spodziewał? Pałacu Kensington? Była przecież samotną matką.

— Dlaczego jesteś dla niego taka niemila? — zapytała Jessica. — Kiedy to dziecko przyjdzie na świat, połączy was do końca życia.

Megan zmierzyła siostrę wzrokiem.

— Może dlatego jestem dla niego niemila.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł doktor Stewart, trzymając w ręku plik papierów. Olśnił Jessicę blaskiem swojego uśmiechu, po czym usiadł na łóżku i wziął Megan za rękę.

— W którym jesteśmy tygodniu? — zapytał.

— W trzydziestym czwartym — odparła Megan. — Wciąż za wcześnie, żeby rodzić. Poppy jest za mała. Waży tylko cztery funty. Chcę poczekać do trzydziestego szóstego tygodnia. Proszę. Nie możemy poczekać do trzydziestego szóstego tygodnia?

Doktor Stewart pokiwał w zadumie głową.

— Spójrz na to — powiedział.

Na wykresie widać było pojedynczą linię, która szła w górę, potem powoli się spłaszczała i na koniec zaczynała spadać. Była podobna do lotu strzały, która właśnie kierowała się z powrotem ku ziemi.

— To wykres wzrostu dziecka — powiedziała Megan. — Rosnie coraz wolniej.

— To nieuniknione. Stan przedrzucawkowy ogranicza dopływ krwi do łożyska. Wcześniej czy później dziecko przestaje rosnać. Ale ty oczywiście dobrze o tym wiesz.

Zaniepokojona Jessica zerknęła na wykres ponad ramieniem lekarza.

— Co to znaczy? — zapytała.

Przez kilka sekund w pokoju słyhać było tylko wzmocnione przez sonicaid bicie serca dziecka. — To znaczy, że już czas — powiedziała w końcu Megan.

A potem trzeba było czekać. I trwało to bardzo długo, ponieważ londyńskie korki i napięty grafik anestezjologa sprzyścięły się, aby opóźnić narodziny jej córki. Położne i pielęgniarki przychodziły i wychodziły, mierząc ciśnienie i gadając o tym i owym, jakby Megan czekała na autobus, a nie na dziecko.

Całe to czekanie... Jak ktoś może się nudzić na chwilę przed czymś tak doniosłym? Megan miała wrażenie, że jej życie stanęło w miejscu. Anestezjolog przebiegał się przez Islington, a dla niej wszystkie te długie minuty były pustym czasem. Cat zjawiała się z przedwczesnymi kwiatami. Jessica gładziła ją po stopach. Zadzwoił Jack i nie wiedział, co powiedzieć. Kirk stał przy oknie, starając się nie wchodzić nikomu w drogę.

W końcu można było zaczynać i Jessice się wydawało, że wszystko dzieje się zatrważająco szybko. Jak na tych filmach o skazańcu w celi śmierci — nagły pośpiech, żeby zrobić, co trzeba i mieć to już za sobą.

Dwaj barczyści młodzi sanitariusze położyli Megan na wózek i z Cat i Jessica, które trzymały ją z obu stron za ręce, powieźli słabo oświetlonymi korytarzami, w których unosił się zapach szpitalnego jedzenia i kwiatów, do windy i na dół, do podziemi budynku, gdzie czekał już w niebieskim szpitalnym fartuchu doktor Stewart, piękny niczym odziany w marynarską biel Robert Redford w *Tacy byliśmy*.

W sali przedoperacyjnej anestezjolog o kojącym głosie ko-chanka wbił jej igłę w żyłę.

Sąsiednie pomieszczenie wypełniali radośni, rozgadani ludzie, odziani w niebieskie fartuchy i czepki pod prysznic. Wszyscy otaczali płaski stół, który jaśniał jak ołtarz w światłach sali operacyjnej. Siostry przez cały czas trzymały Megan za ręce.

Przyszły ojciec wślizgnął się w ślad za nimi. Dali mu niebieski fartuch, plastikowy czepek pod prysznic oraz chirurgiczną maskę. Serce biło mu jak oszalałe. Dziewczynka, dziewczynka, to będzie dziewczynka. To trudne do wyobrażenia dziecko. Wkrótce tu będzie. Nie zostało mu już nic do roboty. Co najwyżej przygotować się do tego, by być dobrym ojcem, i zastanawiał się, co powie swojej córce o mężczyznach.

Jak ma ją przygotować na ich kłamstwa, podstępny i czarne serca? Nasze czarne serca. Jej dzieciństwo przeleci niczym sen i wkrótce za jego ukochanym kwiatuszkiem zaczną się oglądać chłopcy, w taki sam wyrachowany sposób, w jaki on oglądał się za tysiącami dziewcząt w trzydziestu krajach.

Tak bardzo ją kochał, lecz tego właśnie najbardziej się obawiał — że któregoś dnia córka spotka kogoś podobnego do niego. Ironia losu polegała na tym, że kobieciarz miał stać się ojcem pięknej, uwielbianej przez wszystkich dziewczynki.

Wtoczyli Megan do jaskrawo oświetlonej sali operacyjnej, w której było więcej ludzi, niż się spodziewał. Byli młodzi, uśmiechnięci i wszyscy mieli takie same niebieskie fartuchy jak on.

— Jakies specjalne życzenie? — zapytał jeden z nich, jakby to był program radiowy, a nie cesarskie cięcie.

Kirk przypomniał sobie o płycie kompaktowej, którą miał w kieszeni. Oddał ją i ktoś wsadził płytę do wielkiego jak szafa odtwarzacza. Kilka osób krzątało się już przy Megan — naciągając dziwnie seksowne pończochy na jej chude blade nogi, podłączając kroplówkę, mrużąc do niej słodkie banały.

Kiedy anestezjolog pochylił się nad Megan, ustawiono nad jej brzuchem niewielką zasłonę. Kirk przyjrzał jej się ze zdumieniem. Słyszał wcześniej, że to będzie namiot. Że przed cesarskim cięciem rozkładają nad brzuchem kobiety namiot. Tak właśnie słyszał i tego oczekiwał. Jakiejś wielkiej płachty brezentu, pod którą mogłaby się schronić cała rodzina Beduinów. Ta zasłonka nie była większa od chusteczki. Wystarczyło unieść głowę, żeby wszystko zobaczyć.



Sterczący brzuch Megan posmarowano środkiem aseptycznym i doktor Stewart pochylił się nad nią, trzymając w rękę wąskie ostrze. Kirk przycisnął twarz do twarzy Megan i z trudem łapał oddech. To miał być namiot! Gdzie się, do jasnej cholery, podział namiot?!

Co będzie, jeśli zobaczy rozcięty brzuch Megan i nie zdoła tego znieść? Co będzie, jeśli pierwszą rzeczą, którą zobaczy jego córka, będzie leżący na podłodze zemdlony tatuś? Jak to będzie wyglądało?

Megan wzięła go za rękę.

— Nie martw się — wymamrotała, lekko zamroczona lekami. — Nic ci nie będzie.

Usłyszała pierwsze słowa piosenki. To wydawało się dziwne — że grają tutaj muzykę. Unosiły się nad nią twarze — twarze, które znała i których nie widziała nigdy w życiu — w dziwny sposób wymienne, nie dlatego, że wszyscy włożyli nylonowe niebieskie fartuchy, maski i małe czepki, ale dlatego, że wszyscy wpatrywali się w nią z takim samym wyrazem twarzy. Z troską i miłością, jakby była niepokalaną panną młodą i czekała ją noc poślubna. Tak jakby nagle stała się najważniejszą osobą na całej planecie. A może chodziło o dziecko. Może to dziecko było najważniejszą osobą na całej planecie. Tak, chyba tak.

„Nigdy nie spotkałem dziewczyny takiej jak ty”.

Miała wrażenie, że ktoś zmywa naczynia w jej brzuchu. Tak to odczuwała. Jako coś intymnego — bardziej intymnego od wszystkiego, czego do tej pory zaznała — a mimo to dziwnie, szczęśliwie odległego. Ten facet — Kirk, na pewno miał na imię Kirk — przyciskał twarz do jej twarzy, mobilizując do czegoś siły i trzymając ją za rękę. Lepiej zacznij malować tę szafę, miała ochotę powiedzieć.

Ale choć do końca piosenki było jeszcze daleko — „Stare miasto tak się zmieniło”, śpiewał Edwyn Collins — oni byli już w niej w środku i mimo że spowijała ją słodka mgła anestetyku, czuła, że coś z niej wyciągają, coś, co należało do niej, lecz mimo

to było niezależne, i nagle wszyscy skoncentrowali się na tej rzeczy, która była jej i nie jej.

— Wszystko w porządku? — zapytała, a może tylko pomyślała, że pyta, ale uwaga wszystkich była teraz skupiona na tej małej rzeczy i przez kilka sekund czuła się zignorowana, zapomniana, niczym porzucona przy ołtarzu panna młoda.

Wtem rozległ się śmiech — zszokowany, radosny śmiech — i zaczęło się poruszenie. Jej siostry i Kirk uśmiechały się, patrząc to na nią, to na tę małą żywą istotkę, którą wyłowiono z jej ciała, rozdarte między nimi dwiema, to na jedną, to na drugą, w tę i z powrotem, niczym śledzący lot piłeczki widzowie meczu tenisowego — jakim cudem stało się to tak szybko? A potem ono — ona — było nareszcie wolne i jeszcze przed końcem piosenki położne zabrały je, żeby obmyć, zbadać i zawinąć w powijaki. Do Megan dotarły jednak ciche piski.

I w końcu je zobaczyła, trzymane w ramionach nie przez Jessicę lub Cat, jak naprawdę by wołała, lecz zgodnie z jakimś plemiennym rytuałem przez ojca.

Dziecko było malutkie — rozpaczliwie malutkie. Podobne bardziej do śpiącego płodu niż do noworodka. Megan przyglądała się mu, zbyt otępiała i wyczerpana, żeby zrobić to, czego pragnęła, czyli wziąć w ramiona i pokochać.

Ono — ona — miało trochę poobijaną twarz, niczym jabłko, które zbyt wcześnie spadło z drzewa, i nawet po myciu pokrywała ją lepka warstwa żółtego śluzu. Wyglądało jak najstarsze i zarazem najmłodsze dziecko pod słońcem.

— Jest piękna — stwierdził Kirk, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. — Jest najpiękniejsza na świecie.

I miał rację.

Zaczął się życie Poppy Jewell.

## 16.

To nie miało wyglądać w ten sposób, myślała Jessica.

Wyobrażała sobie, że zaraz po porodzie matka i dziecko są nierozłączne — maleństwo śpiące na matczynej piersi, matka wyczerpana, lecz w cichej ekstazie. Prawie biblijny związek matki i dziecka — tego właśnie oczekiwała, związku tak bliskiego, że trudno określić, gdzie kończy się matka, a zaczyna dziecko, związane ze sobą jak wówczas, gdy było w jej łonie.

Ale mała Poppy leżała na oddziale intensywnej opieki w inkubatorze, opatulona jak przed wyprawą na bieguna, a Megan była trzy piętra niżej — pokrojona, wyczerpana, dziwnie milcząca.

Jedna z pielęgniarek włożyła do inkubatora pluszową małpkę, która uśmiechała się do dwa razy od niej mniejszej Poppy. Jessica nie widziała w życiu tak bezbronnej istoty, niegotowej jeszcze, by stawić czoło światu.

— Jest wielkości pieczonego kurczaka — szepnęła. — Biedna kruszynka.

— Nie martw się o naszą Poppy — pocieszyła ją pogodna pielęgniarka z Jamajki. — Jest może trochę niedogotowana, ale świetnie sobie radzi. Dzieciaki, których matki miały stan przedrzucawkowy, to na ogół twarde sztuki.

— Nie wygląda mi na twardą sztukę — mruknęła Jessica.

Ale była wdzięczna za słowa otuchy.

Pielęgniarka miała rację: przez pierwsze trzy dni mała Poppy radziła sobie całkiem nieźle. Samodzielnie oddychała, wypijała niewielkie ilości mleka — ściągniętego przez Megan, ale podawanego przez pielęgniarkę — i przybierała leciutko na wadze.

I było coś jeszcze. Już po kilku dniach stało się jasne, że dobrze kończą się tutaj o wiele bardziej powikłane historie niż historia dziecka, które urodziło się w trzydziestym czwartym tygodniu i ważyło trochę poniżej czterech funtów.

Jessica nie widziała na oddziale intensywnej opieki dzieci mniejszych od Poppy — chociaż zapewniono ją, że stale tam się pojawiają. Już pierwszego dnia trafił tam jednak na krótko chłopczyk, który urodził się z dziurą w sercu, a drugiego dnia przyjęli innego chłopczyka — zdrowego, ważącego osiem funtów — który urodził się z zespołem Downa.

Pielęgniarki i lekarze robili, co mogli, żeby im pomóc — co oni mogą, zastanawiała się Jessica — a rodzice stali zszokowani albo płakali cicho przy swoich noworodkach. Matka i ojciec chłopczyka z Downem mieli ze sobą mniej więcej pięcioletnią córeczkę. Po urodzeniu pierwszego dziecka, pomyślała Jessica, ludzie są dobrej myśli. Uważają, że złe rzeczy przytrafiają się innym. A potem świat wali im się na głowy.

Wydawało jej się, że potrafi powiedzieć kilka krzepiących słów innym rodzinom z wcześniakami. Mogła powiedzieć, że ich malutki chłopczyk jest przystojny — nawet jeśli leżał w wełnianej czapeczce, zasłaniającej oczy — albo że ich mizerna córeczka jest śliczna — nawet jeśli przypominała mały bładz filet z działu mięsnych mrożonek.

Nie potrafiła jednak powiedzieć nic rodzinom, które borykały się z większymi kłopotami.

Nie potrafiła powiedzieć rodzicom dziecka z zespołem Downa albo chłopczyka z dziurą w sercu, że wszystko będzie dobrze. Nie miała prawa mówić im takich rzeczy, nie miała prawa oferować im taniej, nieuzasadnionej pociechy.

Ponieważ tego właśnie człowiek uczył się na oddziale intensywnej opieki medycznej — nie każda historia miała tutaj szczęśliwe zakończenie.

Jessica obserwowała swoją śpiącą siostrzenicę. Przyzwyczyła się już do tego wytężonego desperackiego sapania. Do wymiętej, a mimo to urzekająco pięknej buzi.

Poppy nie groziło nic złego.

Jessica bardziej martwiła się o Megan.

Jak mały ptaszek, myślała Cat.

Jessica obejmowała niemowlę jedną ręką, a drugą karmiła je z małej butelki zawierającej kapkę mleka. Z zamkniętymi oczyma i zaskakująco wielkimi otwartymi ustami — usta Poppy były tym, co miała największego — przypominała Cat nowo narodzonego ptaszka, czekającego w gnieździe na swoje robaki.

— Jakby jej w ogóle nie było, prawda? — powiedziała. — Taka jest malutka...

— Nie martw się o nią — odparła Jessica. — Twarda z niej sztuka.

— Czy Megan nie powinna jej karmić piersią? Czy to nie byłoby lepsze dla nich obu?

— Poppy jest za mała, żeby ją karmić piersią. Nie potrafissać. Prawda, kochanie?

Dziecko zasnęło z buzią wciąż zaciśniętą na smoczku butelki. Jego miniaturowy brzuszeczek był już pełny. Jessica delikatnie zabrała butelkę, która wysunęła się z warg Poppy z cichym cmoknięciem.

Cat pogłaskała miękkie puszeczek na twarzyczce Poppy, jakby bała się, że się obudzi albo potłucze. I ponownie wypełnił ją nieklamany zachwytny widok tego codziennego cudu.

— Co słyhać u Megan? — zapytała Jessica.

Cat potrząsnęła głową.

— Wygląda, jakby przepuścili ją przez młynek. Myślałam, że cesarskie cięcie to łatwiejsza opcja... dla matek, które nie

mają ochoty przeć i tak dalej. Naprawdę całą ją rozpruli, prawda?

— Cesarskie cięcie to poważny zabieg chirurgiczny — oznajmiła Jessica, powtarzając ulubioną kwestię doktora Stewarta.

— To było niczym scena z *Obcego*. W znacznie większym stopniu, niż się spodziewałam.

Dwie siostry obserwowały w milczeniu śpiące dziecko.

— Myślałam, że trzymając ją, będę się czuła paskudnie — powiedziała cicho Jessica. — Że będzie mi się zdawało, że jestem do niczego. Bo Megan ma dziecko, a ja nie. Ale spójrz na nią... jak można czuć coś złego, kiedy trzymasz ją w ramionach? Jak to maleństwo może wzbudzić w tobie jakiegokolwiek negatywne uczucia? I to nie jest już jakieś tam dziecko. Nie ma w niej nic teoretycznego. To jest niezaprzeczalnie Poppy, nie żadna abstrakcja. To Poppy Jewell, i tak już zostanie. Masz, weź ją na chwilę.

Cat niezgrabnie wzięła swoją siostrzenicę.

Trzymając ją na rękach, nie czuła się tak swobodnie jak Jessica. Nie dlatego, że obawiała się, iż upuści Poppy — chociaż to również ją niepokoiło — lecz dlatego, że w przeciwieństwie do Jessiki bała się uczuć, jakie budziło w niej to dziecko. Kto by pomyślał, że to możliwe? Że Jessica potraktuje jej narodziny jako coś najnormalniejszego pod słońcem, a Cat będzie miała wrażenie, że świat nie jest już taki sam?

Trzymając dziecko, Cat czuła fizyczne pragnienie potężniejsze od wszystkiego, czego doświadczyła do tej pory. Silniejsze od tego, co odczuwała wobec kochanków, pracy i w ogóle czegokolwiek.

Trzymała dziecko tak małe, jakby go w ogóle nie było, i nagle zapragnęła mieć własne. To szaleństwo — cóż miałyby z nim robić? Gdzie by je wcisnęła? Gdzie by spało?

Ale nie mogła na to nic poradzić. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że zmarnowała mnóstwo lat na rzeczy, które nie miały znaczenia. Na pogoni za przyjemnościami i pieniędzmi, na bezustannych śmiesznych marzeniach o lepszym samochodzie

i większym mieszkaniu, na zaspokajaniu coraz to nowych potrzeb i zachcianek.

Mam trzydzieści sześć lat, pomyślała, trzymając siostrzenicę, która ważyła w jej odczuciu nie cztery funty, lecz tyle co piórko. Zbliżam się do czterdziestki i zanim umrę, chciałabym jeszcze potrzymać w ramionach własne dziecko.

Potrzebowała tylko... co to było?

A tak. Mężczyzny.

Olivia Jewell stała w pogrążonym w półmroku korytarzu, za szybą oddziału intensywnej opieki i obserwowała swoje dwie starsze córki, które przekazywały sobie dziecko najmłodszej — pierwszą wnuczkę Olivii — tak ostrożnie, jakby mogło się potłuc.

Niemowlę było opatulone niczym Eskimos, ale z tego, co widziała, było wyjątkowo paskudne. Wszystkie niemowlaki budziły w niej wstręt. Na widok wymiętej mordki tego przechodził ją jednak autentyczny dreszcz.

Inaczej to wyglądało, kiedy były większe. Nie miała wątpliwości, że urodziła trzy najpiękniejsze dziewczynki wszech czasów. Ale nawet wówczas trzeba było się nimi ciągle zajmować. Na tym polegał kłopot z dziećmi. Nie można było ich po prostu wystroić i podziwiać. Stale czegoś od ciebie chciały.

Mimo to, kiedy przypomniwała sobie, jak wyglądały córki tuż przed jej odejściem — długonoga jedenastolatka, niesamowicie słodka siedmiolatka i okrągłutka trzylatka — obudziło się w niej uczucie, które wydawało się od dawna martwe. A potem ktoś się odezwał i to uczucie zniknęło.

— Mogę pani w czymś pomóc? — zapytała dyżurna pielęgniarka.

— Tylko patrzę — odparła Olivia Jewell.

— Urodziła mu się córeczka — poinformował Paulo barmankę w tym momencie wieczoru, kiedy mężczyźni zaczynają

się swobodnie zwracać do barowego personelu. — Poppy. Ma na imię Poppy. Mała szelma.

Kirk uśmiechnął się z dumą i sięgnął po piwo. Ale jego szklanka była już pusta.

— Jest śliczna, prawda? — powiedział. — Mała szelma!

— Moje gratulacje — uśmiechnęła się barmanka i wytarła mokrą ścierką kontuar. Wysoka, jasnowłosa, miała trochę ponad trzydziestkę. — Zaczekajcie, aż zacznie ryczeć o trzeciej nad ranem. A potem znowu o czwartej. I o piątej. Zobaczycie, czy dalej będzie z niej mała szelma — powiedziała i oddaliła się.

Paulo i Kirk powiedli za nią wzrokiem.

— Nie zgadłbyś, że ma dzieci — stwierdził Kirk.

— Nie zawsze można zgadnąć, że mają dzieci — odparł Paulo. — Zauważyłem to.

— Chcę, żeby miała fajne życie. Żeby była zdrowa i spędzała dużo czasu na świeżym powietrzu. Nie tak jak większość dziesięcioletnich dzieciaków. Grubych. Naćpanych. Chcę, żeby nauczyła się nurkować! Wiesz, co mamy zamiar zrobić, kiedy będzie wystarczająco duża? Zaczniemy pływać z delfinami. Na pewno będzie tym zachwycona. Poppy będzie zachwycona.

— Twoje zdrowie, chłopie. Za waszą trójkę.

— Za naszą trójkę — powtórzył Kirk, wpatrując się w pustą szklankę. — Tak. Jestem ojcem. Nie potrafię w to uwierzyć. Co ja wiem o byciu tatą?

— Nauczysz się. Jak się czuje Megan? Nasza mamusia?

— Wspaniale. Dobrze. Jest trochę małomówna. Niewiele się odzywa.

— Przyzwyczajają się. Przyzwyczajają się do bycia matką.

Kirk przez chwilę milczał i Paulo uświadomił sobie, że mimo euforii i wypitego piwa ten chłopak musi go uważać za kogoś obcego. Tej nocy nie miał jednak z kim pogadać.

— Wiele przeszła. Ten stan przedrzucawkowy. Wszystkie te badania. Niepewność, kiedy urodzi się dziecko. Cesarskie cięcie. Jezu... otworzyli ją jak mięsną konserwę. Choć ten doktor Stewart jest podobno bardzo dobry. Mówią, że zostawia



malutką bliznę. Trudno ją w ogóle zauważyć. Poppy jest teraz w inkubatorze. A Megan... sam nie wiem. Wygląda, jakby ją ktoś przetrzął. Leży bez sił i nie może wstać. Między nami mówiąc, myślałam, że będzie się trochę bardziej cieszyć.

— Przyzwyczajają się — powtórzył Paulo. Nie potrafił pojąć, że po urodzeniu dziecka kobieta może nie być najszczęśliwszą istotą na ziemi. Dał znak barmance. — Możemy prosić dwa piwa?

— Ale czego ja się spodziewałem? — kontynuował Kirk. — Różnimy się od ciebie i twojej żony. Nie jesteśmy ze sobą blisko. Megan prawie mnie nie zna.

Barmanka postawiła przed nimi piwo.

— Zaczekajcie, aż dziecko dostanie kolki — powiedziała.

— Musicie sobie dać trochę czasu. Megan jest młoda. Jest najmłodszą z sióstr.

— Owszem, jest młoda — przyznał Kirk. — Ale już nie taka młoda. Nasi dziadkowie i rodzice nie uważaliby wcale, że dwudziestoosmioletnia kobieta jest za młoda, żeby urodzić dziecko. Uważaliby, że to trochę późno.

Paulo przez chwilę się nad tym zastanawiał.

— Kiedy moi rodzice mieli dwadzieścia osiem lat, byli w średnim wieku.

— Zabawne. Ludzie nie rodzą dzisiaj dzieci w najlepszym... jak to się nazywa?... wieku rozrodczym.

— To prawda. Spójrz na Kylie Minogue. Twoją rodaczkę.

— Niech ją Bóg błogosławi, chłopie.

— Powszechnie uznaje się ją za jedną z najbardziej pożądanych kobiet na tej planecie. Ale Kylie ma już... ile? Trzydzieści pięć lat?

— Dokładnie.

— Wygląda fantastycznie. Bez dwóch zdań. Nikt nie powie mi, że jest inaczej. Ta kobieta jest w najlepszym okresie swojego życia. Nikt tego nie neguje. Za to martwią mnie jej jaja.

— Jaja Kylie Minogue?

Paulo pokiwał głową.

— Jaja Kylie Minogue nie są już pierwszej młodości. Jeśli przyjrzymy się jej jajom, są zdecydowanie w średnim wieku. A wiesz, co się dzieje z jajami kobiety po ukończeniu przez nią trzydziestego piątego roku życia? Nic dobrego. Stąd to całe kręcenie pupą. Kylie nie chce mieć płyty na pierwszym miejscu listy przebojów. Ona chce mieć dziecko. Nie może jednak znaleźć odpowiedniego faceta.

— Oto wielki dylemat, z którym borykają się współczesne dziewczęta — podsumował Kirk, sięgając po piwo. — Swoją wiek rozrodczy marnują z facetami, których nie za bardzo lubią.

Barmanka zabrała ich szklanki i wytarła niedbale kontuar.

— Zaczekajcie, aż zaczną się jej wyrzynać ząbki — powiedziała.

Kiedy zabrali dziecko, Megan dostała od nich fotografię. Była umieszczona na białej karcie z rubrykami *Mam na imię.....* i *Ważę.....*. Ktoś wpisał *Poppy* w pierwszej rubryce, ale rubryka dotycząca wagi pozostała pusta. Nie ma się czym chwalić, westchnęła Megan.

Na fotografii Poppy wyglądała jak pomarszczony staruszek zakutany w zimowe palto. Moje ty małe biedactwo, pomyślała Megan. Kim jesteś?

Rozległo się ciche pukanie i w drzwiach ukazała się mocno umalowana twarz jej matki.

— Zastałam kogoś? — zapytała Olivia.

— Widziałas małą?

— Zajrzałam tam. Na chwilę. Jest absolutnie cudowna. — Olivia dotknęła ręki swojej córki, uważając, żeby nie potraćić kroplówki, którą pompowano w nią morfinę. — A jak ty się czujesz, Megan?

— Swędzi mnie rana.

Olivia spojrzała na brzuch Megan.

— Mam nadzieję, że jest poniżej linii bikini.

— Upłynie chyba sporo czasu, zanim będę mogła nosić bikini, mamó. Ledwo udaje mi się dodeptać do toalety.

— Co się z tobą dzieje, kochanie? Jesteś trochę przygnębiona? Dopadła cię poporodowa chandra?

Megan pokręciła głową. Na tym właśnie polegał problem. W gruncie rzeczy nie wiedziała, o co jej chodzi, poza tym, że miało to coś wspólnego z porażką. Nie była przyzwyczajona do porażek.

— Zawsze myślałam, że urodzę w sposób naturalny. Cesar-  
skie cięcie... to jest takie trudne. Zabierają ci dziecko. Szprycu-  
ją lekami. Rozpruwają brzuch. I to boli jak wszyscy diabli.

— Naprawdę nie masz czego żałować, jeśli chodzi o tę dru-  
gą metodę. Urodziłam całą waszą trójkę w normalny sposób. W  
zszywaniu cipy nie ma nic romantycznego.

— Naprawdę musisz mówić „cipy”?

— Dobrze, niech ci będzie, sromu. Karmisz piersią?

— Poppy jest za mała. I prawdę mówiąc, nie mam za dużo  
mleka. — Megan wskazała stojące przy łóżku urządzenie za-  
opatrzona w coś, co wyglądało jak rura od odkurzacza. — Ścią-  
gam je.

— Co takiego?

— Ściągam mleko.

— To znaczy, wypompowujesz je z piersi, a potem dają je  
dziecku w butelce?

— Dokładnie.

— Czy nauka nie jest wspaniała? Karmiłam piersią Cat i ta  
mała cholera o mało nie odgryzła mi brodawek. Przysięgam,  
wszystkie nasze problemy zaczęły się od tego, że wzięła moją  
brodawkę za płatki owsiane.

Megan roześmiała się. W tym miejscu działało na nią wy-  
łącznie poczucie humoru jej matki.

— Nie przeszkadza mi ból — powiedziała. — Ani blizna.  
Nawet to, że zabrali Poppy i umieścili ją w inkubatorze. Chodzi  
o to, że zdaniem wszystkich powinienam stać się nagle inną oso-  
bą. A ja w ogóle tego nie czuję.

— Wiem, co masz na myśli, kochanie. Ludzie oczekują, że zmienimy się w karmiącą pierś, zmieniającą pieluchy mateczkę natychmiast po urodzeniu pierwszego bachora. Nie obrażając małej Poppet, kochanie.

— Poppy.

— Poppy. Oczywiście. Mężczyznom wolno mieć odpływy i przyływy ojcowskich uczuć. Ale macierzyństwo ma być czymś naturalnym. Myślą, że będziemy Matką Teresą tylko dlatego, że ktoś nam zmajstrował dzidziusia. — Olivia nachyliła się do córki, jakby wyznawały obie jakieś bluźniercze poglądy. — Po wiem ci, że nie ma absolutnie nic naturalnego w poświęcaniu się dla innej osoby. No, rozchmurz się... najgorzej będzie przez pierwsze osiemnaście lat.

— To ty tak uważasz.

— Zgadza się.

— A ja nie chcę traktować mojego dziecka jako niewygody, kieratu albo udręki. Chcę je kochać tak, jak na to zasługuje. Ale chociaż je urodziłam... nie czuję się wcale matką.

— W takim razie jesteś podobna do mnie. I nie możesz na to nic poradzić — oświadczyła z triumfem Olivia i nagle zgarbiła się, jakby przeszył ją gwałtowny ból.

— Co się stało? — zapytała Megan.

Olivia potarła ramię.

— Nic, moja droga. Ostatnio kłuje mnie czasem w lewym ramieniu. To normalne w podeszłym wieku. To znaczy w średnim.

— Powinnaś pójść z tym do lekarza.

Rozległo się kolejne pukanie i Megan oniemiała, widząc w drzwiach znajomą uśmiechniętą twarz ojca, zasłoniętą częściowo kwiatami oraz wielką bombonierką w kształcie serca.

— Moje maleństwo — zawołał Jack, ściskając córkę, która aż jęknęła z bólu. — Mój Boże! Przepraszam!

— To tylko szwy, tato. Trochę mnie uwierają.

Jack posłał swojej byłej żonie uśmiech, w którym nie było ani śladu wrogości. Aktorzy, pomyślała Megan.

— Czy to nie cudowny dzień, Olivio?

— Witaj, Jack. Potrafisz w to uwierzyć? Jesteśmy dziadkami. Nie masz w związku z tym ochoty podciąć sobie żył?

— Nie, mam ochotę śpiewać z radości. Widzieliśmy ją... twoją Poppy — dodał Jack, zwracając się do Megan. — Jest taka piękna! Oczywiście trochę mała, ale nadrobi to.

Megan skryła się w ramionach ojca, przyciskając twarz do jego piersi. Tego właśnie potrzebowała. Kogoś, kto powiedziałby jej, że wszystko się dobrze skończy. Nagle zdała sobie sprawę, że ojciec nie jest sam. Towarzyszyła mu wysoka, rudowłosa kobieta mniej więcej w jej wieku. Megan zerknęła na nią, nie bardzo pojmując, dlaczego tu weszła. Oczekiwała chyba, że zmierzy jej ciśnienie albo da leki przeciwbólowe.

— Mam na imię Hannah — przedstawiła się ruda. — Moje gratulacje, Megan. Poppy to mała księżniczka. Nie martw się. Ja urodziłam się dwa miesiące przed terminem i mam prawie sześć stóp wzrostu.

Megan spojrzała na nią z wdzięcznością. To była najlepsza wiadomość, jaką usłyszała w ciągu całego dnia. Olivia przyjrzała się towarzysze Jacka.

— Hannah zajmuje się włosami na planie naszego filmu — wyjaśnił Jack.

— Tam się spotkaliście? — zapytała Olivia. — Farbowałeś przerzedzający się tupecik Jacka? Jakie to romantyczne.

— Mamo — westchnęła Megan.

— Idealnie do siebie pasujecie — kontynuowała Olivia. — Mimo że jesteś dość młoda, by być jego... jak brzmi to słowo, które mam na końcu języka?

— A ty jesteś dość stara, żeby trzymać język za zębami w tej swojej chirurgicznie zmodyfikowanej głowie — odpalił Jack.

— Przestańcie! — zawołała Megan. — Mam świeżo zaszyty brzuch, jestem cała naszprycowana lekami, dopiero co przestałam sikać przez rurkę... a wy myślicie tylko o tym starym gównie, które ciągnie się za wami od lat. Dajcie sobie spokój, rozumiecie? Przynajmniej przez jeden dzień.

— Musisz wybaczyć mojej córce — powiedziała Olivia do Hannah, szykując się do wyjścia. — Nie jest dzisiaj sobą. Właśnie urodziła dziecko.

W końcu wszyscy poszli do domu, nawet Jessica i Cat, i w szpitalu została tylko niemogąca zasnąć w izolatce Megan i gdzieś wysoko nad nią Poppy, śpiąca w inkubatorze na oddziale intensywnej opieki i pilnowana przez dwa razy od niej większą pluszową małą.

OIOM był przez cały czas otwarty. Pielęgniarki z nocnego dyżuru cieszyły się, kiedy Megan przywlokła się tam, tocząc przy sobie kropłówkę, i usiadła, żeby popatrzeć na swoje śpiące maleństwo. W nocy oddział był pod wieloma względami spokojniejszy niż w dzień, kiedy kręcili się tam lekarze i konsultanci, przyjaciele i rodzina. Megan z całą pewnością wołała go w nocy, bo nie musiała wtedy nadrabiać miną.

— Chce ją pani nakarmić o trzeciej w nocy? — zapytała chińska pielęgniarka.

Megan pokręciła głową, otulając się szczerzej szlafrokiem.

— Nie, siostra potrafi to lepiej ode mnie.

Pielęgniarka przyglądała jej się przez chwilę swoimi kocimi oczyma.

— Dobrze pani to zrobi. Pani i dziecku — powiedziała.

Megan pozwoliła zatem pielęgnowarce wyłowić Poppy z plastikowego pudła, a potem wzięła ją w ramiona i wsunęła smoczek butelki między wargi. Ilość mleka w butelce wydawała się żałośnie mała. Coraz mniej udawało jej się ściągnąć.

Megan, która zawsze była taka zdolna, tak dobrze radziła sobie ze wszystkim, co ją w życiu spotykało — rozwodem rodziców, studiami medycznymi, wszystkimi egzaminami, które trzeba było zdać — poczuła nagle, że stają jej w oczach łzy. Czy ja już do niczego się nie nadaję, pomyślała.

Trzymała dziecko, przechylając delikatnie butelkę aż do

chwili, gdy Poppy stęknęła ze zmęczenia, głowa opadła jej w dół, a wełniana czapeczka zasłoniła twarz.

— Na razie dosyć — powiedziała pielęgniarka.

Megan odsunęła butelkę. I wtedy to się stało.

Poppy uśmiechnęła się.

Kąciki jej malutkich ust uniosły się w górę i przez kilka szokujących chwil odsłoniły świeżo malowane dziąsła. Uśmiech! Uśmiech na ustach jej córki!

— Widziała to siostra? — zapytała Megan.

— Widziałam co? — odparła pielęgniarka.

— Uśmiechnęła się do mnie!

Pielęgniarka zmarszczyła brwi.

— To chyba tylko wiatry.

Wiatry, pomyślała Megan. Połączenie mleka i gazów uwiecznionych w żołądku wielkości naparstka. A może to czysty zbieg okoliczności — grymas dyskomfortu i zmęczenia, który słabo przypominał uśmiech. Nie, nie wierzyła ani w jedno, ani w drugie.

Dla niej to był uśmiech.

## 17.

Rory zobaczył Cat wchodzącą możliwie najciszej do szkoły karate i natychmiast spostrzegł, że zrobiła wszystko, by wyglądać piękniej niż zwykle.

Wysokie obcasy, szminka, superelegancka sukienka. To nie była Cat, którą znał. To była kobieta, która uważała, że musi się tego wieczoru szczególnie postarać.

Zdziwiło go, że widzi ją akurat tutaj. Prawdę mówiąc, niezbyt mu się spodobało, że uznała za stosowne odwiedzić go bez zapowiedzi w jego miejscu pracy. Ale ten wysiłek, by wyglądać ładnie, poruszył jakąś strunę w jego sercu, i poczuł, jak zalewa go fala czułości.

Patrzył nad głowami zwróconych ku niemu dzieci, jak Cat szuka miejsca, żeby usiąść. Uczniowie byli w wieku od pięciu do piętnastu lat, wszyscy boso, w swoich nieskazitelnych białych kaftanach i kolorowych pasach, wszyscy, nawet ci najmniejsi, stojący na baczność, wsłuchani w każde jego słowo, czekający, aż powie coś więcej na temat technik blokowania stopami uderzeń zadanych nogą.

– Wewnętrzny blok... po japońsku, nami-ashi... jest przydatny, kiedy napastnik chce was kopnąć w krocze.

Cat uśmiechnęła się do niego nieśmiało z głębi sali.

Te nogi nie potrzebują wcale wysokich obcasów, pomyślał



Rory. Te usta nie potrzebują szminki. Kobieta taka jak ta nie potrzebuje supereleganckiej sukienki. I tak jest piękna.

Po skończonych zajęciach Rory wziął prysznic, przebrał się i powiedział Cat, że zna w pobliżu niewielką restaurację sushi. Lokal okazał się zatłoczony, jedyne dwa niezajęte stoliki były zarezerwowane i zapytano ich, czy nie mają nic przeciwko temu, żeby zjeść przy barze. Po krótkiej wymianie zdań doszli do wniosku, że nie, nie mają nic przeciwko, i usiedli vis-à-vis kucharza z białym czepkiem na głowie, który wprawnie kroił na pasemka surową rybę.

— W japońskich restauracjach lubię to, że można w nich zjeść kolację samemu — powiedział Rory. — Można usiąść po prostu przy barze. Nie sposób tego zrobić we francuskich czy włoskich lokalach. A nawet w tajskich czy chińskich. Wszyscy od razu myślą, że coś jest z tobą nie tak. W japońskiej restauracji możesz jeść sam i nikt na ciebie nie spojrzy.

— Ale przyjemniej jeść z kimś — zauważyła Cat. — Nawet tutaj, siedząc przy barze. Przyjemniej jest być z kimś.

— Chyba tak — odparł z uśmiechem.

— Brakowało mi tego — powiedziała i widział, że to wyznaczenie nie przyszło jej łatwo. — Brakowało mi bycia z kimś.

Siedzieli w milczeniu, kiedy kelnerka postawiła przed nimi zupę miso, zieloną herbatę i lakierowaną miskę z sushi.

— Dziękuję, że zajęłaś się moim synem.

— Żaden problem.

— Powinienem był do ciebie zadzwonić.

Jego ciało było tak blisko niej. Cat zapomniała już, jakie było duże, jakie solidne. Niepodobne do ciał wszystkich tych chuderlaków, których spotykała w klubach.

— Byłam bardzo zajęta. W pracy. A także przy mojej siostrze i jej dziecku.

— Megan? Urodziła dziecko?

— Małą dziewczynkę. Poppy. Poppy Jewell.  
Na jego twarzy zobaczyła autentyczną radość.  
— To fantastycznie. Przekaż jej moje najlepsze życzenia.  
Oczywiście, pomyślała. Megan była jedną z jego uczennic.  
— Musi być bardzo szczęśliwa — stwierdził Rory.  
— No cóż... to trochę bardziej skomplikowane. Nie powie-  
działabym, że jest szczęśliwa. Niezupełnie.  
— Co jej jest? — Rory przypomniał sobie była żonę, jej nie-  
wytłumaczalne łzy po urodzeniu syna. — Depresja poporodowa  
czy coś podobnego? Przepraszam, to nie moja sprawa.  
— Nie, w porządku. Wiem, że lubisz Megan, a ona zawsze  
szalała na twoim punkcie. Nie mam pojęcia, gdzie kończy się  
zwykle zmęczenie, a gdzie zaczyna depresja poporodowa. Po-  
dejrzewam, że nikt tego nie wie.  
Była z nim szczerą i otwartą — i to w niej kochał. Zarumie-  
niona z emocji, pełna życia. Zupełnie nie przypominała rozczar-  
owanej i chłodnej nieznajomej, jaką była pod sam koniec, nim  
się rozstali. To była Cat, którą poznawał mimo szminki, wyso-  
kich obcasów i eleganckiej sukienki. Nie mógł się jej oprzeć.  
— Mnie też — powiedział, trzaskając drewnianymi pałecz-  
kami. — Mnie też kogoś brakowało.

Trzeba czasu, żeby nauczyć się z kimś spać, pomyślał póź-  
niej.

Nie chodzi tylko o seks — chociaż o to również — lecz o fi-  
zyczne dzielenie z kimś łóżka, spędzenie razem całej nocy.  
Wspólną koldrę. Ręce i nogi, które mogą cię opleść, ale mogą  
również rąbnąć w żebra. Trzeba długich miesięcy i lat, żeby to  
opanować. Lecz z Cat przychodziło mu to bez wysiłku i uwiel-  
biał z nią spać.

Fizycznie był z nią związany bliżej niż z jakąkolwiek inną  
kobietą — tak dobrze znał to smukłe ciało, poczynając od  
śmiesznych palców u stóp (środkowy palec cały powyginany od

nie dość szybkiego zmieniania butów na większe, gdy dorastała), długich kończyn, małych piersi, głupekowatego uśmiechu — obnażającego zęby wraz z dziąsłami, uśmiechu niczym słońce pojawiające się na zachmurzonym niebie — i uszu z malutkimi bliznami po nakłuciacz (zrobiła to Jessica rozgrzana w piekarniku igłą, kiedy Cat miała czternaście, a ona sama dziesięć lat; krew sikała podobno po całej kuchni). Znał jej ciało równie dobrze jak swoje własne, i nie mógł się nim nasycić. Przepelniała go radość i duma, że potrafią dzielić ze sobą łóżko.

— Chcę, żeby moje dziecko nauczyło się karate — szepnęła, przytulając twarz do jego karku, dopasowując się do kształtu jego ciała. — Jeśli będę je kiedyś miała.

Rory uśmiechnął się w ciemności.

— Twoje dziecko, tak? A zastanawiałaś się nad kung-fu?

— Lubię karate.

— Dlaczego?

— Bo chcę, żebyś to ty je uczył. Uczysz tylko karate, prawda? Nie możesz przerwycić się na coś innego?

— Nie, nie można przerzucać się na coś innego. Wybiera się dyscyplinę i już się przy niej zostaje. — Ich głosy brzmiały cicho w mroku nocy. Zdał sobie sprawę, że w ich zerwaniu to właśnie było najgorsze. Fakt, że stracił najlepszego przyjaciela. — To trochę jak... chciałem powiedzieć, jak z wyborem partnera. Ale jak długo trwa przeciętny związek?

— Dziesięć lat — odparła. — Dziesięć lat to przeciętny czas trwania małżeństwa. Przeczytałam o tym w gazecie. Dzieje się tak, kiedy ludzie nie mogą się dogadać. Kiedy się dogadują, to trwa chyba dłużej.

Rory odwrócił się do niej.

— Co my tutaj robimy, Cat?

Wzięła głęboki oddech.

— Pomyślałam, że powinniśmy chyba do siebie wrócić. I pomyślałam, że powinniśmy chyba mieć dziecko. Przynajmniej spróbować.

- Cat...
- Wiem, wiem.
- Nie mogę mieć dzieci, Cat. Wiesz o tym.
- Dobrze. Rozmawiałam z Megan. Jest lekarką, prawda?
- Tak.
- Powiedziała, że to jest odwracalne. Wasektomia jest odwracalna.
  - Mam przez to wszystko znowu przechodzić?
  - Nie znowu. Chodzi o to, żebyś poddał się operacji, która by to cofnęła. Zamiast przecinać twoje... jak one się nazywają?
  - Nasieniowody.
  - Zamiast je przecinać, zszywają je z powrotem.
- To była pomyłka. Piękna pomyłka. Ponownie będzie tylko cierpieć. Lepiej było zerwać i nie oglądać się za siebie. Ale teraz było już za późno.
  - Wiesz, jakie są szanse, że to coś da?
  - Wiem, że to mało prawdopodobne. Powiedziała mi Megan. Wiem, że przed wykonaniem zabiegu uprzedzili cię, że to nieodwracalne.
  - No właśnie. Sądzisz, że nigdy o tym nie myślałem? Nie zastanawiałem się, żeby to odwrócić i spróbować spłodzić dziecko?
- Tylko po to, żeby zrobić ci przyjemność, pomyślał. Żeby cię zatrzymać.
  - Ale to się zdarza, Rory. Mężczyźni dają to sobie zszyć z powrotem i mają dzieci. To tak jakby ktoś wygrał los na loterii.
  - Wiesz, jaka jest szansa wygrania na loterii?
  - Powiedziałam już. Wiem, że to mało prawdopodobne. Wiem jednak również, że zawsze ktoś wygrywa. Moim zdaniem byłbyś wspaniałym tatą. Silnym, łagodnym, wesołym. Moim zdaniem jesteś wspaniałym tatą.
  - Ale jestem zmęczony. Rozumiesz to? Wszystko już przerabiałem. Nawet jeśli to możliwe... a mam co do tego wątpliwości... przerabiałem to wszystko już wcześniej, przed laty.

Dużo przeszedłem. Od bezsennych nocy i brudnych pieluszek po okruchy haszyszu w szufladzie komody.

— Dziecko da ci energię. Dziecko cię odmłodzi. Dziecko da ci powód, żeby żyć.

Mówiła serio. Tak strasznie tego chciała. I naprawdę chciała to zrobić właśnie z nim. Nie z innym mężczyzną.

Dotarli do punktu, w którym Rory powinien albo ubrać się i pójść do domu, albo wziąć ją w ramiona. Wziął ją zatem w ramiona, a ona pocałowała go w usta.

— Brakowało mi tego — powiedział, czując, jak znowu wzbiera w nim podniecenie. — Tak bardzo mi tego brakowało.

— Zawsze wydawało mi się, że kobieta uczy się bycia matką od swojej matki — stwierdziła Cat. — Ale to nieprawda. Widzę to u Megan i Poppy. To twoje dziecko. To ono uczy cię, jak być matką.

Rory obsypywał ją pocałunkami, chcąc na nowo poznać jej długie nogi, chcąc nauczyć się ich na pamięć i dzięki temu pojąć ją raz na zawsze.

— Ty też tego chcesz, tak? — zapytała. — Chcemy tego samego, prawda?

Ale w tym momencie Rory całował ją i nie mógł mówić i dlatego pytanie Cat pozostało bez odpowiedzi.

Poppy leżała w inkubatorze przez trzy tygodnie, po czym wypuszczono ją na świat.

Przebywała na oddziale intensywnej opieki tak długo, że niektóre pielęgniarki płakały, kiedy odchodziła.

Uważają ją niemal za swoje dziecko, pomyślała Megan. I być może mają rację.

Pielęgniarki karmiły ją, ubierały i krząły się przy niej. Monitorowały jej oddech, wsadzały pluszową małąkę do inkubatora i przybiegały, kiedy płakała w nocy.

To prawda, że Megan leżała na stole operacyjnym, kiedy wyciągali z niej dziecko i ściągała mleko ze swoich piersi. Ale

to najczęściej pielęgniarki z intensywnej opieki dawały Poppy butelkę do ssania. I pielęgniarki nie wpadły w przygnębienie po jej urodzeniu.

Megan wyszła ze szpitala po tygodniu, wciąż czując się tak, jakby przekroili ją na pół i zszyli z powrotem. Potem codziennie odwiedzała Poppy. Nigdy jeszcze nie czuła się taka przegrana. Nie wróciła do pracy i nie opiekowała się swoją córką. Nie jestem lekarką i nie jestem matką, mówiła sobie z goryczą. Jestem nikim. Lawford i inni przyjmują moich pacjentów, a pielęgniarki z intensywnej opieki zajmują się moją córką.

Teraz ten okres się kończył. Teraz na łóżeczku w jej małym mieszkaniu będzie leżało prawdziwe żywe dziecko. Teraz będzie zdana tylko na siebie. Opatulili Poppy w za duże na nią zimowe ciuchy i wyszli na dwór.

Jedna z pielęgniarek trzymała małą, podczas gdy Megan starała się zamontować dziecienny fotelik na tylnym siedzeniu alfy romeo Jessiki. W końcu zrobiły to za nią pielęgniarki. Poppy posadzono w foteliku, w którym wydała się jeszcze mniejsza, niż była. Megan zadrżała. Czyjej dziecko naprawdę ma przejechać przez cały Londyn w godzinie szczytu?

Jessica prowadziła, jakby wiozły na tylnym siedzeniu skrzynkę materiałów wybuchowych. Megan pociła się i wściekała, przeklinając w duchu nieustraszonych rowerzystów, którzy przeskakiwali przez czerwone światła, i wszystkich tych rozbijających się bmw i białymi furgonetkami fanów Jeremy'ego Clarksona \*. Poppy przespała całą podróż.

\* Gospodarz nadawanego przez BBC motoryzacyjnego programu „Top Gear”

Przed domem czekał na nich Kirk.

— Co on tutaj robi? — zachnęła się Megan. — Czy tak już będzie co dzień? Stale będzie się pojawiał niezapowiedziany i niezaproszony?

— Megan... — powiedziała Jessica. — To jej ojciec.

Kirk zajrzał do samochodu przez szybę i uśmiechnął się od ucha do ucha na widok Poppy.

— Nie bądź dla niego zbyt surowa — dodała Jessica. — Szaleje za Poppy. Trzeba mu to przyznać.

Kiedy Jessica i Megan nie mogły sobie poradzić z paskami mocującymi fotelik, Kirk wkroczył do akcji i szybko uwolnił Poppy.

Megan wносиła na górę siedzące na wielkim tronie dziecko i nagle wszystkie wypełniające blok hałasy — Eminem przeklinający swoją matkę na parterze, nastawiony na pełen regulator Sky Sports na pierwszym piętrze i wydzierający się na siebie kobieta i mężczyzna na drugim — zadzwoniły w jej uszach w zupełnie nowy, upiorny sposób.

Jak mogę sprowadzać dziecko do tego syfu, pomyślała.

Wnosząc córkę do jej nowego domu, z towarzyszącymi jej Kirkiem i Jessicą, czuła, jak ogarnia ją wstyd. A wraz ze wstydem to druzgoczące przekonanie, że wszystko spała. Zawsze miała wrażenie, że nie ma na nią mocnych, teraz jednak życie okazało się mocniejsze od niej. Ostatecznie i nieodwołalnie.

Megan położyła śpiącą Poppy do łóżeczka. Jessica musnęła wargami swoje palce i dotknęła nimi malutkiej brwi dziecka.

— Moje gratulacje dla was obojga — szepnęła głosem narzmiąłym z emocji. — Jest doskonała. Jest waszym małym skarbem.

A potem ich zostawiła.

Przez chwilę obserwowali śpiącą Poppy i Megan musiała się uśmiechnąć. Dziecko całkiem dobrze się zadomowiło. Miało tylko trzy tygodnie i ważyło tyle co mała rybka, ale wyglądało, jakby to mieszkanie należało do niego. Megan i Kirk wyszli na palcach z sypialni.

— Nie masz mi chyba za złe, że zjawiłem się bez zapowiedzi — powiedział. — Zadzwoniłem na oddział intensywnej opieki i pielęgniarki powiedziały, że Poppy wychodzi dzisiaj do domu.

— Nie ma sprawy. Ale w przyszłości może być najpierw zadzwonił?

— Jasne.

Na jej ustach pojawił się kruchy uśmiech.

— Mam na myśli, że nie jesteśmy przecież małżeństwem i w ogóle.

— Nie — przytaknął. — Musisz to jednak zrozumieć — do-  
dał po krótkim wahaniu.

— Co takiego muszę zrozumieć?

— Chcę brać udział w życiu tego dziecka. Chcę cię wspierać, jak tylko potrafię. I... Kocham ją. To wszystko. Kocham naszą córkę. Jest wspaniała, prawda? Niesamowita! Prawdziwa mała wojowniczką. Tak dobrze sobie radzi. Obie świetnie sobie radzicie.

— To śmieszne, nie? Można kochać dziecko, nie znając go. Ale nie dorosłego. Nie można kochać dorosłego, nie znając go, prawda? Nie można go nawet za bardzo lubić.

— Mówisz o nas, mam rację? — Kirk uśmiechnął się. — Chcesz powiedzieć, że mnie nie kochasz.

Obserwował jej obojętną twarz. Jak bardzo wydają się wszystkie odległe, pomyślał. Kobiety, z którymi uprawialiśmy seks w jakimś innym czasie i miejscu. Nie ma bardziej obcych osób od dawnych kochanek. Ale było coś, czego Megan nie rozumiała. Między nimi nie wszystko jeszcze było skończone.

— Może nadeszła pora, żebyś mnie lepiej poznała — powiedział.

— A to dlaczego?

— Dlatego że mamy dziecko, a ty jesteś zupełnie sama.

Megan spiorunowała go wzrokiem.

— Nie jestem sama, koleś. Nie waz się tak mówić. Nie potrzebuję, żeby użalał się nade mną jakiś kelnerzyna pracujący na ćwierć etatu. Mam dwie siostry. Poppy i ja nie jesteśmy same. A ja zdążyłam cię już całkiem nieźle poznać: podstarzałego surfera, który chce się zabawić w ojca szczęśliwej rodzinie, bo znudziły mu się i przejadły inne rzeczy.



— Nie jestem surferem. Jestem nurkiem. I co? Myślisz, że ciebie nie można tak łatwo rozgryźć?

Megan parsknęła z niedowierzaniem. Facet miał tupet.

— Dobrze, pokaż, co potrafisz.

Kirk skrzyżował ręce na piersi i zmierzył ją wzrokiem.

— Najmłodsze dziecko rozpieszczane przez całą rodzinę. Bystra w szkole, zdaje jak z nut wszystkie egzaminy. A potem małej księżniczce łamie serce jej pierwszy poważny narzeczonny.

— Spotyka jakiegoś faceta na przyjęciu — wtrąciła. — Wypija kilka kieliszków za dużo... u tych młodych medyków to normalka. Zachodzi w ciążę.

— Spotyka jakiegoś faceta na przyjęciu. Idzie z nim do łóżka. Bo przystojny z niego koleś.

— Nie oszukuj się. Znalazł się po prostu w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu.

— Jak chcesz. Ale może ma w sobie więcej życia niż te wszystkie wypierdki, których spotkała na akademii.

— W ogóle ich nie znasz.

— Po dziewięciu miesiącach... nie, właściwie po ośmiu... jest samotną matką w Hackney. I wiesz co? Mała księżniczka uświadamia sobie nagle, że ugryzła więcej, niż zdoła połknąć.

— Och, mam cię w dupie.

— Ja ciebie też.

Z sąsiedniego pokoju dobiegł ich dziwny, piskliwy dźwięk — cichy, uporzeczywy i miaukliwy, podobny do odgłosu, jaki wydaje piła tarczowa.

Megan i Kirk spojrzeli na siebie.

I uprzytomnili sobie, że to płacze ich dziecko.

— Dziecko sprawia, że człowiek robi się miękki — powiedziała Michael do Jessiki, która obserwowała Chloe chodzącą po pokoju i zataczającą się niczym mała pijaczka. — Zdaje sobie sprawę, że nie wolno mu umrzeć. Musi dalej żyć dla tego małżeństwa, które stworzył. Ale jednocześnie nic tak bardziej nie

uświadamia ci własnej śmiertelności jak to, że masz dziecko. Przyszłość należy do niego, nie do ciebie. I zdajesz sobie sprawę... po raz pierwszy naprawdę zdajesz sobie sprawę... że masz do przeżycia ograniczoną liczbę lat. Więc życie bierze cię na zakładnika. Nie możesz umrzeć, ale wiesz, że i tak to się stanie.

Chloe miała na sobie podkoszulek i pieluchę. W rękę trzymała poplamioną dżemem płytę DVD, którą wsunęła do leżącego na sofie przenośnego odtwarzacza. Wielki czerwony autobus o imieniu Beep zjeżdżał z rozświetlonych zielonych wzgórz, trzepocząc podobnymi do powiek reflektorami i wykrzywiając maskę w szerokim głupawym uśmiechu. Z głośnika popłynęły słowa starej dziecinniej piosenki *Autobus na czterech kołach* i Chloe zaczęła się kołysać.

Oto jak dzieli się świat, pomyślała Jessica, nie na bogatych i biednych, nie na starych i młodych, ale na tych, którzy mają dzieci, i tych, którzy ich nie mają.

— Tańczą, zanim nauczą się chodzić — powiedział Michael, potrząsając głową i obserwując ze zdziwieniem swoją tańczącą córkę. — Zanim nauczą się pęlsać. Czy to nie dziwne? Taniec to podstawowy ludzki impuls. Tak samo fundamentalny jak jedzenie albo spanie. Pragnienie tańca.

Był czas, kiedy Jessica nie mogła ścierpieć towarzystwa Michaela. Świadomość, że skrzywdził Naoko i wystawił na szwank szczęście Chloe, doprowadzała ją do furii. Lecz gdzieś w głębi serca wybaczyła swojemu szwagrowi, chociaż wiedziała, że nie w jej mocy jest mu wybaczyć.

Wybaczyła mu wcale nie dlatego, że zawsze ją lubił. Nie dlatego, że tak bardzo starał się pogodzić z Naoko, ani nawet dlatego, że odznaczał się specyficznym surowym urokiem, który zawsze włączał na pełen regulator, gdy była w pobliżu. Nie, Jessica wybaczyła mu, ponieważ był tak bez pamięci zakochany w swojej córce. Mężczyzna, który kochał swoje dziecko tak mocno, jak Michael kochał Chloe, nie mógł przecież być taki zły.

Do pokoju weszli Paulo i Naoko, niosąc srebrne tace z ma-  
lutkimi filiżankami espresso i twardymi włoskimi herbatnika-  
mi, za którymi przepadali obaj bracia.

— Cóż to za nieludzki odór? — zapytał Paulo, wachlując  
twarz dłonią.

Wszyscy spojrzeli na Chloe, która opierała się o sofę, nie  
zwracając uwagi na wydzielający się z niej smród i kołysząc się  
w rytmie piosenki. W pewnym momencie uniosła lekko lewą  
stopę z podłogi i kiedy jej pielucha się wypełniła, kontynuowała  
dalej swój taniec.

Michael, Naoko, Jessica i Paulo śmiali się tak, aż rozboleły  
ich boki.

— To niesamowicie zabawne dziecko — stwierdził Michael,  
podnosząc ją i całując poważną buzię Chloe, która ani na chwi-  
lę nie oderwała oczu od czerwonego autobusu. — Niesamowi-  
cie zabawne dziecko.

Siedząc później w samochodzie i szykując się do powrotu do  
swojego wielkiego pustego domu, Jessica i Paulo trwali przez  
chwilę w milczeniu. Paulo czekał, aż jego żona znajdzie odpow-  
iednie słowa.

— Masz tylko mnie — powiedziała w końcu.

— To wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem — odparł.

## 18.

Wszedł do przychodni z nieśmiałym uśmiechem — potężny mężczyzna o powolnych, pełnych gracji ruchach.

Wyglądał zupełnie inaczej niż faceci, którzy odwiedzali zazwyczaj gabinet Megan, nie tylko dlatego, że w okolicy, gdzie normą były wzdęte od piwa brzuchy i ziemista od niezdrowego jedzenia cera, robił wrażenie o wiele bardziej sprawnego od innych. Tym, co go wyróżniało, były niespotykane niemal w tej dzielnicy dobre maniery i pewna staroświecka uprzejmość.

Bokser.

— Z kim będzie pan walczył tym razem? — zapytała Megan.

— Z tym młodym Meksykaninem. Wspina się na szczyt. Widziałem jego filmy. — Chciał przez to powiedzieć, iż oglądał swojego przeciwnika na wideo. — Dobry technicznie, wcale nie jakiś zabijaka. Wśród Meksykanów to rzadkość. Na ogół lubią się łać bez opamiętania.

— Brzmi to niebezpiecznie.

Na jego ustach znowu pojawił się ten nieśmiały uśmieszek.

— Zobaczymy.

— Czy pańska córka będzie oglądać walkę? Ma na imię Charlotte, prawda?

— Charlotte. Nie, zostanie z moją mamą.

Bokser był samotnym ojcem. Jego żona, również pacjentka przychodni, zostawiła męża i dziecko. Była teraz w ciąży z innym mężczyzną. Córką zajmował się bokser, a kiedy trenował, jego matka. Gdyby nie babcie, cała okolica roiłaby się od sierot.

Przed każdą walką bokser musiał zostać dokładnie przebadany przez Megan. Ostatnim razem odkryła ślady krwi w jego próbce moczu, co świadczyło o wewnętrznym uszkodzeniu nerek. Nie miała wyboru — musiała wpisać to do jego karty i odsunąć go od walki. Bokser był bardzo zawiedziony, ale zaakceptował tę decyzję bez słowa skargi jako kolejny życiowy cios. Większość jej pacjentów nie wahała się urządzać awantur, gdy nie dostawali tego, czego chcieli. Ale nie bokser.

Teraz zmierzyła mu ciśnienie krwi, zbadała, czy nie jest zakażony wirusem HIV, czy nie ma uszkodzonego wzroku albo bełkotliwej mowy i czy rytm serca jest regularny. Następnie dała mu plastikową próbkę.

— Nie ma sprawy — oznajmił.

Megan współczuła mu. Potrafił utrzymywać swoją córkę tylko w jeden sposób: dalej walcząc. Ale kolejne lata — w większym stopniu niekończący się, brutalny trening aniżeli same walki — odcisnęły na nim swoje piętno i coraz trudniej było mu zaliczyć badania z pozytywnym wynikiem. Co mogła na to poradzić? Musiała go przebadać. Takie były przepisy.

Bokser wrócił z toalety z moczem w małej próbce. Megan wzięła ją, żeby zapisać datę i nazwisko i uświadomiła sobie, że próbka jest zimna jak lód.

Podniosła wzrok i bokser zaczerwienił się pod swoją kawowego koloru skórą.

To nie był jego mocz. Gdyby należał do niego, byłby wciąż ciepły. A ten przygotowany był na pewno znacznie wcześniej. Megan wiedziała, że kiedy go przebadają, nie będzie w nim śladów krwi.

Nie powiedziała jednak ani słowa i po kilku dniach przekazała bokserowi, że nie ma żadnych przeciwwskazań do walki.

Ponieważ zaczynała rozumieć, co można zrobić dla własnego dziecka.

Wszystko.

— Jest coś, o czym ci nigdy nie mówiłam — oznajmiła Jessica.

Nie było żadnego powodu, aby mówić mu o tym teraz. Żadnego powodu, aby mówić mu o tym tej nocy. I żadnego powodu, aby mówić mu o tym w ogóle — uznała jednak, że ta rzecz dręczy ją od zbyt dawna i nie powinna trzymać jej w tajemnicy. Nie było żadnego powodu, żeby mu mówić, poza tym, że miał prawo wiedzieć.

Paulo odwrócił się na bok i podparł głowę na łokciu.

— Co takiego?

— Miałam aborcję.

W półmroku sypialni zapadła cisza. To ciężkie słowo — aborcja — zawisło między nimi. Powoli i boleśnie zaczęło do niego docierać.

— Masz na myśli, że... co? Że miałaś aborcję, zanim się poznaliśmy? Przede mną?

Jessica pokiwała głową.

— To było na długo przed nami. Kiedy chodziłam do szkoły. Miałam szesnaście lat.

Próbował to jakoś przyswoić. Sam fakt i zawartą w nim okrutną ironię. Ta kobieta, kobieta, którą kochał i która niczego nie pragnęła tak bardzo, jak być matką, usunęła ciążę w jakimś innym życiu. Nie — w tym samym życiu, które dzieliła ze swoim mężem.

— Dlaczego teraz mi o tym mówisz, Jess?

— Bo chcę, żebyś zrozumiał. To jest moja kara za aborcję.

— Twoja kara?

— Nie mogę urodzić naszego dziecka, ponieważ zabiłam tamto.

— To nieprawda, Jess. To nie jest żadna kara.

— Coś w sobie zniszczyłam. Wiem, że to zrobiłam. — Była zupełnie spokojna. Zastanawiała się nad tym bardzo długo. W jej umyśle nie było cienia wątpliwości, wyłącznie ponura rezygnacja. — Możecie mówić, co chcecie, ale nic nie przekona mnie, że jest inaczej. To moja kara. Zasłużyłam sobie na nią. Przykro mi tylko, że ty też ponosisz konsekwencje.

— To nie jest żadna kara, Jessico. Takie rzeczy się po prostu zdarzają. Ile miałaś wtedy lat? Szesnaście? Nie mogłaś urodzić dziecka... sama nim byłaś.

— Zajęła się mną Cat. Tato nigdy się nie dowiedział. Pojechałam niby na szkolną wycieczkę. I myślę sobie... rujnujemy nasze ciała. Zabijamy dzieci. A potem płacimy za to wysoką cenę.

— Nie zabiłaś dziecka, Jess.

— A potem bardzo się dziwimy, kiedy nasze ciała nie funkcjonują jak trzeba. Nie wiem, na czym to polega, Paulo: czy coś w sobie zniszczyłam, czy to Bóg daje mi nauczkę.

— Bóg nie jest taki okrutny.

— Ale wiem, że wszystkie moje problemy... wszystkie nasze problemy... zaczęły się tamtego dnia. To kara. Jak można to inaczej nazwać?

— No więc... jak do tego doszło? Kochałaś tego faceta?

Chciał ją pocieszyć, naprawdę miał taki zamiar. Ale jednocześnie budził się w nim gniew, budziła zazdrość. Ktoś inny był z kobietą, którą kochał. Paulo nie był człowiekiem gwałtownym, lecz z przyjemnością zadałby ból tamtemu mężczyźnie. Nie, nie mężczyźnie... tamtemu cholernemu gówniarzowi.

— Był szkolnym ogierem. Piłkarskim gwiazdorem. Szalały za nim wszystkie dziewczyny... nie wiem, czy można to nazwać miłością, ale wówczas tak mi się wydawało. Boże, tak. Przepraszam, przepraszam.

— Nie ma za co.

Paulo był poruszony. Nie przestał jej kochać. Nic nie mogło sprawić, że przestanie ją kochać. To nie był ten słaby, warunkowy rodzaj miłości.

— Byliśmy ze sobą tylko raz. Mój pierwszy raz. A potem, kiedy wróciłam do szkoły, powiedział o tym kolegom i wszyscy się ze mnie śmiali. Śmiali się i uważali za zdzirę, chociaż wcześniej byłam dziewicą. Krwawiłam jeszcze, kiedy wytykali mnie palcami i wyśmiewali.

Paulo wziął ją w ramiona.

— Kocham cię, tamten facet nigdy na ciebie nie zasługiwał i to nie jest żadna kara.

W tygodniach i miesiącach, które nastąpiły po wyznaniu Jessiki, Paulo uświadomił sobie, że coś się między nimi zmieniło. Bał się, że zaczną się od siebie oddalać. Zamiast tego byli sobie bliżsi niż kiedykolwiek. Trzymali się własnego domu i ludzi, których znali najlepiej. Ponieważ kiedy tylko wykraczali poza tę orbitę, nawet gdy odwiedzali jego rodziców, tam gdzie East End spotyka się z Essex, zbyt wiele padało pytań, które doprowadzały ich do furii.

— No więc kiedy, moje gołąbeczki, zamierzacie założyć rodzinę? — pytała z uśmiechem jego matka zaraz po kolejnej anegdocie o wyczynach swojej ukochanej wnusi Chloe.

— Jesteśmy już rodziną, mamó — odpowiadał matce Paulo, odpowiadał jej tak długo, aż w końcu to do niej dotarło. — Jesteśmy dwuosobową rodziną.

Poppy spała na łóżeczku u stóp dużego łóżka.

Wydawała się w nim taka mała, jakby nigdy nie miała urosnąć i go wypełnić — z wystającą ze śpiwora, przechyloną na bok bezwłosą główką, wypukłym dzieciennym czołem, zaciśniętymi w miniaturowe piąstki dłońmi wielkości pudełka do zapalek i podniesionymi do uszu rączkami, które wyglądały jak u prężącego muskuły ciężarowca. Na tym nowoczesnym dzieciennym łóżeczku nie było żadnej pościeli — śpiwór miał otwory na głowę i ręce Poppy i był całkowicie bezpieczny, lecz Megan i tak



się bała, że córce w każdej chwili grozi nagła śmierć.

Siedziała więc w kuchni przez trzy bezsenne noce z rzędu, popijając napar z rumianku, podczas gdy mieszkańcy Hackney śmiali się, wydzielali i okładali piętami. Depresja poporodowa, myślała, czując, jak po twarzy płyną jej łzy bezradności. Cóż za palant wymyślił to określenie?

Była skonana, śmiertelnie wystraszona i przekonana o własnej klęsce. I jak miała się czuć? Kto na jej miejscu nie wpadłby w depresję?

Kolejnym ciosem było dla niej fiasko w karmieniu piersią. Z początku Poppy była na to za mała, jej drobne, podobne do pączka usteczka nie dość silne, by ssać, ale tłusta pielęgniarka środowiskowa powiedziała Megan — ona, pielęgniarka środowiskowa, powiedziała Megan, przyszłej lekarce — że „dziecin-ka” (na jaką poufałość pozwala sobie ta cholerna baba!) może już być karmiona bezpośrednio przez matkę (och, odpierdol się, ty stara krowo!).

Ale Megan — ze wstydem przypominająca sobie wszystko, co opowiadała matkom z osiedla Sunny View o zaletach karmienia piersią („ludzkie mleko zawiera mnóstwa przeciwciał i składników odżywczych i zupełnie nic nie kosztuje, cha, cha, cha”) — po prostu nie mogła się tego nauczyć. Dla karmiącej matki była to podobno najbardziej naturalna rzecz na świecie, lecz ona czuła się tak, jakby kazano jej przypiąć skrzydła i latać.

Teoretycznie wiedziała oczywiście wszystko co trzeba. Znała rzecz od podszewki, od brodawki do migdałków. Trzeba było po prostu wcisnąć aureolę i brodawkę do ust dziecka. Za każdym razem jednak, kiedy to robiła, Poppy zachowywała się tak, jakby jej własna matka chciała ją udusić, i podnosiła potworny lament. Megan błagała, prosiła, wsadzała jej z powrotem swoją twardą jak kamień pierś, łapiąc przy tym Poppy za bok twarzy i strącając jej wełnianą czapkę. Matka i dziecko szlochały w idealnie zgodnym rytmie.

Poppy zachowywała się tak, jakby miała ochotę zadzwonić

do rzecznika praw dziecka, a Megan sięgała w końcu po butelkę, bojąc się, że jeśli tego nie zrobi, mała umrze z głodu.

To było inne życie, niepodobne do tego, które знаła wcześniej. Nie było w nim mowy o śnie. Pamiętała, w jaki sposób dawno temu ojciec upominał je łagodnie, kiedy marudziły i płakały. Jestem przemęczony, mówił. Dokładnie tak jak ja teraz, myślała. Jestem przemęczona. Jestem zbyt wyczerpana, by spać. Boję się, że w każdej chwili rozlegnie się kolejne głośne żądanie, żeby dać butelkę, przytulić albo zmienić pieluchę.

Podjęła pracę dwa miesiące po porodzie. Jako lekarka wiedziała, że świeżo upieczona matka potrzebuje przynajmniej trzech miesięcy przed powrotem do pracy. Jako matka odkryła jednak, że zmieniły się wszystkie reguły. Teraz nie chodziło tylko o ukończenie rocznego stażu. Teraz praca była jej po prostu potrzebna, dzięki niej mogła sobie przypomnieć, kim była, zanim urodziła córkę.

Jej siostry były wspaniałe. Cat zabierała Poppy, kiedy Megan szła rano do przychodni, ponieważ Mamma-san otwierano dopiero w porze lunchu. Jessica przychodziła po południu. Kirk pojawiał się z pieluszkami i najprzeróżniejszymi artykułami dla dziecka — osłonkami na gniazdko elektryczne i całym asortymentem smoczków — lecz wcześniej czy później wszyscy wracali do swoich spraw, zostawiając ją w nocy samą z dzieckiem i obezwładniającym poczuciem rozczarowania. To całe matkowanie... nie była w nim po prostu dobra. To nie mogło chyba trwać wiecznie? Zastępujące ją siostry, łyzy, kiedy dziecko nie chciało przestać płakać, obskurne małe mieszkanko, zbyt głośno grające płyty na dole. Megan musiała z tym wszystkim zrobić porządek.

Kochała swoją córkę — nie było co do tego wątpliwości. Ale nie mogła sobie z tym wszystkim poradzić, to nie leżało w jej naturze. Przypominała bardziej, niż sądziła, własną matkę, a Poppy zasługiwała na kogoś lepszego. Megan czuła, że daje jej całą siebie i że to żałośnie za mało.

Wiedziała, że mnóstwo kobiet bez niczyjej pomocy rodzi i wychowuje dzieci. Widywała je codziennie w przychodni. Samotne macierzyństwo stało się gałęzią przemysłu. Dlaczego więc dla niej okazało się takie trudne? A może wszystkie czuły to samo, wszystkie te samotne biedne kwoki? Wiedziała teraz przynajmniej, jak wygląda życie na osiedlu Sunny View.

Zbliżał się koniec jej rocznego stażu. Musiała zdać trzygodzinny test, uważany powszechnie za najłatwiejszą część z całej procedury dopuszczenia do zawodu.

— Ale co będzie, jeśli obleję? — zapytała Lawforda.

— To niemożliwe — odparł. — Oblewają tylko ludzie, którzy naprawdę spaprali sobie życie.

— Jak się czujesz? — zapytała Cat.

Rory wygiął plecy w łuk, zamknął oczy i cicho jęknął. Jego twarz miała kolor wczorajszych bandaży. Środki przeciwbólowe nie działały albo było ich za mało, aby uśmierzyć ból u kogoś, komu właśnie zoperowano jądra.

Miał ochotę zwymiotować, lecz jego żołądek był pusty. Na dole, między nogami rozprzestrzeniła się złowroga wilgoć. Czuł, jak krew sączy się przez opatrunek założony na jego biedne, spuchnięte jaja. Mój Boże, pomyślał. Ten biedny nabiał przeżył nie lada przygody.

— Jak się czuję? — powtórzył. — Jakby ktoś przekroił moje jądra i zszyl je z powrotem spinaczami. Skoro pytasz.

— Ale było warto? — zapytała Cat, biorąc go za rękę. — Było warto?

Rory pokiwał głową.

— Tak, było warto.

Pocałowała go delikatnie w spierzchnięte wargi.

Chociaż czuł się niczym świeżo wysterylizowany kocur — co było naprawdę dziwne, ponieważ celem operacji było uczynienie z niego kocura z ponownie sprawnym aparatem reprodukcyjnym — pogładził ją po nodze, która wydawała się bez końca.

Długość tych wspaniałych pęcin nigdy nie przestała go zadziwiać. Uwielbiał sunąć po nich palcami od kolana do uda. Mierzysz mnie, mówiła wtedy zawsze ze śmiechem.

— I co teraz będzie? — zapytała.

Rory jęknął i poprawił się na łóżku.

— Kiedy będę zdrowy, podniecę się, no i wiesz, spuszczę do jakiegoś naczynia.

— Porozmawiaj z moim szwagrem Paulem. Wiem, że robił to wiele razy.

— Jeśli istnieje jakaś rzecz, której mężczyzna nie musi się uczyć, to jest nią... uuuch! — Rory otworzył usta i zamrugał — ...to jest nią masturbacja.

— Wtedy policzą twoje plemniki?

— Policzą. Połaskoczą. Sprawdzą, czy potrafią skakać przez obręcz. Sprawdzą, czy w ogóle tam są.

— Będą tam. Jestem tego pewna.

Uśmiechnął się, patrząc na jej piękną, pełną nadziei twarz. Owszem, warto było to zrobić, żeby mieć ją z powrotem. Ale Cat zachowywała się tak, jakby ten etap — randka plemnika z jajem — był najtrudniejszy.

Naprawdę trudne, z tego, co pamiętał Rory, było zachowanie związku przez długie lata, których wymaga wychowanie dziecka. Naprawdę trudne było wspólne życie, kiedy jest się matką i ojcem. I w głębi serca nie był pewien, czy mu się to ponownie uda.

Myśl o tym, że zostanie ojcem, znowu ekscytowała go i przerażała zarazem. Ponieważ wiedział, ile to wymaga, a wymagało bardzo wiele. Ale nie mógł jej odmówić. Jeśli zamierzała mieć dziecko z jakimś mężczyzną, w takim razie błagał Boga, żeby miała je z nim.

Jakiś czas później na skraju łóżka usiadł jego syn, pojadając winogrona i chmurnie mu się przyglądając.

— Więc co? Cat chce mieć dzieci czy jak? — zapytał.

Rory jęknął i pociągnął za bandaż, żeby ugasić płonący w dole ogień.

— Wcześniej czy później — odparł — wszystkie one chcą dzieci.

Kirk miał wrażenie, że stosunek kobiet do stawiania laski zmienił się w ciągu ostatnich lat.

Kiedy był chłopcem, stawianie laski było najwyższą nagrodą — przyznawaną wyłącznie wówczas, gdy dziewczyna (w tamtych czasach nie było kobiet, tylko dziewczyny) uznała, że to z tobą właśnie spędzi całe życie albo przynajmniej kilka następnych miesięcy. Kiedy postawiła ci laskę, wiedziałeś, że to twój szczęśliwy dzień. Ale to się zmieniło.

Teraz stawianie laski było czymś w rodzaju nagrody pocieszenia. Dziewczyna obciągała ją bez większego entuzjazmu, podczas gdy prawdziwy seks, seks waginalny, seks penetracyjny, seks staroświecki był marchewką na kiju i świętym Graalem.

Nie chodziło o to, że kobiety nagle polubiły stawianie laski. W przeciwieństwie do tego drugiego rodzaju seksu, seksu penetracyjnego, nigdy nie słyszało się od nich, że miłość francuska trwała zbyt szybko.

— Och, spuściłeś mi się w usta trochę za szybko.

Nigdy się czegoś takiego od nich nie słyszy, prawda?

Kiedy Kirk był chłopcem, stawianie laski było czymś w rodzaju prezentu. Teraz, kiedy był mężczyzną, przypominało bardziej jałmużnę. Co się zmieniło? Większa popularność stawiania laski nie wynikała wcale ze strachu przed ciążą, ponieważ nastolatki, z którymi spotykał się dawno temu na przedmieściach Sydney, dręczył paniczny lęk, że zrobi im dziecko, lęk, którego nie podzielały niezależne kobiety, z którymi spotykał się teraz, z ich spiralkami, kapturkami i tabletką postkoitalną.

Być może stawianie laski stało się kartą przetargową, sposobem na to, by trudno ci było odejść, sposobem zapewnienia kobiecie władzy. Jeśli potrafi to dla ciebie zrobić, w takim razie dlaczego miałbyś ją kiedykolwiek opuszczać? Co może być lepszego?

Kirk dotknął włosów klęczącej przed nim kobiety. Pochodziła z Perth i spędziła w Londynie dwa lata. Przedtem włóczyła się trochę po świecie i była gotowa do powrotu do Australii i prawdziwego życia.

Zjawiła się w Mamma-san w licznym, popijającym ostro i świętującym chyba czyjeś urodziny towarzystwie. Jej australijski akcent był zaproszeniem do rozmowy, do wypadu do nocnego baru i na koniec do jego mieszkania.

Nagle zadzwonił telefon, a ona podniosła oczy i otworzyła je szeroko, starając się utrzymać z nim kontakt wzrokowy. Wiele z nich robiło to podczas stawiania laski. Kontakt wzrokowy był często bodźcem, który... o słodki Jezu. Kirk z trudem łapał oddech. Kontakt wzrokowy najwyraźniej działał. Ale telefon dzwonił dalej i Kirk pomyślał, że nikt nie powinien do niego telefonować o tej porze.

Kliknęła automatyczna sekretarka i usłyszał głos Megan. Zdał sobie z niepokojem sprawę, że jest podenerwowana. Stało się coś złego.

— Przepraszam, że zawracam ci głowę... Potrzebuję twojej pomocy... gdybyś mógł przyjechać... chodzi o Poppy... jeśli odbierzesz tę wiadomość...

Kirk złapał słuchawkę telefonu.

— Megan? Co? Dobrze. Dobrze. Jadę do ciebie. Jak najszybciej.

Odłożył słuchawkę i uwolnił się od klęczącej przed nim dziewczyny. Wciąż na niego patrzyła, ale w jej zwięzonych oczach widział teraz zimną furię.

— Umawiasz się na randkę z jakąś dziwką, kiedy trzymam w ustach twojego kutasa?

— Przepraszam — powiedział. — Muszę lecieć. Chodzi o moją córkę.

Megan otworzyła drzwi w szlafroku. Wyglądała, jakby miała zaraz paść trupem. Z sypialni dobiegało wściekle wycie Poppy.

— Nie wiedziałam, do kogo mam się zwrócić. Nie mogłam dzwonić do moich siostr. I tak bardzo mi pomagają. Jest tak późno. Która godzina?

— Nie wiem. — W krzyku Poppy było coś, co przeszywało go do szpiku kości. — Co jej się stało?

— Nie chce przestać — odparła Megan. — Nakarmiłam ją, odczekałam, aż jej się odbije, przewinęłam, przytuliłam.

— Jest chora?

— Nie ma gorączki. Jest silna jak byk. — Megan potrząsnęła ze znużeniem głową. — Ale nie przestaje płakać. Jestem lekarką, prawda? Powinnam wiedzieć dlaczego.

— Ale jesteś także kobietą. To właśnie zawsze w tobie lubiłem.

Kirk wszedł do sypialni. Trudno było uwierzyć, że coś tak małego jak Poppy może narobić tyle hałasu i aż tak strasznie się wściekać. Jej mała twarzączka była wykrzywiona w ataku furii, prawie purpurowa z gniewu i mokra od łez. Kirk wziął ją na ręce i poczuł przez śpiwór ciepło jej ciała. Do nosa wpadł mu zapach jej świeżutkiej skóry.

Roześmiał się i w oczach stanęły mu łzy. Tak bardzo ją kochał. Nigdy nie zdawał sobie sprawy, że jest zdolny do takiej czystej, bezwarunkowej miłości. Do swojej córki. Do swojej małej córki.

Poppy wrzeszczała mu do ucha.

Megan stanęła w progu.

— Chcesz może filiżankę herbaty czy coś innego?

— Chętnie napiłbym się herbaty. Wiesz, co moim zdaniem jest nie tak?

— Co?

— Moim zdaniem to po prostu małe dziecko. I koniec. To jedyny problem. — Kirk poklepał Poppy po plecach. Pachniała mlekiem i kąpielą. — A poza tym za dużo starasz się sama zrobić.

Megan otuliła się szczerzej szlafrokiem.

— Zrobię tę herbatę.

Kirk podniósł w górę swoją córkę i patrzył na nią przez łzy

z szerokim uśmiechem wdzięczności na twarzy. Poppy stała się zdecydowanie piękną panną; coraz mniej przypominała mizerny płód, którym była zaraz po urodzeniu. Zaczynała wyglądać jak normalne dziecko, z wszystkimi jego krągłościami i pulchnościami.

Była piękna, nawet kiedy nie była piękna, pomyślał. Przytulił ją do siebie. Swoją piękną córeczkę.

Była ciepła jak termofor i nowa niczym jutrzejszy dzień. Musiał uważać, żeby jej za mocno do siebie nie przyciskać, bo wciąż była taka mała. Trudno jednak jej nie objąć i nie myśleć, że będzie ją tak trzymał zawsze — tak gorąco ją kochał i tak bardzo chciał się nią opiekować.

Może jednak za mocno ją przycisnął. Bo kiedy Megan weszła do pokoju z dwiema filiżankami herbaty, Poppy pierdnęła niczym cierpiący na wzdęcie robociarz w piątkową noc, wypuszczając z siebie potężny ładunek gazów, który stłumiła jej pieluszką. A potem natychmiast zasnęła.

Kirk i Megan spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Megan przycisnęła palec do jego ust.

— Na miłość boską, nie obudź jej !

Kirk pocałował delikatnie dziecko w policzek. Jak coś może być takie nowe, takie doskonałe? Położył je z powrotem na środku łóżeczka.

— Dziękuję — szepnęła Megan.

— Robi się coraz większa.

— Moim zdaniem za miesiąc wyrośnie już z tych ubranek dla wcześniaka. Może zacząć nosić rzeczy przeznaczone dla noworodka. Te wszystkie ciuszki, które kupiła jej Cat.

— To wspaniale.

— To najwspanialsza rzecz pod słońcem.

Przeszli do kuchni i zaczęli pić herbatę, zostawiając lekko uchylone drzwi do sypialni. Ale dziecko zasnęło na dobre. A potem wypili herbatę i siedzieli tam po prostu dalej, słuchając odgłosów nocy. Było tak późno, że ucichły nawet typowe dla tej dzielnicy uliczne hałasy.



— No cóż... — mruknął Kirk, wstając z krzesła.

Megan wstała razem z nim, owinięła się szlafrokiem przy szyi i ponownie dotknęła palcem jego warg.

— Ma twoje usta — powiedziała.

— Naprawdę?

— Tak. Są naprawdę szerokie. Dlatego potrafi narobić takiego rabanu.

Kirk dotknął koniuszkami palców podbródka Megan.

— Ale podbródek ma twój. Silny podbródek. I twoje oczy.

Dotknął jej twarzy wokół oczu i poczuł pod palcami twarde zarysy kości policzkowych.

— Wyglądam jak straszidło — powiedziała i odsunęła się od niego.

Nie o to jej chodziło, nie tego od niego pragnęła. Chciała mu pokazać, że docenia to, iż przyszedł do niej w środku nocy. Chciała mu pokazać, że istnieje między nimi związek i że zawsze będzie istniał. Ale *to* ją nie interesowało. Tego nie chciała.

— Nie wyglądasz jak straszidło. Jesteś piękna.

— Nie mów tak. Proszę. Nie mów rzeczy, które są nieprawdziwe.

Wstydziała się swojego ciała. Zupełnie, jakby znowu była kilkunastoletnią dziewczyną. Tyle że teraz zamiast aparaciku na zębach i kilku przyszczy miała bliznę, która już nigdy nie przestanie dzielić jej na pół, pulsujące w twardych piersiach obolałe bezużyteczne brodawki i brzuch, który wciąż sterczał, jakby było w nim dziecko.

— Jesteś piękna, Megan. Zawsze byłaś dla mnie piękna.

— Nie, naprawdę. Wyglądam jak straszidło. Popatrz.

Rozchyliła poły szlafroka, opuściła w dół piżamę i ostrożnie uniosła skraj podkoszulka. Cięcie po cesaree jeszcze się nie zagoiło. Kirk podszedł do niej i patrzyła, jak wodzi palcem po ranie, nie całkiem jej dotykając.

— Stąd wyszło nasze dziecko — powiedział. — To nie jest brzydkie.

Megan zwiesiła głowę. Chciała, żeby został. Ale nie chciała *tego* robić.

— Jestem taka zmęczona — westchnęła.

— Więc prześpijmy się. — Kirk ostrożnie opuścił niżej jej podkoszulek. — Wszyscy troje.

I Megan zsunęła z ramion szlafrok, a Kirk rozebrał się w pogrążonej w mroku sypialni, słuchając regularnego oddechu ich córki. A potem wskoczył do łóżka. Megan odwróciła się do niego plecami, lecz nie protestowała, kiedy się do niej przytulił.

— Jestem taka zmęczona.

— Więc śpij.

— Może rano.

— Nigdzie się nie wybieram.

Objął ją ramieniem i kiedy się do siebie przytulili, poczuła emanujące z niego ciepło. Błogosławiony sen zmorzył jej zmęczone kości i w końcu mu się poddała.

Część trzecia

NAJBARDZIEJ  
NATURALNA RZECZ  
POD SŁOŃCEM

## 19.

Kiedy Cat miała dwanaście lat, Jessie osiem, a Megan była dużym czteroletnim bobasem, zapadła decyzja, że dziewczęta zamieszkają u swojej matki.

Decyzja nie została podjęta przez Olivię ani przez Jacka, lecz przez samą Cat, niezależnie i bez konsultacji.

W pierwszym roku po odejściu Olivii sytuacja w domu stała się zła. Mieli chyba mniej pieniędzy niż wcześniej, ponieważ ojciec stale pracował poza Londynem — ale po wielu latach Cat widziała, jak ludzie uciekają czasem w pracę od domowych problemów, więc może nie chodziło wcale o pieniądze.

Nowa niania, wielka blond pyza z Hamburga, nie umiała się nimi zaopiekować, nie wiedziała, od czego zacząć. A im potrzebna była w tym okresie troskliwa opieka.

Cat czuła w sobie furię, której nie potrafiła wyjaśnić, Megan zaczęła się znowu moczyć w łóżku, a Jessie co chwila zanosila się szlochom, zawodząc, że chce, żeby wszystko było tak jak dawniej. Cat też tego chciała.

Jedzenie z puszek, tak Cat zapamiętała ten okres. Jedzenie z puszek i rozsadzająca ją furia.

W głębi swojego dwunastoletniego serca wiedziała, że nigdy już nie będzie tak jak dawniej. Nie po tym, jak mężczyzna w taksówce przyjechał po ich matkę.

To była najlepsza rzecz, jaką mogła zrobić.

Zabrać je do matki.

Okazało się to zaskakująco łatwe. Cat potrafiła już całkiem niezłe naśladować wyniosły ton, który przybierała Olivia, zwracając się do służby. Oznajmiła oszołomionej niani, że wszystko jest już załatwione i że jadą do St John's Wood, by przez jakiś czas tam pomieszkać.

— *Aber* wasz *Farter*, *Cat-kin*...

— Mój ojciec zna dobrze nasze plany, zapewniam cię.

Podniecone dziewczynki spakowały swoje torby, podczas gdy blond pyza próbowała bezskutecznie skontaktować się z Jackiem Jewellem. Zabrały tylko niezbędne rzeczy — piżamy, szczoteczki do zębów, gadającą żabę dla Megan, trzódkę Kenów i Barbie dla Jessie oraz płytę Blondie dla Cat. Następnie ruszyły do metra, trzymając się za ręce i niosąc na zmianę Megan, kiedy nie chciały już iść dalej.

W metrze Jessica dała starszej siostrze prezent: garść papierowych pieniędzy z gry w monopol. Cat przyjęła je, podziękowała i nie powiedziała Jessie, że jest małym głupim sprajdkiem. Od tej chwili musiała się dobrze opiekować siostrami.

St John's Wood to był inny świat, zupełnie niepodobny do ich zielonego przedmieścia. Roilo się tutaj od czarnych — dopiero po wielu latach Cat uświadomiła sobie, że na stadionie Lord's musiał akurat trwać mecz krykieta — i wszyscy sprawiali wrażenie milionerów. Megan potknęła się na High Street o coś, co okazało się niedopaloną cygarem wielkości dużej parówki.

Bajecznie bogata dzielnica zamieszkała przez czarnych. Tak Cat widziała St John's Wood. Była przekonana, że mogą tam być szczęśliwe.

Ta nadzieja legła w gruzach, kiedy tylko matka otworzyła przed nimi drzwi.

— Nie jestem tego rodzaju osobą — powtarzała Olivia (tak jakby Cat nie dosłyszała jej za pierwszym razem), próbując się jednocześnie dodzwonić do swojego eksmęża, podczas gdy Jessie i Megan łążyły po wypucowanym mieszkaniu, wchodząc

w drogę uśmiechającej się do nich ze współczuciem (tak przynajmniej wydawało się Cat) filipińskiej gosposi i dotykając wszystkich rzeczy, których nie powinny dotykać lepkie paluszki małych dziewczynek — „Megan, nie moje zdjęcie z Rogerem Moore'em!” — a coraz bardziej zdesperowana Cat chodziła za matką, gubiąc wypadające jej z kieszeni dzinsów pieniądze z Monopoly i próbując wyjaśnić, dlaczego zamieszkanie tutaj to taki świetny pomysł.

— Ale ja myślałam, że ucieszysz się, kiedy nas zobaczysz. Myślałam, że będzie fajnie, jeśli będziemy razem. Myślałam...

— Myślałaś, myślałaś, myślałaś... Z dużo myślisz, moja panno.

— Nie chcesz mieszkać ze swoimi dziećmi? Większość matek...

Olivia odwróciła się jednak plecami do najstarszej córki. Dodzwoniła się do Jacka i mówiła teraz cicho, lecz gniewnie, z naciskiem, tak jakby nie miała wątpliwości, że zaplanował tę inwazję specjalnie po to, aby zburzyć spokój jej miłosego gniazdka.

Odłożywszy słuchawkę, Olivia popatrzyła na Cat. Dziecko spojrzało na matkę i dostrzegło, że nie ma w niej krztyny łagodności, wstydu i miłości.

Po wielu latach Cat bez większego trudu wracała pamięcią do owej chwili, gdy stojąc jako dwunastoletnia dziewczynka w wynajętym mieszkaniu Oli vii (młodsze siostry siedziały już w milczeniu na sofie, fotografie matki z towarzyszącymi jej sławami stały bezpiecznie na półkach, w jakimś odległym pomieszczeniu warczał cicho odkurzacz gosposi, a wściekła Olivia zbierała z dywanu pieniądze z monopoly), dowiedziała się, że wszystkie jej dziecinne marzenia nie warte są funta kłaków.

— Rozumiesz, Cat? — pytała ją matka. — Kobieta, którą chcesz, żebym się stała! Matka, którą chcesz, żebym była! Nie jestem tego rodzaju osobą!

I czekając teraz na dzień, w którym przekona się, czy nosi

w łonie dziecko i zaczną ją dręczyć wszystkie arcyważne „czy” i „jeśli” (Czy nie jest na to o dziesięć lat za późno? Czy ryzyko poronienia i ułomności nie jest zbyt duże? Czy jeśli zajdzie w ciążę, Rory będzie szczęśliwy, czy też przeciwnie, poczuje się usidlonny?), wiedziała, że jest jedna rzecz, co do której nie ma wątpliwości.

Jeśli zajdzie w ciążę, nigdy nie będzie taką matką, jaką była Olivia. Musi się bardziej postarać.

Mogła nie być najlepszą matką na świecie i mogła nawet nie być szczególnie dobrą matką. Ta data, widniejący w przyszłorocznym kalendarzu dzień ewentualnych narodzin, jednocześnie ją ekscytowała i przerażała. Tak długo była bezdzietna. Zrozumiała na przykładzie swojej najmłodszej siostry, że bezsenna, zapaskudzona mlekiem rzeczywistość nie przypomina wcale oczekiwań.

Wiedziała jednak, że nigdy nie porzuci życia, które stworzyła. Nigdy nie będzie taka okrutna, samolubna i zimna.

Nie jestem tego rodzaju osobą, myślała Cat.

Według Rory'ego, cały problem polegał na jednym.

Dawno temu kobieta miała dziecko z pierwszym mężczyzną, którego poznała. W dzisiejszych czasach było jednak o wiele bardziej prawdopodobne, że będzie miała dziecko z ostatnim.

Nietrudno spostrzec, że urodzenie dziecka z pierwszym poznanym mężczyzną powoduje całą masę problemów, które sprowadzają się generalnie do tego, co kobieta traci.

Wykształcenie. Karierę. Rekreacyjny seks. Mnóstwo rekreacyjnego seksu z licznymi i różnymi mężczyznami. Oraz wszystkie te bezcenne chwile, kiedy wie, że jest młoda i wolna i że stoi przed nią otworem cały świat. Chwile, kiedy ogląda zachodzące słońce na plaży w Tajlandii, jedzie przez Paryż otwartym sportowym samochodem, budzą ją dobiegające zza okna odgłosy karaibskiej wyspy... i nawet jeśli abstrakcyjna

kobieta Rory'ego nigdy nie robiła żadnej z tych rzeczy, zawsze miała taką możliwość.

Nie można jednak wcisnąć dziecinnego fotelika do otwartego sportowego samochodu. Po prostu nie wchodzi.

Rory wiedział, jak taka rzecz potrafi zmienić świat. Twoje życie nie należy już do ciebie, przypominała mu stale matka, kiedy urodził się Jake.

Chciała dodać mu otuchy. Lecz w jego uszach brzmiało to jak wyrok dożywotniego więzienia.

Dlatego dobrze rozumiał, z jakiego powodu dziecko z pierwszym poznany mężczyzną potrzebne jest współczesnym kobietom jak dziura w moście. Ale czy to wszystko nie poszło za daleko w drugą stronę? Czy nie zapomniano o problemach, które pojawiają się, kiedy ma się dziecko z ostatnim poznany mężczyzną?

Późne matki — tak właśnie je nazywano, *późne matki*, kobiety, którym udało się przejść cało przez okres młodzięcych sympatii, nieplanowanych ciąży, studenckich obłąpek i najprzeróżniejszych romansów, zawiązywanych na wakacjach, w pracy, w klubach i barach. Kobiety, których przez piętnaście lat nie krępowały wymogi macierzyństwa i które zostawiły sobie małe okienko na urodzenie dziecka, ulotne dziesięć lat płodności.

Zdobyły wykształcenie, zrobiły karierę i uprawiały rekreacyjny seks. A teraz, dopóki jeszcze istniała taka biologiczna możliwość, były gotowe wycisnąć z siebie dzidziusia.

Napotykały jednak mały problem: wielu porządnych mężczyzn, być może nawet ci najlepsi, nie byli już dostępni. Oczywiście przy wyborze ostatniego mężczyzny, podobnie jak przy wyborze pierwszego, nie można wykluczyć elementu przypadku. Rory martwił się o późne matki. Martwił się, że może nie są takie sprytne, jak im się wydaje. Późne matki przypominały ludzi, którzy robią w ostatniej chwili gwiazdkowe zakupy. Nie miały po prostu z czego wybierać.

A sam Rory? Czy był dla Cat miłością jej życia, czy po prostu



facetem, który był pod ręką? Ta myśl go przygnębiała. Nie tak powoływało się do życia nowe istnienie. Mimo to nie wiedział, jak jej odmówić, a nawet przyznać się, że ma pewne wątpliwości.

Nie sposób powiedzieć kobiecie, którą się kocha, że nie chce się mieć z nią dziecka.

To nie jest naturalne.

— Z nikim tak dobrze się nie popieprzysz jak ze znużoną gospodynią domową — powiedział Michael do Paula. — Pomyśl tylko. Dzieciaki dorastają albo są już dorosłe. Mężulo zasypia, oglądając w telewizji mecz dnia. A ona myśli nagle: dla kogo ja to trzymam? Chodzę do fitness klubu. Tak właśnie myśli, no nie? Stosuję dietę Atkinsa. Jestem jeszcze stosunkowo młoda. Mam swoje potrzeby.

— I wtedy pojawiaasz się ty — stwierdził Paulo.

— I wtedy pojawiaam się ja — powtórzył zrezygnowanym tonem Michael.

Ostatecznie nie udało mu się trzymać rąk z daleka od Ginger. Ostatecznie sprowadził ją z powrotem nie tylko po to, żeby odbierała telefony i wypełniała faktury VAT-owskie. Michael mógł się oprzeć każdej pokusie, z wyjątkiem tej, którą budziła w nim jego własna pracownica.

Mój brat narkoman, pomyślał ze smutkiem Paulo. Michaelowi wydawało się, że panuje nad sytuacją, lecz on wiedział, że to nieprawda. Nałóg brał nad nim górę. I Paulo widział, że to wcale nie pogoń za przyjemnościami skłaniała Michaela do robienia tego, co robił. To była pogoń za czymś nowym, za kimś, kto nie był jego żoną.

Przyjemność nie miała z tym nic wspólnego.

Paulo wiedział, że Michael i Ginger wymykają się wczesnym wieczorem do pobliskiego Hiltona — w porze, kiedy późniejszy powrót do domu można wytłumaczyć korkami, jakąś dodatkową robotą... a może nie trzeba w ogóle niczym tłumaczyć.

Myślał z przygnębieniem o tym, jak parzą się w sterylnym hotelowym pokoju, z leżącymi na stoliku saszetkami herbaty i kawy, zaparkowaną w rogu absurdalną deską do prasowania spodni i powstrzymującym pokojówkę znakiem „Nie przeszkadzać”. Czuł, że jego brata dręczy żal i poczucie winy, choć stara się je skrywać pod maską dawnej zadziorności.

Michael sądził, że ujdzie mu to na sucho.

— Dobre u mężatek jest to, że muszą w końcu wracać do domu — mówił. — Nie tak jak te samotne ptaszyny, które chcą, żebyś z nimi siedział, mówił, co do nich czujesz, i zapraszał na kolację. Mężatka musi się szybko zwijać.

Paulo miał już dosyć opowieści o życiu seksualnym swojego brata. Był okres, kiedy z przyjemnością słuchał o przygodach Michaela, które ten ubierał zawsze w płaszczyk prywatnej filozofii, własnego poglądu na świat.

Ale to było w ich młodości, przed ślubami, które złożyli przed ołtarzem, i teraz miał tego dosyć. Niech Michael spieprzy swoje życie, skoro ma taką ochotę. Paulo chciał po prostu sprzedawać samochody. Chciał, żeby zajrzał do nich z sześciocyfrową premią w ręku jakiś ważniak z City i powiedział im o swoim wymarzonej ferrari pininfarinie. Interesy szły jednak kiepsko i w salonie słychać było na ogół głosy dwóch braci. Nikt nie oglądał wystawionych na sprzedaż aut.

— W Hongkongu zaczyna się salon samochodowy — powiedział Paulo. — Firma braci Baresi została zaproszona przez ich izbę handlową. Dwa bilety klasy klubowej. Hotel.

Podał bratu kolorową broszurę. Na okładce widać było strzeliste hongkońskie wieżowce, a obok nich przyszłoroczny model ferrari FI. Na masce siedziała uśmiechnięta młoda Azjatka w krótkiej spódniczce.

— Widziałem to — odparł Michael. — Zapowiada się duża impreza.

— Pomyślałem, że może zabiorę Jessicę. Jeśli dasz sobie

radę beze mnie. Dobrze jej zrobi, jeśli wyrwie się na jakiś tydzień. Możemy powiedzieć, że to moje tegoroczne wakacje.

— Jedź. I tak niewiele się tu dzieje. Poradzimy sobie.

Paulo pokiwał głową. Sprawa załatwiona. Odwrócił się, żeby odejść, i nagle stanął w miejscu. Musiał po raz ostatni spróbować powstrzymać ten obłąd. Zanim będzie za późno.

— Obserwowałem cię z twoją córką, Michael. Wiem, że ją kochasz. Wiem, że chcesz być prawdziwym ojcem rodziny.

— Ja nie chcę być ojcem rodziny. Ja jestem ojcem rodziny.

— Ale jeśli stracisz Naoko, stracisz wszystko. Wiesz o tym, prawda? Stracisz swoje małżeństwo. Córkę. Rodzinę. Chyba tego nie chcesz?

Michael obserwował Ginger w jej małej szklanej budce. Trudno było uwierzyć, że można się z nią pieprzyć do utraty tchu w Hiltonie. I to jeszcze przed podwieczorkiem. Paulo zobaczył, że jego brat krzywi się, jakby ta rozmowa sprawiała mu fizyczny ból.

— Nie mogę na to nic poradzić, Paulo.

— Oczywiście, że możesz!

Michael pokręcił głową.

— Myślisz, że to się skończy, kiedy się zakochasz. Albo kiedy się ożenisz. Albo kiedy zostaniesz ojcem. Ale to się nigdy nie kończy... ten głód. — Michael posłał bratu smutne spojrzenie.

— Wydaje ci się, że cały świat kręci się wokół dzieci. Wydaje ci się, że o to w tym wszystkim chodzi. Ale to nieprawda, Paulo. Tym, co najważniejsze, jest pożądanie. Pieprzenie. Stałe pieprzenie się z kimś nowym. To jest sedno rzeczy. Całej tej wielkiej gry. Pragnienie. Pożądanie. Nazywaj to, jak chcesz. Dzieci są tylko produktem ubocznym.

— Nie dla mnie. Nie dla mojej żony.

Michael ponownie pokręcił głową.

— Myślisz, że kobiety są inne? Są takie same jak my. Oto wielki sekret. Szukają przyjemności, gdzie tylko mogą. I z nikim

nie popieprzysz się tak obłądnie jak ze znudzoną żoną i matką. — Michael zamyślił się i omiółł wzrokiem pusty salon. — Chyba oczywiście, że jesteś jej mężem.

Poppy uśmiechnęła się do Jessiki.

To był zwyczajski uśmiech, szeroki, odsłaniający dziąsła, lekko drżący w kącikach, ale zdecydowanie skierowany do ciotki. Na bis mała wierzgnęła nogami, jakby próbowała popływać na plecach w swoim łóżeczku.

— Poznaje mnie, widzisz? — powiedziała Jessica. — Zaczyna mnie poznawać!

— Popatrz na tę małą cholere — mruknęła Megan, trąc zaspane oczy. — Teraz, kiedy przyszedł, jest słodziutka jak miód.

— To nie jest wcale mała cholera! — Jessica wzięła na ręce Poppy, która zagulgotała z radości. — To mały aniołek.

Mały aniołek wrzeszczał przez pół nocy. Tak donośnie, że facet piętro niżej przyciszył zespół 50 Cent. Ale żaden gangster rapper nie mógł się równać z Poppy.

Mała zmierzyła matkę beznamiętnym wzrokiem. Do pokoju wszedł Kirk, wycierając ręcznikiem mokre włosy.

— Musimy się stąd wynieść — powiedziała mu Megan.

— Nie musisz mi tego mówić.

— Czy coś jest z nią nie w porządku? — zapytała Jessica, podnosząc Poppy, żeby jej się przyjrzeć, i gładząc jej rzadkie włoski.

— Kolka — odparła Megan.

— Kolka? Kolkę mają konie.

Megan pokiwała głową.

— Konie i niemowlęta. Wrzeszczy, jakby to był koniec świata. A potem zasypia... ale ty jesteś już zupełnie rozbudzona. A kiedy wreszcie kleją ci się z powrotem oczy, ona znowu zaczyna wyć na całe gardło.

Jessica milczała, nie chcąc tego komentować, i bujała Poppy, która wydawała z siebie odgłosy zadowolenia.

— Jesteś taką szczęściarą, że ją masz, Megan — powiedziała w końcu.

— Wiem, Jess — odparła Megan z wymuszonym uśmiechem. Chciała potwierdzić, że kocha swoją córeczką do szaleństwa. Ale to nie była cała prawda; jej siostra powinna wiedzieć, że kiedy ma się dziecko, życie nie jest usłane różami. — Wiem, że jestem szczęściarą. Ale nigdy nie myślałam, że będę taka zmęczona.

Poszła do kuchni i wróciła z dwoma smoczkami zaprojektowanymi tak, by wyglądały jak pyski różnych zwierząt — uśmiechniętego niedźwiedzia oraz oblizującego wargi tygrysa.

— Jeśli będzie świrować, wciśnij jej do gęby jeden z nich.

— Smoczki? — zdziwiła się Jessica, jakby Megan wręczyła jej skręty z marihuaną. — Myślałam, że jesteś przeciwko smoczkom. Myślałam, że niemowlęta uzależniają się od smoczków, że smoczki psują zgrzyz i tak dalej.

Megan roześmiała się.

— Byłam przeciwko karmieniu z butelki. Byłam przeciwko smoczkom. Uważałam, że nie powinno się biegać do dziecka za każdym razem, kiedy zapłacze. A potem urodziła się Poppy i wiesz, co się zmieniło? Wszystko. Dobre intencje, książki o niemowlakach, ugruntowane poglądy na temat karmienia piersią... wszystko to można o kant dupy potłuc. Wszystko to bzdura, Jess. Trzeba po prostu przez to jakoś przejść. Trzeba to przeżyć.

Megan położyła dłoń na wypukłym czole swojej córki. Poppy wtuliła się głębiej w ramiona Jessiki, odwracając twarz od matki.

— Prawdziwe dziecko — mruknęła Megan, cofając rękę. — Prawdziwy świat.

Najwspanialsza w uczeniu ludzi nurkowania jest ta chwila, kiedy początkujący nurek po raz pierwszy wynurza się na powierzchnię.

Niewielka część kursantów wpada wówczas w panikę — zdzierają z twarzy maski i łapią kurczowo powietrze, jakby odkopano ich właśnie z jakiegoś klaustrofobicznego wodnego grobu — lecz większość wpada w ekstazę. Zachwyceni bujnym podwodnym życiem, psychodelicznymi koralami, wrażeniem swobodnego lotu, które tak bardzo przypomina nurkowanie z akwalungiem.

Tam na dole był inny świat — lepszy i bardziej swobodny — i większość ludzi zakochiwała się w nim od pierwszego wejrzenia. Nie było jednak tego widać w nowej pracy Kirka. Przez siedem dni w tygodniu uczył rankiem nurkowania w basenie na tyłach prywatnego domu w Battersea. I w Battersea wszystko wyglądało inaczej.

Nie było ryb, koralu i tej nieograniczonej przestrzeni, w której można było znaleźć wraki z innych stuleci, góry wyższe od Mount Everestu i wodospady większe od Niagary.

Wyłącznie mały niebieski bunkier z silnie chlorowaną wodą, w którym młodzi ludzie — prawie wyłącznie dwudziestolatkowie i trzydziestolatkowie przygotowujący się do dwóch tygodni letniego szaleństwa w wodach Oceanu Indyjskiego, Karaibów i Morza Czerwonego — uczyli się zerowej pływalności, czyszczenia maski i innych podstawowych rzeczy.

Na zapleczu sklepu ze sprzętem do nurkowania przy Edgware Road Kirk wbijał kursantom do głów wszystko, co było potrzebne do otrzymania karty PADI, i miał wrażenie, że próbuje im wyjaśnić czary.

Niewiele dawało to pieniędzy. Nauka nurkowania nigdy nie była zbyt lukratywna. Robi się to z miłości. Ale miłością nie opłaci się czynszu i dlatego po południu Kirk wsiadał na cudzy rower i woził sandwicze i kawę pod wskazane adresy w City aż do chwili, kiedy nadchodziła pora powrotu do domu i zwolnienia Jessiki.

Megan wiedziała, że Kirk pracuje jako instruktor w domu w Battersea. Nie powiedział jej jednak o swojej drugiej pracy, która polegała na dostarczaniu kanapek maklerom, brokerom

i agentom ubezpieczeniowym. Nie powiedział jej, bo chciał, żeby była z niego dumna. Tak jak on był dumny z niej.

Megan była tym, czego pragnął. Poppy była tym, czego pragnął — uważał, że jest ślicznym dzieckiem, że jej ataki płaczu w końcu miną i wszystko będzie dobrze.

Ale to życie w Londynie — szare ulice, pozbawione uśmiechu twarze, pragnienie ucieczki nawet u ludzi, którzy nigdy nie marzyli, żeby zamieszkać gdzie indziej — nie tak wyobrażał sobie, że będzie wyglądać jego życie.

Seks i słońce, zdrowy sen i prawdziwe nurkowanie — te wszystkie rzeczy, które naprawdę lubił, zdawały się odchodzić w przeszłość. I Kirk zadawał sobie pewne pytanie. Zadawał je sobie coraz częściej.

Ile można poświęcić dla osoby, którą się kocha, i w dalszym ciągu ją kochać?

Jessica popychała wózek z Poppy przez brudne zatłoczone ulice, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że mijane przez nią matki wydają się sterane życiem.

Przedwcześnie postarzała. W ubraniu pokrytym plamami, którym nie podola nawet ariel. Z tłustymi potarganymi włosami. Półżywe ze zmęczenia. Kogoś jej przypominały. Wzdrygnąwszy się, uświadomiła sobie, że przypominają jej Megan.

Ale jej siostra nie miała w sobie ich gniewu. Te kobiety były wściekłe na świat, na swoje dzieci (jakich używały słów, kiedy ich pociechy marudziły przy stoisku ze słodyczami... bardziej przypominały wtedy marynarzy na przepustce aniżeli robiące zakupy mamusie!) i na samą Jessicę, kiedy przeciskała z trudem modny, trzykołowy wózek Poppy przez hordy mieszkających w Hackney młodych matek oraz ich wrzeszczącego, zawoźdzonego, ubranego byle jak, umorusanego potomstwa.

— Uważaj na te cholerne kółka, moja droga — powiedziała jedna z nich, nie wyjmując nawet z ust papierosa. — O mało nie wpieprzyłaś mi się na nogę, widzisz?

— Przepraszam — odparła Jessica, grzecznie się uśmiechając.

Ze swoją szczupłą figurą, eleganckim ubraniem, starannym makijażem i wyszukanymi manierami kompletnie nie przypominała bluzgających mięsem zarodowych klaczy z osiedla Sunny View. Mimo to wiedziała, że zaliczają ją do swojego grona, i serce biło jej mocno z radości.

Była młodą matką, wybierającą się do parku, żeby jej małenstwo, krew z jej krwi i kości z kości, mogło zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.



## 20.

Późnym rankiem plac zabaw zajmowały matki z osiedla Sunny View. Ich starsze dzieci dreptały z poważnymi minami po placu, młodsze drzemały w wózkach, a one rozmawiały i kurzyły papierosy, siedząc na huśtawkach i karuzelach i opierając się o drabinki.

Traktowały plac zabaw jak swoją własność, ponieważ nie tak dawno jeszcze należały do nastolatek, które zbierały się tutaj późnym popołudniem, żeby siedząc na huśtawkach i karuzelach i opierając się o drabinki, rozmawiać i palić papierosy.

Jessica i Poppy trzymały się od nich w pewnej odległości, koncentrując się na karmieniu żyjących w parku kaczek. Jessica rzucała im czerstwy chleb, a Poppy przyglądała się szeroko otwartymi z zachwytu niebieskimi oczyma kwaczącym i walczącym ze sobą zajadłe kaczkom.

— Prawdziwa ślicznotka z tej twojej panny.

To była jedna z młodych matek. Niewiele starsza od nastolatki, z ładną twarzą i kręcącymi się jej pod nogami dwoma krótko ostrzyżonymi chłopczykami. Jessica zdała sobie z zaskoczeniem sprawę, że kobieta — właściwie jeszcze dziewczyna — mówi o Poppy.

— Prawdziwa z niej ślicznotka — powtórzyła kobieta, po

czym zaciągnęła się głęboko swoim marlboro. — Ile ma? Jakież trzy miesiące?

— Pięć. — Jessica przepłoszyła kaczkę i przytuliła do siebie mocniej Poppy. — Urodziła się trochę wcześniej.

— Wcześniak? Wcześniaki szybko nadrabiają — stwierdziła kobieta, po czym wskazała jednego z pozostających pod jej opieką, ostrzyżonych na zapałkę byczków. — Urodził się w trzydziestym piątym tygodniu. Wyglądał bardziej jak kurczak z Kentucky Fried Chicken niż noworodek. Teraz nigdy byś nie zgadła.

Młode matki zaczęły przemawiać pieszczotliwie do Poppy i Jessica zorientowała się, że została wciągnięta do grupy.

Przyglądając się tym kobietom, trudno byłoby podejrzewać je o taką delikatność. Były to w końcu te same panie, które bluzgały na jej oczach w miejscowym supermarkecie. Może dzieci pozwalały im okazać czułość, której brakowało w ich życiu, pomyślała Jessica.

Przycupnęła na wolnej huśtawce, a kobiety zaczęły się zachwycać Poppy, jakby każde nowe dziecko było cudem, którego nie potrafiły wyjaśnić. Co zabawne, chciały wiedzieć, jak ma na imię Poppy, lecz nikt nie zapytał o imię samej Jessiki.

Jej jednak to nie przeszkadzało.

— Wcale nie wygląda, jakby niedawno urodziła dziecko, prawda? — stwierdziła jedna z matek z Sunny View.

Rozległ się pomruk aprobaty. Jessica skromnie się roześmiała, bujając Poppy na kolanie. Mała uśmiechała się, próbując utrzymać prosto głowę.

— Strasznie jesteś słodziutka, wiesz? — powiedziała inna młoda mama, gładząc różany policzek Poppy swoim poplamionym nikotyńą palcem. — Do kogo jesteś bardziej podobna? Do mamusi czy tatusia?

— Jej tato jest Włochem — odpowiedziała Jessica, czując, jak przechodzi ją dreszcz, i prawie sama w to wierząc. — Szalenie za nią. Nazywa nas „swoimi dwiema dziewczynami”.

— To miłe, kiedy zostają po porodzie — stwierdziła kolejna z matek.

— Jessie?

I nagle pośród wszystkich tych kopających papierosy kobiet, ich krótko ostrzyżonych malców i niemowlaków o pulchnych buziach pojawiła się Cat i widać było niemal, jak ich rysy twardnieją w obecności tej elegancko ubranej, elokwentnej, najwyraźniej wolnej od dzieci nieznajomej.

— Co ty tutaj robisz? — zapytała skonsternowana Jessica. Cat pokazała jej torebkę ciastek.

— To samo co ty. Karmię kaczki.

Jessica zebrała rzeczy Poppy — butelkę, rękawiczki wielkości pudełka od zapalek, wełnianą czapkę ze zwierzęcymi uszami — i wzięła małą na ręce. Cat potoczyła przed sobą pusty wózek.

— Cześć, Poppy — powiedziała kobieta, która pierwsza odezwała się do Jessiki. — Bądź dobrą córeczką dla swojej mamusi.

Cat spojrzała na Jessicę, a ta przytuliła Poppy mocniej do siebie.

Siedziały po drugiej stronie stawu na porysowanej ławce. Ciastka skończyły się, kaczki odpłynęły, Poppy spała w objęciach Jessiki. Po wodzie niósł się śmiech matek z Sunny View.

— Wiesz, że poddałam się zapłodnieniu in vitro — mówiła Cat. — Lekarz zalecił je z powodu mojego wieku. Mojego wieku! Rory jest prawie piętnaście lat starszy ode mnie.

Jessica przyglądała się twarzy śpiącej Poppy. Nie odzywała się.

— Tak czy inaczej, to było jak... no nie wiem... maraton z przeszkodami. Tyle przeszkód do pokonania, Jess. Zastrzyki, USG. — Cat pokręcił głową. — Nastrój, który zmienia ci się wraz z pogodą. I przez cały ten okres nigdy nie wiesz, czy się uda.

— Wiem, jak to wygląda, Cat. Sama przez to przeszłam.

— Oczywiście. Wiem, że przez to przeszłaś.

Jessica patrzyła na jezioro, jakby była zatopiona w marzeniach i wcale nie słuchała siostry. Cat mówiła teraz szybciej. Musiała to z siebie wyrzucić. Chciała, żeby Jessica się dowiedziała. Chciała mieć to już za sobą.

— Umieścili we mnie dwa zapłodnione jaja.

— Więc Rory jest znowu płodny?

— Tak, Rory jest znowu płodny.

— To dobrze. Zawsze lubiłam Rory'ego.

— Potem musiałam czekać, musiałam czekać dwa tygodnie, najdłuższe dwa tygodnie w moim życiu.

— A teraz jesteś w ciąży.

Głos Jessiki był spokojny i matowy, z leciutkim tylko śladem ironii. To nie było pytanie.

Cat spojrzała na siostrę. Chciała ją do siebie przytulić, zapytać, czy wie, jak bardzo jest kochana.

Porównując swoje siostry, miała wrażenie, że Megan idzie przez życie przebojem, że nic nie jest w stanie jej zatrzymać — rozwód rodziców, szkoła, chłopcy i mężczyźni. Nawet jej poporodowa depresja, zmęczenie czy cokolwiek to było, ulotniło się, kiedy tylko wprowadził się do niej Kirk.

Inaczej było z Jessicą. Jessica od samego początku ze wszystkim się borykała. I Cat czuła, że ogarnia ją wstyd, ponieważ przyszła tutaj, by znowu zadać ból swojej siostrze.

— A teraz jestem w ciąży, Jess.

Jessica roześmiała się i to przeraziło Cat.

— Wiesz, jak się domyśliłam? Nie przyjeżdżałabyś tutaj aż z East Endu, żeby powiedzieć mi, że się nie udało.

Cat wypuściła powietrze, jakby przez kilka minut wstrzymywała oddech. Może to nie będzie jednak takie trudne.

— Chciałam, żebyś ty pierwsza się dowiedziała, Jess — powiedziała, biorąc siostrę za rękę, czując nagle, że może jej dotknąć. — Nawet Rory jeszcze nic nie wie.

Jessica popatrzyła na Poppy i pokiwała głową. A potem

podniosła wzrok, czekając, że Cat powie coś więcej. Ale co tu było do dodania?

— Nigdy nie sądziłam, że mi się uda — powiedziała Cat, zdając sobie sprawę, że się powtarza. — Tyle przeszkód do pokonania. Rory musiał pójść na operację, żeby móc dostarczyć plemniki. Od samego początku wszystko wydawało się takie nierealne. Jakie są szanse na sukces? Mniej niż trzydzieści procent. — Wzruszyła bezradnie ramionami. — To cud. Nigdy nie sądziłam, że mi się uda.

— To zabawne — stwierdziła Jessica. Już się nie śmiała. — Ponieważ kiedy ja poddałam się zapłodnieniu in vitro, nigdy nie przyszło mi do głowy, że może się nie udać.

— Och, Jessie. Nie chcę, żeby było ci przykro z powodu tego dziecka.

Jessica wzięła za rękę siostrę.

— Moje gratulacje, Cat. I dziękuję, że o mnie pomyślałaś — powiedziała i przewróciła oczyma. — Nie martw się, nie będę świrować. Nie zamierzam się wściekać. Nie jestem zazdrosna. Nie jestem smutna. No, może trochę. To w końcu naturalne. Ale cieszę się razem z tobą. Będziesz dobrą matką.

— Nie jestem pewna, czy Rory tego chce — mruknęła Cat. Zależało jej, żeby Jessica wiedziała, że jej sytuacja nie jest wcale taka wesoła. Martwiła się o pieniądze, o to, gdzie będą mieszkać. Ale przede wszystkim martwił ją ojciec dziecka. Jej sytuacja wcale nie była taka wesoła.

— Rory będzie dobrym tatą — powiedziała zamyślona Jessica, wodząc palcem wskazującym po ustach Poppy. — Jest podobny do Paula. Kocha dzieci.

— Ale wydaje mi się, że robi to dla mnie. Nie wiem, Jess. To wszystko może się skończyć fatalnie.

— Kiedy urodzi się dziecko, zakocha się w nim. Wszyscy się zakochują. — Jessica spojrzała przez staw na plac zabaw. Matki z Sunny View zniknęły. — Dobrze ci życzę, Cat. I dziecku. Oczywiście, że wam dobrze życzę. Ale nie mów mi o cudach — powiedziała, potrząsając głową. — Zapłodnienie in vitro to nie

jest cud... to gałąź przemysłu. — Teraz w jej głosie zabrzmiała gorycz i poczucie krzywdy. — Ile ostatnio biorą? Trzy tysiące za jedną próbę? A ty, Cat, ty jesteś po prostu konsumentką. Nagle zachciało ci się dziecka, tak jak w przeszłości miałaś ochotę na wakacje albo na samochód. I dostałaś, czego chciałaś, prawda, Cat? Więc oszczędź mi tej całej gadki o cudach, dobrze?

Cat powoli wstała. Nagle zapragnęła być daleko stąd. Poppełniła błąd, przychodząc tutaj, grając rolę troskliwej starszej siostry. Były obie dorosłymi kobietami, każda miała swoje własne popłatane życie. Nie można było tego unieważnić jednym buziakiem.

— Cóż mogę powiedzieć, Jessie? Zapłodnienie in vitro daje nadzieję ludziom, którzy ją stracili. Mnie to wystarcza. I co? Myślisz, że dzieci, które zostały poczęte w normalny sposób, nie mają problemów? Że kobiety, które zostały zapłodnione w normalny sposób, nie mają problemów? Popatrz na Megan. Miała już wszystkiego dosyć. Tak naprawdę wcale nie chodzi ci o sztuczne zapłodnienie, prawda, Jess?

Poppy groźnie zamruczała i po chwili zaczęła płakać. Jej twarz zrobiła się najpierw różowa, potem czerwona, w końcu purpurowa.

— Widzisz, coś zrobiła — warknęła Jessica.

Ona nie potrafi dłużej nadrabiać miną, pomyślała Cat. Za wiele przeszła, zbyt trudne to się okazało. Musiała być dzielna od tak dawna. A teraz dzielne, dobre serce Jessiki ogarnęły wszystkie te mroczne uczucia.

— Dlaczego twoim zdaniem przyszedłam do ciebie w pierwszej kolejności, Jess? Ponieważ wiem, że to musi boleć. Ale jesteś mi potrzebna. Chcę, żebyś dalej była moją siostrą. Chcę, żebyś była wspaniałą ciocią dla tego dziecka. Tak jak jesteś nią dla Poppy.

— Cała ja — mruknęła Jessica. Jej słowa zagłuszał krzyk dziecka. — Ciotka Jessica.

— Muszę już iść — powiedziała znużonym głosem Cat. Co mogę jeszcze zrobić, pomyślała. Przeprosić ją? Nie mogę jej przeprosić.

— Powinnaś się była mną lepiej opiekować, Cat.

— O czym ty mówisz?

— Byłam jeszcze dzieckiem. Miałam zaledwie szesnaście lat. Dopiero skończone. Ty miałaś dwadzieścia. Byłaś dorosłą kobietą. — Jessica potrząsnęła głową. — Powinnaś się była mną lepiej opiekować.

Cat była autentycznie wstrząśnięta.

— Wciąż myślisz o tej starej historii? Musisz o tym zapomnieć. Co innego mogłyśmy zrobić? Chciałaś być mamą w wieku szesnastu lat? To nie ma nic wspólnego z tym wszystkim.

— Myślisz, że aborcja to coś dobrego?

— Tego nie powiedziałam.

— Zapytaj swojej siostry. Zapytaj Megan. Wy, pracujące kobiety, naprawdę doprowadzacie mnie do śmiechu. Uważacie, że to inna forma antykoncepcji. Wyrrywają z ciebie twoje dziecko. Odkurzaczem. Pieprzonym odkurzaczem. I wiesz, jaki jest skutek? Powiem ci. Masz przesrane całe życie.

— To nie była twoja wina. W żadnym wypadku. Nic innego nie mogłaś zrobić.

— Masz przesrane całe życie.

— To nie twoja wina, Jess.

Poppy była bliska apopleksji. Jessica wściekle ją kołysała. Cat nigdy nie widziała, żeby dziecko miało taki kolor. Mała ryczała, jakby nie miała zamiaru nigdy przestać.

Jessica skupiła całą uwagę na dziecku i zaczęła wydawać kojące odgłosy, ćśśś, ćśśś, ćśśś, które brzmiały zupełnie jak szum wiatru. Poppy pociągnęła jeszcze kilka razy nosem i uci-chła.

— Megan tego nie potrafi — stwierdziła z uśmiechem Jessica. — Mała płacze i płacze przez całą noc. — Poglądziła Poppy po idealnie gładkiej buzi. — Doprowadzasz swoją mamę do szaleństwa, prawda, kochanie?

Mamy przynajmniej siebie.

Coś takiego miał zamiar powiedzieć Rory, kiedy nie uda się zapłodnienie in vitro, co przecież było oczywiste.

Jakie mieli szanse? Nie potrzebował lekarza ani bukmachera, żeby wiedzieć, że to strzał w ciemno.

Ludzie myślą, że zapłodnienie in vitro to coś, przez co przechodzi sama kobieta. I oczywiście to Cat naszprycowano hormonami, zmieniając jej ciało w wytwórnę jaj. Ale on też tam był — patrząc, jak wbija igły w swój piękny płaski brzuch, obserwując wahania jej nastroju od ostrożnego optymizmu do czarnej rozpacz, wstrzymując przez cały czas oddech, czekając, czy nie wydarzy się coś złego.

Mamy przynajmniej siebie.

Czuł, że muszą spróbować. I spróbował, ponieważ ją kochał. Ale w głębi serca był przygotowany na klęskę.

Spróbowaliśmy, mówił sobie w trakcie najdłuższych dwóch tygodni swojego życia, w trakcie wielkiego odliczania, kiedy czekali, by przekonać się, co stało się z dwoma umieszczonymi w niej zapłodnionymi jajami. Staraliśmy się, zrobiliśmy co w naszej mocy i świetnie byłoby, gdyby się udało, lecz teraz mamy przynajmniej siebie. To nie jest koniec świata i nie jest koniec naszego związku.

Ale ze strzałami w ciemno nigdy nic nie wiadomo.

Czasami trafiają w sam środek tarczy.

Stali pośrodku pustego dōjō, czując zapach potu uczniów, którzy zdążyli już wyjść z sali.

— Jesteś szczęśliwy, prawda? — pytała go Cat. — Ty też tego chciałeś? Tak?

I kiedy obsypała go pocałunkami, zapomniał o wszystkich swoich wątpliwościach. Nic lepszego nie mogło mu się przydarzyć! Mały chłopiec — a może dziewczynka! — który będzie w połowie nim i w połowie nią. Kolejne ludzkie życie powstałe z ich miłości. Najbardziej naturalna rzecz na tej planecie, rzecz, która miała jednak w sobie coś z magii. Narodziny dziecka, ten cud dnia powszedniego.

Gorzkie przejścia związane z rozwodem z Ali zatarły w jego



pamięci to, co przeżywał przy narodzinach Jake'a — dumę, którą oboje odczuwali, falę ogromnego szczęścia i otwierającej się w człowieku miłości, całej tej miłości, o której istnieniu w ogóle nie wiedział.

Trzymając w dłoniach głowę Cat, pocałował ją w twarz. Kochał ją i ich nienarodzone dziecko jedną niepodzielną miłością.

— Udało ci się — szepnął. — Naprawdę ci się udało.

— Udało mi się, widzisz? — zachichotała. — A ty chcesz tego tak samo mocno jak ja... jesteś tego pewien?

— To najlepsza rzecz na świecie — odparł.

I naprawdę tak myślał. Przypomnił sobie o swoich wątpliwościach dopiero, kiedy Cat poszła do Mamma-san, a on zadzwonił do syna i przekazał mu dobrą wiadomość.

— To wspaniale, tato — odpowiedział Jake takim tonem, jakby ktoś zmienił jego świat, nie pytając go wcale o zdanie. — Ale co to oznacza dla mnie? Czy jestem dla tego dziecka kimś w rodzaju dorosłego przyrodniego brata, kimś w rodzaju wujka, czy nikim w ogóle? Czy to jest moja rodzina, czy zupełnie inna rodzina, którą właśnie zakładasz?

Rory nie wiedział, co odpowiedzieć swojemu kilkunastoletniemu synowi.

I było coś jeszcze. To dziecko — magiczne, nienarodzone dziecko — wyznaczało granice jego życia. Kiedy urodził się Jake, Rory nie myślał, jak długo będzie żył. Nie przyszło mu to głowy. Uznał za oczywiste, że będzie istniał przynajmniej tak długo, jak długo będzie dorastał Jake — i okazało się to prawdą.

Ale Rory nie był już młodym człowiekiem. I zanim Cat przyszła po południu do dōjō, czuł to podczas lekcji. Czuł ból i opór mięśni i stawów, które przeżyły pół stulecia na tej planecie. Mógł wykonać mawashi-geri, kopnięcie z półobrotu, którym strącało się kapelusz z głowy przeciwnika, ale odczuwane później rwanie w kolanie mówiło mu, że jego czas się kończy.

Kiedy urodzi się dziecko, będzie miał ponad pięćdziesiąt lat. Pamiętał swojego ojca w tym samym wieku — starego mężczyznę, dobiegającego już niemal kresu, który nastąpił dziesięć lat później, po rozległym zawale serca.

Mógł powiedzieć sobie, że dzisiaj jest inaczej, żyjemy w innej epoce. W przeciwieństwie do ojca nigdy nie palił. W przeciwieństwie do wielu swoich rówieśników nigdy nie zażywał narkotyków. Dzięki swojej profesji utrzymywał się w dobrej formie — lepszej niż przeciętny mężczyzna w średnim wieku.

Jednak tylko idiota mógł negować upływ czasu. I Rory wiedział, że kiedy jego dziecko będzie miało kilkanaście lat, on sam będzie niezaprzeczalnie stary. Jeśli w ogóle dożyje. Jeśli nie umrze w tym samym wieku co jego ojciec. Jeśli nie zachoruje na raka, na zawał ani na wylew. Jeśli nie wpadnie pod autobus.

A co będzie, jeśli to, co zdarzyło się w przeszłości, zdarzy się ponownie? Jeśli powtórzy się jego prywatna historia? Jeśli nie zostanie z Cat, tak jak nie został z matką Jake'a? Jeśli nie zdoła utrzymać tego związku dłużej, niż udało mu się utrzymać inne?

Należał do pokolenia, którego związki i małżeństwa obracały się wokół trzech P — Pieprzenia się, oPieprzania i rozPieprzania wszystkiego, co nawinie się pod rękę. Trzy P były uważane za normę.

I jako moralna, a może raczej amoralna filozofia, trzy P z pewnością miały swoje plusy.

Nigdy nie poznałby Cat, gdyby jego była żona nie zakochała się w kimś innym. Rozpad tamtego małżeństwa pozwolił mu odnaleźć miłość jego życia. To nowe dziecko nigdy by się nie urodziło, gdyby nie orzeczone przez sąd rozwód.

Ale tym, co bolało go najbardziej w rozpadzie jego małżeństwa, tym, co rozdzierało jego serce na strzępy i do dziś nie dawało spokoju, był widok syna, który zmienił się z wesołego pogodnego dziecka w przestraszonego chłopca nieufającego nikomu.

Ali przypisywała zachodzące w Jake'u zmiany godnym ubolewania perturbacjom wieku dojrzewania. Lecz Rory, gnębiony poczuciem winy, które miało go dręczyć aż do śmierci, wiedział w głębi duszy, że powodem był rozwód.

Ali lubiła udawać, że wszyscy troje są teraz szczęśliwsi niż wówczas, kiedy byli razem. Może okłamywanie samej siebie było jej strategią obronną. Bo jaki rodzic może żyć ze świadomością, że zadał swemu dziecku rany, które nie zagoją się do końca życia?

Wszystko to do niego wracało, bezdenny gniew i smutek ich rozvodu, wrażenie, że wydzierają mu dziecko. Pamiętał okres świeżo po tym, jak Ali i Jake wyprowadzili się do mężczyzny, który miał odbudować jej szczęście. Rory'emu nie wolno było zadzwonić do syna, żeby powiedzieć mu dobranoc — „To naruszenie naszej prywatnej przestrzeni”, oświadczyła Ali — jeździł więc do ich domu i parkował na ulicy aż do chwili, kiedy w sypialni Jake'a gasło światło.

Dobranoc, dobranoc.

Czy któregoś dnia zaparkuje samochód przed domem kogoś innego nieznanego i będzie czekał, aż zgaśnie światło w sypialni tego nowego dziecka?

— To najlepsza rzecz pod słońcem — powiedział do Cat, delikatnie kładąc poobijane dłonie na jej brzuchu.

I naprawdę tak uważał.

Ale zabrakło mu słów, by dodać, że to dziecko wyznacza również granicę jego własnego życia, że ten malutki on lub malutka ona przypomina mu, iż jest śmiertelny, i za jego lub jej pośrednictwem natura mówi mu, iż wszystko na świecie ma swój koniec.

## 21.

— To komiczne — stwierdziła Brigitte. — Urodzisz dziecko jeszcze przed czterdziestką! Naprawdę to zrobisz! Dałaś sobie zmajstrować bobasa dosłownie w ostatniej chwili. Moim zdaniem... to komiczne.

Cat niepewnie się uśmiechnęła.

— Nie jestem jeszcze chyba gotowa na te wszystkie zmiany.

— Nie, nie, nie — zachnęła się Brigitte. — Nie zrozum mnie źle. Szczerze ci gratuluję... i oczywiście Rory'emu. Kto by pomyślał, że to z siebie wykrzesze? Po prostu wydaje mi się, że to... zabawne. Poczekaj chwilę.

Brigitte zniknęła w kuchni. Wieczór w Mamma-san dopiero się zaczynał i restauracja była pusta. Słysząc było jedynie dobiegające z kuchni głosy personelu i siekący o szyby deszcz. Cat ponownie dotknęła swojego brzucha. W taką noc dobrze było siedzieć tam w środku. Brigitte pojawiła się z powrotem z dwoma kieliszkami i butelką szampana.

— Wypijmy twoje zdrowie. Zdrowie mojej sprytnej Cat.

Cat zawahała się.

— Bardzo bym chciała, ale chyba nie powinnam. — Poklepała się po brzuchu. — No wiesz.

Brigitte jęknęła.

— Och, daj spokój. To wyjątkowa noc. Tylko jeden kieliszek. Na pewno ci nie zaszkodzi.

Ze znanstwem zerwała folię, ściągnęła druciany koszyczek i wykręciła korek, który wyskoczył z dyskretnym pyknięciem. Nalała szampana do dwóch kieliszków i podała jeden Cat.

— Naprawdę nie będę piła. Ale dziękuję — powiedziała Cat i pogładziła Brigitte po dłoni.

Tyle zawdzięczała tej kobiecie. Nie chciała jej urazić. Z drugiej strony nie wolno jej było narazić dziecka na najmniejsze niebezpieczeństwo.

— Korona ci chyba z głowy nie spadnie?

Brigitte trzymała kieliszki w dłoniach. Pociągnęła łyk z jednego.

— W żadnym wypadku. Po prostu... nie wydaje mi się to właściwe. Ale dziękuję, że o mnie pomyślałaś. Naprawdę. Może później. Po porodzie.

Brigitte szybko wychyliła swój kieliszek i podniosła drugi w kpiącym salucie.

— Po porodzie... — powtórzyła. — Oczywiście. Obiecaj mi tylko, że nie staniesz się jedną z tych zadowolonych z siebie, rozpoczynających nowe życie mamusi, które wypierają się swojej szalonej przeszłości.

— W gruncie rzeczy nie sądzę, żebym miała aż taką szaloną przeszłość — stwierdziła Cat. — Ale rozumiem chyba, o co ci chodzi. Z całą pewnością za długo już prowadziłam życie wolnego strzelca. Swobodne życie. Z wiekiem przechodzi na to ochota.

Na twarzy Brigitte nie malowały się żadne uczucia. Sączyła swojego szampana, nic nie mówiąc. Cat wyjęła pusty kieliszek z jej dłoni i nalała do niego wody. Z niewieloma osobami na świecie gotowa była pić z tego samego kieliszka — do ich grona zaliczały się wyłącznie jej siostry i Brigitte.

— Nie mogę powiedzieć, że będzie mi tego brakowało — dodała. — Wszystkich tych facetów, którzy właśnie zerwali z

najwspanialszą dziewczyną pod słońcem albo największą dziwką we wszechświecie.

— Hmm — mruknęła bez przekonania Brigitte.

— To śmieszne. Kiedy dorastałam, opiekując się moimi dwiema siostrami, niczego nie pragnęłam tak bardzo jak swobody. Tego, żeby nikt mnie nie wiązał. Ale swobodne życie wcale się w moim przypadku nie sprawdziło. Zawsze miałam wrażenie, że powinnam być szczęśliwsza. Prawdę mówiąc, zaczynałam wpadać w desperację. A ja nienawidzę wpadać w desperację.

Brigitte uśmiechnęła się do niej.

— Och, daj spokój. Cat. Nie sądzisz, że to, co robisz, to właśnie przejaw desperacji?

— A co ja takiego robię?

— Zachodzisz w ostatniej chwili w ciążę z facetem, który jest akurat pod ręką.

— To nie jest wcale ostatnia chwila!

— Prawie ostatnia. Daj spokój. To o wiele bardziej desperacki krok niż cokolwiek, co zrobiłaś jako samotna kobieta. I to właśnie jest komiczne.

Cat czuła emanujący z Brigitte chłód. Nie chciała, żeby to wyglądało w ten sposób. Chciała, żeby jej szefowa cieszyła się razem z nią.

— Czy możesz przestać to powtarzać? — powiedziała, zdając sobie sprawę, że jej głos drży z przejęcia, co wcale jej się nie podobało. — Cokolwiek można powiedzieć o moim dziecku, zaręczam ci, że nie jest komiczne. Nie ma w nim nic śmiesznego.

— Ależ owszem, to jest zabawne. Kobiety takie jak ty doprowadzają mnie do śmiechu, Cat. Naprawdę. Tyle gadacie o niezależności i swobodzie, a potem korzystacie z pierwszej nadarzającej się okazji, żeby zmienić się w *Hausfrau*.

— Mam zamiar dalej pracować. Nie stać mnie na to, żeby odejść. Rory uwielbia swoją pracę, ale niewiele zarabia.

— Więc jak to będzie wyglądało? Myślałaś o tym?

Oczywiście, że o tym myślała. Nie tak długo, jak o wątpliwościach, które zobaczyła w oczach Rory'ego, i o tym, czy dziecko urodzi się zdrowe. Lecz chociaż to wszystko wydawało się bardzo odległe, zastanawiała się, jak będzie wyglądało jej życie pracującej matki.

— Wróć do pracy po dwunastu tygodniach. Jeśli nie masz nic przeciwko. Pomogą mi siostry. Rory nie ma zajęć po ósmej wieczorem. Będzie dobrze.

Brigitte dopiła do końca szampana. Już się nie uśmiechała.

— Ale będziesz musiała wcześniej wychodzić, prawda? Bo twoje dziecko będzie ząbkować albo będzie miało sraczkę, albo będzie tęskniło za mamusią. A kiedy dorośnie, będzie grało w szkolnym przedstawieniu, wystrojone jak małpa. I mamusia będzie tam musiała być, prawda?

Cat potrząsnęła głową, czując, że pieką ją powieki. Nigdy nie sądziła, że dojdzie między nimi do takiej rozmowy. Poza siostrami i ojcem z nikim nie czuła się tak blisko związana jak z Brigitte. To ona nauczyła ją, jak być dorosłą kobietą, niezależną i silną. A teraz wycofywała swoją miłość, tak jak wycofują ją ostatecznie wszyscy.

— Zachowujesz się, jakby moja ciąża była rodzajem zdrady.

Brigitte roześmiała się.

— To nie mnie zdradzasz, Cat. Zdradzasz samą siebie. Za dwa lata będziesz popychała wózek jakąś podmiejską ulicą i zastanawiała się, co się stało z twoim życiem.

Cat wychyliła do dna swój kieliszek.

— Wiesz, kto stwarza największy problem, Brigitte? Wcale nie zadowolone z siebie mamusie. Największy problem stwarzają zgorzkniałe stare pudła takie jak ty.

— Zgorzkniałe stare pudła takie jak ja?

— Stare podżegaczki, które boją się, że dziecko będzie im przeszkadzać. Powinnaś urodzić dzidziusia, Brigitte. Stałabyś się wtedy kimś miłym.

— Daj spokój, Cat. Nie kłóćmy się. Przecież cię nie wyrzucam. Wiesz, jak bardzo cię potrzebuję.

Cat odstawiła swój kieliszek i wzięła z oparcia płaszcz.

— Wiem, że mnie nie wyrzucisz, Brigitte. Ponieważ sama odchodzę.

Nie odwróciła się, kiedy Brigitte zawołała ją po imieniu. No tak, to było sprytnie, pomyślała, wychodząc z Mamma-san.

Słyszała o kobietach, które straciły pracę w trakcie urlopu macierzyńskiego, o wielu takich przypadkach. Ale ani razu o kobiecie, która zasilila szeregi bezrobotnych tylko dlatego, że zaszła w ciążę. Gładząc się po brzuchu, zastanawiała się, co teraz zrobią. Wszyscy troje. Jej mała rodzina.

Przed restauracją czekała na nią, stojąc w deszczu, Jessica.

— Nie chcę taka być, Cat — powiedziała.

Cat nie wiedziała dokładnie, o co jej chodzi. Czy jej siostra nie chce stać i moknąć na deszczu? Nie chce, żeby wypełniał ją tak wielki gniew i uraza? Czy nie chce być bezdzietną kobietą w rodzinie, w której nagle zaroilo się od matek?

Nie wiedziała dokładnie, o co jej chodzi, ale wiedziała, jak się czuje.

Wzięła więc w ramiona i mocno uściskała siostrę, która pachniała Calvinem Kleinem i kawą i którą tak bardzo kochała — bo była przecież krwią z jej krwi i częścią jej małej rodziny — i przez te kilka chwil w deszczu przed pustą restauracją obie zapomniały o dziecku, które rosło między nimi.

Kiedy Poppy leżała między rodzicami i nie płakała, oboje obserwowali ją, jakby była niewypałem, który w każdej chwili może wybuchnąć im w twarz.

Dziecko zasypiało, lecz dorośli nie spali. Bali się oddychać, żeby go nie zbudzić.

W jego płaczu było naprawdę coś niesamowitego. Kto by uwierzył, że tak mała istota może wydawać z siebie taki przeraźliwy hałas, że tyle w niej będzie gniewu, wściekłości i furii? Rodzice dziecka — wyczerpani i wystraszeni, niepotrafiący mówić o czymkolwiek innym poza dzieckiem i nieodgadzionymi



zasadami, które rządziły jego snem — byli pod wielkim wrażeniem.

Było to z całą pewnością najbardziej hałaśliwe dziecko w historii świata.

Pierwsze białe pączki mleczników Poppy wyrzynały się ze lśniących różowych dziąseł, w wyniku czego z jej malutkiego, prawie nieistniejącego noska kapały prawie bez przerwy przezroczyste gluty i to wystarczyło, żeby w całym ich małym domu zapanował totalny chaos.

Tuż po świcie Megan zapadała w końcu w niespokojny sen, z którego budził ją wkrótce terkot budzika.

Wspinając się teraz znużonym krokiem po schodach jednego z bloków Sunny View, myślała o dziecku, o tym tajemniczym dzikim lokatorze, który zamieszkał w samym środku ich niewiarygodnie zmienionego świata.

Kiedy Jessica przychodziła, by zaopiekować się Poppy, idealnie nowa buzia dziecka — buzia, która budziła w Megan miłość, jakiej nie czuła w życiu do żadnego mężczyzny — rozjaśniała się w uśmiechu.

Poppy cieszyła się, widząc Jessicę. Dziecko poznawało swoją ciocię. I idąc zaśmieconym betonowym korytarzem Sunny View, Megan zastanawiała się, czy dziecko polubiło Jessicę bardziej niż własną matkę. A może nawet ją pokochało. Ale kto tak naprawdę mógł je winić?

Jessica była wypoczęta i czuła. Megan, stale podenerwowana i spięta, nie przypominała w ogóle matki, jaką chciała być, i nie wszystko mogła złożyć na karb niewyspania.

Bez przerwy spodziewała się czegoś strasznego. Czasami, kiedy mała zasypiała zmęczona płaczem, Megan kładła się przy jej łóżeczku i nasłuchiwała, czy oddycha, pragnąc się desperacko upewnić, czy jeszcze żyje. Przez długie godziny marzyła o tym, żeby zasnęła, ale kiedy to następowało, Poppy spała jak zabita, i to ją przerażało.

Miłość do córki zakąła ją w kajdany i wiedziała, że nigdy się z nich nie wyzwoli. To była pierwsza w jej życiu miłość, z której

nie mogła się wycofać, jedyna miłość, która nigdy w niej nie wygaśnie, jedyna, która nie miała końca. Ta myśl jednocześnie ją upajała i przygnębiała.

Zapukała w odrapane drzwi.

Nie doczekała się odpowiedzi, mimo że ze środka dobiegała muzyka — Justin Timberlake obiecywał właśnie, że będzie funkował przez całą noc. Megan zapukała ponownie, głośniejsze i dłużej. W końcu drzwi się otworzyły i weszła do mieszkania, w którym panował totalny chlew.

Meble zawalone były stosami brudnych ubrań. Wszędzie śmierdziało papierosowym dymem i haszyszem. Wychudły pies grzebał w resztkach kilkunastu posiłków na wynos.

— Chcę prawdziwego doktora! W pełni wykwalifikowanego! Znam swoje prawa!

— Mam teraz pełne kwalifikacje, pani Marley.

Na twarzy pani Marley pojawił się grymas niedowierzania.

— Od kiedy to?

— Od zeszłego tygodnia.

Megan udało się jakoś pokonać ostatni etap procedury dopuszczenia do zawodu. Siedziała do późna w nocy, pisząc sprawozdania z wykonanych badań, podczas gdy Kirk lulał ich wyjąca dziko córkę, potem zaś nagrywała rano na wideo swoje konsultacje — niełatwo jest nastawić ostrość w kamerze, kiedy bada się szwankującą prostatę jakiegoś emeryta — a Lawford siedział w kącie, robiąc notatki do swojego raportu.

Był także pisemny test, i Lawford miał rację — Megan, księżniczka egzaminów, mogła go zaliczyć we śnie. I tak to w gruncie rzeczy wyglądało: z klejącymi się oczyma, głową opadającą na biurko i żółtawymi plamami mleka na sweterku.

— Gratuluję, pani doktor — powiedziała kpiącym tonem pani Marley.

— Dziękuję.

— Mam nadzieję, że teraz, kiedy jest pani prawdziwą lekarzką, nie będzie się już pani myliła.

Megan nie powiedziała pani Marley, że tak naprawdę po

trwającym rok stażu udowodniła, iż ma to, co zostało określone mianem „minimalnych kompetencji”. Po wszystkich tych latach spędzonych na akademii, horrorze oddziału urazowego, a następnie dwunastomiesięcznym stażu w przychodni, tym medycznym McDonalddie, którego klientami są chorzy i umierający, uznano w końcu, że jest dumną „posiadaczką minimalnych kompetencji”.

Oto kim jestem, pomyślała Megan. Miss minimum kompetencji.

— Co pani dolega, pani Marley?

— Coś z nerwami. — Kobieta cofnęła się, krzyżując obronnym gestem ręce na swoim wielkim biuście. — To nie choroba psychiczna. Nie jestem stuknięta. Nie mogę po prostu rano wstać. Wyjść z domu.

— Cierpi pani na agorafobię?

Pani Marley posłała jej puste spojrzenie.

— Że niby boję się pajaków?

— Nie lubi pani wychodzić z domu?

Pani Marley pokiwała głową.

— Brałam tabletki. Ale już się skończyły.

Megan zajrzała do swoich notatek.

— Przepisany lek powinien pani starczyć jeszcze na dwa tygodnie.

— No dobra, ale nie starczył.

— Brała je pani zgodnie ze wskazówkami?

— W ogóle, kurwa, nie działały. Więc podwoiłam dawkę.

— Pani Marley — westchnęła Megan. — Doktor Lawford zapisał pani mocny trójcykliczny lek antydepresyjny, który kontroluje poziom serotoniny w pani centralnym systemie nerwowym. Nie może pani tak po prostu...

— Znam swoje prawa — upierała się pani Marley.

Do pokoju weszła Daisy i zaczęła machinalnie głaskać grzebiącego w odpadkach psa. Megan podeszła i uklękła przy niej. Dziecko miało na sobie tylko poplamiony podkoszulek i nie było myte od wielu dni.

— Daisy, kochanie, czy nie powinnaś być w szkole?  
— Mama powiedziała, że nie muszę, proszę pani.  
— Jak może chodzić do szkoły, skoro nie mogę wyjść z domu, głupia krowo! — ryknęła pani Marley.

Megan wyprostowała się.

— Naprawdę bardzo mi przykro. Nie chcę tego robić. Ale obawiam się, że będę musiała wezwać opiekę społeczną.

Pani Marley pociemniała twarz.

— Opiekę społeczną? Nie chcę tutaj tych zaszranych świętoszków.

— Dziecko jest zaniedbane. Rozumiem, że nie czuje się pani najlepiej...

Daisy zaczęła cicho płakać.

Megan położyła dłoń na ramieniu dziewczynki i odwróciła się do jej matki.

— Nikt nie chce pani odbierać Daisy. Jeśli uda nam się tego uniknąć.

— Jeśli uda nam się tego uniknąć! Mój brat już raz panią załatwił i zrobi to ponownie!

Pani Marley zrobiła krok w kierunku Megan, która odsunęła się od niej i jej córki. W dołku czuła dziwne mdlące ukłucie lęku, niepodobne do niczego, co znała do tej pory. Bo gdyby coś jej się przytrafiło, co stałoby się z jej dzieckiem?

Jessica i Naoko popychały dziecinnie wózki przez sunący ulicą popołudniowy tłum. Poppy spała w trójkołowcu, a Chloe siedziała wyprostowana w spacerówce, z oczyma wielkimi jak guziki i uśmiechniętym pingwinem w rękach. Chloe nigdzie się nie ruszała bez swojego pingwina.

Kiedy panie zatrzymały się na kawę, postawiła pingwina na podłodze i wcisnęła przycisk na jednym z jego krótkich skrzydełek. Ptak natychmiast ożył i zaczął śpiewać mechanicznym głosem.

*Fiku, fik — fikają wszyscy!*  
*Fikają w morzu i dają nurka*  
*Fiku, fik — fikają wszyscy!*  
*Chcesz być fikającym pingwinem?*

Śpiewający pingwin podskakiwał w miejscu, a Chloe potrząsała głową, uśmiechając się do siebie.

— To coś nowego — stwierdziła Jessica. — To potrząsanie głową.

— Właśnie zorientowała się, że głowa porusza się z boku na bok — wyjaśniła Naoko.

Po wyjściu z kawiarni zaczęły się żegnać. Naoko pogładziła śpiącą Poppy po twarzy, Jessica pochyliła się, żeby pocałować Chloe oraz — na jej wyraźne żądanie — pingwina.

I wtedy właśnie ich zobaczyli.

Michael i ta kobieta stali przed miejscowym Hiltonem i też się żegnali. Ich gorące pocałunki wydawały się niestosowne pośród wszystkich tych odzianych w korporacyjną szarość mężczyzn i kobiet. Michael i Ginger, asystentka, która nie zachowywała tego na później.

Jessica spojrzała na Naoko. Ginger była dziesięć lat starsza od jej przyjaciółki i nawet w połowie nie tak ładna. Więc dlaczego? Dlaczego mężczyzna ryzykował, że straci żonę i dziecko dla takiego starego pudła?

*Fiku, fik — fikają wszyscy!*

Naoko pochyliła się, wyłączyła pingwina i powiedziała swojej córce tylko dwa słowa.

— Dosyc tego.

Kiedy dziecko w końcu zasypiało, kochali się — nie namiętnie i łapczywie, jak wówczas na stosie płaszców na przyjęciu, ale tak jakby robili to gdzieś w bibliotece, oględnie i dyskretnie, strzeżeni przez tabliczki z napisem CISZA.

Mimo to lubiła tego mężczyznę, który dał jej dziecko i przemierzył świat, żeby je obie odnaleźć, lubiła go coraz bardziej i bardziej.

Wiedziała już o jego drugiej pracy dostarczyciela sandwiczów, choć nigdy się na ten temat nie zająknęła, i nie uważała bynajmniej, że podejmując się jej, okazał się żaloszny. W gruncie rzeczy bardzo ją to ujęło. Nie stał się przez to w jej oczach nieudacznikiem — raczej prawdziwym mężczyzną. Widziała, że jest gotów zrobić dla nich wszystko, i zaczęła mu ufać.

— Myślałam, że potrafię tu coś zmienić — szepnęła. — Naprawdę w to wierzyłam. I popatrz na mnie. Robię to samo co wszyscy. Wciskam ludziom antydepresanty i wzywam opiekę społeczną.

— Nie możesz im pomóc — odparł szeptem. — Są zbyt biedni, zbyt chorzy, zbyt zatruci byle jakim jedzeniem, narkotykami, nikotyną i wódą. Zbyt głupi.

— Nie, są tutaj i dobrzy ludzie. — Pomyślała o pani Summer, bokserze i Daisy. Pomyślała o wszystkich porządnym i uczciwych osobach, które można było spotkać w tej podłej dzielnicy. — Nie wszyscy są tacy sami.

— Musisz teraz myśleć o Poppy. O nas. Mówię serio, Megan. Powinniśmy się stąd wyrwać.

Słyszac to, uśmiechnęła się. Kirk przez całe życie marzył o tym, żeby wyjechać w jakieś nowe miejsce. Tam gdzie morze jest bardziej niebieskie, plaże bielsze, a woda czystsza. Jakim cudem wylądował w Hackney?

— O jakim myślisz miejscu?

— Ja nie żartuję, Megan.

— Wcale się z ciebie nie śmieję. Szczerze. To mi się podoba. Podoba mi się pomysł, żeby się stąd wyrwać.

Podekscytowany przytulił ją do siebie.

— Gdzieś, gdzie są przyzwoite warunki do nurkowania. Gdzie mógłbym poprowadzić kurs. To są najwspanialsze miejsca na świecie. W każdym większym centrum nurkowania

przyjmą mnie z otwartymi rękoma. Na wyspach Oceanu Indyjskiego. Na Karaibach. Nawet u mnie w domu... w Australii.

Megan przestała się nagle uśmiechać.

— Myślisz, że chcę przez całe życie leżeć na plaży? Myślisz, że rzuciłabym moją pracę?

— Wszędzie potrzebują lekarzy. Dlaczego musisz prowadzić praktykę tam, gdzie cię nie szanują? Gdzie nie szanują niczego. Gdzie wszystko lepi się od brudu i pełno jest pijaków i głupich sukinsynów.

— Nienawidzisz tego miejsca.

— Zgadza się. I nie jestem tutaj dlatego, że spodobało mi się to miejsce. Jestem tu dla ciebie. I dla naszego dziecka.

— Ale tutaj mogę działać więcej dobrego. To nieprawda, co mówisz... a nawet gdyby to była prawda, czym twoim zdaniem zajmuje się lekarz? Myślisz, że powinnam leczyć tylko bogatych? I kulturalnych? To nie na tym polega. Nie po to studiowałam.

— A po co studiowałaś? Nie, żeby żyć jak teraz. Z całą pewnością nie po to.

Megan sięgnęła pamięcią wstecz. Przez wszystkie te lata studiów miała przecież jakąś wizję siebie jako lekarki.

Wyobrażała sobie, że będzie spokojna, miła i kompetentna. Że będzie przywracała nadzieję tym, którzy wpadli w rozpacz. Tego rodzaju rzeczy. Nigdy nie sądziła, że będzie fizycznie zagrożona przez swoich pacjentów. Myślała, że będą jej wdzięczni, że będą ją kochali, a przynajmniej szanowali. Nigdy nie wyobrażała sobie, że będą w niej widzieli paniusię z klasy średniej, pozbawiającą ich tabletek, które chcieli łykać, i wzywającą do ich mieszkań znienawidzoną opiekę społeczną. I nigdy nie spodziewała się, że będzie taka zmęczona.

— Chciałam chyba coś zmienić. Tak, chyba o to mi chodziło. Chciałam, żeby świat stał się trochę lepszym miejscem. Co jest w tym złego?

— Nic. Ale nie możesz ocalić świata, Megan. Spójrz na nas. Popatrz, jak co noc borykamy się z naszym dzieckiem. Ta mała

istotka nie przestaje płakać, a my mamy wrażenie, że niebo wali się nam na głowy.

Dziecko poruszyło się obok nich w łóżeczku.

— Mów ciszej — szepnęła Megan.

— Jak zamierzasz ocalić świat? — odparł szeptem Kirk. — Nie potrafimy nawet zadbać o siebie.



## 22.

Z ich okna w Ritzu-Carltonie Jessica mogła obserwować nieustającą krzątaninę w hongkońskim porcie.

W tym miejscu było coś magicznego, choć trudno określić, na czym to polegało. Miała przed sobą miasto, które stale wymyślano od nowa i w którym nowe marzenia wypierały stare. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, rozciągał się wydarty morzu ład, a błyszczące wieżowce wyrastały na jeszcze mokrej ziemi.

W porcie widać było wszelkiego rodzaju jednostki pochodzące ze wszystkich stuleci. Wodoloty zabierające hazardzistów do Makao, dymiące holowniki, towarzyszące wielkim statkom wycieczkowym, stare drewniane dżonki z pomarańczowymi żaglami oraz zielono-białe promy linii Star, kursujące między Central, Wanchai i Tsim Sha Tsui. Jessica oglądała kiedyś w nocy stary film o mężczyźnie, który zakochał się w dziewczynie ujranej po raz pierwszy na promie linii Star, i pomyślała teraz, że to dobre miejsce, żeby się w kimś zakochać.

Chaotyczne portowe tableau zamykały z jednej strony lśniąca biurowca Hongkongu, a z drugiej las mieszkalnych bloków Koulunu, za którymi widać było zielone wzgórza Nowych Terytoriów.

Jessica wiedziała, co leży po drugiej stronie tych wzgórz,

i nagle zdała sobie sprawę, że chce tam pojechać, chce to zobaczyć, póki ma okazję. Kto wiedział, czy kiedykolwiek jeszcze pojawi się w tej części świata?

— Chciałabym zobaczyć Chiny — powiedziała.

Paulo nie odpowiedział.

Leżał na łóżku, po pięciu dniach nie potrafiąc przyzwycząć się do innej strefy czasowej i kartkując kolorowe broszury z hongkońskiego salonu samochodowego. Na okładce tej, którą trzymał w ręku, dwie uśmiechnięte Chinki w jedwabnych sukniach siedziały na dachu jakiegoś drogiego auta.

— Paulo. Chcę zobaczyć Chiny.

— Chiny? Przecież na nie patrzysz, kochanie.

— Nie o to mi chodzi.

— A do kogo twoim zdaniem należy teraz Hongkong? Nie do nas, Jess. Brytyjczycy wrócili do domu. Koniec imperium i tak dalej.

— Mam na myśli Chiny kontynentalne. No wiesz. Chińską Republikę Ludową.

Paulo skrzywił się.

— Jeśli chcesz, możemy tam pojechać. Ale nie wydaje mi się, żeby było tam tak fajnie jak tutaj. Założę się, że komuniści nie potrafią zrobić porządnego cappuccino. Dlaczego nie możemy zostać w Hongkongu?

— Chcę tam pojechać. Skoro już tu jesteśmy. Kto wie, czy kiedykolwiek tu wrócimy...

Paulo przeciągnął się i uśmiechnął, czując tę dziwną senność, która ogarnia człowieka w pięciogwiazdkowym hotelu na drugim końcu świata. Podobało mu się to, jak wyglądała, stojąc przy oknie, odwrócona do niego bokiem, z twarzą oświetloną popołudniowym słońcem. Nigdy nie potrafił jej niczego odmówić.

— Chodź tutaj, ty mała kokietko, to o tym pogadamy.

— Po co? — roześmiała się. — Jesteś zbyt zmęczony.

— No dobrze, dobrze, zwiedzimy Chiny. — Paulo ziewnął i odsunął od siebie broszurę. — Jeden dzień powinien wystarczyć,

prawda? Ile w końcu trzeba czasu, żeby zobaczyć Chiny?

Zamknął oczy, a Jessica odwróciła się z powrotem do okna. Do nabrzeża na dole przybijał właśnie prom. Tłum mężczyzn i kobiet o lśniących czarnych włosach wylał się z niego na Statue Square, podążając do swoich biurowców w Central.

Większość mieszkała prawdopodobnie w tych niezliczonych wieżowcach, które widziała w Koulunie, wyrastających niczym las na koniuszku chińskiego półwyspu. Tam właśnie czekały na nich rodziny, kiedy wracali promem linii Star do domu. Mężowie i żony. I te prześliczne dzieci, które widziało się na kanale MTR, z równo obciętymi wokół głowy włosami, w staroświeckich szkolnych mundurkach, patrzące z ufnością w przyszłość i przyszłość tego wspaniałego miejsca.

I nagle, zupełnie niespodziewanie Jessica zrozumiała, skąd bierze się magia Hongkongu.

— Wiesz, na czym to polega? — powiedziała głośno, chociaż wiedziała, że Paulo już zasnął. — Nigdy nie widziałam miejsca, które byłoby tak pełne życia.

— Czy ktoś zmieniał już kiedyś pieluszkę dziecku? Któraś z mamuś? Któryś z tatusiów? Śmiało, nie wstydzcie się.

Cat spojrzała na Rory'ego.

— Zgłoś się — syknęła. — Mówiłeś, że stale przewijałeś Jak-e'a.

— Ale to było dawno temu.

— Mówiłeś, że twoja żona była leniwą dziwką i nie chciała zrywać się w środku nocy.

— Daj mi spokój.

— Podnieś rękę!

— Nie.

Instruktorka szkoły rodzenia uśmiechnęła się do uczniów, którzy wpatrywali się w nią oraz w leżącą na macie różową lalkę w zmoczonej pieluszcze. Była to jedna z owych lalek, które

świetnie się sprzedają, ponieważ potrafią płakać i zsiakać się w majtki. Zupełnie jak prawdziwe dziecko. Trzeba tylko dolać wody.

Instruktorka okazała się jedną z tych wzorcowych matek, które zawsze wprawiały Rory'ego w zakłopotanie. Wielkie ciało w obszernej sukni. Długie rozpuszczone włosy, które miały podkreślać jej wiarę w wolność jednostki, w rzeczywistości jednak sprawiały wrażenie brudnych i zaniedbanych. Do tego etniczne kolczyki w uszach oraz błogi uśmiech, który dawał do zrozumienia, że jego właścicielka zna wszystkie sekrety wszechświata.

— Zmiana pieluszki, kiedy dziecko zrobiło kupę albo siku, należy do podstawowych umiejętności rodziców.

— Widziałam, jak moja siostra przewija dziecko — oświadczyła jedna z przyszłych matek o wyglądzie typowym dla całej klasy: koło dwudziestu lat, cała pokryta tatuażami i kawałkami metalu, które ozdabiały jej piersi, pośladki oraz kostki u nóg. Towarzyszył jej małowówny młody człowiek o niezdrowej cerze.

Dzieci rodzą dzieci, pomyślał Rory i przypomniała mu się stara piosenka zespołu Sly and the Family Stone, która musiała już mieć — mój Boże — chyba czterdzieści lat! Mogła ją znać ich babcia. Biedne dzieciaki. Nie wiedziały, w co się pakują.

— Nikt tego nie robił?

Cat szturchnęła go w żebra.

— Au — jęknął.

Instruktorka zwróciła ku niemu uśmiechniętą twarz. Przyszłe matki i ich znudzeni faceci po raz pierwszy zwrócili na niego uwagę.

— Ja... ja robiłem to przed wielu laty. Przewijałem mojego syna.

— Znaczy, że znasz to z pierwszej ręki — stwierdziła instruktorka, udając, że jest pod wielkim wrażeniem. — Zobaczmy, co zapamiętałeś.

Rory podszedł do niej. Wciąż się uśmiechając, dała mu świeżą

pieluszkę, pudełko dzieciennych chusteczek oraz słoik kremu.

— Większość noworodków cierpi na rumień toksyczny — oznajmiła.

Rory musiał zrobić niewyraźną minę.

— Wysypka, którą powodują pieluchy. Dlatego trzeba utrzymywać dziecko w czystości. — Instruktorka kiwnęła głową. — Do dzieła.

Rory sięgnął pamięcią wstecz. Nie było to takie trudne. Dawno temu rzeczywiście wstawał w nocy, kiedy Ali spała po paru kieliszkach, a być może całej butelce czegoś białego i wytrawnego. Czując przypływ pewności siebie, spróbował wyprostować gotową do przewinięcia, udającą dziecko lalkę.

Jej główka pozostała mu nagle w rękach.

— Cholera.

Klasa wybuchła śmiechem.

— Nigdy nie wolno podnosić dziecka za głowę — oznajmiła surowym tonem instruktorka, przestając się w końcu uśmiechać.

— Chciałem tylko wyprostować lalkę — odparł Rory, usiłując desperacko wsadzić głowę z powrotem. — W rzeczywistości nigdy bym...

Udało mu się wcisnąć głowę, ale szarpiąc się z mokrą pieluszką, zdał sobie sprawę, że zrobił to tyłem do przodu. Klasa ponownie ryknęła śmiechem. Instruktorka nie kryła rozczarowania.

— Niech mnie kule — mruknął jakiś dowcipniś. — Zupełnie jak na *Egzorcysty*. Ta główka zaraz zacznie się kręcić w kółko.

„Twoja matka obciąga fiuty w piekle! Twoja matka obciąga fiuty w piekle!”

Nie ma to jak miłe pogwarki w szkole rodzenia, pomyślał Rory.

Zdenerwowany wyrwał głowę i wcisnął ją tak, jak trzeba, a potem położył lalkę na macie i ściągnął z niej mokrą pieluszkę. Plastikowe różowe organy płciowe były zalane wodą.

Kontrolując oddech, żeby się trochę uspokoić, Rory wytarł je delikatnie papierową chusteczką, nałożył szybko warstwę kremu i zajął się nową pieluchą. Kiedy pochylił się z dumą nad udającą dziecko lalką, trysnęła mu wodą prosto w twarz. Klasa zareagowała brawami i wesołymi okrzykami.

— Tak się składa — powiedziała instruktorka, chłodno się uśmiechając — że świeża uryna jest sterylna i całkowicie nieszkodliwa.

O tak, teraz to sobie przypomniałem, pomyślał Rory. Wszystko to do mnie wraca.

Cały ten koszmar.

Przed końcem zajęć instruktorka zapowiedziała, że w następnym tygodniu zajmą się kolorami stolca — od jasnożółtego do bladzielonego. Czekala ich też nie lada gratka — spotkanie z autentycznym dzieckiem, sześciomiesięcznym dzidziusiem jednej z absolwentek kursu.

W drodze do samochodu Rory poddał druzgoczącej krytyce czekające ich spotkanie z dzidziusiem.

— Jak można się spotkać z dzidziusiem? Z dzidziusiami się nie spotykamy. Co on będzie robił? Stał z kieliszkiem w ręku, witał się z nami i gawędził o pogodzie?

— Może dać ci kilka wskazówek, jak zmieniać pieluszki.

— To wszystko bzdura.

Cat spojrzała na niego.

— Tak naprawdę wcale tego nie chcesz, prawda?

— Oczywiście, że chcę. To tylko te głupie zajęcia. Cała ta gadka o mamie, tacie i dzidziusiu. Nie pasujemy do tego.

Cat potrząsnęła głową i po raz pierwszy zaczęła się nad tym wszystkim serio zastanawiać.

— Nie, ty naprawdę tego nie chcesz. — Przyjrzała mu się uważnie, jakby zdała sobie sprawę, że właściwie go nie zna. — To nie twoja wina. Powinnam była to przewidzieć. Zmusiłam cię do tego. A teraz wyszło szydło z worka.

— Daj spokój, Cat. Wracajmy do domu. To wszystko przez twoje hormony.

— Nie, to nie przez moje hormony — stwierdziła, uśmiechając się ze smutkiem. — Chodzi o ciebie. O twoje wątpliwości.

Próbował wziąć ją za rękę.

— Daj spokój. Bierzymy w tym udział we dwoje.

— To ciekawe. Bo czuję się tak, jakbym była sama.

— Przestań, Cat. Wiesz, że nie lubię tych bab z wielkimi koleczkami.

— Mam wrażenie, że jesteś ze mną, ponieważ... nie wiem. Ponieważ gnębią cię wyrzuty sumienia, ponieważ czułbyś się winny, gdybyś odszedł, a może dlatego, że złapałam cię w pułapkę. Tak to wygląda. Wiesz, co myślę?

— Skończ z tym. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

— Myślę, że nie masz odwagi, żeby przebyć całą drogę.

— To nieprawda.

— Myślę, że tak naprawdę nie jesteś tutaj dla mnie i dla dziecka. Gdyby tak było, jakaś stara hipiska ze szkoły rodzenia w ogóle by się nie liczyła. Myślę, że masz już spakowane walizki. Że wcześniej czy później odejdziesz.

— Chcę tego dziecka tak samo jak ty.

Cat uśmiechnęła się smutno, potrząsając głową, i poczuł, jak pęka mu serce.

— Myślę, że jesteś podobny do mojej matki — odparła i wiedział, że to najgorsza rzecz, jaką mógł od niej kiedykolwiek usłyszeć.

Ruch był obłądny.

Rowery sunące niczym ławice ryb przez rojne ulice — w kontynentalnych Chinach to było do przewidzenia, ale nie te niezliczone auta, z których żadne nie trzymało się swojego pasa i wszystkie bez przerwy trąbiły, nawet gdy grzęzły w jednym z wiecznie się tworzących korków i było jasne, że nigdzie nie

pojadą. Co się stanie, kiedy znikną rowery i wszyscy przesiądą się do samochodów?

Ich taksówka znowu utknęła w miejscu; obok zatrzymała się ciężarówka. Za szoferką miała wysoką drucianą klatkę, którą w Anglii montują na pickupach ogrodnicy. Ale ta klatka załadowana była świniami.

Przeładowana świniami, groteskowo przeładowana, ponieważ było w niej dwa razy więcej tych dziwnie małych zwierząt, niż mogło się normalnie zmieścić. Świnie powrzucono jedne na drugie, jakby nie miały więcej praw ani uczuć od worków z kompostem i walczyły teraz o kawałek miejsca, wzajemnie się deptając, wytrzeszczając dziko oczy, podnosząc desperacko łby i wydając przeraźliwy kwik, od którego Jessice przewracały się flaki.

Chciała wrócić do domu.

To nie było to, czego się spodziewała, to nie było coś, co w najmniejszym stopniu przypominałoby Hongkong. Chiny były brudne, zdesperowane i okrutne. Pekin był ponurym miastem, dławiącym się pyłem z zagarniającej wciąż nowe tereny pustyni Gobi. Jeśli Hongkong wydawał się pełen życia, to tutaj wszyscy wydawali się o niego nie walczyć. Rozpaczliwie się go czepiać, deptając się wzajemnie bez litości i bez zmiłowania.

Stary taksówkarz przyglądał się Jessice i Paulowi we wstecznym lusterku.

— *Meiguo?*

Siedzący obok niego młody tłumacz potrząsnął głową.

— *Yingguo.* To Anglicy — odparł, odwracając się do nich z uśmiechem. — To Anglicy. Nie Amerykanie.

Przyczepił się do nich przed kilku godzinami na rozległym betonowym placu Tiananmen, kiedy kontemplowali epicką pustkę gigantycznego portretu Mao Tse-tunga, i w trakcie zwiedzania Zakazanego Miasta, starożytnych hutongów i tandetnych stoisk z pamiątkami służył im jako przewodnik, tłumacz i opiekun w jednej osobie. Był miłym i przystojnym młodzieńcem, studentem architektury, i kazał się nazywać Simon.



Kiedy zapytali go o jego chińskie imię, oświadczył, że jest dla nich za trudne do wymówienia.

— Co robi? — zapytał Paula. — Co robi w Anglii jako praca?

Paulo westchnął i wyjrzał z ponurą miną przez szybę. Odpowiadanie na pytania Simona sprawiało mu początkowo przyjemność. Ale miał za sobą długi dzień. A pytania nie miały końca.

— On sprzedaje samochody, Simon — odpowiedziała Jessica i szturchnęła Paula. — Nie musisz być niegrzeczny.

— No nie wiem. Ten facet jest jak hiszpańska inkwizycja.

— Ile zarabia pieniędzy? — zapytał Simon tak niewinnie, jakby chciał się dowiedzieć, czy podoba im się tutejsza pogoda.

— Nie twój zasrany interes — mruknął Paulo.

Simon odwrócił się do Jessiki.

— Wy po ślubie? Czy tylko partnerzy, chłopak i dziewczyna?

— Jesteśmy starym małżeństwem — poinformowała go z uśmiechem Jessica i podniosła dłoń, pokazując ślubną obrączkę. — Widzisz?

Simon ujął jej dłoń i przyjrzał się obrączce.

— Tiffany. Bardzo dobra jakość. Ale Cartier lepszy. Ile po ślubie?

— Pięć... nie, sześć lat.

Simon pokiwał w zadumie głową.

— Gdzie dziecko? — zapytał w końcu.

— Jezu Chryste — jęknął Paulo. — Nie tutaj. Jesteśmy na wakacjach, chłopie.

— Żadnych dzieci — powiedziała Jessica.

— Sześć lat, żadnych dzieci? — zdziwił się Simon.

— Zgadza się — odparła Jessica. — Jesteśmy parą dziwolągów, prawda?

Wzięła za rękę swojego męża, a on ucisnął ją, wciąż oglądając przez szybę Chiny.

Simon odwrócił się w fotelu i powiedział coś do taksówkarza. Starszy mężczyzna pokiwał głową. Korek zaczynał się odblokowywać.

Kiedy skończyły się poranne godziny przyjęć, Megan poprosiła do gabinetu dodatkową pacjentkę.

— W recepcji jest mężczyzna i pies — oświadczyła Olivia, wchodząc do środka. — Jedzą chipsy z jednej torby.

— Nie martw się, mamu. Chyba cię nie ugryzie.

Olivia zrobiła minę, na widok której Megan nie mogła się nie uśmiechnąć — ten sam wyraz urażonej niewinności, który urzekał miliony widzów przed trzydziestu laty.

— Mówimy chyba o psie, prawda, kochanie? — zapytała, rozglądając się po małej klitce. — To tutaj każą ci codziennie harować?

— Wiem, że to niezupełnie to, do czego przywykłaś. Dlaczego nie poszłaś do doktora Finna?

Finn był prywatnym lekarzem matki, już kiedy były dziećmi. Megan pamiętała poczekalnię jego gabinetu przy Harley Street. Puszyste dywany, kolorowe czasopisma, wygodne sofy i żyrandol, który wywarł na niej potężne wrażenie. Pomieszczenie bardziej przypominało hotelowy hol niż szpitalną poczekalnię. Dopiero po latach zdała sobie sprawę, że największym luksusem było to, że doktor Finn mógł poświęcić każdemu pacjentowi trzydzieści minut.

— W zeszłym roku odszedł na emeryturę. Nie lubię doktora, który go zastąpił. Bez przerwy powtarza, że nie powinnam palić. A poza tym chciałam się z tobą zobaczyć.

Megan potarła oczy.

— O co chodzi?

— Boże, wyglądasz okropnie.

— Poppy nie spała prawie przez całą noc. Po wyjeździe Jessiki jest bardzo niespokojna. Kirk wziął wolne, żeby się nią opiekować, ale ona tęskni za Jessie.

— Tyle przy nich roboty, prawda?  
— Skąd możesz o tym wiedzieć?  
— Urocze podejście do pacjenta.  
— Powinnaś czasami przyjść ją odwiedzić.  
— Cały czas się wybieram. Ale chodzi o twoje mieszkanie,  
Megan. Wprawia mnie w depresję.

— Mnie też. Słuchaj, możemy przejść do rzeczy? Muszę iść do domu i zmienić Kirka. Co ci dolega?

Okazało się, że mrowienie w ramionach matki potęguje się. Niewyraźnie widziała na jedno oko. Czasami była tak zmęczona, że nie miała siły zapalić papierosa.

Megan zachowała kamienne oblicze, ale była wstrząśnięta. Myślała, że matka jest po prostu samotna. Ale to było coś gorszego.

— Musisz odwiedzić specjalistę. — Megan zaczęła zapisywać nazwisko i adres. — Neurologa. Przyjmuje na Wimpole Street. Bardzo blisko gabinetu doktora Finna.

— Co to jest? Co mi dolega?

— Musisz iść do specjalisty. Opowiesz mu o swoich symptomach. Na pewno skieruje cię na rezonans magnetyczny. Powinnaś również przygotować się na nakłucie lędźwiowe.

— Co to jest, kurwa, nakłucie lędźwiowe?

— Nie wpadaj w panikę. Proszę. Pobiera się próbkę płynu rdzeniowego i poddaje go różnym testom.

— Co jest ze mną nie w porządku, Megan?

— To właśnie powinni ustalić.

— Ale co to jest?

— Nie mogę bawić się w zgadywanki.

— Ty wiesz, co to jest, Megan. Ty wiesz.

— Nie, naprawdę nie wiem.

— Nie wyjdę, dopóki mi nie powiesz.

Megan wzięła głęboki oddech.

— No dobrze. Z tego, co mówisz, wygląda to na wczesne stadium stwardnienia rozsianego.

Jej matka zachwiała się.

— To znaczy, że skończę na cholernym wózku inwalidzkim?

— To mało prawdopodobne. Większość ludzi, u których rozpoznano stwardnienie rozsiane, nigdy nie potrzebuje wózka. Ale trudno to przewidzieć. Nie ma dwóch osób ze stwardnieniem rozsianym, które miałyby takie same symptomy. Jeżeli to w ogóle stwardnienie... a tego jeszcze nie wiemy.

— Czy to uleczalna choroba?

— Nie.

— Jest nieuleczalna? Nie mogą jej wyleczyć? O Boże, Megan!

Megan wzięła matkę za rękę, czując pod palcami jej kości i zmęczoną skórę.

— Jest nieuleczalna, ale można łagodzić objawy. Jest pewien bardzo skuteczny lek: beta interferon. Samemu się go wstrzykuje.

— Mam sobie wbić igłę w ramię? Chyba żartujesz? Nie mogłabym...

— Istnieje także pogląd, wedle którego najlepszą metodą opanowania symptomów stwardnienia rozsianego jest cannabis. Ale tego nie dadzą ci w państwowej służbie zdrowia. Ani na Harley Street.

Olivia zwiesiła głowę.

— Mogę się mylić — powiedziała Megan. — Proszę. Idź do specjalisty.

Jej matka podniosła głowę.

— Tak mi przykro, mammo.

Olivia wyciągnęła ręce i Megan podeszła do niej, ale w tej samej chwili na korytarzu rozległy się krzyki, brzęk tłuczonego szkła i szczekanie psa. Megan wybiegła z gabinetu.

Doktor Lawford leżał na podłodze, szarpiąc się z Warrenem Marleyem, który najwyraźniej cisnął przed chwilą w recepcjonistkę starym stolikiem do kawy. Na dywanie pełno było okruszków szkła i szczątków taniego mebla. Kiedy Marley zobaczył Megan, twarz wykrzywiła mu się z wściekłości.

— To przez ciebie! Moja siostra straciła córkę! Straciła Daisy! Zabrali ją przez ciebie do pierdolonego domu dziecka!

Wieczorem po powrocie do domu Megan rozmawiała długo z Kirkiem o jego marzeniu, żeby się stąd wyrwać.

Jak to ma wyglądać? Dokąd by pojechali? Do którego z tych małych wycinków rajy, gdzie on mógłby uczyć nurkowania, a ona robić to, czego ją nauczono... czy naprawdę mogliby gdzieś tam zamieszkać? Wypytywała go o wszystko — o wizy, pozwolenie na pracę, opiekę nad dzieckiem — sprawdzając, czy to marzenie ma szansę spełnienia się w realnym życiu. Dojrzała do tego, żeby wyjechać z Londynu.

Dojrzała do tego, żeby zacząć inne życie.

Ponieważ zorientowała się, że Kirk miał rację.

Kiedy ma się dziecko, wszystko się zmienia. Nie można martwić się o całą ludzką rasę. Trzeba być samolubnym, trzeba myśleć o własnym dziecku i znaleźć miejsce, w którym będzie bezpieczne.

Kiedy ktoś staje się matką albo ojcem, najważniejsze jest następne pokolenie. Nowa rodzina.

Nie można nawet za bardzo martwić się o własnych rodziców.

Żadnych łez.

To była pierwsza rzecz, jaką zauważyła Jessica.

Nie milczenie, ponieważ znajdowali się w długiej, słabo oświetlonej sali, z ustawionymi tuż obok siebie łóžeczkami, w których leżały niemowlęta lub trochę od nich starsze dzieci, a stęchłe powietrze wypełniał śpiewny pomruk gaworzących malców. Ale żadnych łez.

— Dlaczego nie płaczą? — zapytała.

— Może szczęśliwe dzieci — powiedział Simon.

Nie, to nie to.

— Co to za miejsce? — zapytał Paulo. — To jakiś dom dziecka. Sierociniec.

Bała się tam wejść. Bała się tego, co może zobaczyć. Braku opieki, okrucieństwa i brudu. Tak jak w przypadku wrzuconych do drucianej klatki świń, na które nikt nawet nie patrzył. I jednak było inaczej.

Kiedy szli powoli przez salę, spostrzegła, że dzieci są nakarmione i czyste. Przyglądały się Jessice i Paulowi z ciekawością i zdziwieniem i nie wydawały się wystraszone ani oniesmielone. Okazywano im troskę i uczucie.

Było ich jednak tak wiele, że zdały sobie sprawę, iż nie ma sensu płakać. Ich łzy nie były podobne do łez dziecka z zewnątrz, do łez Chloe albo Poppy. Ich łzy nie oznaczały końca świata dla matki i ojca i można je było zignorować.

Ponieważ było ich tak wiele.

— Cztery miliony dziewczynek — powiedział Simon. — W Chinach cztery miliony takich dziewczynek.

— To wszystko dziewczynki? Wszystkie te dzieci to dziewczynki?

Simon pokiwał głową.

— Z powodu polityki jednego dziecka. Ludzie mają tylko jednego syna albo córkę. Wielu woli mieć syna. Zwłaszcza na wsi. Zacofani ludzie. Niewykształceni.

Cztery miliony dziewczynek w sierocińcach z powodu polityki jednego dziecka.

A mimo to wszędzie, od placu Tiananmen po pekińskiego McDonalda, widzieli drugą stronę tej polityki — pokolenie przekarmionych, rozpieszczonych dzieci, najbardziej rozpuszczonych malców w Azji, chińskich małych cesarzy. I Jessica zdała sobie teraz sprawę, że wszyscy mali cesarze to chyba chłopcy.

Z drugiego końca korytarza zbliżała się do nich pielęgniarka.

— Chcecie dziecko? — zapytała.

— Och, dziękuję, my tylko oglądamy — odparł Paulo. — Jessica... Musimy zdążyć na samolot.

— Dostać dziecko teraz bardzo trudno — stwierdziła, ignorując go, pielęgniarka. — Przyjeżdża dużo ludzi z Zachodu. Och, jedź do Chin, dostaniesz łatwo dziecko. Ale wcale nie tak łatwo. Dużo papierkowej roboty. Potrzebna odpowiednia agencja. Nazywa się międzynarodowy program do spraw dzieci. Simon odchrząknął.

— Ja mam — oznajmił.

Jessica i Paulo wbili w niego wzrok.

— Masz agencję adopcyjną? — zapytała Jessica.

— Znam. Mogę zaprotegować.

— Założę się, że za sowitą opłatą.

Simon rozłożył ręce.

— Każdy musi jeść.

— Nie widzisz, że nas wrabiają, Jessico? — zniecierpliwiał się Paulo. — Nie miałbym nic przeciwko, gdyby to była fałszywa waza z dynastii Ming albo nefrytowy smok na kominek. Ale nie dziecko, Jess. Nie dziecko — powtórzył, wskazując bezradnym gestem niekończący się rząd łóžeczek. Leżące w nich niemowlęta były szczelnie opatulone, owinięte niczym małe egipskie mumie, z rękoma przyciśniętymi do boków. Starsze dzieci miały z tyłu spodni dziury, z której wystawały ich gołe małe tyłki, dzięki czemu łatwiej im było załatwić się w toalecie. I Jessica nie mogła się nie uśmiechnąć, ponieważ te dzieci były piękne. Poważne aniołki o migdałowych oczach, niektóre z zaskakująco bujnymi czuprynami, elvisopodobnymi erupcjami kruczoczarne upierzenia.

Paulo pokręcił głową. Nie przywozi się dziecka z wakacji. Czegoś takiego po prostu się nie robi. To obłąd.

— Nie zapominajcie, że trzeba to załatwić z dwoma rządami — powiedziała pielęgniarka.

— Chwileczkę — przerwał jej Paulo. — Nikt nie mówi, że...

— Z waszym rządem i rządem Chin. Potrzebna kontrola. Wiza. Pozwolenie. Nie tak łatwo. Nie tak łatwo, jak się wydaje ludziom z Zachodu.

— Tak, ale agencja pomaga — powiedział Simon do Jessiki. Porzucił już myśl o przekonaniu Paula.

Jessica jednak w ogóle ich nie słuchała.

Szła ku końcowi sali, gdzie mała, mniej więcej dziewięćmiesięczna dziewczynka stała niepewnie w swoim łóżeczku, trzymając się szczebelków.

Jessica patrzyła, jak mała łąduje z głuchym odgłosem na pupie, podciąga się ponuro z powrotem, a potem znowu się przewraca. I wstaje.

Chwilę później wszyscy stali przy jej łóżeczku. Paulowi przyszło do głowy, że mała przypomina postać z komiksu o kosmitach — wielkie, szeroko osadzone oczy, małe usteczka i jeszcze mniejszy nos, który sprawiał wrażenie dolepionego po namyśle.

— To Mała Wei — powiedziała pielęgniarka.

— Co się stało z Dużą Wei? — zapytał Paulo.

— Duża Wei pojechała do Shenyangu.

— Do Shenyangu? Gdzie to jest?

— Miasto na północy. W prowincji Dongbei. Około dziesięciu milionów ludzi.

Co za kraj, pomyślał Paulo. Mają dziesięćmilionowe miasto, o których nigdy nie słyszeliśmy.

Jessica wpatrywała się w Małą Wei, a dziecko w nią, a potem w Paula, który odwrócił się od tych wielkich, szeroko osadzonych oczu i dotknął ramienia żony, jakby chciał ją obudzić. Musieli już iść.

— Wiem, Jess. Wiem, jak się czujesz. Naprawdę. To dziecko... to jest tragiczne.

— Bardziej tragiczne niż to, w jakiej ja jestem sytuacji?

— Chcesz pomóc głodującym milionom? Daj pieniądze. Wypisz czek. Mówię serio. No wiesz... możesz ją sponsorować. To biedni ludzie, Jess. Będą ci wdzięczni za pomoc. Zadzwon do Oxfam \*. Daj zlecenie stałe. Przekazuj jej co miesiąc jakąś niewielką sumę. Spełnisz dobry uczynek. Ale to wszystko, co możesz zrobić.

\* Oxfam, Oxford Committee for Famine Relief, założona podczas drugiej wojny światowej brytyjska agencja charytatywna



— Wiesz, dlaczego one nie płaczą, Paulo? Bo nie są kochane. Nie ma sensu płakać, jeśli nikt cię nie kocha. Bo nikt nie przyjdzie.

Paulo patrzył, jak jego żona podchodzi do łóżeczka i bierze na ręce Małą Wei.

Jessica dotknęła delikatnie głowy dziecka, mając nadzieję, że przytuli się do jej piersi, tak jak to robiła Poppy. Ale Mała Wei z uporem trzymała prosto głowę, przyglądając się stojącym po jej obu stronach wielkonosym różowym stworom.

— Sam mówiłeś o adopcji — powiedziała Jessica.

— A ty odparłaś, że wolałabyś kupić kota — odparł Paulo.

— Popatrz na nią. To dziecko potrzebuje kogoś, kto by je pokochał. I spójrz na mnie. Chcę być czyjąś matką. To takie proste.

Paulo potrząsnął głową i popatrzył na nie obie. To był obłąd.

Ale kiedy obserwował Małą Wei, która położyła na piersi Jessiki swoją małą rączkę z paluszkami jak zapalki, jakaś tkwiąca w nim głęboko bryła lodu zaczęła tajać.

Może Jessica miała jednak rację.

Może to było takie proste.

Część czwarta

URODZONE

O CZASIE

## 23.

Kiedy dziecko w końcu zasypiało, Megan leżała w łóżku, wyobrażając sobie, że słyszy omywające wyspę dwa morza.

Wiedziała, że to niemożliwe. Mieszkali w Bridgetown, po zachodniej stronie Barbadosu, gdzie opatrywała skaleczenia gości eleganckich hoteli St James, położonych tuż przy spokojnym brzegu Morza Karaibskiego.

Chciała jednak wierzyć, że rzeczywiście słyszy morze po drugiej stronie wyspy, po jej ulubionej stronie, tam gdzie nie było luksusowych hoteli i docierali tylko wytrawni turyści, a Atlantyk zalewał wielkimi falami skały Bathsheby i wschodniego wybrzeża Barbadosu.

Wyspa dwóch mórz. Nigdy czegoś takiego nie widziała. I zastanawiała się, ilu z przyjezdnych, którzy przybywali tabunami na zachodnie wybrzeże, zdawało sobie sprawę z surowego majestatu wschodniej części wyspy. Wszystko, co słyszała o Barbadosie, było prawdą — pocztówkowe obrazki białego piasku, dzikich palm i świeżą wiecześnie słońca. Ta wyspa miała jednak również swoje drugie oblicze, nieposkromione i nieprzewidywalne, którego próżno by szukać w kolorowych broszurach. Widywało się je na stronach „Barbados Advocate” i „Nation”, które donosiły o bójkach z użyciem noży i krwawych narkotykowych porachunkach, słyszało się je w wiejącym nocą

wietrze. Ta wyspa miała dzikie serce.

Ciężko było mieszkać tak daleko od siostr — ich nieobecność pozostawiała przykre luki w codziennym życiu. Megan brakowało ich telefonów, rytualnych śniadań w Smithfield, świadomości, że dzieli je wyłącznie kilka stacji metra. Brakowało jej krzepiącej obecności Cat i wszystkich tych godzin, które Jessica wielkodusznie poświęcała Poppy.

Odkąd sięgała pamięcią, uważała się za samowystarczalną — jedyną z siostr, na której rozwód rodziców nie pozostawił żadnej skazy, piątkową uczennicę, księżniczkę akademii medycznej, silną i mądrą panią doktor. Dopiero po wyjeździe za granicę uświadomiła sobie, że wizerunek sprytnej młodszej siostry zawdzięcza bezwarunkowemu wsparciu rodziny. Ale przyjechała tutaj, żeby stworzyć nową rodzinę. Wolałaby, żeby ktoś opiekował się jej córką z czystej miłości, skoro jednak nie było łatwo o miłość, musiały wystarczyć barbadoskie dolary. Poppy była już zapisana do żłobka w Plantation Club w Hometown, a Megan odbywała rozmowy kwalifikacyjne z przyszłymi nianiami. Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu nie musiały się martwić o pieniądze.

Miała tutaj pracę. Dużo pracy. Która różniła się jednak diametralnie od wszystkiego, co poznała w przeszłości. Spoglądając wstecz, mogła powiedzieć, że jej londyńscy pacjenci byli ofiarami nędzy. Na Barbadosie byli ofiarami własnej zamożności.

Poprzedniego dnia odwiedziła trzy różne hotele w St James. Zajęła się dzieckiem poparzoną przez meduzę, kobietą, która złamała nos, kiedy jej wodny skuter odpłynął bez niej, oraz pięćdziesięcioletkiem, który naderwał ścięgno w kolanie, próbując po raz pierwszy w życiu pływać na desce. Jego młoda żona — druga albo trzecia — stała obok, trzymając na rękach ich nowo narodzonego chłopczyka, podczas gdy Megan zbadała ojca i przepisała mu środki przeciwbólowe.

Typowe, pomyślała. Przez cały rok siedzą przed ekranem

komputera, a potem, kiedy tylko znajdą się w tropikach, uważają się za supermanów. O tak, tutaj będzie miała zawsze dużo pracy.

Wzywano ją także do poparzeń słonecznych, do wycieczkowiczów, którzy nabawili się pęcherzy, dotykając rosnących wzdłuż wybrzeża St James trujących „plażowych jabłoni”, i oczywiście do całej gamy przypadków, które w Hackney nazywano NUP — niewyjaśnionymi urazami piwnymi.

Chorych, u których zachodziło podejrzenie wylewu, zawału serca lub innych poważnych schorzeń, wysyłała od razu do znakomitego szpitala Queen Elizabeth w Bridgetown. Niestety nie miała okazji i zmierzyć się z żadną z chorób tropikalnych— na Barbadosie pozbyto się ich dawno temu. Dlatego medycyna, którą uprawiała w swoim nowym życiu, wydawała jej się dziwnie banalna w porównaniu z tym, co zapamiętała z przeszłości.

W Hackney zajmowała się alkoholikami, ludźmi cierpiącymi na chroniczną otyłość, uzależnionymi od heroiny i poharatanymi nożem oraz wszystkimi mieszkańcami Sunny View, którzy postanowili zatruwać się nikotyną. Tutaj o wiele bardziej prawdopodobna była wizyta kogoś, kogo ugodził spadający z palmy orzech kokosowy.

Wydawało się niemal, że nikt nie może tu doznać poważnego urazu, nikt nie musi umierać, wakacje nigdy się nie skończą.

Poczuła, jak Kirk wierci się w łóżku, i kiedy przewrócił się na drugi bok i zamruczał w ciemności, znieruchomiała, udając, że śpi, na wypadek gdyby się obudził, objął ją i nabrał ochoty na seks. Nie miała dość czasu, by wymyślić jakiś wykręt. Nigdy nie zdołali powtórzyć tego, co zdarzyło się między nimi tamtej pierwszej nocy.

Ale Kirk nie obudził się, nie objął jej i Megan leżała w nocy, słuchając, jak wiatr chłoszczę skały i owiewa Bathshebę po drugiej stronie raję.

Cat wjechała windą do mieszkania matki.

Nawet po dwudziestu paru latach w głębi duszy wciąż była

tą bystrą, wyrosniętą nad wiek jedenastolatką, patrzącą, jak jej matka nakłada makijaż, i uśmiechającą się do niej w lustrze na chwilę przed tym, nim jej świat runął w gruzy.

— „Jesteś już duża, Cat. Jessie też jest duża, ale nieśmiała, a Megan to jeszcze dzieciuch. Ale ty jesteś moją dużą córką i wiem, że będziesz dzielna, prawda?”.

Cat pokiwała niepewnie głową i chwilę później przyjechała taksówka z siedzącym z tyłu mężczyzną, który zabrał matkę na zawsze.

W nadchodzących latach, gdy wraz z siostrami tysiące razy doświadczała boleśnie nieobecności jednego z rodziców, naprawdę starała się być dzielna. Starała się być dzielna, nawet kiedy winda stanęła na piętrze jej matki.

Bała się jednak, że Olivia zawsze będzie w stanie ją zranić, a ona nigdy nie okaże się dość dzielna.

Nacisnęła guzik dzwonka i pojawiła się przed nią twarz matki.

— Masz to?

Cat pokiwała głową.

— Tak, mam.

Weszła do mieszkania. Wydawało się mniejsze, niż zapamiętała owego dnia przed laty, kiedy próbowała wprowadzić się tu z siostrami, ale tak samo nieskazitelne, tak samo nie-  
tknięte brudnymi dziecinnymi paluchami. Były tam fotografie jej matki, młodej i pięknej, w towarzystwie sławniejszych od niej uśmiechniętych ludzi. Cat uważała kiedyś te zdjęcia za niesamowicie wytworne; teraz wydawały jej się raczej żalodne, prawie wrzeszczące.

Wszyscy ci supermęscy twardziele z telewizji — cyniczni, zahartowani w bojach gliniarze, niepokorni prywatni detektywi i legion naśladowców Jamesa Bonda — a także gasnące gwiazdki, większość z nich od dawna zapomniana. Czy jej matki nie stać było na nic lepszego? Czy dlatego porzuciła swoje dzieci? Dla krótkotrwałego blasku sławy i jakiegoś byczka z tylnego siedzenia taksówki? Mimo to nawet teraz Cat boleśnie

dotknęło to, że w mieszkaniu nie było zdjęć córek Olivii. Była na siebie wściekła. Co mnie to obchodzi, mówiła sobie.

W sąsiednim pokoju trwały jakieś domowe porządki. W korytarzu pojawiła się i zaraz zniknęła ciemna twarz sprzątaczkki albo gospośki.

— Jesteś w ciąży — powiedziała matka, zapalając papierosa.

— Zgadza się — przytaknęła Cat. — Ale nie krępuj się, możesz palić.

— Czy znam ojca?

— Ojciec zniknął z horyzontu.

— O kurczę. Puścił cię w trąbę, tak?

Jestem w jej mieszkaniu od dwóch minut, pomyślała Cat, i już skaczemy sobie do gardeł. Muszę wznieść się ponad to wszystko.

— Nie pozwoliłam mu być ze mną dość długo, żeby to zrobił — odparła. Matka uniosła brwi. Czy ten zużyty gest w ogóle coś znaczył? — Pamiętasz, co mi raz powiedziałaś? — zapytała Cat. — Twoi rodzice spieprzają ci pierwszą połowę życia, a dzieci drugą.

— Powiedziałam coś takiego? — zachichotała Olivia, najwyraźniej zadowolona z siebie. — To prawda.

— No dobrze, ale co z partnerami? Mam wrażenie, że spieprzają ludziom życie bardziej niż ktokolwiek inny. Jeżeli im się na to pozwoli.

Jej matka ponownie się roześmiała.

— Nie jesteś jedną z tych złodziejek spermy, o których tyle ostatnio czytam?

— Złodziejką spermy?

— Jedną z kobiet, które potrzebują mężczyzny tylko do chwili, kiedy zmajstruje im bachora.

— Tak, to właśnie ja. Złodziejka spermy... Proszę. To jest to, czego potrzebujesz.

Cat otworzyła torebkę, wyjęła z niej paczkę papierosów i wręczyła ją matce. Olivia zamknęła drzwi, w których mignęła wcześniej twarz sprzątaczkki, i zbadła zawartość paczki — coś, co opakowane było w srebrną folię.

Zerknęła jeszcze raz na zamknięte drzwi, a potem odwinęła folię, w której była spora porcja haszyszu.

– To musiało być dla ciebie trudne – powiedziała, uśmiechając się ponuro do Cat.

Jej córka potrząsnęła głową.

– Od wielu lat mam do czynienia z personelem kuchennym. Niektórzy z nich są na bakier z prawem. To nie było takie trudne.

– Nie mówiłam o zdobyciu narkotyków, moja droga. Chodzi mi o przyście tutaj.

– Żaden problem. Mam dla ciebie także numer telefonu. Jeżeli to zadziała. Jeżeli będziesz chciała więcej.

Cat wręczyła matce firmowe zapalki z Mamma-san z nagryzonym wewnątrz numerem komórki.

– Zadzwoń pod ten numer i poproś Brudnego Dave'a.

Olivia potrząsnęła głową.

– Mam poprosić Brudnego Dave'a?

– Zgadza się. To facet, który opiekuje się moim personelem kuchennym.

– Mówiąc „opiekuje”, masz na myśli, że sprzedaje im narkotyki?

– Nie, mam na myśli, że raz w tygodniu przychodzi i prasuje im rzeczy.

– Naprawdę sądzisz, że będę dzwonić do kogoś, kogo nazywają Brudny Dave, i kupować od niego narkotyki?

Cat westchnęła.

– Nie obchodzi mnie, co zrobisz. To dla twojego dobra, nie dla mojego.

– Straszna z ciebie jędza, wiesz? – warknęła Olivia, nagle wybuchając.

– Miałam dobrą nauczycielkę – odpaliła Cat.

I ugryzła się w język. Pamiętała, że przez te kilka lat, które spędziły razem, matka nigdy nie spuściła im lania, lecz kiedy się wściekała, potrafiła rzucać butami. Nie chciała, żeby rzucała dzisiaj butami. Była chorą kobietą, a ona chciała wrócić do



domu, położyć się do łóżka i poczuć, jak jej dziecko poszerza lokciami granice swojego małego świata.

— Wiesz, co się z tym robi? Podgrzewasz to...

Olivia uniosła dłoń.

— Nie jestem jakąś ciotuchną z Brighton. Mój Boże... Moje pokolenie stworzyło waszą kulturę.

— To nie jest moja kultura — ucięła Cat, odwracając się do wyjścia.

— Naprawdę jestem ci wdzięczna — powiedziała Olivia łagodniejszym tonem, miętosząc nerwowo w palcach pudełko od zapalek. — Za to, że tu przyszłaś. Że mi to załatwiłaś. Wiem, że minęło mnóstwo czasu. Spotykam się z twoimi siostrami. Ale nigdy z tobą.

Cat odwróciła się do niej.

— No cóż — mruknęła. — To twoja wina, nie moja. I nie powinnaś się tak rozczulać. Zrobiłam to tylko dlatego, że prosiła mnie Megan.

— Uważałam, że byliście piękne, wiesz?

— Co?

— Wasza trójka. Ty i twoje siostry.

Cat roześmiała się.

— Megan jest ładna. Jessicę można uznać za piękną. Ale nie mnie.

— Nie bądź taka skromna, moja droga. Masz wspaniałe nogi. Mam przyjaciela... to psychiatra... który uważa, że stąd wziął się cały problem. Dla kobiety to nie jest łatwe. Jej córki zmieniają się w piękne kobiety i w tym samym czasie zaczyna się powolny marsz w dół. Piękne dzieci zmieniają się w piękne kobiety. Moje trzy dziewczyny.

— Twoje trzy dziewczyny? — powtórzyła po niej Cat i jej słowa zawisły w powietrzu. Nie masz prawa nas tak nazywać, pomyślała.

Olivia zerknęła na numer telefonu Brudnego Dave'a. Trzęsły się jej ręce. Jest już starą kobietą, pomyślała Cat. Kiedy moja matka stała się starą kobietą?

— Nie jest łatwo, kiedy obie twoje siostry są daleko stąd. Megan na Barbadosie. Jessica w tych cholernych Chinach. Swoją drogą, jak długo jeszcze zamierza tam siedzieć?

— Jestem pewna, że obie wysłały ci pocztówki.

— Wiesz, dlaczego tego potrzebuję, prawda? Wiesz, dlaczego pod koniec życia staję się narkomanką?

— Megan uświadomiła mnie — odparła Cat. — Przykro mi — dodała po chwili.

— Naprawdę?

— Oczywiście, że mi przykro. Nie życzyłabym tego nikomu.

— Nie odwracaj się do mnie plecami, Cat. Ten specjalista, do którego posłała mnie Megan, jest do niczego. Ból jest coraz silniejszy. I drżenie. I wiesz, co jest najśmieszniejsze? Stwardnienie rozsiane nie skraca ci życia. Twoje mięśnie odmawiają posłuszeństwa, drżysz jak liść i robisz się ślepa jak nietoperz. Ale to cię nie zabija. Musisz z tym żyć.

Świat jest okrutny, pomyślała Cat. Zapytaj o to trójkę dzieci, które porzuciłaś. Ale trudno było jej teraz nienawidzić matki. Trudniej niż kiedykolwiek.

— Mam nadzieję, że to przyniesie ci jakąś ulgę — powiedziała, wskazując paczkę po papierosach. — Naprawdę.

Olivia złapała ją nagle za rękę. Cat poczuła, jak długie kościaste palce matki wbijają się w jej ciało tuż pod łokciem. To był silny uścisk, taki, jakim człowiek chwyta krnąbrne dziecko, które ma zamiar zrobić coś, czego później będzie żałowało. Niespodziewany fizyczny kontakt z matką sprawił, że zabrakło jej na chwilę tchu.

— Boję się... boję się tego, co się ze mną stanie — powiedziała Olivia. W jej głosie słychać było teraz błagalną nutę. — Boję się tego, kim się stanę. W jakiego rodzaju osobę się zmienię. Potrzebuję kogoś, kto by się mną zaopiekował. Potrzebuję cię, Cat. Nie mam nikogo innego.

Cat spojrzała na matkę. Może gdyby poprosiła ją o pomoc dwadzieścia lat wcześniej, może wtedy miałyby jakąś szansę.

Ale nie można z tym zwlekać zbyt długo, pomyślała. Może na to zabraknąć czasu.

Najłagodniej jak potrafiła, próbowała wyzwolić się z uchwytu matki. Dłoń Olivii zacisnęła się jednak mocniej i serce Cat zatrzepotało ze strachu. Miała wrażenie, że trzyma ją w uścisku cała przeszłość: bolały ją wszystkie stare rany i wiedziała, że nigdy nie zrzuci z siebie brzemia zmarnowanych lat.

Ich oczy spotkały się. Olivia mówiła cichym głosem, lecz trzymała ją mocno.

To nie jest uścisk kogoś starego, pomyślała Cat. Czuć w nim było stalową determinację i fizyczną siłę. To był uchwyt kogoś, kto przywykł do stawiania na swoim, do naginania świata do swoich życzeń. Cat czuła, jak matce bije serce, wdychała jej perfumy, widziała, że tej starej kobiecie zaczyna brakować tchu. Paznokcie matki wbiły się głęboko w jej ciało, pięć ukłuć bólu zlało się w jedno i zaczynało ją rwać całe ramię. Ona mnie chyba nigdy nie puści, pomyślała.

— Zostań ze mną — powiedziała Olivia. — Chcesz, żebym cię błagała?

Cat złapała matkę silniej za nadgarstek i oderwała jej rękę od swojej. Dwie kobiety cofnęły się od siebie o krok, jakby kończyły jakiś starodawny taniec.

— Nie jestem tego rodzaju osobą — stwierdziła Cat.

Widząc, że w salonie samochodowym braci Baresi jest ciemno, Paulo kazał taksówkarzowi zaczekać.

Wciąż lekko zamroczony po wielogodzinnym locie, nacisnął guzik dzwonnka i przystawił twarz do szyby. Przez krótką chwilę cały pobyt w Chinach wydał mu się snem. W salonie stały dokładnie te same samochody, które widział przeszło miesiąc temu, przed wyjazdem. Pięć tygodni bez jednej transakcji? Coś było nie w porządku.

Zdał sobie sprawę, że nie było go zbyt długo. Ale przybranymi

rodzicami nie zostaje się w okamgnieniu. Jeszcze zresztą nimi nie byli.

Wrócił do taksówki i podał kierowcy adres Michaela. Kiedy wlekli się zakorkowaną Holloway Road, dręczył go coraz większy niepokój.

Za granicą nie myślał w ogóle o Londynie i pracy, i to był błąd. Jednak tylko w ten sposób mogli pokonać maraton, który kazano im przebiec, nim Mała Wei mogła przyjechać do domu.

O odbyli szereg rozmów w agencji zajmującej się adopcją, w sierocińcu oraz ambasadzie brytyjskiej. Ich całe życie znalazło się pod mikroskopem — sytuacja finansowa, cechy charakteru, doświadczenie z dziećmi, predyspozycje do adopcji. Wszystko trzeba było tłumaczyć na angielski i chiński, każdą ocenę, oświadczenie i rekomendację, i wszystko trwało dłużej, niż się spodziewali.

Jedyną rzeczą, która pozwalała im nie zwariować w trakcie całego tego czekania i wszystkich bojów z biurokracją, były magiczne chwile, kiedy pozwalano im zabrać Małą Wei na spacer wokół Pałacu Letniego, do pekińskiego zoo i na plac Tiananmen, stale na Tiananmen, tak wielki, że mieli wrażenie, iż chodzą po księżycu, popychając jej nowy wózek i ignorując gapiących się i uśmiechających znacząco turystów i tubylców. Spędzając czas ze swoją córką, dziwili się, jak bardzo ją pokochali; nie byli już dwuosobową rodziną.

Obecnie czekali na ostateczną decyzję władz chińskich. Dopiero po jej uzyskaniu mogli złożyć podanie o tymczasowy paszport brytyjski dla Małej Wei. Myśl, że mogliby ją stracić, przyprawiała ich o fizyczny ból. Paulo nie miał po prostu czasu martwić się o brata i firmę. Lecz teraz, gdy podjeżdżał pod dom Michaela, serce waliło mu w piersi, a w głowie lęły się najgorsze myśli.

Michael otworzył drzwi w kalesonkach i brudnym podkoszulku. Był nieogolony i miał mętne oczy. Kiedy dwaj bracia uściskali się na powitanie, Paulo poczuł coś metalicznego w

jego oddechu. Wszedł za Michaeliem w głąb domu. W telewizji nadawali jakiś teleturniej. Powietrze było gęste i nieświeże.

— Napijesz się grappy? — zapytał Michael, sięgając po stojącą na stoliku butelkę.

— Nie jest na to trochę za wcześnie?

Michael wzruszył ramionami i nalał sobie kieliszek. W języku włoskim nie ma słowa „alkoholik”, powtarzał im ojciec.

Paulo rozejrzał się po salonie. Pośrodku stał kojec Chloe, wypełniony różnymi zabawkami. Ale zamiast Teletubisiów pod stopami walały się teraz puszki po piwie i brudne ubrania. Paulo podniósł pingwina Chloe i wcisnął guzik pod jego syntetyczną łapą. Pingwin nie działał.

— Gdzie jest Naoko i dziecko?

Michael uwalnił się na sofę.

— W Osace — odparł.

Jego oczy powędrowały ku telewizorowi, z którego dobiegał sztuczny śmiech. Paulo wziął do ręki pilota i wyłączył telewizor.

— Wróciły do Japonii?

Michael popatrzył na brata i pokiwał głową. Paulo usiadł obok, wziął go w ramiona, przycisnął do siebie mocno i zaczął kołysać, jakby wciąż byli chłopcami i Michael przegrał właśnie swoją pierwszą bójkę.

— Mówiłem ci, Michael — szepnął. — Mówiłem, do czego to doprowadzi.

— Nie chodzi o to, że miałem dużo kobiet — odparł zdławionym głosem Michael. — Miałem o jedną więcej, niż wolno. Jedną dodatkową. Jedną więcej, niż wynosi norma.

Mówiąc to, dmuchnął bratu prosto w twarz grappa i zdegurowany Paulo odsunął się od niego.

— Może jeszcze wróci.

Michael zaczął przesuwać leżące na stoliku rzeczy. Podniósł porzucone tam wojskowe spodnie i znalazł papiery, których szukał. Podał je bratu. Był to list od adwokata. Przed oczyma Paula stanęły chłodne oficjalne sformułowania. Nieuzasadnione

zachowanie. Uzasadnione roszczenia finansowe. Żądanie orzeczenia rozwodu. Przyznanie prawa do opieki.

— Tak mi przykro, Michael.

Mnie to się nigdy nie zdarzy, pomyślał Paulo. Takie rzeczy zdarzają się tylko ludziom takim jak mój brat.

— Nigdy nie wiadomo — mruknął Michael, jakby czytał w jego myślach. — Z nami to nigdy nie będzie wyglądało tak jak z ojcem. Który codziennie wracał do domu. Zadowalał się jedną kobietą. Wiem, że mnie potępiasz.

— Kocham cię, ty palancie.

— Uważasz mnie za złego człowieka. Ale ja nie jestem zły, Paulo. To się mogło zdarzyć każdemu. Również tobie.

— Michael... niedługo tu wrócę. Doceniam to, co zrobiłeś, kiedy mnie nie było. Chodzi o to, żebyś wytrzymał trochę dłużej.

— Pomyślałem, że wezmę sobie dzisiaj wolny dzień. — Michael podniósł pilota i wycelował go w telewizor, z którego buchnęła głośna muzyka i dziki śmiech. — Interesy nie idą ostatnio najlepiej.

— Nie szkodzi. Rób to, co uważasz za słuszne. Posłuchaj, Michael. Jestem na maksymalnym debecie. Mieszkamy w Pekinie, który nie jest wcale tańszy od Londynu i nie jest wcale tańszy od Hongkongu. Ale już za parę tygodni wrócę tutaj z Jessicą i dzieckiem. Jesteś pewien, że dasz sobie do tego czasu radę?

Michael ponownie napełnił swój kieliszek.

— Żaden problem — odparł. — Co może zdarzyć się gorszego?

## 24.

Z grzywki Małej Wei zwisał kukurydziany płatek.

Tylko Paulo był przy niej i mógł to zobaczyć. Jessica spędzała kolejny dzień w kolejkach w ambasadzie brytyjskiej przy Jianguomenwai. Codziennie przez cały tydzień brała tam numerki, żeby po kilku godzinach dowiedzieć się, że nie ma nowych wiadomości. Podanie o paszport dla Małej Wei nie zostało jeszcze rozpatrzone.

Dlatego w ich skromnym pokoju w pekińskim Sheratonie tylko Paulo zobaczył wilgotny płatek przylepiony do nigdy jeszcze nieściananych włosów, i coś w tym kawałku kukurydzy zwisającym nad idealnie niewinną buzią złapało go za serce, budząc w nim uczucia, których nie potrafił nawet nazwać.

To była jedna z wielu drobnych chwil w życiu jego córki. Wiedział, że kiedyś zostanie zapomniana, lecz stanie się to dopiero po jego śmierci. Na zawsze zapamięta kukurydziany płatek w grzywce Małej Wei.

Zdawał sobie sprawę, że teraz, gdy wszystko, co wiązało się z tym dzieckiem — jak choćby ten śniadaniowy płatek na postrzępionej grzywce — uczułało go boleśnie na ulotne piękno życia, a on sam staje się innego rodzaju człowiekiem. Stawał się ojcem i jego serce nie należało już tylko do niego.

Była teraz ich córką. Mieli spisane w dwóch językach dokumenty, które to poświadczały. Tym, co zatrzymywało ich w Pekinie, co nie pozwalało wrócić do normalnego życia, były kolejki, urzędnicy i niekończące się godziny w brytyjskiej ambasadzie przy Jianguomenwai. Dlatego ich mała rodzina tkwiła w zawieszeniu, zmęczona wiecznym przemierzaniem placu Tiananmen, siedzeniem w hotelowym pokoju i szumem klimatyzacji.

Mała Wei zaczęła się nagle wiercić na wysokim krzeselku i głośno protestować. Mrucząc kojące słowa, Paulo wytarł wprawnie jej buzię, zdjął śliniaczek Hello Kitty i wziął na ręce.

— Czas na drzemkę, skarbie.

Trzymając dziecko na jednej ręce, podszedł do okna — trzydzieści pięter niżej zakorkowane pekińskie ulice tonęły w zgiełku klaksonów i przesyconym pyłem światła — i zasunął zasłony. Mała Wei zamrugła do niego wielkimi brązowymi oczyma.

Paulo położył ją delikatnie na macie do przewijania i sprawdził pieluszkę, wciągając w nozdrza powietrze i upewniając się palcem, czy nie jest mokra. Kiedy upewnił się, że Wei ma suchutko, ułożył ją w łóżeczku, które stało przy łóżku po stronie Jessiki. A potem podszedł do odtwarzacza CD pod olbrzymim płaskoekranowym telewizorem, i puścił jedyną należącą do Małej Wei płytę.

Kupili ją w centrum handlowym na ulicy Wiecznego Pokoju. Zbiór dzieciennych rymowanek, które nie zmieniły się chyba od dzieciństwa Paula. *Bobby Shaftoe. Pająk Incey Wincey. Hau hau, szczeka pies. Raz, dwa, zapnij mój trzewik.* Wydawały się pochodzić z innego stulecia. Nawet dla Paula opowieści o wielkich tłustych kokoszkach i świniach, o panicach, damach, wilgotnych mglistych porankach i żabich zalotach miały w sobie coś prehistorycznego. Nie wyobrażał sobie, co pojmuje z nich jego córka. Ale pierwsze akordy *Bobby Shaftoe* podziałały na Małą Wei wyraźnie kojąco.



*Bobby Shaftoe ma malucha,  
I kołysze go na rękę,  
Na rękę i na kolanie.  
Bobby Shaftoe kocha mnie.*

Paulo położył się na łóżku i zamknął oczy. Skąd pochodziły te dziwne wierszyki? Z epoki wiktoriańskiej? Kiedy stało się jasne, że Mała Wei bardzo polubiła swoją płytę, zajrzał do środka, by sprawdzić, kto napisał te piosenki i kto je śpiewa. Nie znalazł jednak żadnej informacji — tak jakby te rymowanki były po prostu odwieczne i przekazywano je z pokolenia na pokolenie.

W końcu zapadł w drzemkę, zastanawiając się, czy dzieci Małej Wei będą słuchać tych samych słów i melodii, które kołysy jej smutki, kiedy leżała w łóżeczku w pekińskim Sheratonie. A potem zerwał się nagle z łóżka, bo do pokoju wpadła Jessica, krzycząc, śmiejąc się i wymachując czerwonym brytyjskim paszportem, w którym było zdjęcie dziecka podobnego do pulchnego, różowego Buddy, przyglądającego się z kamiennym obliczem światu.

Cały ten rejwach obudził małą. Jessica wzięła ją na ręce i obsypała pocałunkami, a Paulo przecierał zaspane oczy i próbował przypomnieć sobie, co takiego chciał pokazać żonie. Wreszcie to sobie uświadomił. Ale kiedy przyjrzał się córce, kukurydziany płatek zniknął z jej włosów, przepadł na zawsze, a wieści przyniesione przez Jessicę były tak doniosłe, że głupio było wyjaśniać, jakie uczucia wzbudził w nim ten widok.

Uśmiechał się więc po prostu do żony, która trzymała na rękach jego córkę, a Jessica śmiała się i pokazywała jej paszport, czytając bez końca wydrukowane w nim nazwisko. Wei Jewell Baresi. Wielu przybranych rodziców nadaje swoim chińskim dzieciom zachodnie imiona, lecz Jessicę zawsze powtarzała, że to niepotrzebne. Jej córka miała już piękne imię.

Trzeba było wszystkich tych narodów z ich kulturą i historią,

żeby powstała jedna mała dziewczynka, pomyślał Paulo i miał wrażenie, że zaraz eksploduje z dumy. Moja córka, przyszłość.

Grubi mieli tutaj wstęp wzbroniony.

Redakcja czasopisma składała się ze wściekle modnych młodych ludzi oraz starszych, którzy byli modni od przeszło dwudziestu lat. Młodszy byli bladzi, jakby tysiące nocnych klubów wybieliły ich skórę, starsi zaś dziwnie pożółkli, prawie w pomarańczowym odcieniu — kolor ich cery wydawał się sztucznie przyciemniony, a włosy kosmetycznie rozjaśnione.

Wszyscy jednak mieli ten charakterystyczny wygląd zagłodzonych na śmierć miłośników stylu funky i przyglądali się z zainteresowaniem Cat, która człapała między ich biurkami, w ósmym miesiącu ciąży, dwadzieścia kilo cięższa niż normalnie, aż do bólu świadoma tego, jak idzie, kołysząc się dziwnie na boki niczym jakiś wielki nadęty krab. Łapiąc z trudem powietrze, osunęła się na fotel naprzeciwko redaktora działu recenzji.

Wszystkie poświęcone ciąży czasopisma i książki dawały do zrozumienia, że zmiany zachodzące w tym czasie w ciele kobiety są cudownym, dodającym sił i werwy przeżyciem — w tytułach takich jak *Jesteś w ciąży!*, *Czterdzieści cudownych tygodni!* oraz *Gratulacje! Jesteś przy nadziei!* — bez końca wychwalano „nowe seksowne krągłości”. Jednak Cat nie czuła się wcale atrakcyjna, silniejsza i cudownie zaokrąglona. Po raz pierwszy w życiu czuła się złachana. Spuchnięta, rozdęta i skrzępowana. Rzucająca się w oczy niczym wieloryb na spotkaniu strażników wagi.

Piersi miała tak nabrzmiałe, że leżąc w nocy, czuła się, jakby dzieliła łóżko z dwiema grubymi nieznanymi, które nie potrafią zachować spokoju. Jedyłą rekompensatą za przemianę w kobietę słonia było to leciutkie czarowne kopanie, które

zaczynało się za każdym razem, kiedy kładła się, żeby odpocząć.

— Przejrzałem pani wycinki — oznajmił redaktor działu recenzji, mizerny chłopczyzna w adidasach retro, zdecydowanie zbyt wyluzowany, żeby się uśmiechnąć.

— Z przyjemnością zajmę się czym innym — odparła Cat, dotykając swojego brzucha i instynktownie trzy razy go gładząc. — To nie muszą być recenzje kulinarne. Wiem, że macie już krytyka, który to robi.

— Travisa, prawda? Jak się pani podoba Travis?

— Och, Travis jest świetny. Uwielbiam go. Ma takie... cięte pióro. Wszystko potrafi go zde gustować.

— Owszem, jest dobry. — Redaktor podrapał się w zadumie po swojej koziej bródce. — Chciałbym pani coś zaproponować. Ale to nie jest chyba najlepszy moment.

— Dlaczego?

Nareszcie uśmiech. Niczym u anorektycznego rekina.

— Jak mam to ująć? Ponieważ nie mogę zamawiać artykułu u kogoś, kto za pół godziny będzie rodzić. Proszę posłuchać... sam mam dwóch chłopców, jeden ma rok, drugi trzy lata.

Kto by w to uwierzył, pomyślała Cat. Czasami miała wrażenie, że jest jedyną osobą na świecie, która urodzi dziecko.

— Wkrótce będzie pani zbyt zajęta, żeby machnąć tysiąc słów dla jakiegoś małego przemądrzałego piśmidła.

— Ale ja potrzebuję pracy. I nie mogę pracować w restauracji, ponieważ jest już zbyt późno...

Cat ugryzła się w język. To nie był zły facet. Nabrała do niego sympatii, kiedy zdradził, że ma dzieci. Ale jego zboląta, zakłopotana mina mówiła wyraźnie: to nie moje zmartwienie, droga pani.

Czuła, że świat ludzi pracy zamyka przed nią nagle swoje podwoje. A poza tym czuła się stara i mimo że w redakcji byli ludzie bardziej wiekowi — wszyscy ci czterdziestoletni imprezowicze i weterani Ibizy z odsłoniętymi pępkami, sztucznie

rozjaśnionymi włosami i nieskrępowanym życiem — nie wiadomo dlaczego wydawali się od niej młodszy.

Cat wstała i ponownie pogładziła się po brzuchu. W dół, w górę i znowu w dół. Tym ledwie dostrzegalnym ruchem, który mówił: „Nie martw się, nie martw, dziecinko”.

Poppy siedziała na wysokim krzeselku, zjadając palcami jogurt. Na stoliku tuż poza jej zasięgiem czekał talerzyk z winogronami, nagroda za zjedzenie śniadania albo przynajmniej za rozsmarowanie go sobie na twarzy.

Niania, duża Jamajka o imieniu Lovely, zachichotała z aprobatą, kiedy Poppy nabrała z kubeczka kolejną garść papki i skierowała ją w stronę swoich ust.

Na samym początku Lovely zdawała się odznaczać wszystkimi cechami, jakie Megan miała nadzieję znaleźć w niani. Opiekowanie się Poppy było dla niej czymś więcej niż tylko pracą — sprawiała wrażenie autentycznie zakochanej w tym dziecku. Megan ujęło to, że Lovely miała nawet oprawioną w ramki małą fotografię Poppy w gościnnym pokoju, w którym mieszkała w tygodniu, przed powrotem w piątkowy wieczór do swojego własnego licznego potomstwa w Scotland District. Lovely była idealną nianią. Był tylko jeden drobny problem.

Megan chciała po prostu, żeby Lovely nie zapomniała, która z nich jest matką Poppy.

Patrzyła, jak niania wpycha winogrono do ust małej.

— Lovely?

— Tak, proszę pani?

— Pamiętasz, co uzgodniłyśmy w sprawie winogron?

Cisza.

Poppy wpatrywała się w matkę, żując winogrono.

— Powiedziałyśmy: z winogrona trzeba zdjąć skórkę.

— W skórce dużo dobrych rzeczy.

— Tak, ale Poppy jest jeszcze za mała.

— Ma już roczek.

— Ale była wcześniakiem — odparła Megan, czując, że

zaczyna tracić cierpliwość. — Przerabialiśmy to już wiele razy, prawda? W przypadku wcześniaków nie liczy się, kiedy się urodziły, ale kiedy miały się urodzić.

Kirk wszedł do kuchni, dźwigając na ramieniu wielką torbę ze sprzętem do nurkowania. Pocałował swoją córkę w głowę.

— Będziemy nurkować w nocy w Sandy Crack — powiedział. — Nie czekaj na mnie. Do widzenia, Lovely.

— Do widzenia, panie Kirk.

Megan podeszła do stołu i wzięła do ręki karton z sokiem owocowym.

— Co to jest?

— Sok jabłkowy — odparła Lovely, nadąsana i urażona. Wytarła czule buzię Poppy i podniosła ją delikatnie z wysokiego krzeselka.

— Lovely. Ten sok ma w sobie cukier. Cukier. Poppy ma pić bezcukrowy sok jabłkowy. Uzgodniłyśmy chyba, że...

Obserwowały ją. Jej córka i jej niania. Obejmując się i wpatrując w Megan z identycznym wyrazem twarzy.

Tak, oczywiście, mówiły ich oczy, możesz się domagać bezcukrowego soku, obranych ze skórki winogron i czego tam jeszcze. Ale nie jesteś tutaj przez cały dzień.

Prawda, mamó?

— Proszę zsunąć w dół majtki — powiedziała Megan, nakładając plastikowe rękawiczki.

Kobieta ściągnęła ostrożnie dolną połowę bikini. Jeden z jej pośladków przypominał jeżozwierza albinosa — był różowy, okrągły i pokryty licznymi czarnymi kolcami.

— Wygląda na to, że usiadła pani na morskim jeżu — stwierdziła Megan. — Może pani włożyć z powrotem majtki. Zapiszę pani środki przeciwbólowe.

Zaczęła zbierać swoje rzeczy, zerkając przez okno na jasne żagle windsurferów. Łódź nurków zmierzała w stronę hotelu,

jej czerwona flaga z białym ukośnym paskiem trzepotała na bryzie. Zastanawiała się, czy Kirk jest na pokładzie.

— To wszystko? — zapytała kobieta.

Była w połowie trzydziestki, opalona i zadbana, z jasnymi pasemkami we włosach — w Londynie bez wątplenia piastowała jakieś wysokie stanowisko. Przywykła do tego, żeby mieć to, czego chce. Na Barbadosie Megan widywała wiele takich kobiet.

— Środki uśmierzające ból są dla pani najlepsze — powiedziała. — Te kolce powinny same się rozpuścić. Próba ich wyciągnięcia przyniosłaby pani więcej szkody niż pożytku.

Kobieta wyprostowała się. Na jakiejś ważnej konferencji z pewnością budziłaby duży respekt. Nie robiła jednak zbyt imponującego wrażenia z kolcami morskiego jeża w tyłku.

— Proszę się nie obrażać, ale czy jest pani prawdziwą lekarką? — zapytała. — Czy może kimś w rodzaju... no nie wiem... hotelowej pielęgniarki?

Megan uśmiechnęła się.

— Jestem prawdziwą lekarką. Ale jeśli nie zadowala pani moja diagnoza, proszę wziąć taksówkę i pojechać na oddział urazowy szpitala Queen Elizabeth w Bridgetown.

Kobieta zrobiła przerażoną minę.

— Do miejscowego szpitala?

— W Queen Elizabeth są bardzo dobrzy. Niech panią obejrzą. Niech oni również wypowiedzą się na temat pani tylnej części ciała.

Przez okno widziała, że łódź nurków zatrzymała się blisko brzegu. Figurki w kombinezonach zeskakiwały albo ześlizgiwały się do płytkiej wody. Był wśród nich Kirk. To dobrze. Mogli zjeść razem lunch. Megan uśmiechnęła się ciepło do kobiety.

— Niech się pani cieszy resztą wakacji. Mam nadzieję, że szybko wróci pani do zdrowia.

Centrum nurkowania mieściło się po drugiej stronie należącej do hotelu plaży. Megan przecięła pałacowy hol i odpowiadając na

pozdrowienia personelu, wyszła na plażę. Czując na twarzy morską bryzę, wzięła głęboki oddech. To było lepsze życie.

Zbliżając się do centrum nurkowania, zauważyła, że Kirk siedzi na piasku z dziewczyną w kombinezonie.

Wyglądała na jedną z tych młodych Szwedek, które przylatywały na wyspę — wysportowanych, niezależnych i w rozkwicie młodości, o której Megan już ledwie pamiętała. Kirk wyciągnął rękę i odgarnął kosmyk mokrych włosów z twarzy dziewczyny i Megan zabrakło na ten widok tchu. Zanim zdołał ją zobaczyć, odwróciła się na pięcie i pomaszerowała z powrotem do hotelu.

A potem pojechała w poprzek wyspy na wschodnie wybrzeże, zaparkowała swoją małą vitarę na wzgórzu nad Bathsheba i przez kilka następnych godzin patrzyła, jak fale Atlantyku rozbijają się o skały.

Nie mogła jeszcze wrócić do domu.

Było za wcześnie, żeby wyręczyć nianię.

Lot z Pekinu do Londynu trwa dziesięć godzin.

Dziewczyna ze stanowiska odpraw British Airways musiała polubić Małą Wei, która zmieniała się bezboleśnie ze ślicznego niemowlęcia w uśmiechniętego berbecia, ponieważ cała trójka została przeniesiona do klasy biznesowej.

Jessica wyobrażała sobie, że w samolocie przez cały czas będzie tuliła do siebie dziecko i sączyła szampana. Tymczasem ich lot bardziej przypominał podróż ze wściekłą małpą.

Mała Wei wrzeszczała, kiedy przypięto ją pasami na kolanach Jessiki podczas startu. Ryczała ze złości, kiedy nie pozwolono jej wejść do kokpitu. Trzy miesiące po ich pierwszym spotkaniu chodziła już całkiem dobrze i chciała wykorzystać każdą sposobność, by doskonalić tę umiejętność.

I chociaż Paulo kołysał ją, tulił i powtarzał, że wszystko będzie dobrze, Mała Wei wyplakiwała serce w trakcie długich

godzin nad czarnymi górami Mongolii, gdzie czas biegł do tyłu i dzień wydawał się nie kończyć.

— Jezu Chryste — mruknął gruby biznesmen, który wypił o jeden kieliszek za dużo darmowego białego wina.

Paulo, wciąż trzymający Małą Wei, odwrócił się do niego z twarzą pobielającą z wściekłości.

— Dzieciom wolno płakać, wie pan? Dzieciom wolno płakać. Przykro mi, jeśli to panu przeszkadza, naprawdę mi przykro, ale dzieciom wolno płakać. I jeśli ma pan coś do powiedzenia o mojej córce, niech pan to powie mnie. Nie będzie pan mamrotał czegoś pod nosem. Albo powie mi pan to prosto w twarz, albo niech pan się w ogóle nie odzywa. Jasne?

Wystraszony biznesmen schował się za swoim Johnem Grishamem, a Paulo odwrócił się do niego plecami, drżąc z przejęcia i kołysząc Małą Wei.

Jessica nigdy jeszcze nie widziała go tak rozgniewanego. Jej mąż był łagodnym cichym mężczyzną — dlatego między innymi się w nim zakochała. Ale kiedy gruby biznesmen w ich klasie skarżył się na płacz Małej Wei, w Paulu wzbudziło to wściekłość, jakiej nie oglądała nigdy wcześniej.

I to zabawne, pomyślała, ponieważ wydawało się to najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem.



## 25.

To był kraj huraganów.

Rodziły się gdzieś na wschód od Barbadosu i chociaż mogły pojawić się w każdym momencie pomiędzy czerwcem i listopadem, docierały na ogół tylko do północnych krańców wyspy. Ale nie zawsze.

Megan zaparkowała swoją vitarę na wzgórzu nad Holetown. Odebrała właśnie Poppy ze żłobka w Plantation Club i dziecko siedziało zadowolone w swoim foteliku, bawiąc się fioletowym dinozaurem o imieniu Barney. Megan zerknęła na córkę, a potem na morze. Niebo nad nim robiło się coraz ciemniejsze.

W stronę lądu toczyły się czarne chmury, o szyby samochodu zabębniły krople deszczu. Wiatr smagał liście chylących się ku ziemi palm.

— Nie wiem, co robić, Poppy — powiedziała cicho. — Nie wiem, czy powinnyśmy jechać do domu.

Na ulicach zrobiło się pusto. Mieszkańcy zabierali dzieci z podwórek, zakładali sztormowe okiennice i kryli się w domach. Stara kobieta z małym dzieckiem pod jedną pachą i koźlątkiem pod drugą zastukała w szybę vitary.

— Chce pani zatrzymać się u nas? Pani i mała dziewczynka. Aż minie huragan? Wygląda na to, że idzie w naszą stronę.

— Dziękuję, spróbuję chyba wrócić do domu.

Kobieta pokiwała głową i odeszła.

Megan wrzuciła bieg i ruszyła powoli do St James, bojąc się, że wpadnie w poślizg na leżących na asfalcie palmowych liściach i lodygach trzemy cukrowej. Wycie wiatru przybrało na sile i naprawdę zaczęła się bać. Zdała sobie sprawę, że ma niewiele czasu, żeby dotrzeć do Bridgetown.

Zerknęła we wsteczne lusterko. Poppy rozmawiała ze swoim dinozaurem. Gdyby była sama, może spróbowałaby jechać do domu. Ale nie z dzieckiem na tylnym siedzeniu. Postanowiła, że schroni się w jednym z hoteli i zobaczy, czy huragan uderzy w nich, czy też skieruje się na Martynikę i Dominikę.

Dojeżdżając do hotelu, zobaczyła na morzu łódź nurków. Sztorm musiał ją zaskoczyć, a może wypłynęła do jednego z bardziej odległych miejsc i teraz podskakiwała niepewnie na falach, z trzepoczącą wściekle czerwono-białą flagą.

Czy to jego łódź? Zadrzało jej serce.

Zaparkowała samochód i wyjęła szybko Poppy z fotelika. W hotelowym holu było prawie pusto, ale w recepcji siedziała młoda kobieta, którą знаła.

— Zaopiekuje się nią pani przez pięć minut?

Kobieta wzięła Poppy na rękę. Mała próbowała marudzić, lecz szybko się rozchmurzyła, kiedy recepcjonistka zaczęła się głośno zachwycać fioletowym dinozaurem.

Megan pobiegła w stronę plaży, ślizgając się na mokrej kamiennej posadzce. Na mały basen przy barze założono już drewniane osłony. Koło niej przetoczył się nagle i wzbil w powietrze niebieski plażowy parasol. Megan spojrzała na morze i nagle wpadła w panikę. Łódź zniknęła.

Zwolniejszy kroku, potruchtowała w stronę centrum nurkowania. Piasek siekł jej gołe nogi, wiatr wyciskał łzy z oczu.

Przystań wydawała się opustoszała. Wodne skutery, kajaki, i kolorowe żagle windsurferów wyciągnięto na brzeg przed burzą, ale drzwi nie były zamknięte, w środku coś się poruszało

i tam właśnie znalazła go ze szwedzką turystką, tą samą, z którą widziała go poprzednio, w pogrążonej w półmroku pakamerze, między pustymi butlami tlenowymi, kombinezonami i poplątanymi gumowymi rurkami regulatorów.

Skończyli już wtedy i siedzieli w podkoszulkach i szortach, nawet się nie obejmując. Ale Megan nie mogła się łudzić. Wiedziała, co to znaczy. Wiedziała, że jest znowu zupełnie sama, zupełnie sama ze swoją córką.

I przyszło jej do głowy, że nikt nie jest tak samotny, jak ten, kto pozostaje sam ze swoim dzieckiem.

W witrynie salonu braci Baresi, na oczach spieszących ulicą północnego Londynu przechodniów, dwaj młodzieńcy w bluzach z kapturami majstrowali przy drzwiczkach alfy romeo.

Paulo stał osłupiały na chodniku, czekając, aż pojawi się jego brat z kijem baseballowym w ręku albo przynajmniej komórką, z której dzwoniłby pod 999. Ale nigdzie nie było śladu Michaela, a młodzieńcy bez przeszkód kontynuowali swoją działalność.

Paulo walnął w szybę. Lecz oni zdążyli już otworzyć drzwiczki alfy romeo i dźwięk alarmu zagłuszył jego protesty. Kiedy wpadł do salonu, siedzieli w samochodzie i ten w fotelu kierowcy próbował różnych kluczyków, starając się uruchomić stacyjkę.

— Hej! Wezwałem policję, gnojki!

Łypnęli na niego spod swoich kapturów, złowrogie istoty z Mordom, i nagle wyskoczyli z samochodu. Paulo, który ostrożnie się do nich zbliżał, cofnął się, widząc, że mają zamiar go zaatakować. Jeden z nich zamachnął się łomem, celując w jego głowę. A potem uciekli, on zaś nie ścigał ich, zadowolony, że podali tyły.

W splądrowanym salonie zostały tylko dwa samochody. Rozprute alfa romeo i stare maserati. Zniknęły dwa ferrari i lamborghini gallardo. Brakowało połowy towaru. Dobrego,

wyjątkowo drogiego towaru. Został sprzedany lub skradziony. Byli albo bogaci, albo zrujnowani.

Paulo znalazł brata w kantorku. Leżącego na plecach, z pustą butelką grappy w rakach.

Uklęknął i potrząsnął nim.

— Gdzie jest towar, Michael?

— Co? Eee? Paulo?

— Powiedz mi, że sprzedałeś te samochody. Sprzedałeś je, prawda? Ten towar to było wszystko, co mamy.

Michael zajęczał i usiadł.

— Mieliśmy małe włamanie.

Paulo złapał butelkę i roztrzaskał ją o ścianę.

— Ty głupi, głupi sukinsynu!

— Wyluzuj. Jesteśmy przecież ubezpieczeni.

— Myślisz, że nam cokolwiek wypłacą? Po tym, jak schlałeś się niczym wieprz i połowa oprychów z Holloway urzędowała w naszym salonie? Faceci z ubezpieczeń uznają, że maczaliśmy w tym palce. Będziemy mieli szczęście, jeśli nie wylądujemy w pierdlu.

— No cóż... — mruknął Michael.

— Co takiego?

— Nie było cię trzy miesiące. Trzy miesiące w Chinach. Przez trzy miesiące byłem zdany tylko na siebie, jeśli nie liczyć jednej krótkiej wizyty, którą złożyłeś, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia.

— Powiedziałeś, że dasz sobie radę. Powiedziałeś, że będziesz doglądać interesu, kiedy mnie nie będzie. — Paulo wstał i zaczął chodzić po kantorku, wrywając sobie włosy z głowy. — Jezu, Michael, co z nami będzie? Mam rodzinę na utrzymaniu.

Oczy Michaela zwięzły się w szparki.

— Szczęściarz — mruknął i w jego głosie zabrzmiała zadróść.

Nie mieli nic, kiedy założyli tę firmę. Wystarczyły im dwie taksówki, kredyt zaciągnięty w banku i wiara, że musi się

powieść. A teraz znowu nie mieli nic. Paulo chciał dać swojej córce wszystko co najlepsze. Taki miał plan. Chciał, żeby miała życie usłane różami. I zawiódł ją, zanim jeszcze rozpakowali walizki.

W salonie rozległ się jakiś hałas i Paulo wyjrzał z kantorka. Potężnie zbudowany mężczyzna z krótko ostrzyżonymi włosami i grubym różowym karkiem przyglądał się zniszczonemu drzwiczkom alfy romeo.

— Salon jest zamknięty — powiedział Paulo podniesionym głosem, żeby przekrzyczeć wycie alarmu.

— Michael Baresi?

Paulo pojął nagle, że mężczyzna jest mężem Ginger. Pomyślał o leżącym na podłodze pijanym bracie, o jego rozbitej, nieobecnej rodzinie i uświadomił sobie, że nie może pozwolić, by zadano mu kolejny cios.

Dlatego wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze z płuc.

— Tak, to ja — powiedział. — Jestem Mike Baresi.

Widział zbliżającą się pięść i naprawdę chciał się uchylić lecz zabrakło mu czasu. Poczul, jak trafia go prosto w usta i coś twardego i metalicznego — ślubna obrączka...? to byłoby naprawdę zabawne — rozcina mu dolną wargę. Uderzenie obróciło go dookoła i prawie zważyło z nóg. Kiedy spojrzał ponownie na męża Ginger, facet czekał, żeby coś powiedzieć. To było prawie małe przemówienie.

— Ginger wróciła do mnie i do dzieciaków. Nie wiem, jak zawróciła jej w głowie. Ale to nie była prawdziwa ona. Cała ta sprawa jest już skończona.

Kiedy facet wyszedł, Paulo zamknął na klucz salon i wyłączył alarm w alfie romeo. A potem wrócił do kantorka i widząc, że Michael cicho płacze, objął brata i pocałował go w głowę.

— Straciłem ją, Paulo. Straciłem miłość swojego życia.

Paulo myślał z początku, że Michael mówi o Naoko, dobrej żonie, która od niego odeszła, albo o Ginger, znudzonej żonie, która odebrała mu rozum, a teraz wróciła do swojego męża.

Nie miał oczywiście racji. Miłość życia jego brata? Paulo miał gdzieś w szufladzie jej zdjęcia.

To mogła być tylko Chloe.

Cat przystanąła przed wystawą sklepu z używanymi rzeczami. Jej wzrok przyciągnął stojący tam staroświecki wózek.

Coś takiego można zobaczyć na międzywojennych czarno-białych fotografiach przedstawiających ubrane w mundurki nianie spacerujące ze swoimi podopiecznymi po Berkeley Square.

Nie spacerówka ani nie pojazd z pompowanymi trzema kołami, lecz klasyczny wózek z gondolą. Produkt retro — nowoczesna wersja oryginału, podobna do produkowanych współcześnie wersji volkswagena garbusa albo mini coopera. Cat uznała, że to niezły pomysł.

Weszła do środka i przyjrzała się wózkowi. Był krzepiaco solidny i bezpieczny. Symbolizował wszystko, co chciała zapewnić swemu dziecku i czego, jak sądziła, brakowało w jej życiu. Ale był ogromny — wyprowadzałaby dziecko na spacer w czymś, co przypominało czołg. Wyobrażała już sobie, jak szarpie się z wózkiem, który utkwił w drzwiach Starbucks, podczas gdy dziecko zanosi się płaczem i wszyscy wlepiają w nią wzrok.

— Cat?

Nagle przy jej boku pojawił się Rory z nieśmiałym uśmiechem zaskoczenia na twarzy i w pierwszym odruchu pomyślała, że musiał ją śledzić. Lecz potem zobaczyła, że dźwiga dwie torby wypełnione po brzegi białymi postrzępionymi piżamami. Stroje do karate.

— Oddaję je. Rzeczy, z których wyrosli moi uczniowie. Czasami dzieciaki nie zaczynają uczyć się sztuki walki, bo nie mają potrzebnego uniformu. Chcesz kupić ten wózek?

— Tylko patrzę.

Czuła, jak płoną jej policzki. Robiła zakupy dla swojego nie-narodzonego dziecka w sklepie z używanymi rzeczami. Co się z nią działo? Miała wrażenie, że zepchnięto ją do narożnika.

— Jeśli chodzi o te rzeczy... naprawdę chętnie ci pomogę. Bez względu na to, co między nami zaszło. I co o mnie myślisz. Chcę pomóc. Musisz tylko poprosić. — Rory popatrzył z powątpiewaniem na gigantyczny wózek. — Może udałoby nam się kupić coś nowego...

— Nie uważam, żeby kupowanie używanych rzeczy było czymś nagannym — warknęła. — Mam dwie młodsze siostry. Nosiły rzeczy, z których wyrosłam, i nie stało im się nic złego.

— Oczywiście, że nie — odparł. — U ciebie wszystko w porządku?

Cat dotknęła brzucha i wydało jej się to najdziwniejszą rzeczą na świecie, a mimo to najbardziej naturalną. Nowe życie połączone z nią i z niej wyrastające. Jej częśćka, która będzie żyła długo po jej śmierci.

— Dziecko jest zdrowe.

Zobaczyła ulgę na jego twarzy. To ulga kogoś, kto był już rodzicem, pomyślała. Kto rozumie, ile rzeczy może pójść nie tak.

— Wyniki USG są pozytywne — dodała.

— Nie odgradzaj mnie od tego wszystkiego — powiedział.

Był dobrym człowiekiem. Widziała to. Dlatego właśnie go pokochała. Ale to nie wystarczało. Nie wystarczało, że chciał dobrze. Ponieważ co by się stało, gdyby je opuścił? Jej serce wezbrałoby goryczą, a światu przybyłby kolejny nieszczęśliwy dzieciak, którego rodzice nienawidzą się wzajemnie.

— Tłumaczyłam ci już — odparła. — Nie chcę kogoś, kto nie potrafi pokonać całego dystansu. Mówi się, że kobiety są czasami zbyt stare, żeby rodzić dzieci, lecz moim zdaniem mężczyzna też może być za stary. Może nie biologicznie, ale emocjonalnie. Psychiczenie. Brakuje mu pary. Wiesz, o co mi chodzi?

Widziała, jak budzi się w nim gniew i zniecierpliwienie — „to również moje dziecko”, miał wypisane na twarzy — które jednak po chwili zniknęły, zastąpione czymś, z czego nie zamierzał rezygnować.

— Przyznaję, że miałem pewne wątpliwości, Cat. Nie mogę na to nic poradzić. Ale nie sędzę, żeby to było coś złego. Nie sędzę, żeby ktokolwiek powinien decydować się na dzieci tak lekko. Ty chcesz dożywotniej gwarancji. Nikt ci jej nie da.

— Śmiało, powiedz, że jeśli chcę gwarancji, mogę sobie kupić toster.

— Wiesz, co sobie uświadomiłem? Rodziny są pokręcone. Nawet jeśli są udane... są pokręcone. Nawet jeśli są udane. Potrzebujesz pieniędzy?

— Mogę państwu w czymś pomóc?

Prowadząca sklep starsza pani zerkała na nich przez swoje dwuogniskowe okulary.

— Przyniosłem to — powiedział Rory.

Starsza pani zajrzała do jego toreb.

— Och, wyglądają bardzo... bardzo stylowo — stwierdziła, starając się znaleźć pasujące określenie. — Bardzo oryginalnie.

— To stroje do karate — wyjaśnił Rory. — Oddałem je do pralni chemicznej, ale obawiam się, że niektóre są trochę zniszczone.

— Och, dzieciaki cieszą się z byle czego — zachichotała starsza pani. — Takie właśnie są dzieci: biorą wszystko, co im się daje.

Słodki uśmiech na jej twarzy przypominał Cat dziecinną buzię na Boże Narodzenie.

— Co ci się stało w usta? — zapytała Jessica, biorąc Małą Wei pod pachę i dotykając jego rozciętej wargi.

— Zazdrosny mąż strzelił mnie w zęby, bo jego żona puszczęła się na lewo i prawo.

Jessica przyglądała się Paulowi przez chwilę, a potem wybuchła śmiechem.

— Jesteś zabawny. Zabawny z niego tatuś, prawda?

Mała Wei zagulgotała. Jak zwykle trzymała trzy smoczki — jeden w swoich różanych ustach i dwa w malutkich piąstkach. Wszystkie były jaskrawożółte i kiedy spała w swoim łóżeczku,



które stało w ich sypialni obok łóżka Jessiki, migotały i lśniły w ciemności niczym złote świetliki.

Była spokojnym i szczęśliwym dzieckiem. Uzależnienie od smoczków stanowiło jedyną oznakę jakiegoś tkwiącego w niej głęboko, nieokreślonego poczucia zagrożenia. Oblaskawiały lęk.

— Miałam ją właśnie położyć do łóżka.

— Widzę. Obie się wystroiłyście. Mała Wei w swoją pizamkę. A ty wyglądasz jak Suzie Wong.

Jessica miała na sobie czarną chińską suknię z czerwonym ścięciem na wysokim karczku i ramiączku. Była obcisła niczym chirurgiczna rękawiczka, z rozcięciem, które sięgało aż do biodra. Wkładała ją wieczorem, kiedy trzeba było położyć Małą Wei spać.

— Myślisz, że to głupota?

Paulo uśmiechnął się.

— Wyglądasz niesamowicie. Prawdę mówiąc, Wei jest chyba za mała, żeby to docenić. No wiesz. Ten ukłon w stronę jej kultury.

Nie chodziło tylko o suknię. W holu, tam gdzie niegdyś wisiała oprawiona w ramki reprodukcja *Pocahunku* Gustava Klimta, teraz był zwój z chińską kaligrafią. Kuchnię ozdabiała maski z pekińskiej opery. A w pokoiku Małej Wei, po obu stronach półki, którą wypełniały gadające żaby, dinozaury i figurki Kubusia Puchatka, stały dwa chińskie czerwone smoki, strzegące tego dziecka, które zawędrowało na zielone londyńskie przedmieście. I Paula zabolalo serce, bo wiedział, że wszystko to trzeba będzie zdjąć z półek i ze ścian, wszystkie te pieczołowicie ustawione przedmioty trzeba będzie wsadzić do kartonowych pudeł, kiedy przeprowadzą się stąd gdzie indziej.

— Myślisz, że to szaleństwo? — zapytała Jessica, dotykając wysokiego karczka sukni. — Może i tak. Ale nic o niej nie wiemy. Nie wiemy, kim była jej matka. Nie wiemy, kiedy się urodziła. Dzisiaj mogą być jej pierwsze urodziny. A może były w zeszłym miesiącu. — Mała Wei spojrziała na nią, tak jakby jej

pilnie słuchała. Jessica pogładziła ją w roztargnieniu po buzi.  
— Nie wiemy, Paulo. I nigdy się nie dowiemy. Ani ona. Lecz jedno będzie zawsze wiedzieć na pewno: że nie jest naszym prawdziwym dzieckiem. Jest Chinką. I chcę, żeby była z tego dumna.

Mała Wei patrzyła na nich szeroko rozstawionymi brązowymi oczyma i Paulo zastanawiał się, jak, u licha, ktokolwiek mógł ją oddać. Jak ktokolwiek mógł oddać własne dziecko? I jak on sam mógł ją tak strasznie zawieść?

— Kochasz Wei tak samo, jak kochałaby ją każda prawdziwa matka — powiedział. — Bardziej niż jej prawdziwa matka. I tylko to się liczy.

— Chcę po prostu, żeby była dumna z tego, kim jest, dumna ze swojego dziedzictwa, z tego, skąd pochodzi. Nie chcę, żeby czuła się od kogoś gorsza. Bo wiem, jak to jest, kiedy ktoś czuje się gorszy.

Paulo dotknął biodra swojej żony, poczuł jej skórę pod jedwabiem sukni i uświadomił sobie, że nigdy nie przestanie jej pożądać.

— Nigdy nie byłaś od nikogo gorsza. Nie w moich oczach. Nikt nie dorasta ci do pięt.

— A potem, kiedy nauczymy ją, żeby była dumna z tego, skąd pochodzi, pozostanie nam ją tylko kochać. I wtedy to powinno się udać.

— Uda się — powiedział.

I naprawdę w to wierzył. Przemierzyli cały świat, żeby ją odnaleźć. Nie sądził, żeby to był zwykły zbieg okoliczności. Tak miało być. Urodzone w złym brzuchu — znajdzie właściwe drzwi. Szkoda tylko, że nie dotrzymał swoich warunków umowy. Że nie zrobił tego, co do niego należało. Wtedy wszystko byłoby idealnie.

Wszyscy troje wspięli się po schodach. Te wnętrza nareszcie stały się prawdziwym domem. Trwało to bardzo długo, ale w końcu odnaleźli swoje miejsce na ziemi. I wkrótce będą musieli je opuścić, pomyślał z goryczą Paulo, po raz pierwszy w życiu

mając poczucie klęski. Przypomniał sobie dzień, kiedy przegrał pierwszą bójkę na szkolnym boisku, i ten obezwładniający wstyd, którego doznaje chłopak, gdy nie da sobie rady z przeciwnikiem. Michael próbował wówczas ratować dumę brata, zasadzając się na jego prześladowcę na przystanku autobusowym. Ale teraz byli dorośli i nikt nie mógł uleczyć jego zranionej dumy. Teraz był zdany na siebie.

Kiedy znaleźli się w ciemnej sypialni, Mała Wei zaczęła kwilić. Jessica zamruczała kojąco i wtarła żel w dziąsła, z których wyrzynały się nowe ząbki, a Paulo cicho wyszedł z pokoju. Wiedział, że żona zostanie z córką, dopóki ta nie zaśnie.

Kiedy wróciła w końcu do salonu, czekał na nią. Chciał już mieć to za sobą. To straszne wyznanie, wiadomość, że zawiódł swoją małą rodzinę.

— Być może będziemy musieli zacisnąć pasa, Jess.

Jessica pokiwała głową.

— W porządku.

— Interesy nie idą dobrze. Michael... kiedy mnie nie było, wszystko wzięło w łeb. Wygląda na to, że firma upadła.

— A co z domem? — W jej oczach zamigotał lęk. — Będziemy mogli tu dalej mieszkać?

Kiedy pojawiło się dziecko, duży dom z wielkim ogrodem zaczął wreszcie mieć jakiś sens. Jednak sumy, które szły na spłatę hipoteki, wydały się po upadku firmy astronomiczne, nie do udźwignięcia co miesiąc.

Paulo zwiesił głowę.

— Będziemy musieli oddać dom, Jess.

Jessica pokiwała głową, powoli to sobie uświadamiając. Ale nie wydawała się już przestraszona. To Paulo miał niepewną minę.

— Hipoteka... nie sądzę, żebyśmy dali radę spłacać ją co miesiąc. Nie z tego, co będę zarabiał.

— Rozumiem. Co zamierzasz robić?

Czując w ustach gorzki smak upokorzenia, wzruszył ramionami, jakby się jeszcze nie zdecydował. Lecz w gruncie rzeczy

wiedział, co będzie robił. Musiał zacząć wszystko od początku.

— Znam się tylko na samochodach. Skoro nie mogę ich sprzedawać, siądę za kółkiem.

Jessica dotknęła jego ramienia.

— No i dobrze. Naprawdę. Masz na myśli czarną taksówkę?

— Tak. Będę znowu jeździł czarną taksówką.

— Co jest w tym złego? Londyńskie taksówki są najlepsze na świecie. Powiedziałeś mi to w dniu, kiedy się poznaliśmy. Pamiętasz? Prowadziłeś wtedy jedną z nich.

Paulo uśmiechnął się.

— Wszystko pamiętam.

— Nie martw się — dodała głosem, w którym zabrzmiała miłość. Od tak dawna to Paulo był silnym partnerem w ich związku — podtrzymywał ją na duchu, nie pozwalał się poddać, dodawał otuchy. Teraz nadeszła jej kolej. — Znajdziemy sobie coś mniejszego. Bliżej miasta. Będziemy mieli bliżej do rodziny.

— Ale małej spodobałby się ogród.

Głos Paula był spokojny, lecz w jego oczach czaił się strach. Strach przed tym, że znowu będzie biedny, że będzie wykonywał pracę, której nienawidził, że po powrocie do domu będzie zasypiał ze zmęczenia przed telewizorem. A potem zrywał się rano i zasuwał od nowa. Strach przed tym, że czeka go los ojca.

— Będzie się bawiła w parku — odparła Jessica.

— Ale ty, Jessie... ty kochasz ten dom.

— Pokocham i nowy.

Paulo spojrział na żonę. Miał wrażenie, że nie przeżyje tej nocy. W jego uszach brzmiały wypowiedziane dawno temu słowa ojca: Nie wzbogaciecie się, chłopcy, pracując dla kogoś innego. Niczego na tym świecie nie pragnął tak gorąco, jak zapewnić porządną byt rodzinie. Był taki dumny, że zarabiał w ostatnich latach dużo pieniędzy. Myślał, że to właśnie czyni go mężczyzną. A teraz wszystko się skończyło. Teraz musiał inaczej udowodnić, że jest mężczyzną.

— Zawiodłem cię, Jessie. Ciebie i dziecko. Co ze mnie za facet? Zasłużyłaś na kogoś lepszego.

Jessica uśmiechnęła się.

— Nigdy nie możesz nas zawieść — powiedziała, biorąc jego twarz w dłonie, i w tym momencie spostrzegł, że jest twarda jak stal.

Chciał ją chronić i chciał się nią opiekować, od pierwszej chwili kiedy ją zobaczył. Być może jednak to ona przez cały czas się nim opiekowała.

— Myślisz, że cię kocham, bo zarabiasz dużo pieniędzy? Bo mamy duży dom? Kocham cię, bo jesteś łagodny, bo przy mnie jesteś i w pewnym oświetleniu wydajesz się nawet przystojny. Zawsze mnie wspierałeś, Paulo. Przez wszystkie te lata, kiedy chcieliśmy mieć dziecko. Kiedy spotykały nas ciągle rozczarowania. Nigdy nie spisałeś mnie na straty, prawda?

Paulo odwrócił się od niej, wstydząc się łez, które stanęły mu w oczach. Tyle było rzeczy, których tego wieczoru się wstydział. Ale ona wzięła jego twarz w dłonie i nie chciała go puścić.

— Dlaczego miałbym zrobić coś takiego? — odparł łamiącym się głosem.

Jessica przytuliła się do niego i znowu poczuł jej krągłe ciało kryjące się pod jedwabiem chińskiej sukni.

— Może nie będziesz jej jeszcze zdejmować — powiedział, czując, jak całe upokorzenie i ból, jakich doznał w ciągu dnia, ustępują miejsca czemuś o wiele silniejszemu. — Jeśli nie jesteś zbyt zmęczona.

— Nie jestem wcale zmęczona — odparła, mierząc go tym swoim przebiegłym sennym spojrzeniem.

Dobrze było pokochać się ponownie tak, jak to robili przed wielu laty, gdy wrzała w nich krew, w sypialni paliły się światła, ubrania leżały porozrzucane po całej podłodze, a oni byli jednocześnie zrelaksowani i podnieceni, i mieli w nosie przyszłość ludzkiej rasy.

## 26.

Kirk chodził po ich sypialni, patrząc, jak Megan pakuje walizki.

— Nie odchodź — powtarzał. — Nie zostawiaj mnie. Proszę, nie zabieraj mojej córki.

Teraz, kiedy było już po wszystkim, Megan czuła się dziwnie spokojna. Przyjrzała się kolekcji kostiumów kąpielowych Poppy. Nie będzie ich wszystkich potrzebowała w Londynie. Jeden wystarczy. Wrzuciła do walizki różowy kostium z falbankami i zostawiła resztę.

— Wiedziałaś, jaki jestem — powiedział, zmieniając nagle płytę. — Przypomnij sobie, jak się poznaliśmy. Trudno to nazwać długimi zalotami. Czego się spodziewałaś po facecie, z którym pieprzyłaś się na pierwszej randce?

Zostały jeszcze jej rzeczy. W ciągu ostatnich kilku miesięcy jej garderoba nabrała zdecydowanie tropikalnego charakteru. W Londynie nie będą potrzebne wszystkie te szorty i podkoszulki.

— Nie zdołasz utrzymać siebie i naszego dziecka — powiedział. — Nie za te grosze, które płacą ci w państwowej służbie zdrowia. Nawet te biedne, żyjące z zasiłków kobieciny z Sunny View będą na ciebie patrzyły z góry.

Jakoś przetrwamy, pomyślała. Jestem wykształcona, mam

rodzinę i jakoś przetrwamy. Chociaż nie bardzo wiem jak. Wszystko będzie wyglądało inaczej, kiedy będę żyła na własny rachunek.

Nie czuła jednak potrzeby, by wyjaśniać cokolwiek Kirkowi. W samym odejściu było coś smutnego, nawet bolesnego, ale wiedziała, że robi dobrze. Nie czuła już potrzeby wyjaśniania mu czegokolwiek.

— Porzucisz życie tutaj dla tego zasyfionego miasta, z którego pochodzisz?! — zapytał, teraz prawie krzycząc. — Porzucisz słońce i plażę dla tych żalonych skąpanych w deszczu ulic i cholernego metra?

Tyle było rzeczy, które mogła zostawić. Kiedy uświadomiła sobie, że nie musi targać ze sobą całego dodatkowego bagażu, zrobiło jej się lżej na duszy. Mogła zostawić wszystkie letnie stroje. Wszystkie kostiumy kąpielowe. I tego mężczyznę.

— Nie uprawialiśmy seksu od miesiący — powiedział, znowu uderzając w błagalny ton. — Ty i ja, para, którą związało wyłącznie to, co robiliśmy w łóżku. I przykro mi, naprawdę mi przykro... ale brakowało mi fizycznego kontaktu. Nie możesz tego zrozumieć. Niektórzy ludzie mogą bez tego żyć. A inni nie. Była Szwedką, miała dwadzieścia parę lat i zagięła na mnie parol. Co miałem robić?

Megan zamknęła walizkę. Nie potrzebowała aż tylu rzeczy. Mogła podróżować z niewielkim bagażem. Tak będzie najlepiej. Odwróciła się do Kirka, próbując mu to wytłumaczyć.

— Myślę sobie, że powinniśmy się byli kochać. W gruncie rzeczy jesteś porządnym facetem i byłeś dobrym kumplem... mimo tej Szwedki. Ale tego właśnie nam brakowało, brakowało przez cały czas. Ludzie, którzy zamierzają mieć dziecko, powinni się wzajemnie kochać — powiedziała, po czym zeszła na dół i odebrała córkę od niani.

— Wszystko w porządku? — zapytał Jack Jewell.

Co Cat mogła na to odpowiedzieć? Czy mogła mu zdradzić,

że jedyne majtki, w które się mieści, przypominają cyrkowy namiot? Że przez ciągle zatwardzenie czuje się, jakby miała korek w tyłku? I że trochę niepokoją ją upławy? Nie można mówić ojcu o takich rzeczach.

— Wszystko w porządku — potwierdziła.

— Na pewno? Wydajesz się zmęczona.

— Dziecko zaczyna uczyć się salsy, za każdym razem kiedy zapadam w drzemkę. — Cat uśmiechnęła się. — Ale nic mi nie jest. Dziecko jest zdrowe. Więc wszystko jest w absolutnym porządku.

Jack wtoczył się do mieszkania obładowany torbami, w których były nowe dziecinne ubranka. Rozpakowali je na stoliku do kawy, śmiejąc się z tych wszystkich dziwnie dorosłych strojów, wśród których była malutka dżinsowa marynarka z wyszywaniem hipisowskimi kwiatami, białe tenisówki Nike'a i bojówki w rozmiarze, który wydawał się odpowiedni dla lalki. Cat czuła, jak w oczach stają jej łzy. Powinno w tym uczestniczyć więcej osób. Ona i ojciec wydawali się zbyt skromną publicznością, żeby podziwiać te dziecinne ubranka.

— Dobrze się czujesz, kochanie? — zapytał i na jego przystojnej starej twarzy odmalował się niepokój.

Pokiwała głową, przyjmując od niego chusteczkę. Czy jej ojciec był ostatnim mężczyzną na tej planecie, który nosił przy sobie chusteczkę? Przypatrzcie mu się, pomyślała, uśmiechając się na widok blezera i krawatu, kochając go za ten oficjalny strój, który przywdział, by złożyć jej nieoficjalną wizytę.

— Wyglądasz bardzo elegancko, tato. Jak zawsze.

Jack przesunął palcami po swoim jedwabnym krawacie.

— Hannah próbuje sprawić, żebym trochę się wyluzował. Ubierał się w stylu bardziej podobnym do tego — dodał, wskazując leżące przed nim kolorowe ubranka. — Może twoje dziecko da mi kilka wskazówek dotyczących mody.

— Podoba mi się, jak wyglądasz — powiedziała Cat. — Jesteś



jedynym Anglikiem, który nigdy nie miał czapeczki baseballowej.

Jack teatralnie się skrzywił.

— Nienawidzę tego cholerstwa. Wyglądam w nim jak dziadek Eminema.

Cat roześmiała się. Córki Jacka Jewella stale śmieszyło, że ojciec, który ubierał się jak Edward VIII, był zawsze za pan brat z najnowszymi kulturowymi trendami.

— Jak się miewa Hannah? Widujesz się z nią?

Jack zrobił zakłopotaną minę.

— O tak. Widuję się z nią.

— Lubię ją — powiedziała neutralnym tonem Cat. — Jest miła.

— Tak... no cóż. Ja też ją lubię. Nawet bardzo. To wyjątkowa dziewczyna. To znaczy kobieta.

Cat przyglądała się przez chwilę ojcu i nagle to do niej dotarło.

— No cóż, to wspaniale, tato.

Jack pokiwał głową. Zupełnie jakby zbierał się na odwagę, żeby spytać ją o zgodę. Czy zachowywałby się podobnie wobec Megan i Jessiki? Czy tylko wobec niej?

— Zastanawiałem się, co byś czuła, gdybyśmy się, no wiesz, chajtnęli?

Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Odkąd rozpadło się jego małżeństwo, w życiu ojca zawsze były kobiety. Wiele kobiet. Wiedziała o tym. Jednak w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat przywykła do myśli, że Jack nigdy się nie ożeni.

— Jeśli uważasz, że będziesz dzięki temu szczęśliwy, tato — odparła, starannie dobierając słowa. — Nie zafundowałeś nam macochy, kiedy dorastałyśmy, i byliśmy ci za to zawsze wdzięczne. Ale teraz nie musisz się nami przejmować. Zaslugujesz na odrobinę szczęścia.

— Dzięki Hannah jestem szczęśliwy.

— Ale... choć nie, to nie moja sprawa.

— O co chodzi?

Nachyliła się ku niemu, czując, jak w jej brzuchu wierci się dziecko.

— Nie boisz się, że to skończy się tak samo? Czy to cię nie przeraża? Pierwsza żona cię rzuciła, nieprawdaż? Co będzie, jeśli nowa zrobi to samo?

Jack wzruszył ramionami.

— To ryzyko, które trzeba podjąć. To ryzyko, które podejmuje się za każdym razem. Gdybyśmy zawsze się bali, że ktoś nas zrani i upokorzy, nigdy byśmy nikogo nie pokochali.

Cat uśmiechnęła się, składając ubranka, które miało nosić jej dziecko. Będzie wyglądał jak mały mężczyzna, pomyślała. Jak mały mężczyzna, zanim jeszcze nauczy się chodzić.

— Jesteś dzielniejszy ode mnie — powiedziała ojcu.

Jack Jewell był zszokowany.

— Nikt nie jest dzielniejszy od ciebie, Cat.

Jego córka roześmiała się i pokręciła głową.

— To prawda — stwierdził z naciskiem. — Pamiętam, jak wróciłem z planu, kiedy miałaś jakieś dwanaście lat. Rok albo dwa po tym, jak odeszła twoja matka. Jessica i Megan były na podwórku. Dokuczali im jacyś chłopcy. Śmiali się z Jessiki.

— Pamiętam to — przyznała Cat. — Jessica włożyła spódniczkę baletnicy. Włożyła cały kostium i płakała. Myślała, że zrobi wrażenie na innych dzieciach.

— A ty wypadłaś z domu w fartuchu i żółtych rękawicach i ściagałaś tych łobuzów aż do końca ulicy. Pomyślałem sobie wtedy, że jesteś najdzielniejszą osobą, którą znam. Nie tylko z tego powodu. Okazywałaś odwagę każdego dnia, kiedy wszystkie dorastałyście.

— To nie była odwaga, ale próba sprostania sytuacji. A poza tym lubiłam opiekować się siostrami. — Na ile mogła być z nim szczerą? — Czułam się wtedy silniejsza.

Jack patrzył, jak Cat składa ciuszki, które kupił dla jej nie-narodzonego dziecka.

— Żałuję, że to nie było łatwiejsze. Bardziej uporządkowane.

Żałuję, że nie wybrałem kogoś, kto by z nami został.

Cat roześmiała się, próbując dodać mu otuchy. Nie chciała, żeby karmił się dawnym smutkiem.

— Ale gdybyś ożenił się z kimś innym, w ogóle bym się nie urodziła. Podobnie jak Megan i Jessica.

— No tak, gdybym ożenił się z kimś innym, w ogóle byś się nie urodziła. — Jack uśmiechnął się i wstał, szykując się do wyjścia. — A to byłoby straszne.

Kiedy otworzyli frontowe drzwi, w korytarzu stał fabrycznie nowy dziecinny wózek, metalicznie niebieski trójkołowiec marki Mamas and Papas trzeciej serii. Cat pomyślała, że wygląda jak pojazd, który mógłby sprzedawać Paulo. Smukły, nisko zawieszony, kuszący obietnicą szybkości. Udała, że spodziewała się dostawy.

A potem ucałowała ojca na pożegnanie, wtoczyła wózek do mieszkania i zaparkowała go w nogach łóżka, by móc patrzeć, jak lśni w ciemności, kiedy gładziła się po brzuchu, czekając na swoje dziecko i nie mogąc zasnąć przez całą noc.

Paulo zapomniał już, jak to jest, kiedy mieszka się w bloku.

Basowe dźwięki cudzej muzyki. Zapach cudzych posiłków. Czyjeś kroki po suficie. Dobiegający z dołu śmiech. Całe to sączące się przez ściany cudze życie. Sąsiedzi piętro wyżej lubili zespół Coldplay i jagnięce curry. Paulo nie znosił Coldplay i jagnięcego curry.

Jessica kąpała Małą Wei z podwiniętymi do łokci rękawami, wznosząc górę piany, żeby dziecko mogło się w niej bawić. Mała Wei brodziła w wodzie z wystającym małym brzuszkiem, starannie układając na skraju wanny swoją kolekcję plastikowych kaczek, żab i Teletubisiów.

Paulo uśmiechnął się do nich i ucałował na dobranoc, choć w głębi duszy wcale nie było mu do śmiechu. Nadchodziła noc i pora była ruszać do pracy.

Drzwi do ich mieszkania były jak z tektury. Tak marnie chroniły przed całym brudem zewnętrznego świata. Zamknął je za sobą na dwa zamki i zszedł po schodach, otoczony dźwiękami i zapachami życia innych ludzi, które nakładało się na życie jego rodziny. Na dole stała porośnięta zielonym grzybem porzucona kuchenka gazowa oraz sterta poczty zaadresowanej do dawnych lokatorów.

Musimy się stąd wyrwać, powiedział sobie, otwierając drzwiczki czarnej taksówki. Muszę nas stąd wyrwać.

Nie dlatego, że jestem ważnym biznesmenem, który powinien pracować na własny rachunek. Nie dlatego, że jestem za dobry dla tych ludzi z ich jagnięcym curry i zespołem Coldplay.

Muszę się stąd wynieść, ponieważ jestem ojcem, pomyślał. Ponieważ mam rodzinę.

Lubił pracować w nocy. Lubił mniejszy ruch na ulicach i to, że można było jechać bez przeszkód do przodu, a nie wdychać spaliny, stercząc w miejskich korkach.

Zaczynał wieczór w City, przemierzając Cheapside i Moor-gate i polując na finansistów, którzy zmierzali do stacji kolejowych albo na przedmieścia. Następnie przenosił się na West End, gdzie był ruch do połowy nocy. Później zaczynał się kilkugodzinny martwy okres trwający aż do świtu, kiedy na Heathrow lądowały pierwsze samoloty z Hongkongu i Barbadosu.

Ten okres, gdy noc dobiegała końca, lecz nie zaczął się jeszcze nowy dzień, Paulo spędzał na taksówkarskiej mecie pod estakadą Westway, miejscu na swój sposób tak samo ekskluzywnym jak każdy klub dżentelmenów w St James's. Była tam myjnia, warsztat oraz otwarta przez dwadzieścia cztery godziny na dobę kantyna, do której nie wpuszczano bez taksówkarskiej odznaki.

Pod Westway Paulo sprzątał swoją taksówkę. Wymiociny. Puszki po piwie. Pojedyncze buty z wysokimi obcasami. Kondomy, te używane i te nierozpakowane. Brązowe resztki kebapów i perliste plamy po spermie. Komórki, parasole i — jeden

raz — wibrator Mr Love Muscle. Nigdy nie opowiadał Jessice o tym, co ludzie zostawiają w jego taksówce.

Kiedy samochód był czysty, Paulo zjadał sandwicza z bekonem i wypijał filiżankę herbaty z innymi kierowcami, uśmiechając się, kiedy nazywali go „maślanym chłopakiem” — czyli nowym cierpiarzem, który odbierał chleb z masłem innym doświadczonym kierowcom. I słuchał ich opowieści.

— No więc zabieram raz tę dziwkę przy Park Lane i kiedy dojeżdżamy do niej do domu, facetka rozsuwa szeroko nogi i mówi: „Może pan skasować w naturze?”. A ja jej na to: „Nie ma pani mniejszych nominałów?”.

Bywały chwile, kiedy Paulo uważał, że to wspaniałe życie zawsze będzie mu wystarczać. Kiedy pokrzepił się gorącą herbatą, kanapką z bekonem i sosem HP, jego taksówka była czysta jak łąka, a w uszach dzwonił mu śmiech innych kierowców, Paulo siadał za kółkiem i miał wrażenie, że należy do niego całe miasto.

Londyn był piękny. Teraz to widział.

Oglądając księżyc nad wielkimi parkami, wschodzące nad dokami słońce i poranną mgiełkę na Tamizie, będąc świadkiem wszystkich tych rzeczy, których nie widział nikt poza nim, mając to wszystko przed oczyma, gdy jechał sam przez puste miasto, czuł, że naprawdę żyje.

Cieszył się wtedy, że znów siedzi za kółkiem, że jest w ciągłym ruchu i nie musi użerać się z urzędem skarbowym, inspektorami od VAT-u i wszystkimi biurokratycznymi zmorami, które czyhają na drobnego biznesmena. Paulo pracował przez całą noc i bywały chwile, kiedy zapominał o wszystkim i czuł się zupełnie wolny.

To trwało do momentu, kiedy zajeżdżał na lotnisko, żeby odbyć ostatni kurs. Z samolotów wytaczali się turyści i biznesmeni z poszarzonymi twarzami, kacem po darmowym alkoholu i myślami wciąż w jakimś odległym miejscu, otepiali po przybyciu z innego krańca świata, a Paulo odwoził ich do domu albo do hotelu.

A potem, wyłączwszy w końcu koguta, jechał z powrotem do ich małego mieszkanka, gdzie przez cienkie jak opłatek ściany sączył się zapach jagnięcego curry i muzyka zespołu Coldplay, i bardzo długo przyglądał się śpiącej żonie i córce, najbardziej przez niego ukochanym istotom na tym świecie, modląc się, by nigdy nic ich nie rozłączyło, i trąc zamykające się oczy, prawie pijany ze zmęczenia i miłości.

## 27.

Rozmawiając z doktorem Lawfordem, Megan miała wrażenie, że od ich ostatniego spotkania minęło kilka lat, nie kilka miesięcy. Ile on mógł mieć lat? Pięćdziesiąt? Wyglądał staro, jakby grasujące w okolicy choroby dobrały mu się w końcu do skóry.

— Idź do sektora prywatnego — powiedział jej w swoim gabinecie podczas przerwy w przyjmowaniu pacjentów. — Idź i już tu nie wracaj.

Z początku myślała, że żartuje. Dopiero po chwili zorientowała się, że to wcale nie żarty.

Pachniał tak samo jak kiedyś — papierosami, serem i pi-  
klami. Dawniej ten zapach budził w niej wstręt, lecz teraz zdała sobie sprawę, że jej go brakowało. Brakowało jej także samego Lawforda, jego wielkoduszności i mądrości, które skrywał pod tanimi garniturami i kłębami papierosowego dymu.

— Mam iść do sektora prywatnego? — powtórzyła skonsternowana. — Co bym tam robiła?

— Ponieważ tutaj nic się nie zmieniło — odparł, pociągając łyk czegoś brązowego z plastikowego kubka. — Za dużo pacjentów. Za mało lekarzy. Za mało czasu. Uciekłaś z tych samych powodów, dla których powinnaś pójść do sektora prywatnego.

Megan poczuła, jak płoną jej policzki.

— Tak to określasz? Że uciekłam?

— Nie mówię tego w sensie krytycznym — zapewnił ją Lawford. — Wcale cię nie winię. Ta miazga by cię zabiła. — Miazga była w jego ustach określeniem bezmyślności i głupoty. — Musiałaś się troszczyć o swoje dziecko. Ale odeszłaś z tych samych powodów, dla których powinnaś się teraz trzymać od nas z daleka.

Megan nigdy nie przyszło do głowy, że Lawford każe jej odejść do sektora prywatnego. O prywatnej służbie zdrowia marzyli pacjenci, których widywała w tej przychodni. Mówili o tym jak o wygranej na loterii, która miała ich wybawić od kolejek i frustracji zatłoczonych państwowych lecznic. Jeśli lekarze również marzyli o prywatnej służbie zdrowia, nigdy się do tego nie przyznawali. Byłoby to czymś w rodzaju bluźnierstwa.

— W dalszym ciągu pomagałabyś ludziom — mówił Lawford. — Kto wie. Może nawet pomogłabyś im w większym stopniu. Ile dobrego możemy tutaj zdziałać? Rozdajemy antybiotyki niczym cukierki. Nigdy nie radziłaś sobie zbyt dobrze przy tej medycznej linii montażowej, prawda? — Lawford uśmiechnął się na wspomnienie młodej stażystki, którą niedawno była. — Zawsze upierałaś się, żeby traktować ich jak istoty ludzkie.

Zaczął zapisywać coś na recepcie, jakby nazwisko i numer telefonu były najlepszym lekarstwem na to, co jej dolegało.

— Proponuję, żebyś wzięła za kogoś zastępstwo. Najlepiej za jedną z tych cwanych pań doktor, które poprosiły o trzy miesiące urlopu, żeby urodzić dziecko.

Megan wzięła od niego kartkę.

— Nie chcesz, żebym tutaj pracowała — powiedziała, na próżno starając się ukryć urazę.

— Chcę, żebyś była szczęśliwa — odparł twardym tonem, którym maskował żywione do niej ciepłe uczucia. On mnie



lubi, pomyślała. A potem Lawford spojrział na zegarek i dopił do końca brązową lurę. — Pora wracać do pracy.

Megan podała mu dłoń. Każda inna forma fizycznego kontaktu — uścisk, pocałunek — była nie do pomyślenia. Chwilę później wyprowadził ją na korytarz i wywołał po nazwisku następnego pacjenta. Chciała mu podziękować, przyznać, że bez niego nie zaliczyłaby egzaminu, że wszystko mu zawdzięcza. Lecz Lawford odwrócił się już do niej plecami i wchodził do gabinetu w ślad za powłóczącym nogami staruszką.

W poczekalni było pełno ludzi i Megan zauważyła, że ktoś się do niej uśmiecha. Kobieta z małym chłopcem, który próbował wyrwać się z mocnego jak kajdanki uścisku jej dłoni, wstała, żeby się z nią przywitać.

— Dzień dobry, pani doktor!

— Pani Summer.

Kobieta wypięła z dumą brzuch. Musiała być w szóstym miesiącu ciąży.

— Słyszałam, że pani wyjechała — powiedziała i pogładziła się po brzuchu. — Cieszę się, że panią znowu widzę. Może mi pani pomóc przy tej ciąży.

— Bardzo bym chciała — odparła Megan, po czym wyjaśniła, że przenosi się gdzie indziej i że przyszła tylko z krótką wizytą. Pani Summer była niepokieszona, lecz dzielnie się uśmiechnęła i życzyła jej wszystkiego najlepszego. Megan ruszyła w stronę wyjścia.

Spotkała tutaj wielu porządných, dobrych ludzi. Panią Summer. Daisy. Boksera. No i doktora Lawforda. Chciała opuścić Sunny View z czystym sumieniem, lecz za rękaw szarpały ją upiory przeszłości, powtarzając, że ucieka od tego wszystkiego, w co kiedyś wierzyła.

Nie potrafię ocalić tych ludzi, mówiła sobie. Popatrzcie tylko na mnie. Wystarczająco trudno jest mi zaopiekować się własną córeczką.

Wychodząc, zobaczyła kolejną znaną twarz, mężczyznę, który wchodził po schodkach do przychodni, podczas gdy ona

szła w dół. Warren Marley też ją spostrzegł i ujrzała w jego oczach nienawiść i agresję.

Ścigana klaksonami przejeżdżających samochodów, przebiegła szybko przez ulicę do czekającego na nią starego, poobijanego fiata punto Jessiki. Wsiadając do środka, zerknęła na tylne siedzenie, na którym drzemały w swoich dzieciennych fotelikach Poppy i Mała Wei. Kiedy samochód ruszył z miejsca, zobaczyła, że Warren Marley stoi na stopniach przychodni. Dzieliące ich auta były niczym rzeka, której nie mógł pokonać.

Megan wsunęła się głębiej w fotel pasażera, ściskając w ręku receptę i nie oglądając się za siebie.

Jej siostry klóciły się.

Pochyliwszy się nad łóżkiem i zasunawszy śpiwór Poppy, Cat słyszała w salonie ich podnoszące się i opadające, przekrzykujące się głosy.

Obok Poppy leżała Mała Wei, już zapięta i na krawędzi snu. W półmroku lśniły trzy żółte smoczki — jeden w ustach i dwa w zaciśniętych piąstkach.

Kiedy patrzyła na śpiące w jej sypialni siostrzenice, w Cat budziło się coś ciepłego i jasnego. Miała wrażenie, że ich mała rodzina, od tak dawna rozbita i różniąca się od innych, nareszcie się odnawia.

Po powrocie do Londynu Megan i Poppy wprowadziły się do jej mieszkania. Żadna nie powiedziała tego na głos, lecz sprawa była jasna. To nie był kąt, gdzie mogły się na jakiś czas zatrzymać. To był ich dom.

Cat ułożyła teraz po obu stronach łóżka barierę z poduszek, która miała uchronić obie dziewczynki przed zsunięciem się na podłogę. Megan i Jessica zaznaczyły, że nie jest to konieczne, ponieważ nie ruszą się ze swoich śpiworów, ale ona wolała dmuchać na zimne.

Tłumacząc, że wszystko jest w porządku, że fajnie jest leżeć

w dużym łóżku i że czas już uciąć sobie miłą drzemkę, starała się odwrócić uwagę dziewczynek od dobiegających przez uchylone drzwi podniesionych głosów ich matek.

— Obiecałaś przecież, że będziesz się nią opiekować — skarżyła się Megan i Cat pomyślała, że brzmi w każdym calu jak rozpieszczona najmłodsza siostra, oburzona na niesprawiedliwość świata. — Obiecałaś, że będziesz to robić.

— Ale znowu popsuł nam się bojler — odparła Jessica, porzytowana tym, że musi w nieskończoność powtarzać coś tak oczywistego. — W tym mieszkaniu nic nie działa. Nie mamy ciepłej wody, nie mamy ogrzewania, a jutro muszę czekać na hydraulika, który nie wiadomo kiedy raczy się zjawić.

Nic się nie zmienia, myślała ze znużeniem Cat. Ile razy słyszała, jak darły ze sobą koty, dorastając? Ile razy grała rolę mediatorki, rozjemczym, starszej siostry? Tyle że wówczas Megan i Jessica kłóciły się o to, kto wyrwał nogę Barbie albo głowę Kenowi, a teraz walczyły o coś innego.

Bo wszystko się zmienia, pomyślała, podnosząc smoczek, który wypadł z prawej rączki Wei, i wkładając go łagodnie w jej dłoń. Wiedziała, że gdyby mała obudziła się i zobaczyła, że go nie ma, narobiłaby straszego wrzasku. Wszystko się zmienia. Wystarczy spojrzeć na te dwie.

Zasnęły już. Poppy wciąż ważyła trochę zbyt mało jak na swój wiek, ale miała smukłe ciało i długie kończyny, przypominając w tym bardziej kanciąstą Cat aniżeli swoją krągłą matkę. Podobnie jak Cat miała także stosunkowo małą głowę, przez co jej rówieśniczki wyglądały przy niej niczym Niesamowity Hulk.

W przeciwieństwie jednak do okresu przed jej urodzeniem i czasu kiedy leżała na oddziale intensywnej opieki, teraz już się o nią nie martwili. Nie było powodu. No i co z tego, że będzie zawsze ważyła trochę poniżej normy? Cały Zachód chciał przecież zrzucić zbędne kilogramy. Cat widziała już, że Poppy będzie wysoka, szczupła i śliczna. Będzie ładniejszą wersją mnie samej, myślała.

A Mała Wei zaaklimatyzowała się w nowym otoczeniu lepiej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Wciąż można było w niej dostrzec oznaki starej niepewności — choćby w tym, jak bardzo przywiązana była do swoich trzech smoczków i z jak obsesyjnym umiłowaniem porządku, zupełnie nie na miejscu u tak małego dziecka, ustawiała swoje pluszowe małpki, gadające żaby i muzyczne zabawki.

Ale Mała Wei była pogodna, mądra i szczęśliwa. Całymi godzinami kontemplowała filmy z serii Baby Einstein i kartkowała książeczki o Mysze Maisy, którą zaczęła nawet darzyć pewnym uczuciem — chociaż jej pocałunki zarezerwowane były tylko dla Jessiki. Nauczyła się także płakać. Cat musiała przyznać, że Jessica i Paulo dokonali z nią wielkiej rzeczy. Przekonali Małą Wei, że ma własny dom.

— Co jest dla ciebie ważniejsze? — pytała Megan, uciekając się do chwytu poniżej pasa, ostatniej deski ratunku najmłodszego dziecka. — Hydraulik czy twoja siostrzenica?

— To naprawdę nie fair — skarżyła się płaczliwym głosem Jessica. — Po wszystkich tych dniach, które przesiedziałam przy jej inkubatorze, podczas gdy ty użalałaś się nad sobą. Po wszystkich tych miesiącach, kiedy pracowałam, a ja się nią opiekowałam.

Jak bardzo różnią się te dzieci, pomyślała Cat. Mała Wei miała ciemne oczy, które wyglądały jak rozpuszczona czekolada, podczas gdy oczy Poppy były lodowato niebieskie jak oczy jej ojca. Skóra Poppy była jasna, jakby nigdy nie widziała słońca, a Mała Wei była koloru miodu. Różniły się nawet tym, jak spały — Mała Wei z twarzą odwróconą profilem i rękoma nad głową, mały ciężarowiec domagający się swojego miejsca na ziemi, a Poppy wygięta niczym przecinek w swoim śpiworze, ssąca z zapamiętaniem kciuk, jakby tęskniła za łonem matki. Różniły się pod każdym względem, a mimo to Cat nie miała żadnych wątpliwości, że należą do tej samej rodziny.

— Nie możesz zalewać się łzami tylko dlatego, że zabrakło

ci argumentów — stwierdziła Megan z nutką kpiącego triumfu w głosie.

— Myśli tylko o sobie — odparła Jessica drżącym z emocji głosem. — Cholernie typowe.

W tym samym momencie Cat poczuła zadany od środka podwójny sierpowy albo podwójne kopnięcie, które mówiło: nie zapominaj o mnie. Gładząc się po brzuchu, zostawiła śpiące dziewczynki i dołączyła do sióstr.

Nigdy o tobie nie zapomnę.

Megan i Jessica umilkły na jej widok.

— O co chodzi? — zapytała, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy gniewać. W wieku siedemdziesięciu pięciu lat, pomyślała, będą rozdzielać te dwie, kłócące się o to, która zabrała drugiej laskę albo która będzie teraz chodziła z balkonikiem.

Jessica i Megan unikały jej wzroku.

— No słucham, mówcie.

— Nic takiego — odparła hardym tonem Megan.

Nie jestem już waszą małą siostrzyczką.

Jessica spojrzała przez łzy na starszą siostrę.

— Megan ma jutro spotkanie w sprawie pracy — powiedziała. — Na Harley Street.

— Na Wimpole Street — mruknęła Megan, rzucając wściekle spojrzenie siostrze, która nigdy nie potrafiła trzymać języka za zębami. — Chodzi o zastępstwo na czas urlopu macierzyńskiego.

— Kolejne spotkanie? — zdziwiła się Cat. Wiedziała, że Megan odbyła ich już co najmniej kilkanaście. Za każdym razem powtarzali jej, że o to samo miejsce ubiegają się starsi, bardziej doświadczeni lekarze.

— Gdyby tylko udało mi się zaczepić, wszyscy by zobaczyli — stwierdziła z goryczą Megan. — Ale do Jessie przychodzi hydraulik, więc nie może wziąć jutro Poppy.

Cat widziała, jak jej najmłodszą siostrę zżera frustracja. Zawsze zaliczała śpiewająco wszystkie egzaminy i była gwiazdą

na każdym kursie, teraz jednak — kiedy najbardziej jej na tym zależało — najwyraźniej nie robiło to na nikim wrażenia.

A Jessie miała swoje własne problemy. Nie chciała o tym mówić Paulowi, lecz ich nowe małe mieszkanie przysparzało masę kłopotów. Po raz pierwszy w życiu musiała martwić się o pieniądze, a na dodatek znalazła się w miejscu, które jej najwyraźniej nie lubiło. Zakasała rękawy i poradziła sobie z lejącą się z toalety wodą, ciekącą pralką i kaprysmi prehistorycznej kuchenki. Ale dobijał ją brak ciepłej wody i ogrzewania.

— Ja wezmę jutro Poppy — powiedziała Cat, w ogóle o tym nie myśląc.

— Przecież masz wizytę u położnej — przypomniała jej Jessica.

— Chodzi o badanie ilości płynu owodniowego? — zapytała Megan.

Cat pokiwała głową.

— Zapiszę się na inny termin. Na pojutrze. Albo kiedy mi wyznaczą. Nie ma sprawy, chętnie zostanę w domu. I tak trudno mi włożyć buty. Moje stopy zachowują się, jakbym wysiadła z samolotu po kilkunastu godzinach w powietrzu.

— Naprawdę powinnaś przestrzegać terminów badań — mruknęła Megan.

— Będę ich przestrzegać — odparła Cat. — Kiedy ty dostaniesz pracę, a Jessie będzie miała naprawiony bojler.

Zadzwoił telefon. Cat ruszyła, żeby go odebrać, ale szła tak powoli, jakby nogi nie mogły unieść jej i dziecka. Zanim tam dotarła, w automatycznej sekretarce odezwał się głos Rory'ego. Skrępowany i niepewny. Bez śladu pobrzmiwającego w nim niegdyś humoru i ciepła, pomyślała Cat. Ale czyja to w końcu była wina?

Nie pofatygowała się, żeby podnieść słuchawkę.

— Wiem, że nie życzysz sobie, żebym do ciebie wydzwaniał... ale zależało mi, żebyś wiedziała, że twój ojciec zaprosił

mnie na swój ślub... i mam zamiar iść... chyba że nie chcesz... więc, eee, to by było na tyle... mam nadzieję, że wszystko jest w porządku.

Kiedy głos Rory'ego umilkł, Cat zorientowała się, że siostry wpatrują się w nią badawczo. Na ładnej twarzy Jessiki malował się ból, Megan potrząsała znacząco głową.

— Co jest? — zapytała Cat.

— To taki uroczy facet — stwierdziła Jessica.

— Nie próbuj robić wszystkiego sama — powiedziała Megan.

Cat roześmiała się.

— I kto to mówi...

— Zgadza się — odparła Megan. — Przynajmniej wiem, o czym mówię. Trudno jest robić wszystko w pojedynkę. — Spojrzała na Jessicę i jej rysy złagodniały. — Wiem, że nie jestem sama. Mam was. Ale mimo to... nie ma przy mnie ojca dziecka. Nie mam partnera.

— A co innego mogłaś zrobić? — zapytała Cat. — Pozwolić, żeby chodził ci po głowie? Nie jesteś tego rodzaju osobą, Megan.

— Nie chodzi już tylko o mnie. Chodzi o Poppy. Mówię sobie, że muszę być szczęśliwa, żeby było szczęśliwe moje dziecko. Powtarzam to sobie bez przerwy, ale nie wiem, czy to prawda. Może powinnam pociągnąć to trochę dłużej. Dla mojej córki. Dla nas obu. Kiedy robisz wszystko w pojedynkę, nie masz żadnego wsparcia.

— Postąpiłaś słusznie — powiedziała Cat. — Zostawiając go. Wracając tutaj.

Megan nie była już niczego taka pewna.

— Nie wiem, czy słusznie postąpiłam, Cat. Oczekujemy, że mężczyźni poruszą w nas wszystkie struny. Romantyczną, seksualną, emocjonalną. Może oczekujemy zbyt wiele. Może za bardzo myślimy o samych sobie. Może powinniśmy myśleć o naszych dzieciach.

— Chciałabyś, żeby Poppy dorastała z takim ojcem? —

zapytała gniewnie Cat. — „Gdzie jest tatuś? Och, tatuś bzyka właśnie jakąś szwedzką turystkę”.

— Ale Rory to miły facet — upierała się Jessica.

— Świat jest pełen miłych facetów— odparła Cat.

— Więc dlaczego sobie jakiegoś nie weźmiesz?

Cat opadła na sofę i potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

— Wy dwie dajecie mi rady... trudno w to uwierzyć.

— Uważam po prostu, że powinniśmy być dla siebie mili — powiedziała Jessica. — Póki jeszcze jest czas.

— Kiedy idziesz do pracy, nie możesz zostawić dziecka ze swoją dumą — wyjaśniła Megan. — Zostawiasz je z rodziną albo z kimś obcym. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli to możliwe, nie warto robić tego w pojedynkę. Nie warto robić tego ze strachu, że ktoś nas znowu rzuci.

Cat zjeżyła się.

— Masz na myśli, tak jak mnie ktoś rzucił?

— Nie — odparła łagodnie Megan. — Tak jak my zostałyśmy porzucone. A swoją drogą, dlaczego nie miałybyśmy dać ci rad? — zapytała i w jej głosie zabrzmiał słodki smutek. — Jesteśmy już dorosłe.

Z sąsiedniego pokoju dobiegł ich głośny płacz dziecka. Małej Wei przyśnił się koszmar, a może upuściła jeden ze smoczków.

— Ja się tym zajmę — powiedziała Cat, dźwigając się z trudem na nogi. — A potem przyrządę nam coś do jedzenia. Mam chyba w lodówce jakieś spaghetti.

Megan i Jessica wymieniły spojrzenia. Popatrz, ile ona dla nas zrobiła, mówiły ich oczy. Bez jednego słowa, przypomniały sobie sprzątającą po nich cały bałagan, padającą z nóg dwunastolatkę i dług, którego nigdy nie zdołają spłacić.

I dlatego Jessica poszła ululać swoją córkę, a Megan kazała Cat leżeć dalej na sofie i podsunęła poduszki pod jej głowę i spuchnięte nogi.

— Trzymaj stopy powyżej seca — poradziła. — To zmniejszy obrzęk.



Kiedy Jessica wróciła do salonu, Megan zebrała od nich zamówienia na tajske dania i zjadły posiłek dokładnie tak, jak to robiły w dzieciństwie, przed telewizorem, głośno się zaśmiewając, bez dorosłych, którzy kazaliby im jeść przy stole.

Nie mówiąc nic, długo po tym, jak zasnęły dzieci, Megan i Jessica przyniosły Cat herbatę, zakazały jej wstawać i starały się na wszystkie sposoby okazać, że przynajmniej teraz ich starsza siostra nie musi się martwić, nie musi być silna.

## 28.

Na zewnątrz czekały na niego córki — uśmiechnięte, ubrane w swoje najlepsze sukienki i ściskające w garściach konfetti.

Obsypały nim Jacka, kiedy wyszedł z małego kościółka w Marylebone ze swoją olśniewającą rudowłosą żoną, a Paulo zauważył, że każda z siostr sypała konfetti w inny sposób.

Cat była metodyczna, starannie celowała i balansowała ciałem, dzięki czemu konfetti prawie za każdym razem trafiało w ich piersi albo głowy.

Jessica rzucała z dołu, spod łokcia, chichocząc i próbując ich zaskoczyć, ale niemal nigdy jej się to nie udawało.

A Megan po prostu szalała, obrzucając państwa młodych i wszystkich, którzy stali w pobliżu, a potem zachęcając dzieci, Poppy i Małą Wei, żeby zbierały leżące na ziemi konfetti i rzucały je ponownie, aż w końcu płatki zmieszane były z liśćmi i innymi śmieciami, i musiały przestać.

Kiedy umilkły śmiechy i podeszli do czekającego samochodu, trzy córki Jacka Jewella objęły ojca, szykując się do tego, żeby go pożegnać.

Jack patrzył na nie ze łzami w oczach, a Cat czekała, że podzieli się z nimi jakąś złotą myślą, podsumuje wszystko, przez co razem przeszli, i wyjawi, co to mogło znaczyć. Długo myślała o tym, co powiedział.

— Macie teraz wszystkie swoje własne rodziny — stwierdził.

I gdy machały rękoma, śledząc wzrokiem znikające światła samochodu, Cat zdała sobie sprawę, że myliła się, sądząc, iż wie, o czym marzyła, będąc sprząającą po swoich siostrach nastolatką w fartuchu i żółtych rękawicach.

Wydawało jej się zawsze, że marzyła o wolności. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że pragnęła stworzyć im prawdziwą rodzinę.

I stojąc tam z siostrami, które patrzyły, jak ich ojciec rozpoczyna nowe życie, zorientowała się, że przez cały ten czas były prawdziwą rodziną. Może nie idealną, w której wszyscy są szczęśliwi i obecni, i może nie taką, jaką pokazują w telewizyjnych reklamach płatków śniadaniowych. Lecz mimo to prawdziwą rodziną, której członkowie kochali się i wspierali, a nawet wzajemnie lubili i byli gotowi pomagać sobie w każdej sytuacji, bez względu na zmiany zachodzące z upływem czasu.

Szli na północ, w stronę Regent's Parku, kiedy Megan odebrała telefon w sprawie matki. Mały weselny pochód zatrzymał się w miejscu i obserwowali wszyscy jej twarz, zgadując, że stało się coś złego.

Jessica trzymała Małą Wei, Cat prowadziła za rękę Poppy, a Megan niosła swoje nowe szpilki, które obtarły do krwi jej stopy. Paulo i Rory popychali za nimi wózki niczym dwaj tragarze. Opakowane w srebrną folię kawałki weselnego tortu lśniły w promieniach południowego słońca.

— Wsadzili matkę — powiedziała Megan, wyłączając komórkę.

Okazało się, że podczas gdy ich ojciec brał ślub z Hannah w małym kościółku w Marylebone, matka została aresztowana w swoim mieszczącym się milę dalej apartamencie w St John's Wood. Razem z nią przymknęli składającego jej cotygodniową wizytę Brudnego Dave'a.

— Siedzi na posterunku przy Bow Street — dodała Megan.  
— Ktoś będzie musiał tam pojechać.

Jessica popatrzyła na Cat.

— Wiedziałas, że do tego dojdzie — powiedziała. — Wiedziałas, że ten Brudny Dave wpędzi ją w kłopoty.

Cat wzruszyła ramionami. Nic nie mogło popsuć jej humoru. W czterdziestym tygodniu ciąży czuła melancholijną radość, której doznaje się pod koniec pięknych wakacji.

Nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć swojego synka, ale nie pamiętała, by była kiedykolwiek szczęśliwsza. Dotknęła brzucha — raz, dwa, trzy, nie martw się, dziecinko — uświadamiając sobie, jak bardzo kocha spoczywające w niej dziecko. Szkoda, że to doznanie musiało się skończyć.

— Wygląda na to, że policjanci śledzili Brudnego Dave'a w drodze do mieszkania mamy — powiedziała Megan. — Kiedy wyważyli drzwi, pomagała mu wyrzucić towar do toalety.

— Pójdzie do więzienia? — zapytała Jessica.

Cat poczuła, jak się zwierają mięśnie jej brzucha. Kolejny fałszywy alarm albo dokładniej rzecz nazywając, próbna symulacja. W ciągu ostatnich kilku tygodni przyzwyczała się do skurczy Braxtona-Hicksa. Wkrótce nadejdzie pora na prawdziwe. W przyszłym tygodniu ma wizytę w szpitalu, gdzie ma udekorować jej szyjkę macicy żelem zawierającym prostaglandynę, substancję wytwarzaną w naturalny sposób podczas porodu i wysyłającą jasny sygnał do jej syna i jej ciała — startujemy.

Położna poinformowała ją wesoło, że męskie nasienie zawiera w sobie dużo prostaglandyny i jeśli chce przyspieszyć poród, zalecany jest seks. Cat musiała jej wyjaśnić, że w ostatnim czasie do jej dróg rodnych trafia niewiele męskiego nasienia.

— Brudny Dave powiedział, że jeśli go załatwią, on załatwi ją — oznajmiła Megan.

Cat westchnęła, czując kolejny skurcz, tym razem dłuższy i silniejszy.

— Dobrze się czujesz? — zapytała Megan.

— Jeszcze nie czas — uśmiechnęła się Cat.

— Nie powinnam cię denerwować — powiedziała Jessica. -

— Ale jak mogłaś polecić swojej matce kogoś, kto nazywa się Brudny Dave?

— To było zaskakująco łatwe — odparła Cat, czując, jak Poppy tuli się do jej nóg.

Megan uśmiechnęła się do nich. Ostatnio bardzo się do siebie zbliżyły. Cat zaopiekowała się siostrzenicą, kiedy Megan zaczęła pracę w przepięknym gabinecie przy Wimpole Street, zastępując trzydziestokilkuletnią lekarzkę, która wzięła urlop, żeby urodzić swoje trzecie dziecko. Zarabiała masę pieniędzy, ale najwspanialsze było to, że miała trzydzieści minut dla każdego pacjenta. Nie porzuciła swoich ideałów, zmieniła tylko ich przedmiot. Nie mogła zaopiekować się całym światem, lecz mogła zająć się swoją rodziną.

Cat dała Megan i Poppy dom i opiekowała się swoją siostrzenicą lepiej, niż zrobiły to ktokolwiek obcy, a Megan zarabiała dosyć, żeby utrzymać wszystkie trzy.

Być może któregoś dnia to się zmieni. Sytuację z pewnością ułatwiał fakt, że w życiu żadnej nie był obecny mężczyzna. Ale Megan wiedziała, jakie to szczęście, że siebie mają, i dziwiła się, jak mogła tak beztrudnie rozstać się z rodziną.

To prawda, każda miała swoje życie. Okres, gdy Jessica opiekowała się przez cały dzień Poppy, skończył się nieodwołalnie z chwilą, gdy zaadoptowała Małą Wei. Cat z pewnością też będzie bardziej zajęta po urodzeniu własnego dziecka. Megan wiedziała, że obecny układ nie może trwać wiecznie. Za jakiś czas trzeba będzie to inaczej urządzić. Rozumiała jednak, że dopóki będą żyły jej siostry, nigdy nie będzie sama. Podobnie jak jej córka.

— Chodzi o to... że to nasza matka — powiedziała Jessica.  
— Mimo wszystko, Cat... ona jest naszą matką.

Cat nie odpowiedziała. Nie chciała się kłócić z Jessicą, lecz w głębi duszy wiedziała, że nie wystarczy czterdzieści tygodni, żeby stać się matką. Na to trzeba całego życia.

Szli na północ Portland Place, aż dotarli do lśniącej niczym noc londyńskiej taksówki Paula. Zdecydowano, że Paulo zawiezie Jessicę i Małą Wei na posterunek przy Bow Street. Cat,

Megan, Poppy i Rory patrzyli, jak odjeżdżają, a Poppy machała rączką, aż taksówka zniknęła z pola widzenia.

— Miej trochę serca — powiedziała Megan. — Olivia jest ciężko chora.

Cat zdała sobie sprawę, że nie chce być bez serca. Ponieważ stałaby się wtedy podobna do niej. Podobna do swojej matki.

Urażona wzięła na ręce Poppy, pocałowała ją w policzek i popatrzyła na siostrę.

— Miej trochę serca? Jeśli coś jest nie tak z moim sercem, to wina tej starej...

W tym samym momencie Megan zobaczyła, że zza rogu wychodzi Warren Marley. Nie miała pojęcia, jak ją odnalazł, ale właściwie wcale jej to nie zaskoczyło, może dlatego, że znajdowali się tak blisko miejsca, gdzie pracowała — łatwo było to przecież ustalić — a potem w ogóle już o tym nie myślała, ponieważ w jego rękę błysnęło jakieś ostrze, i nagle zdała sobie sprawę, jak puste są te szerokie białe ulice, przy których mieściły się ambasady i biura, wszystkie zamknięte i opustoszałe podczas weekendu.

Byli zupełnie sami.

Warren Marley zbliżał się do nich, do dwóch kobiet, małej dziewczynki i mężczyzny popychającego dziecienny wózek. Miał twarz wykrzywioną nienawiścią i coś mówił, wyrzucał z siebie jakieś obelżywe słowa, a potem nabierając odwagi, doprowadzając się do furii, zaczął wykrzykiwać je na pustej ulicy, trzymając w ręku nóż, który — Megan zobaczyła to teraz — służył do cięcia dywanów.

Odsunął brutalnie na bok Cat i Poppy i machnął nożem, celując w twarz Megan, która cofnęła się z bijącym sercem, zatonęła na jezdnię i o mało nie przewróciła, kiedy zamierzył się na nią ponownie.

I nagle zupełnie znikąd pojawił się przy niej Rory, bez wózka, zadając podręcznikowe kopnięcie z półobrotu w głowę Warrena Marleya. But Rory'ego zetknął się z trzaskiem ze skronią drugiego mężczyzny i Warren Marley runął na ziemię, ale nie wypuścił z ręki noża.

Rory chciał zadać kolejne kopnięcie, lecz ześlizgnął się z chodnika na jezdnię, w ogóle nie trafił w cel i musiał przykucnąć. Marley, który w tym momencie klęczał, zamachnął się nożem i Rory ryknął z bólu, kiedy ostrze weszło w jeden z jego pośladków.

Sekundę później Marley znowu był na nogach. Odwrócił się od Rory'ego i powłócząc nogą, znowu ruszył na Megan. Rory został na ziemi, ściskając się za tylną część ciała, z której krew sączyła się przez jego palce.

Cat rzuciła się na Marleya z tyłu, lecz on pochylił się i przerzucił ją przez ramię, a kiedy padała, palnął ją wierzchem dłoni, odsuwając na bok, i szedł dalej na Megan, mając za sobą leżącego Rory'ego i leżącą Cat, i trzymając w ręku nóż do cięcia dywanów.

Megan zobaczyła przerażoną twarz córki, kulącej się przy jakiejś balustradzie, i poczuła, jak gotuje się w niej krew.

Marley machnął dziko ręką, próbując ją ciachnąć, lecz ona wystawiła do przodu lewą rękę, zginając ją w łokciu, i w tym samym momencie z maksymalną szybkością i siłą zadała uderzenie prawą dłonią, celując w mięsisty czubek jego nosa.

Który złamał się z satysfakcjonującym chrupnięciem.

To było uderzenie dłonią, pomyślała Megan. Uderzenia dłonią są naprawdę dobre.

Patrzyła, jak Marley puszcza nóż i zatacza się do tyłu, łapiąc się za twarz, z której tryskała krew, i wrzeszcząc z bólu i zaskoczenia. Upadł na balustradę, przy której stała Poppy, i mała pobiegła z wyciągniętymi rączkami do matki, podczas gdy Marley skamlał z bólu i wstydu.

Megan wzięła na ręce córkę i stanęła nad nim.

— Trzymaj się od nas z daleka — powiedziała. — Nigdy nie pokazuj się nam na oczy.

Kopnęła nóż do studzienki kanalizacyjnej i podeszła z Poppy do Cat, która klęczała w modlitewnej pozycji przy Rorem, próbując zatamować krew płynącą z jego pośladka.

— Proszę, nie umieraj — mówiła.

I wtedy właśnie to poczuła. Skurcz, który nie chciał puścić

i był podobny do dotkliwego bólu przy okresie, a następnie bezbolesne doznanie, jakby pękła w niej mała tama. Zdała sobie sprawę, że poród zaczął się już prawdopodobnie przy pierwszych hymnach w kościele.

— Megan! — zawołał Rory, krzywiąc się z bólu i jednocześnie promieniejąc z dumy. — Przypomniałaś sobie w końcu... auu!... lekcje karate. Jak sądzisz, dlaczego?

Cat wpatrywała się z niedowierzaniem w Megan, ściskając teraz własny brzuch i łapiąc kurczowo oddech. Jej siostra, trzymająca w ramionach córkę, również baczenie się jej przyrzekała.

— Teraz moja kolej, żeby się tobą zaopiekować — powiedziała.

I na tylnym siedzeniu samochodu Rory'ego odebrała poród, pomagając Cat urodzić ośmioletniego chłopaka.

Szpitalne łóżko pomieściło w jakiś sposób ich troje.

Cat z małym Otisem w ramionach oraz Rory'ego, który leżał przy nich, podpierając delikatnie dłonią główkę swojego syna i czując jego delikatne jak ptasi puch włoski.

To był dzień cudów. Kiedy Cat dotknęła jego policzka, Otis obrócił swoją malutką buzię w stronę tego doznania, szukając mleka, pociechy i życia.

Jego niewidzące oczy, bezzębne małe usta, miniaturowe paluszki, błogosławiony sen, rytmiczny oddech — wszystko to wprawiało w zachwyt zakochanych rodziców.

I duma, którą odczuwała Cat, była większa od zmęczenia, radość większa od bólu, a miłość, ta niewiarygodna miłość, która się w niej nagle przejawiała, zagłuszyła wszelkie obawy i wątpliwości, jakie budziła w niej przyszłość.

Przyszli goście. Jack Jewell i jego nowa żona, Hannah. Syn Rory'ego, Jake. Przynieśli kwiaty, babeczki i ubranka, które sprawiały wrażenie tak wielkich, że wydawało się niemożliwością, by mały Otis kiedykolwiek do nich dorósł. A kiedy zajrzała do nich Megan, dwie siostry długo się ścisnęły, długo śmiały,



troszeczkę popłakały, po raz pierwszy w życiu powiedziały, że się kochają, i zgodziły, że mały Otis będzie któregoś dnia pogromcą kobiecych serc.

A potem z posterunku przy Bow Street wrócili Jessica, Paulo i Mała Wei, i Jessica wzięła Otisa na ręce, stwierdziła, że jest piękny, i ululiła do snu, jakby była jakimś ekspertem. I chyba nim rzeczywiście była.

Później poinformowała ich, że policja była bardzo wyrozumiała, matka została zwolniona z aresztu po udzieleniu ostrzeżenia i nawet przeciwko Brudnemu Dave'owi najprawdopodobniej nie zostanie wniesione oskarżenie, ponieważ okazało się, że narkotyki zażywane były w celach leczniczych.

Cat zerkała co jakiś czas ku drzwiom sali, ale był ktoś, kto nie przyszedł, by obejrzeć nowo narodzone dziecko.

Ich matka nie pofatygowała się do szpitala, żeby zobaczyć swojego jedynego wnuka, i przez chwilę Cat miała wrażenie, że jej serce ma wciąż jedenaście lat i nigdy nie przestanie boleć. Ale trwało to tylko chwilę. Wiedziała, że zabierze dziecko do matki. Teraz to wiedziała.

„Popatrz, twoja córka wydała na świat własne dziecko”, powie, a jeśli matka nie dostrzeże w tym cudu i powodu do radości, wtedy nie będzie do niej czuła nienawiści. Będzie jej tylko współczuła.

Spojrzała na spoczywającego w jej ramionach malca, a potem na mężczyznę, który leżał przy niej i desperacko starał się unikać siadania na swojej raczej śmiesznej ranie, odniesionej, gdy próbował ich ratować. I w tym momencie poczuła, że naprawdę żyje.

Paulo siedział na skraju łóżka razem z Małą Wei i Poppy, które przyglądały się z poważnymi minami temu o wiele od nich mniejszemu dziwnemu stworzeniu. Nagle poczuł, jak ktoś trąca go delikatnie w ramię.

— Jessica czeka na ciebie — powiedziała Megan, biorąc na ręce Poppy. — Na korytarzu.

Paulo przyglądał jej się przez chwilę, po czym skinął głową.

Wziął Małą Wei za rękę i wyprowadził z pokoju. Jessica stała tuż za drzwiami.

— Zgadnij, co ci mam do powiedzenia?

Paulo spojrział na swoją żonę, która dopiero co przyjechała z posterunku policji przy Bow Street, w eleganckiej sukni i przy-sypanym konfetti kapeluszu z szerokim rondem. Nie miał blądego pojęcia, o czym ona mówi. I czy nie było już dość przeżyć jak na jeden dzień?

— Chodź tutaj, głuptasie — powiedziała, po czym wzięła jego rękę i położyła ją na swoim brzuchu. A potem spojrziała na niego tymi oczyma, które znał lepiej od swoich własnych.

Poczuł, że opada mu szczęka. To zdarza się naprawdę. Człowiekowi naprawdę może opaść szczęka.

— Nie? — szepnął.

— O tak — odparła Jessica. — O tak. Zdecydowanie tak. Megan ci to powie. Zrobi to. Moja siostra ci to powie. To jedyna rzecz, której ci lekarze nigdy nie potrafią wytłumaczyć. To, że masz szczęście.

Paulo wpatrywał się w swoją żonę i niespodziewane łzy sprawiły, że jej piękna twarz rozmazała mu się przed oczyma. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie umiał wyrazić, co czuje.

Wziął więc na ręce swoją córkę, a ona zwróciła lśniące brązowe oczy ku źródłu tego doznania, starego jak świat doznania, którego doświadcza się, gdy jest się w czyichś ramionach.